



T O M A S Z  
**HILDEBRANDT**

C Z E R W O N Y  
S Z K W A Ł

Z nieba znikają gwiazdy i księżyc, Mazury zalewają apokaliptyczne ciemności. Czy to złe moce sprowadzone przez niszczycielski wiatr, czy ludzkie okrucieństwo rozlały się mrokiem po ziemi i niebie?

T O M A S Z  
**HILDEBRANDT**

C Z E R W O N Y  
S Z K W A Ł



Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Elżbieta Steglańska, Barbara Milanowska (Lingventa)*

Ta książka jest fikcją literacką. Żadna z postaci występujących w powieści nie jest ani w całości, ani częściowo wzorowana na osobach, które sprawują lub sprawowały funkcje lub zajmują albo zajmowały stanowiska opisane w książce.

Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe.

Copyright © for the text by Tomasz Hildebrandt

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2018

ISBN 978-83-287-1094-8

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2018

--000--( )--000--  
(@@)

*Strach się rozprzestrzenia,  
Pełnąc po schodach w ciemności,  
W oczekiwaniu na powiew śmierci.*

Robert Smith, *One Hundred Years*  
(ten i pozostałe cytaty – w przekładzie autora)

# Spis treści

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

EPILOG

# ROZDZIAŁ 1

Pochylił głowę i zacisnął prawą dłoń w pięść. Przyjrzał się jej, twardej bryle ścięgien, mięśni i kostek obleczonych lśniąca, księżycową powłoką. Jego podstawowa żołnierska broń. Potrafił przebić nią drzwi, rozłupać cegłę. Jednym ciosem powalić na ziemię człowieka.

Znokautować lub zabić.

Stojąca przed nim dziewczyna nie przestawała gadać. Zdołał się wyłączyć na długą chwilę, ale głos wrócił, ciągle ten sam. Ten sam przekaz, wielokrotnie powtarzane słowa, za każdym razem z większym ładunkiem emocji. Na zmianę: komunikat, gniew, błaganie, groźba. Tama pękła i należało przeczekać powódź, żywioł w końcu się uspokoi, sytuacja wróci do równowagi.

Byle jak najszybciej, powoli zaczynało mu brakować cierpliwości, potrafił kontrolować się tylko do określonej granicy. Po jej przekroczeniu mogłaby pęknąć kolejna tama, wtedy kataklizm byłby absolutny.

Kompletny.

– Ciii... – wyszeptał, opuszczając powieki. Jeden z wyuczonych sposobów wygaszania agresji. – Cicho, musisz się uspokoić. Pogadajmy normalnie.

– Normalnie?! A co tutaj jest normalne? Kto jest normalny, ty?

Parsknęła nosowym śmiechem, osmarkała się. Wytarła twarz rąbkiem bluzki, pociągnęła nosem. Zasmarkana gówniara.

– Już lepiej? Wysłuchasz mnie? – Oficer postąpił krok do przodu, delikatnie ujął wątłe kobiece ramiona w swoje potężne dłonie. Zmiażdżyłby je bez najmniejszego problemu. – Daj mi pięć minut, okay?

Mówił powoli, starannie cedził słowa, układał je w proste zdania. Bariera językowa była w niektórych momentach irytująca, oficer operował tylko podstawowymi zwrotami po polsku. Młoda coś tam dukwała w obcym języku, często uciekały im jednak znaczenia i pojawiały się komplikacje. Szczególnie w trakcie kłótni, które ostatnio zdarzały się nazbyt często. Drogi ich dwojga rozeszły się,

a ona nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Żołnierz nie wiedział, jak jej to wytłumaczyć.

– Przecież zdawałaś sobie sprawę, że nie będę tutaj stacjonował wiecznie, informowałem cię o tym. Pół roku, na tyle mnie przysłali. Muszę wyjechać, nie mam na decyzje zwierzchników żadnego wpływu.

– Wypisz się z tego, zdezerteruj, uciekniemy gdzieś razem.

– Ty wiesz, co u nas robią z dezertierami? Dokąd by mnie wysłali?

– Nie znaleźliby nas!

Wybuchnął śmiechem. Dla wojskowego wywiadu nie istniały rzeczy nie do wykonania, a zdrajców tropiono z dużo większą żarliwością niż wrogów. Nie miałyby żadnych szans. A poza tym po co niby miałyby to robić? Dla niej?

– Dasz mi dokończyć czy nie? Próbowałem ci to wyjaśnić spokojnie, po dobroci, ale widzę, że nic z tego. Nie da się, nie? Nic innego poza tobą cię nie interesuje, masz wszystko gdzieś! – Potrząsnął dziewczyną, była lekka i bezwładna jak pacynka.

Nie odezwała się, odwróciła zezłoszczone oblicze.

– Nie wiem, co sobie wyobraziłaś, ale między nami był tylko prosty układ. Handlowaliśmy, zapomniałaś? Ja czegoś potrzebowałem, ty mi to dostarczałaś. Zwyczajny biznes, każdy dostawał swoje. Te wszystkie zwierzenia, nocne rozmowy, to całe...

No właśnie, jak to nazwać? Przyjaźń? Miłość? Braterstwo dusz? Oficer nie wiedział, nigdy nie używał tych zwrotów.

– Co ty gadasz, przecież ja... ty... – Zakrztusiła się, rozkaszała. – Obiecałeś mi to, obiecałeś. Obiecałeś!

Ponownego ataku hysterii oficer nie wytrzymał. Dłoń automatycznie trafiła w policzek dziewczyny, głośno plasnęło. Poczł mrowienie delikatnego bólu. Upadłaby, gdyby nie uwięził jej stalowy uścisk drugiej ręki.

– No bij, bij mnie, zabij, to niczego nie zmieni! Złożyłeś obietnicę, to była część tego układu. Przysiągłeś! Nie wycofasz się teraz. A jak nie... Powiem im, wszystko im powiem. Twoim szefom. Co kupowałaś, czego się od ciebie dowiedziałam. Kim tak naprawdę jesteś. Wszystko!

– Zamknij się!

– Wszystko! Wszystko!

Zamilkła po kolejnym ciosie. Pchnięta, upadła w porosty i mech, zaczęła się

obłąkańczo śmiać. Oficer odwrócił się, rękami zatkał uszy, wykonał serię równomiernych oddechów. Jeszcze jedna technika powstrzymywania ataków furii.

– Wyjeżdżam – oznajmił stanowczo. – Wracam do siebie, na wschód. Ty grzecznie zostajesz tutaj. Zapomnij o mnie, więcej się nie zobaczymy.

– Nie! – Dziewczyna przyczołgała się, objęła nogi obute w wojskowe glany, jęczała. – Proszę, błagam, weź mnie ze sobą! Nie mogę tutaj zostać, tutaj nie da się żyć.

– Myślisz, że tam jest lepiej, że gdziekolwiek jest lepiej? Wolność to mrzonka, kapitalistyczna reklama.

– Błagam! Błagam!

– Won! – Oficer odtrącił ją kopniakiem ciężkiego buta.

Dziewczyna skomlała jak pies, krztusiła się własną śliną. Brzydziła go, wzbudzała w nim odrazę, przypominała pełzającego robaka. Podniosła się, powiedziała coś niezrozumiałego. Pociągnęła nosem, błysnęła załzawionymi oczami.

– Zrobię na ciebie donos, kurwiarzu, do generała. I do twoich koleżków w sztabie. I do twoich rodziców. Co się gapisz, zapamiętałam adres, powiedziałeś mi, gdzie mieszkasz. Mnie wszystko jedno, i tak jestem szmatą. Dla ciebie to będzie koniec.

Koniec.

Miała rację: kariera, życie, godność żołnierza, to oskarżenie go zniszczy. Jego rodziców również, a nikogo innego nie miał. Nie. Nie mógł jej na to pozwolić. Spojrzał w górę, księżyc właśnie zachodził czarną kurtyną, znikwały gwiazdy.

Dosyć, przedstawienie skończone.

Powiew mroźnego wiatru przeszył go falą dreszczy. Coś nadchodziło z wiatrem, zasnuwało ziemię. Ciemność odebrała mu zdolność widzenia. Zamieniła w potwora.

Dostrzegła to, rzuciła się do ucieczki. Dobrze słyszał oddalające się kroki, ruszył w pogoń. Nikt nie zdołałby uciec, nie przed nim. Był aparatem terroru mocarstwa przez wielu ludzi zwanego imperium zła, szczerze uwielbianego przez nielicznych. Maszyną do rozpoznawania i likwidowania wrogów ojczyzny.

Dopadł ją po kilkunastu metrach, powalił na ziemię. Dziewczyna zdołała wstać, choć powinna przestać się ruszać, wykorzystać ostatnią szansę. W mroku pozostawała samym zapachem, przyspieszonym oddechem, biciem serca. Żołnierz



pchnął lekkie jak piórko ciało tyłem na drzewo. Odbiło się z głuchym pogłosem, ale utrzymało równowagę. Doskoczył do niej, ścisnął chudą szyję i przygwoździł do pnia. Szamotała się, broniła, resztką śliny splunęła napastnikowi w twarz. Żołnierz mocniej naprężył mięśnie, zacisnął kłykcie.

Szarpnął.

Uderzył.

Mocno i precyzyjnie, miał doświadczenie. Celował w szczękę, aby osiągnąć natychmiastowy nokaut. Trafił. Ofiara całym ciężarem padła na plecy, zaszeleściła pod nią trawa, trzasnęła pęknięta gałązka. Ciało znieruchomiało.

Mężczyzna ukląkł nad swoją zdobyczą, zbliżył nos i ją obwąchał. Przytomność wraca dość szybko, a tym razem chciał uniknąć zbędnej szamotaniny. Za gwałtowne buzowały w nim emocje, a wściekłość nie jest najlepszym doradcą. Był silny, zbyt silny, jeśli straci nad sobą panowanie, zabrnje za daleko.

Zabije.

Traktował ludzi jak zwierzynę łowną, korzystał z nich jak z zasobu. Smak, dotyk, temperatura, pompowana przez serce energia wzmacniały go, tuczyły ego. Dzięki nim rósł, stawał się coraz większy. Coraz groźniejszy.

Włączył latarkę, przyjrzał się swojej zdobyczy. Młode, gibkie ciało, wysportowane. Świeże. Kiedy zaświecił w twarz, ofiara otworzyła oczy. Powoli nabierała powietrza, jakby uczyła się oddychać na nowo, rozdziawiła paszczę i ryknęła. Piskliwie, z dziewczęcą nutą, jakby głos w pełni się jeszcze nie ukształtował, nie dorósł. Myśliwemu nie spodobało się to, preferował dojrzałe łupy, silnych, w pełni uformowanych ludzi. Dzieci poddawały się zbyt łatwo.

A on wolał walkę.

Od niechcienia trzasnął ofiarę w twarz. Pisk ucichł, ale nie ustał, wydobywał się teraz przez nos, przy zaciśniętych ustach. Nieważne, niech się wydziera do woli, i tak nikt ich nie usłyszy. Las, niedostępny fragment jeziora, głucha dzicz. Najbliższy dom znajduje się ponad dwa kilometry dalej. Po ścieżce chodzą turyści, a zwłaszcza grzybiarze, ale nie nocą. Nocą grasują tu wilki i zbrojeńcy.

Mężczyzna z trudem powstrzymał przypływ wściekłości, hamował się. Chodziło mu nie o zadanie lekkiej śmierci, a o skazanie na ciężkie życie. Niech wiedzą, jak to jest, on też nie miał łatwego.

Usiadł na swojej ofierze, ramiona przygniótł kolanami, unieruchomił głowę.

Ścisnął policzki, a kiedy otwały się usta, napluł w nie. Wcisnął do środka dwa palce, głęboko, aż poczuł twardość przełyku, ostre krawędzie zębów na nadgarstkach. Ciałem wstrząsnęły fale spazmów, wtedy wyciągnął dłoń. Splunął jeszcze raz, w szeroko rozwarte ze strachu oczy.

Zachichotał.

– Niech pan nie robi mi krzywdy, błagam! Ja nic nie wiem, nic nie powiem...

– Nie powiesz, nic nie powiesz!

Wydał z siebie niemal zwierzęcy rechot, na głowę ofiary kapnęła ślina.

Wstał. Wiedziona złudną nadzieją ofiara uniosła się, uklękła na roztrzęsionych kolanach. Doskonały cel, jak na treningu. Mężczyzna zamierzył się, kopnął. Nie widział, ale czuł wyłamujące się z dziąseł zęby. Odrzucony impetem uderzenia łup leżał na prawym boku, nie ruszał się.

Oddech myśliwego znowu przyspieszył, testosteron osiągnął najwyższy poziom, bulgotał w gardle. Oczy lśniły, dłonie zaciskały się spazmatycznie. Sięgnął do kieszeni po przedmiot przypominający strzykawkę.

Przecież jeszcze nie skończył.

Zwolniła, włączyła kierunkowskaz, zjechała z jezdni na szerokie pobocze, które służyło wędkarzom za dziki parking. Rozejrzała się. W blasku reflektorów roiły się liście drzew, trącane wiatrem przypominały chmurę szarańczy. Resztę świata zalewał mrok, ciężki i namagnetyzowany jej nerwami.

Strachem.

Zgasiała silnik, wyłączyła światła. Ciemność przygniotła ją niemal fizycznym ciężarem, dziesiątkami kilogramów sypkiej, czarnej substancji nocy. Serce załopotowało, ciśnienie krwi w skroniach sprawiło ból. Zachłannie nabrała powietrza i wypuściła je z gwizdem nadchodzącej hysterii. Nie, nie teraz! – skarciła się. Musiała zachować spokój, ostrość myślenia. Odwagę.

Uruchomiła radio, w ciszę wdarł się jazgot jazzowych rytmów, cykającej perkusji i lamentującego saksofonu. Skrzywiła się, ale nie zmieniła stacji, każdy dźwięk był w tej chwili lepszy od szalejącej wyobraźni. Od głosu, który usłyszała w telefonie kilka godzin temu, nakazującego jej stawić się w wyznaczonym miejscu o wyznaczonej porze. Z wyraźną, choć niewyartykułowaną groźbą, że w przeciwnym razie wydarzy się coś bardzo złego. Wolałaby nie wiedzieć co, ale musiała wiedzieć, o co temu typowi chodzi. Nie powiedział, sama też nie miała

pojęcia. Nie popełniła przecież żadnego grzechu, nikogo nie skrzywdziła.

Czego on mógł od niej chcieć? Kim był?

Saksofon zamilkł, z radia płynęły teraz pomruki rwanych palcami strun kontrabasu, bez jakiegokolwiek harmonii, bez melodii. Inwazyjne tony, które czuła na całym ciele, targały nerwy.

– Stop! – krzyknęła, a tapicerka auta chciwie wchłonęła jej krzyk, który nie wrócił najmniejszym echem. Nawet nie była pewna, że wydała ten dźwięk, może pozostał w głowie, a ona nie panowała nad wyobraźnią.

Ponownie spojrzała w tylne lusterko. To nie była ona, patrzyła na nią obca twarz. Definitywnie zaszła w niej jakaś istotna zmiana. Może więc ten mężczyzna żądał spotkania z jej wcieleniem, którego w ogóle nie znała?

Prostokąt lustra zapłonął białym światłem, przymknęła powieki. Kiedy je otworzyła po kilku sekundach, warkot przejeżdżającego samochodu nie ucichł, silnik klekotał kilkanaście metrów dalej. Reflektory zgasły, ale motor wciąż chodził. Drzwi od strony kierowcy otwarły się, pojawiła się w nich postać przysadzistego mężczyzny, czarna sylwetka z głową bez twarzy. Jego radio też grało, chyba nawet tę samą jazzową abstrakcję, nie była pewna. Dopiero teraz przekręcił kluczyk, ale nie wyciągnął go. Saksofon wył w pustce niczym nawołujące się wilki, na dwa głosy.

Mężczyzna zbliżył się, zatrzymał na ziemi niczyjej pomiędzy przodem jej auta a tyłem swojego.

W pierwszym odruchu zapragnęła włączyć silnik, wyrwać do przodu, staranować go uzbrojonym w masywny grill zderzakiem, przejechać kołami, wbić w czarny piach masą swojej terenowej toyoty. Zlikwidować. Uciec. Zapomnieć o sprawie.

Nie mogła, ciekawość była silniejsza od strachu. Wyszła z kabiny, stanęła obok otwartych drzwi. Czekwała.

– Masz to? – Jego głos był inny niż w telefonie, wyższy, niespokojny. Mężczyzna też musiał się trochę bać.

Pokręciła głową.

– Jadźka, Jadźka... Przecież mówiłem, kazałem ci to przywieźć ze sobą! Co jest grane, chcesz mnie zrobić w chuja?! Mam się wkurwić?!

– Nie, przepraszam... – Zapowietrzyła się. Poczowała wściekłość na samą siebie, zachowywała się jak gówniara, którą strofuje ojciec pijak. Odetchnęła głęboko. – Najpierw powiedz mi, o co chodzi, muszę to wiedzieć. Nie mam zamiaru kupować

kota w worku.

Nie odzywał się przez kilka sekund, po czym parsknął nerwowym śmiechem. Przesunął się o pół kroku do przodu, w blasku padającym z jej kabiny zdołała dostrzec niewyraźne rysy twarzy. Nie dopasowała ich do żadnego z ludzi, których знаła.

– Pewnie, wielka pani bizneswoman, księgowa Koterska będzie targować się nawet z kostuchą na łożu śmierci, co? Kurwa mać, bierzesz mnie za debila?! Odpowiadaj, jak pytam, chcesz ze mnie zrobić idiotę?!

Postąpił do przodu. Przedłużająca się perkusyjna solówka zaczęła ją doprowadzać do szału, czemu nie wyłączyła radia, kiedy mogła?

Nerwowo zaciskał pięści, zerknął na drogę. Też czegoś się bał. Jej?

– Dogadamy się, ale najpierw mi powiedz. Co wiesz? Co ja powinnam wiedzieć?

– Ja pierdolę!

Wyrzucił ręce nad głowę, założył je za kark i zaczął dreptać w kółko. Zbliżał się i oddalał, wyraźnie toczył jakiś wewnętrzny bój, tłukły się w nim sprzeczne emocje. Plan był widocznie inny, nie przewidział przeszkody.

– Jutro, wyznaczysz nowe miejsce, przyjadę i dobijemy targu. Ale najpierw...

– Nie! Nie, nie, nie! – Skoczył do przodu, znalazł się o dwa kroki od niej.

Zerknęła w bok, czy zdołałaby uciec, wsiąść do auta i zamknąć drzwi, gdyby się na nią rzucił. Za daleko, nie da rady.

– Powiedziałem wyraźnie, usłyszałaś mnie, zrozumiałaś, zgodziłaś się... Ja mogę ci przecież coś zrobić, nie przewidziałaś tego? Zajebię cię, ja cię chyba zajebię!

Miała rację, nie zdążyła uciec. Wrosła w ziemię skamieniała, kiedy mężczyzna ruszył w jej kierunku. Chwycił za poły garsonki, szarpnął, przyciągnął do siebie. Stykali się niemal nosami, z ust cuchnęło mu papierosami i mielonym. Widziała go teraz dokładnie.

– I co, Jadźka, ciągle będziesz strugała głupią? Nie rozpoznajesz mnie, już zapomniałaś, jak to było? Zbyt ważna jesteś, za bardzo przemądrzała?

Pokręciła głową, mężczyzna w odpowiedzi pchnął ją na drzwi pasażera. Karoseria przeszła ją chłodem, ale mroźny dotyk dodał pewności siebie. Ciągle była na swoim gruncie, jej możliwości nie wyczerpały się, mogła się jeszcze targować.

– Dawaj kluczyki!

– Co?

– Na dodatek ogłuchłaś? Kluczyki i kwity, u siebie w schowku mam papier i długopis, spisujemy umowę kupna-sprzedaży. Nie trzeba było cwaniakować, teraz stracisz więcej. Słyszysz?!

Walnął otwartą dłoń w dach toyoty tuż przy jej głowie. Skurczyła się w sobie, spięła i bez zastanowienia wyprowadziła cios, trafiła napastnika w policzek. Odsunął się, rozmasował skórę palcami, parsknął śmiechem.

– Tobie naprawdę chyba kompletnie odbiło!

Naparł na nią całym ciężarem, przydusił do maski auta. Ściśnięta krtań nie była w stanie wydać dźwięku, brakowało powietrza. Szamotała się, próbowała wyrwać, ale mężczyzna był dla niej za mocny, nie ustępował. Z oczu bił mu blask furii, usta rozwarły się w sadystycznym grymasie.

Szarpała się, ale jego żelazny uścisk nie ustępował. Jeszcze trochę, a całkiem opadnie z sił, straci przytomność. Straci życie. Została jej jeszcze jedna szansa, ostatnia, zanim strach przed śmiercią odbierze jej wolę walki. Od strony wody nadchodził jakiś kataklizm, drzewa ugięły się pod naporem wiatru, coś rozbłysło. On tego nie dostrzegał.

To była jej ostatnia szansa.

Mimo gęstniejących ciemności noc powoli zmieniała się w gigantyczny kataklizm. Wiatr zamarł, wszelkie głosy ustały, fale znikły, powierzchnia jeziora przypominała nieckę wypełnioną wypolerowanym bazaltem.

Modernistyczna bryła jachtu odznaczała się na tle czarnej tafli ostrą bielą. Kołysała się lekko pod ciężarem ludzi chwiejnie wędrujących od burty do burty, opierających się o chromowane barierki z wzrokiem wbitym w toń wody. W swoje pofałdowane, zniekształcone odbicia. Rozżarzone jak węgle kobiety wiły się w rytm głośnych, jednostajnych bitów transowej muzyki, wydając niekontrolowane chichoty. Jedyne dźwięki zakłócające doskonałą ciszę jeziora.

Zagłuszające ostrzeżenie.

Lśniący od potu mężczyźni w rozpiętych koszulach studiowali wojskową mapę, porównywali współrzędne z odczytami GPS-a. Nie zauważyli gasnących gwiazd, znikającego księżyca. Nie poczuli przesuwających się po niebie gór, zbierających się lawin.

– *Dawaj, Jura! Nu czto ty, boiszsia łuzy?*

Łysy typ machnięciem ręki przywołał z kajuty kompana, wysportowanego mężczyznę w krótkiej piance do nurkowania, z butlą tlenową założoną na plecy.

– *Otwiażsia od niego!* – Jedna z kobiet stanęła w obronie Jurija, lekko odepchnęła łysiego. Pocałowała nurka w usta. – *Tylko ostrożno, Jura, poka.*

Nurek poklepał kobietę po tyłku, usiadł na burcie i zsunął na twarz maskę, obwiązał się liną z kłębu leżącego na pokładzie i wskoczył tyłem do wody, na pożegnanie pokazując wszystkim środkowy palec. Tafla jeziora pękła jak potłuczone lustro, wchłonęła intruza i zamknęła za nim swoje wzburzone oblicze, które po chwili wygładziło się, nie pozostawiając po mężczyźnie żadnego śladu. Kobiety oparły się o poręcz i przyglądały mrocznej mazi, bezdennej studni, która spełniała tylko najgorsze wróżby.

Minęły minuty, pusta plastikowa butelka wzbijała się w powietrze i wylądowała w wodzie, za nią niedopałki skrętów, z sykiem topiąc się w nieruchomej smole. Kobieta żegnająca nurka pocałunkiem z niepokojem zapatrzyła się w dal. Znieruchomiała, poruszyła nosem jak niuchające zwierzę.

Coś się zbliżało, czuła to, mimo ciepła jej ciało pokryła gęsia skórka. Objęła się ramionami, zanim jeszcze dotarł do niej chłód pierwszej bryzy. Długie włosy zafalowały razem z taflą jeziora, rozwiały się. W twarz chlusnęły jej krople zdrapane z powierzchni wody, o kadłub zabębniła fala. Upuściła szklanę, w porę uchwyciła się rury poręczy.

– *Wnimanije!* – krzyknęła za siebie, a w tym momencie jacht uniósł się w górę. Na ułamek sekundy zawisł w powietrzu, by zwalić się z grzmiotem w powstały rów. Woda przelała się przez pokład, porywając żarcie i szklaną zastawę, kradnąc butelki. – *Juraa!*

Kobiety wpadły w panikę, skuliły się, wkleiły w zagłębienia pokładu. Mężczyźni otrzeźwieli, nieskoordynowanymi ruchami próbowali opanować żywioł. Ryknął silnik, łysy zaczął mocować się z kółkiem steru, żeby ustawić łódź dziobem do fal, dwaj inni ciągnęli linę, by na siłę wytargać nurka z wody. Nie wiedzieli, na jaką odległość odpłynął, gdzie się w tej chwili znajduje. Ktoś wbiegł pod pokład, wyrzucał z kabiny kamizelki ratunkowe i chrapliwe, niezrozumiałe słowa.

Kolejny podmuch zwiął pomarańczowe kapoki, uderzył w szybę sterowni rozpedzoną wodą. Jacht wspiał się na stromy stok fali, stanął na tylnej burcie niemal pionowo. Głuchy grzmot zagłuszył wrzaski paniki, połykane w połowie słowa modlitwy. Pożegnania – cała załoga żegnała się z życiem. Z wyjątkiem wczepionej w poręcz kobiety.

Ona zegnała się z ukochanym Jurą.

Coś zadudniło, korony drzew zaszeleściły, w twarz sygnął mu piach porwany z ziemi podmuchem wiatru. Noc przebiło światło niewiadomego pochodzenia, rozległ się mechaniczny warkot. Mężczyzna poluźnił uścisk, przetarł zaproszone oczy, spojrział w bok. Ją osłoniły otwarte drzwi auta.

Jadźka zyskała szansę, na którą czekała.

Nabrała powietrza, odbiła się od maski i szarpnęła do przodu. Napastnik nie zdążył zareagować, wpadła na niego i z całej siły pchnęła na jezdnię. Automatycznie, bez zastanowienia, ostatnim zrywem zagryzanego ptaka.

Mężczyzna poleciał w tył, zachwiał się, ale utrzymał równowagę, oparł się o powierzchnię asfaltu na lewym ramieniu. Wyprostował się, wycelował w nią prawą dłoń, jakby skazywał ją na śmierć.

Dudnienie się powtórzyło, potężny mechanizm zaryczał, nieznane światło wylało się zza drzew, oświetlając scenę jak flesz błyskawicy. Zwrócili głowy w tym samym kierunku, w tej samej chwili. I po sekundzie spojrzeli sobie w oczy z identycznym przerażeniem i niemym pytaniem. Ona ciągle nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi, on nie rozumiał, w którym momencie popełnił błąd.

Uderzenie.

Cielsko tira przewaliło się jezdnią jak lawina, ciśnienie powietrza, smród spalin i wilgoć kropel gorącej cieczy uderzyły kobietę w twarz, jakby przednia oś ciężarówki wjechała w kałużę stygnącego oleju. Kobieta cofnęła się i upadła, tyłem doczołgała się do samochodu. Z trudem łapała powietrze, z rozwartych ust wydobywał się charkot idealnie wkomponowany w kakofonię jękliwego saksofonu. Przed sobą miała tę samą ciemność i pustkę, którą odczuwała jeszcze chwilę temu.

Mężczyzna zdawał się złym snem, przejeżdżający tir – wrażeniem.

Wgramoliła się do kabiny auta, uruchomiła silnik, wystartowała, syjąc spod kół strumieniami piachu. Zawróciła, zahaczając błotnikiem o krzaki przeciwnego pobocza, wbiła stopę w pedał gazu. Coś za nią przybierało na sile, piętrzyło się wysoko nad ziemią, by wkrótce opaść z hukiem. Dmuchnęło, a jej terenowa toyota zatańczyła na drodze jak zabawka. Nie zważając na to, pędziła, uciekała przed wiatrem, pozostawionym na poboczu samochodem nieznanego mężczyzny i własną winą. Czowała, że zaraz zacznie się coś straszego, jej czyn był tylko preludium.

Zatrzymała się po dziesięciu minutach pod swoim domem. Dopiero teraz

uświadomiła sobie, że na policzkach ciągle ma krople oleju. Włączyła wewnętrzne światło, spojrzała w lusterko wsteczne. Krzyknęła, nie przestawała krzyczeć.

Twarz przecinały jej strugi zakrzepłej krwi nieznanego człowieka.

Zerwała się, uniosła głowę. To musiał być zły sen.

Usiadła na brzegu łóżka, stopy postawiła na chłodnej posadzce. Coś ją zbudziło, ale nie potrafiła sobie przypomnieć co. Koszmar, to pewne, tylko jaki? Nigdy nie pamiętała, gdzie jest, chociaż często budziła się przerażona. Metafora zagubienia, tak tłumaczyli to specjaliści. Dla niej była to metafora życia.

Coś się działo, wyraźnie czuła mrowienie skóry. Gdzieś kumulowała się olbrzymia siła, pięła się kaskadami w niebo.

Trzask – coś przewróciło się na twarde podłoże.

Na korytarzu? Nie, dalej, poza budynkiem, na dworze. Wstała i podeszła do okna, zapatrzyła się w delikatną łunę zalewającą parking i najbliższe osiedla, rozpoznała poświatę latarni oświetlających przystań – skojarzyła jej się z blaskiem zniczy. Zawył pies, po chwili następny, po dziesięciu sekundach nad miastem rozbrzmiewał już chór wyjców. Dziwne, bo nie było widać księżyca, niebo było czarne jak piekło, czuła je na ramionach, przygniatało wagą całego kosmosu. Może na przedmieściach pojawiły się wilki?

Opłakiwały śmierć, ale czyją?

Zgrzyt – blaszana tablica przesunęła się na betonowej podstawie, ustawiła równolegle do ściany budynku. Tablica drgnęła i zatańczyła, zakołysała w przód i w tył. Runęła na siatkę płotu, który zazgrzytał i ugiął się prawie do samej ziemi.

Ktoś bardzo zły próbował zniszczyć ziemię.

Dach uniósł się i rozsypał niczym talia kart, arkusze blachy odleciały siał terror. Rzeczy cięższe od człowieka wzbijały się i opadały, świat zwariował. Znad wody dobiegł pogłos syreny alarmowej, odpowiedziały mu liczne głosy alarmów samochodowych. Zawyły organy gzymsów i kominów wentylacyjnych, od strony lasu szybowały ogromne konary. Coś trafiło w ścianę z takim impetem, że zatrzęśły się mury. Na korytarzu walnęły drzwi, ktoś biegł, rozdzwonił się telefon. Przedmioty zaczęły lamentować i krzyczeć ludzkim głosem, głos ludzki przybrał barwę tłukącego się szkła i zgrzytającego metalu.

Cisnienie było większe i większe, czuła je na klatce piersiowej i barkach, powietrze napierało od przodu. Cofała się przed nim, nieświadomie uciekała na



drugi koniec pokoju. Nie dmuchało już, ale pchało, zmiatało wszystko na swojej drodze. Szyby zaczęły pękać pojedynczymi rysami, by nagle wystrzelić wszystkie naraz.

Szklany deszcz.

Odłamki w kształcie zębów i noży, kry rozbitego lodu. Lodowaty wiatr wdarł się do środka, smagał chłodem. Dziewczyna z sąsiedniego łóżka wpadła w histerię, wydawała z siebie niekończący się pisk przerażenia. Ona zwinęła się w kącie pod drzwiami i obserwowała. Huragan przywiał do nich jakiś inny świat.

Sięgnęła po odłamek szyby, przyłożyła do przedramienia i nacięła skórę, zafascynowana przypatrywała się kontrastowi ciepłej krwi i mroźnego szkła. W tym momencie do pokoju wpadła kobieta.

– Wszystko w porządku, Ala? – Dostrzegła ranę, lecz nie zauważyła wypuszczanego z dłoni kawałka szkła. – Co się stało?

– Nic. Skaleczyła mnie pękająca szyba.

– Nie ruszaj się, zaraz sprowadzę pomoc!

Nie ruszała się. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w taniec szklanych refleksów.

Refleksy światła latarki oznajmiały, że coś znalazł.

Na wyświetlaczu GPS-a sprawdził kierunek i odbił się od mulistego dna, popłynął. Promień lampy ginął kilka metrów od niego, zassany przez toń jeziora, w żółtej poświacie nie widać było niczego poza mętami o nieokreślonym pochodzeniu, przypominającymi strzępy rozgotowanego mięsa w rzadkiej zupie. Ani śladu podwodnych roślin czy ryb, pod powierzchnią jeziora było mrocznie, zimno i ponuro, odpychająco.

Strasznie.

Promień latarki liznął nagle obły kształt. Nurek zatrzymał się, pomacał dłońmi zaokrągloną konstrukcję pokrytą grubą warstwą czarnego śluzu. Opłynął obiekt dookoła, odnalazł sterczącą z korpusu rurę, z której zwisały lepkie sieci dziwacznych pajęczyn. Czołg, nie było wątpliwości. Wieżyczka i górna część maski, gąsienice zapadły się głęboko w dno. T-34, radziecka legenda. Symbol odrodzenia i tryumfu, wolności i zniewolenia.

Nurek szukał dalej. Trafił na prawdziwe podwodne złomowisko najeżone prętami, przezartymi blachami, wrakami dawno zniszczonych i pogrzebanych

mechanizmów. Dało się rozpoznać kabiny ciężarówek, lufy dział, szkielety porozrywanych na części maszyn bojowych. Owalne beczki, które zwiastowały nowszy okres w dziejach. Wojna była fascynująca, ale nie tak tajemnicza jak to, czego mężczyzna naprawdę szukał. Pamiątek po Armii Radzieckiej z późniejszego okresu. Z czasu, który jedni nazywali bratnim współistnieniem, inni – wrogą okupacją.

Rozgrzebał muł, który w poświęceniu latarki czołowej unosił się niczym tłusty dym. Odsłonił skrzynie, metalowe trumny poustawiane jedna na drugiej. Odszukał tabliczkę umieszczoną na krótszej krawędzi, wyczyścił ją, zbliżył twarz. Rozpoznał kilka liter cyrylicy, to wystarczyło. Wycofujące się wojska Układu Warszawskiego nie zabrały ze sobą całego wyposażenia. Co się dało sprzedać, sprzedano. Co było zbędne, zakopywano w ziemi albo topiono w wodzie, w szczególności chemikalia i odpady toksyczne.

Bomby z opóźnionym zapłonem.

Spadek po ustępującym imperium: szpiegzy, uśpieni agenci, plany manewrów strategicznych. Taktyczne środki działań sabotażowych. Narzędzia walki, które miały posłużyć przyszłym operacjom na tyłach wroga, sianiu terroru i wywoływaniu chaosu. O nie najbardziej chodziło nurkowi, ich szukał.

Wyciągnął GPS, zapisał położenie znaleziska. Kiedy podniósł wzrok nad wyświetlacza, zakołysało nim. Wzburzone dno uniosło się, jeszcze bardziej ograniczając widoczność, dół jakby zamienił się z górą, coś obrywało się i sypało w odwrotnym kierunku, wbrew prawu grawitacji. Jakiś kosmiczny pył z lśniących w świetle latarki drobin minerałów, łusek ryb lub drzazg wypolerowanych kości.

Druga fala odrzuciła go do podwodnego złomu, przytrzymał się wystającego pręta, żeby nie upaść. Zalał go muł, przestał cokolwiek widzieć. Czuł, jak wszystko wokół niego się rusza, otoczenie ożyło, jakaś potężna siła obudziła trupy, które szykowały się do wypłynięcia na wierzch. Na górze musiała rozszaleć się burza, nadszedł sztorm.

Bezpieczniejszy będzie na powierzchni wody czy pod powierzchnią? Na ile wystarczy mu jeszcze powietrza? Co, do cholery, powinien zrobić?

Strumień wody napierał z boku, mężczyzna kurczowo trzymał się żelaznego uchwytu, żeby nie wpaść na ostrza niewidocznych prętów, w gilotyny blach. Poczł uderzenie w plecy, coś na niego naparło. Odwrócił się, rzecz znikła, ale po kilku sekundach pojawiła się znowu, ruszyła na niego z przodu. Pchała, jakby próbowała pozbawić go zaczepienia, zmusić do poddania się wirom wody. Była na tyle blisko, że promień latarki wyłowił kształt i kontury.

Topielec.

Nurek wydał niemy krzyk, bąbelki powietrza powędrowały ku górze. Puścił pręt, w panice zaczął przebierać płetwami i ramionami, zatoczył koło wokół własnej osi. Przez głowę przeszły mu setki obrazów, wszystkie do siebie podobne. W ciągu sekundy uwierzył w miejscowe legendy, zanegował tę wiarę i uwierzył ponownie. Nie zdawało mu się, zobaczył to na własne oczy. Topielec ukrywał się na podwodnym cmentarzu, wyłonił się i zaatakował, chciał pozbawić go życia, wciągnąć w otchłań. Został tam przykuty łańcuchem, by strzec dawnych tajemnic.

Starych sowieckich zbrodni.

Zakrztusił się, do dna przycisnęła go siła wody. A może dłonie trupa? Tlen wyparował albo nurek nie był w stanie go wchłonąć, płuca pęczniały mimo niewyobrażalnego ucisku, były bliskie pęknięcia. Głębia roztaczała się pod nim i nad nim, była wszędzie wokół. Stawał się jej integralną częścią, kolejną tajemnicą, której nikt nigdy nie zdoła odkryć.

Tonął.

## ROZDZIAŁ 2

Usiadł na łóżku, otrząsnął się.

Pot spływał mu po skórze jak po wyjściu z wody na ląd. Ciężko dyszał od potwornego wysiłku, we śnie zmagał się z głębią jeziora. Tonął, ale jakimś cudem zdołał dotrzeć do brzegu, wyrwać się z lepkich łap mułu i objąć oślizgłych rąk. Demony każdej nocy wciągały go w czarną toń, a on każdej nocy im umykał. Aż do teraz.

Jeden z nich wylazł z jeziora, był blisko.

Mężczyzna ściągnął koszulkę i z obrzydzeniem cisnął ją w kąt. Syknął z bólu, ukłucie igły wielkości dekarckiego gwoźdźdza na chwilę sparaliżowało mu prawą stronę, w palcach poczuł mrowienie krwi zamienionej w potok miniaturowych żyłatek. Zmusił się do wykonania kilku niezbędnych ćwiczeń, po których ramię stawało się zdatne do użytku. Kilka wyrzutów w górę, do przodu, do tyłu i w bok. Młynek w obu kierunkach, słoneczko. Serie na ściskaczu.

Postrzał z pistoletu, pamiątka po niedawnych przygodach w Borach Tucholskich. Dowód sympatii Jagi, byłej partnerki. Chciała, żeby cierpiał, więc cierpiał, ale ból fizyczny nie był zły, uśmierzał truciznę, która toczyła mu duszę. Psychikę i sferę uczuć – poprawił się natychmiast. Nie miał duszy, przehandlował ją wraz z trudnymi wyborami, których musiał w życiu dokonać dla ratowania siebie. Zawarł układ zwany najczęściej cyrografem.

Andrzej Bondar zaprzedał się diabłu.

Wstał, stanął przed lustrem. Przypominał skazańca po wieloletniej odsiadce. Dożywocie jakimś cudem zamieniono na wyrok w zawieszeniu. Żył warunkowo, wiedział o tym, dlatego nie wysilał się i unikał kłopotów. Tylko że kłopoty nie unikały jego.

Zatrzymał się w połowie drogi do łazienki. Z zewnątrz dobiegł spanikowany krzyk. Tylko przez dwie sekundy wierzył, że wrzask przybył za nim ze snu. Głos powtórzył się, jak najbardziej realny, nie było mowy o pomyłce. Ktoś wydzierał się

na klatce schodowej, wzywał pomocy. Andrzej w pośpiechu ubrał się i wyskoczył z mieszkania, w tle krzyku pojawiło się wycie syreny alarmowej. Jazgot wielu zawodzących syren.

Lament zagłady.

Biegł na dół, harmider rósł, jakby wszystkie pojazdy specjalne wyjechały na akcję naraz. W drzwiach krzyczał zapłakany dzieciak, trzęsącą się ręką wskazał auto przywalone konarem drzewa. Andrzej stanął jak wryty. Wokół siebie miał pole bitwy, krajobraz po bombardowaniu taktycznym. Większość samochodów na parkingu była rozbita, wszędzie walały się śmiecie i poobrywane gałęzie, asfalt wyściełała warstwa potłuczonego szkła. Wybite okna szpitala przypominały puste oczodoły, ponure i ociemniałe. Z któregoś dochodziło wściekłe wycie, życie rodziło się lub odchodziło, nie zważając na koniec świata.

– Niech pan pomoże, proszę, nie możemy wyciągnąć taty! – zawodził z rykiem chłopiec, ciągnąc go do przywalonego fiata.

Dwóch dziadków próbowało odsunąć konar grubości studzienki kanalizacyjnej, zdołali tylko poruszyć liście.

– Na trzy! – zakomenderował, przyłączając się do wspólnego wysiłku. – Jeszcze raz!

Pchali, drzewo drgnęło, ale nie zamierzało ustąpić.

– Damy radę! – dopingował jeden z dziadków. – Jazda!

Po chwili Andrzej przed oczami zobaczył mroczki, prawe ramię przeszył mu ból. Oparł się o maskę samochodu, żeby nie upaść. Pod sobą dostrzegł ciemną plamę zakrzepłej krwi, którą przedtem wziął za wyciek oleju. Wdepnął w nią piętą, pozostawił ślad protektora. Dopiero teraz objął scenę trzeźwym spojrzeniem. Dzieciak szlochał bezgłośnie, jego matka wpatrywała się w zmiądzony dach z wiarą szaleńca wyrysowaną na twarzy. W dłoni trzymała męski but, który zsunął się z nogi męża podczas próby ratunku. Na tylnym siedzeniu widać było nogę w samej skarpetce.

– Nie wpuściłam pijaczyny na noc do domu – tłumaczyła się cicho, choć nikt o nic nie pytał. – Spał w aucie...

– Zaczekajcie – polecił dziadkom, ale nie przestawali. – Stop!

Wcisnął się do zdezelowanej kabiny, wymacał zimną jak kamień dłoń. Nie wyczuł tętna. Uciekł wzrokiem przed obłąkanym spojrzeniem przerażonej kobiety, nie od niego powinni usłyszeć prawdę.

– Walczcie dalej, zaraz przywiozą sprzęt, pomogą wam – skłamał,

pozostawiając im trochę nadziei.

Uciekł.

Stracił gałązkę z dachu swojego saaba 900, który jako jeden z nielicznych na parkingu nie doznał szkody. Był tak brzydki, że odwróciłoby się od niego nawet oko cyklonu. Wsiadł, trzasnął drzwiami, przekręcił kluczyk. Turbodoładowany dwulitrowy silnik jęknął i nierówno zawarczał, musiał się rozgrzać, zanim wszedł na prawidłowe obroty. Podobnie do właściciela, który ciężko dyszał po bezsensownej pracy. Włączył radio, na wyświetlaczu blaupunkta wybrał płytę *Arise Sepulchry. Apocalyptic clash / Cities fall in ruins* – wrzeszczał wokalista zespołu, opisując świat po katastrofie. – *I see the world – old / I see the world – dead*[1].

Na ulicach walały się oberwane tablice, rynny i pozrzucone dachówki. Garaże posklecane z blachodachówki lub dykty złożyły się niczym tekturowe pudła, wyszczerbione wiatrołapy i źle doklejone do budynków werandy klękały, reklamy na plastikowych tablicach i banerach poznikały zupełnie.

Przystanął przy piekarni, gdzie zwykle kupował śniadanie, a przy okazji wysłuchiwał świeżych plotek. Tym razem pani Józia nie udawała strachu, była naprawdę przerażona.

– Nic pan w nocy nie słyszał?

Pokręcił głową. Ona również, z niedowierzania. Nie mogła wiedzieć, co łykał, żeby w ogóle móc spać. I w co go to zamieniało.

– Tragedia, Ruskie zesłały na nas biały szkwał!

Na plecach poczuł strużkę zimnego potu. Na teren komendy wjechał z piskiem opon, wokół nowego budynku zaprojektowanego tak, by łączył w sobie szlachecki dworek z modernistycznym szklanym biurowcem, panował chaos. Wpadł do środka, wbiegł na pierwsze piętro, w sali konferencyjnej trwało spotkanie. Komendant Chłopska dotykała mapy szpikulcem wskaźnika i co chwila trzaskała nim w stół, jakby był trzcinką, a ona funkcjonariuszem gestapo.

– O, królewicz się zjawił! Zapraszam, nadkomisarzu, i proszę o wybaczenie, że postanowiłam pełnić honory.

Bez słowa przeszedł wzdłuż stołu i zajął swoje miejsce w zasięgu drewnianego wskaźnika. Nieroztropnie, szefową wyraźnie świerzbiła ręka, żeby go zdzielić. Zamiast tego rzuciła w jego stronę teczkę z raportem z nocnego dyżuru.

– Za pięć minut widzę was wszystkich w akcji, jasne?

– Tak jest, pani inspektor – odpowiedział plecami oddalającej się sylwetki.

Spódnica opinała się jej na tyłku jak worek foliowy na pszennej bułce, a absurdalnie wysokie szpilki puszczały oczka czerwoną podszewką.

Prześledził wzrokiem adresy zgłoszeń, liczby określające zabitych i rannych. Strużka zimnego potu na plecach zamieniła się w jezor lodowca. Armagedon, a Węgorzewo miało być takim spokojnym miejscem. Wstał i rozejrzał się po twarzach podwładnych. Zespół w sam raz do liczenia topielców, do niczego innego się nie nadawali. Nie musieli, ostatnie zabójstwo zanotowano tu dwa lata temu, chłop trzasnął żonę siekierą, bo nie wycelował w świński łeb. Obuchem, zamierzał ogłuszyć, ale i tak zabił.

Rozdzielił zadania, najlepszy kasek, człowieka poszatowanego na mielonkę w wypadku samochodowym, zostawił dla podkomisarza Wojtała, ksywa Łokieć, swojego najbardziej doświadczonego śledczego.

– Żartujesz, nie?

– Nie, Wiech, to robota w sam raz dla ciebie.

– Nie będę zdrapywał ścierwa z jezdni!

– Będiesz. To wszystko, panowie, widzimy się na briefingu o pierwszej. Powodzenia.

Ksywa Łokieć nie miała nic wspólnego z ręką, pochodziła od fiuta, podobno miał w nim tyle, co w łokciu, a regularnie ćwiczył hantlami. I uchodził za lokalnego twardziela, był postrachem prowincjonalnych łajz i opryszków uznawanych w powiecie węgorzewskim za świątek przestępczy. Oczko w głowie Hula-Chłopa, komendant Chłopskiej, więc cieszył się u nadkomisarza szczególnymi względami. Miał się uczyć, żeby w niedalekiej przyszłości awansować na naczelnika wydziału.

Zawsze dostawał więc do roboty to, co najgorsze.

Trzasnęły zewnętrzne drzwi, z półki na klucze spadł potrącony kot, huk uderzenia o podłogę przelał się przez pomieszczenia.

Regina wychyliła się z sypialni na piętrze, ale nic więcej nie usłyszała.

– Kto tam? – zawołała.

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi. W pierwszej chwili pomyślała o synu, to byłoby do niego podobne, wyjechał jednak dwa dni temu do Olsztyna, miał wrócić dopiero w piątek. Mąż czegoś zapomniał i wrócił z pracy?

– To ty, Henryk? Halo!

Podeszła do balustrady, wyjrzała na dół. Metalowy kot leżał na środku holu, podłoga zdawała się czymś przybrudzona. Ślady z góry przypominały krew.

– Henryk, stało się coś?

Zeszła po schodach, ostrożnie stąpając na każdy stopień. Mąż zawsze anonsował swoje przybycie, jego wesole „Heja!” wypełniało cały dom. Wyobraziła sobie bandytów, ale ten pomysł był niedorzeczny, po co wdzieraliby się w biały dzień? Przecież i tak nie było co kraść, chyba że stary telewizor i wieżę. Tych chętnie by się już sama pozbyła, w gratisie dorzuciłaby nawet robot kuchenny i zmywarkę.

Stała na panelach korytarza, z bliska przyjrzała się brudnym śladom. Żadna krew, tylko błoto, czarna ziemia. Przez szybkę w drzwiach zlustrowała podwórze, nie było auta. Jeśli nie Henryk, to w takim razie kto?

Wystraszyła się.

Podniosła figurkę kota, ujęła ją za smukłą szyję, zważyła w dłoni. Lepszej broni nie miała pod ręką, musiała się nadać. Powoli posuwała się śladem butów, minęła kuchnię i gabinet męża, kiedy przechodziła obok salonu, dobiegł ją hałas z łazienki. Znowu coś spadło na ziemię, szklane naczynie, które rozbiło się z trzaskiem.

– Kto tam jest? – Przełknęła głośno ślinę. Uniesiony do ciosu kot zadrżał wraz z kurczowo zaciśniętą na szyi ręką. – Wyłaż, bo zaraz wezwę policję. Słyszysz!

Bała się coraz bardziej. Policja i tak nie przyjedzie, w całej okolicy panował chaos, mieli ważniejsze sprawy. Może powinna uciec, zadzwonić do Henia i poczekać na jego przyjazd? Jeśli włamywacz rzuci się za nią w pogoń, nie będzie miała żadnych szans. Najbliższy sąsiad mieszkał daleko, ona nie była w formie. Lepiej zostać na swoim terenie, w razie starcia miałyby większą szansę.

Zaskoczy go, zaatakuje pierwsza.

Głośno dysząc, nacisnęła klamkę i pociągnęła, drzwi otworzyły się bezszelestnie. Nie od razu rozpoznała stojącą w środku postać, zajęło jej to długą chwilę. Ubłocone trampki, brudne, porwane ubranie, potargane włosy. Na podłodze leżał rozbity słoje kremu, w białej mazi lśniły metalicznie fragmenty rozkręconej golarki. Obok nich rosła czerwona plama, tym razem nie było wątpliwości, że to krew. Skapywała wielkimi kroplami, po drodze mażąc umywalkę i lustro. Wpływała na kark i ramiona do łokci, barwiła zaciekami koszulkę.

– Jezus Maria, Maciek!

Chłopak dygotał, wydawał z siebie jednostajne rżenie. Regina przesunęła się w bok, żeby widzieć odbicie syna w lustrze. Upuściła metalowego kota, wrzasnęła.

Jej syn zdrapał sobie żyłką połowę twarzy.



Taśmę policyjną ogradzającą dziki parking targały strumienie powietrza z przejeżdżających samochodów, przez co przypominała szmaciane proporczyki dekorujące trasę przemarszu cudownego obrazu. Wczepione w gałęzie krzaków foliowe worki nadymały się i kurczyły, kwitnące w trawie papierki szeleściły. Drzewa były porwane i postrzępione, zwalona olsza oparła się na konarach buku, które wydawały z siebie posępne jęki.

Podkomisarz Wojtal zatrzymał służbową megalę na poboczu, wysiadł i skierował się do parkującego na drugim końcu zabezpieczonego terenu karawanu z siedzącą w otwartych drzwiach ekipą łowców skór. Ich wyostrzony wzrok chciwie wpatrywał się w szczątki potraconego mężczyzny, jakby nie mogli doczekać się swojej padliny. Hieny.

Wojtal kiwnął im głową na przywitanie i podszedł do dozorującego zwłoki funkcjonariusza.

– Wziąłeś ze sobą sprzęt, Hubert? – Wskazał brodą wędkarskie krzeselko, z którego właśnie wstawał policjant.

– Dzie tam, znalazłem w bagażniku kijany.

– Nie ma drugiego?

– Nie, cholera, jest wędka, skrzyneczka na sprzęt i lodówka, ale pusta.

– Grilla nie ma?

– Nie, czemu?

– Bobyś mógł sobie jeszcze kiełbachę usmażyć. Z gaci. Od rana się tutaj opierdasz, a nawet taśmy nie mogłeś porządnie zawiązać? – Obaj spojrzeli na biało-czerwony flak żałośnie zamiatający skraj szosy.

– Co, co?! – obruszył się starszy posterunkowy. – Wysadzili mnie i od dwóch godzin tu kibluję jak cieć, bez śniadania, cholera jasna, bez czegoś porządnego do picia. Ale pana też, widzę, przeznaczyli na zesłanie. Ciekawe, za co.

Chytrze przyjrzał się zwierzchnikowi, próbując domyślić się przewinienia, za które podkomisarz znalazł się na parkingu.

– Za talent, kuźwa, przecież nikt inny tej zagadki nie rozwikła, taka trudna. Dobra, Hubert, szkoda czasu. Gadaj, co wiesz, spisujemy raport i do widzenia, wypizdżamy do siebie.

Zbliżyli się do kii cee'd stojącej na poboczu. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, podkomisarz usiadł na siedzeniu, rozejrzał się po kabinie. Przekręcił

kluczyk wciśnięty w stacyjkę, silnik ruszył, z radia popłynęła głośna dyskotekowa muzyka.

– Radio grało, ale wyłączyłem, kurwica mnie od tego cykania brała. Aż dziw, że tyle akumulator wytrzymał – skomentował posterunkowy.

Łokieć zgasił silnik, wyszedł, powoli przebył kilka kroków w stronę jezdni, wypatrując odcisków butów w piachu lub jakichkolwiek innych śladów. Nawierzchnia była jednak równo zamieciona przez wiatr, a ledwo widoczne tropy szerokich opon mogły należeć do kogokolwiek. Znajdowali się na parkingu, co chwila ktoś stawał tam, żeby rozprostować kości, w spokoju pogadać przez telefon lub wyszczać się w krzakach.

– Mnie się widzi – zaczął starszy posterunkowy – że typ zjechał na lanie. Przypiliło go, wyskoczył i stanął tam, gdzie pan. Szczał w najlepsze, kiedy go jebnął przejeżdżający samochód. Muzyka mogła zagłuszyć dźwięki silnika, ale czemu nie zauważył świateł?

– Może miał w czubie. I trzepnął go co najmniej dostawczak, jak nie tir, inaczej rzuciłoby go w inną stronę. I nie rozpruło jak świni.

Stanęli nad trupem, poskręcany, wymięty i pozdzieranym, jakby wciągnęła go i wypluła młockarnia do zboża. Zmasakrowanej twarzy w ogóle nie dało się rozpoznać, nie miał jej, spękana głowa nie przypominała niczego ludzkiego, była zawartością mięsnej konserwy wydłubanej na talerz. Obaj uhonorowali marny los chwilą ciszy i wrócili do auta.

Wojtal bardziej szczegółowo przeszukał wnętrze, znalazł portfel z dowodem osobistym, prawem jazdy, kartą do bankomatu i pieniędzmi, w schowku dowód rejestracyjny auta. Praktycznie wiedzieli o nieboszczyku wszystko, trudno było dopatrzeć się w tym jakiegokolwiek zagadki.

Podkomisarz zrobił zdjęcia, po czym dał znać łowcom skór, że mogą zabierać się do roboty. Ruszyli biegiem, jeden z nich trzymał w ręku czarny foliowy worek. Z daleka nie różnił się niczym od tych, których używa się do wrzucania śmieci. Padlinożerne sępy.

– Techników nie wzywamy?

– Do czego, Hubert? Wiesz, ile mamy trupów po nocnej nawałnicy? Jeszcze pijaka nam do tego wszystkiego trzeba.

– Jasne. Ależ musiał być skutny, żeby wleźć prosto pod ciężarówkę!

Podkomisarz wyczuł w słowach posterunkowego cień wątpliwości. Spojrzał w jego promienną, szczerą twarz ozdobioną czupryną rudych włosów. Stanowczo

pokręcił głową.

– Może nie chciał wleźć w wodę, myślał, że sięga tutaj jezioro, te trawy rzeczywiście wyglądają jak trzciny, więc polazł w drugą stronę, jezdnia była pusta. Nieważne, Hubert, słuchaj doświadczonego gliniarza: najprostsze rozwiązania są prawie zawsze prawdziwe, kapujesz?

Starszy posterunkowy kiwnął głową, ale z jego oczu nie dało się wyczytać nic mądrego. Pewnie dlatego po pięciu latach kariery awansował tylko o jeden stopień. Sympatyczny, uczciwy gość, ale myśliciel mizerny. Poza tym Wojtal nie zamierzał się tłumaczyć, w końcu to on był głównym śledczym w komendzie. Jedyną niewiadomą w sprawie pozostawał kierowca samochodu, który potracił ofiarę. Zwiął z miejsca wypadku, to było pewne. Brakuje śladu hamowania, więc nawet nie próbował się zatrzymać.

Wojtal przekroczył policyjną taśmę i przeszedł pięćdziesiąt metrów w kierunku prawdopodobnej trasy pojazdu. Gdyby kierowcy się zdawało, że trafił sarnę, nie hamowałby, ale spokojnie stanął, aby ocenić straty. Ani na poboczu, ani na asfalcie nie było jednak nic, żadnego obłamanego kawałka lampy, zakrwawionej szmaty z ubrania odklejonej od maski i wyrzuconej w krzaki.

Wrócił.

– Będziemy próbować namierzyć sprawcę – zakomunikował raczej sobie niż posterunkowemu. Sam nie bardzo wierzył w powodzenie. Nie w panującym chaosie, przy zupełnie innych priorytetach. – Poczekaj, aż skończą – polecił młodszemu koledze. – Zwiń manele i odstaw kijaną na komendę, prokuratora nie będzie. Ja jadę załatwiać ważniejsze sprawy.

– Liczyć trupy?

Łokieć nie odpowiedział, ale starszy posterunkowy miał rację. Na samą myśl o skali nocnego kataklizmu przechodziły go ciarki. Śmierć fascynowała, zwłaszcza w takiej masie.

Podniecała i nic nie mógł na to poradzić.

Polowe centrum dowodzenia zorganizowano na terenie plaży miejskiej zamkniętej po huraganie do odwołania. Zwłoki zwożono motorówkami, składano w namiotach, gdzie dokonywano wstępnych oględzin i identyfikacji. Nie dało się określić, ile łodzi znajdowało się ubiegłej nocy na akwenu, ile z nich zatnęło.

Ilu ludzi woda zabrała na dno.

Dwanaście, tyle ciał wyłowiono od rana. Prawdopodobnie drobna część rzeczywistych ofiar, raporty o zaginięciach spływały na bieżąco. Meldunki o amatorszczyźnie, partactwie i panującym pośród służb ratunkowych chaosie gromadziły tłumy gniewnych, którzy domagali się sprawiedliwości, tylko nikt nie był w stanie określić jakiej. Samozwańczy przywódcy nawoływali do linczów, znaczną część policyjnych zasobów trzeba więc było skierować do panowania nad tłuszcza, chociaż i tak brakowało rąk do pracy.

Długo wyczekiwane posiłki z Olsztyna przyjęto z wyraźną ulgą. Kilkunastu ważniaków przytłoczonych zastaną sytuacją bezradnie rozglądało się po linii frontu. W ciągu godziny miały przybyć dodatkowe ekipy wojska i nurków, więcej sprzętu, sytuacja zdawała się bliska opanowania. Nadkomisarz wydał ostatnie polecenia i wcisnął do ręki oszołomionego gliniarza z Wojewódzkiej zebrane notatki. Kończył dyżur w tym wodnym piekle.

Środkiem namiotu przeszedł do wyjścia, rzucił ostatnie spojrzenie na rzędy zmarłych. Woskowe manekiny o porcelanowej skórze, sinych ustach i rozwodnionych oczach. Upiorni mężczyźni o rozlanych, galaretowatych brzuchach. Hipnotyzujące swym posągowym pięknem nieruchome kobiety, dwie prawie nagie, czarna folia przylegała ściśle do ciał, zamieniając je w przetrącone syreny.

Stanął na betonowym brzegu. Woda wciąż bulgotała niespokojnie, drobne wiry tańczyły piruety, rozbijały się o nabrzeże. Zapatrzył się w toń, kocioł gęstej, mętnej cieczy w kolorze zaprawy cementowej. Mięsnej zupy, która jest w stanie wchłonąć góry trupów. Całe wsie, miasta pełne ludzi. Ci z namiotu stanowili tylko początek, drobną zakąskę.

Odwrócił się i ruszył do bramy. Dostyc już miał widoku zwożonych ciał, ciężkiej, pochmurnej żałoby, atmosfery wzajemnych pretensji, jakby ktokolwiek z ratowników ponosił odpowiedzialność za tych, których nie udało się uratować. Za to, że ludzkie życie dobiega końca, a ktoś musi ten fakt spisać w aktach. Przypieczętować.

Próbował przepchnąć się bokiem, ale natychmiast otoczyli go dziennikarze. Nie miał pojęcia, w jaki sposób go rozpoznali, pewnie już zalatywał trupem. Natarli z taką furią, jakby zamierzali wydrzeć mu informacje wraz z kawałkami ciała, a on nie składał się z tkanki żywej, lecz był ulany ze strumienia komunikatów medialnych. Spławił ich standardową formułką. Tych, którym „brak komentarza” nie wystarczył, wyrwał się siłą, z żarłoczności prawie podarli na nim koszulkę. Dalej było jeszcze gorzej, dopadła go grupa sfrustrowanych turystów. Schował się

przed nimi w puszcze saaba, bębnili rękami w dach, kiedy odjeżdżał.

Postanowił na jakiś czas zaszyć się w Kei, najpopularniejszej knajpie na przystani. Był już głodny, a tam dawano funkcjonariuszom policji specjalny rabat. Nigdy nie pytał czemu, nie interesowały go lokalne układy biznesu z władzą.

Lokal zapchany był ludźmi, napompowany grobową ciszą. Przyciszony telewizor nadawał komunikaty z Mazur. Żałoba była powszechna, choć jeszcze nie przybrała charakteru państwowej, biuro prezydenta czekało na oficjalne dane. Z nadzieją, że ofiar będzie jak najwięcej, bo nic tak nie wpływa na słupki popularności jak narodowa tragedia.

Policyjny stolik w kącie pod drzwiami na zaplecze był wolny, kelnerzy składowali na nim stopy kart menu i tabliczki rezerwacji, dlatego nikt inny przy nim nie siadał. Jemu to nie przeszkadzało, i tak nie był prawdziwym klientem, płacił połowę ceny i prawie nigdy nie zostawiał napiwków.

– Bondy! Kopę godzin cię nie widziałem! – zaświergolił chudy, wysoki kelner o fryzurze hiszpańskiego piłkarza i twarzy wygłodzonej modelki. Oparł rękę na biodrze. Kilku klientów posłało mu zgorzone spojrzenia, nie dostosował się do ich elegijnego nastroju. – Co dzisiaj zjesz, zestaw gejowski numer jeden, dwa, trzy czy cztery?

Nadkomisarz pokazał na palcach trójkę i wbił wzrok w smartfona, udając zaabsorbowanie służbowymi sprawami. Z całej watahy kelnerów biegających między stolikami musiał akurat trafić na Michaškę. Lubił go, z chłopakiem można było pogadać, znał się na muzyce i literaturze, uwielbiał Michała Witkowskiego, nawet trochę przypominał wersję pisarza z młodych lat. W tej chwili Andrzejowi nie chciało się jednak ani gadać, ani słuchać, miał dosyć wszystkiego.

Obiad pojawił się ekspresowo, po dziesięciu minutach.

– Voilà! – Kelner zaserwował posiłek. Wegetariańska wersja chińszczyzny z soją udającą mięsne kulki. – Jakies sensacje z linii frontu?

Aż mu się świeciły gały z chciwości, pierwszy zamierzał poznać magiczną liczbę. Nadkomisarz nie zdziwiłby się, gdyby już robiono zakłady. Jak można kochać kraj, w którym liczba ofiar zawsze będzie ważniejsza od liczby ocalałych?

– I co, będziesz teraz nade mną sterczał, nie masz innego zajęcia?

– Mam, pozamykano większość knajp w mieście, więc tłum wali do nas. Ale wiesz, Bondy, przy tobie mógłbym nawet zapaść korzenie.

– Spadaj, Michał, muszę odbierać raporty, ludzie giną!

– A wy, nadkomisarzu, jak gdyby nigdy nic zrecie obiad.

Stała nad nim komendant Chłopska. Musiała zauważyć, że ulatnia się z centrum dowodzenia, śledziła go. Wzruszył ramionami i nie przerwał jedzenia, nie miał zamiaru reagować na zaczepkę.

– Wiedziałam, że cię tu znajdę, Bondar – zwierzyła się, zajmując miejsce naprzeciwko. – Nie wstyd ci? Wpierdalasz, kiedy inni zajmują się nieboszczykami, walczą o dobre imię funkcjonariuszy policji?

– Im i tak nic nie pomoże – stwierdził.

Inspektor nie spytała, których ma na myśli.

– Racja. – Skubnęła sflaczały słupek marchewki z porcji Andrzeja. – Nie po to cię tutaj jednak ściągnęłam, żebyś zgłębiał prawdę, tylko żebyś odwałał za mnie brudną robotę. Myślałeś, że na takim zadupiu to będziesz tylko podpisywał raporty i smażył dupę w słońcu? Też tak kiedyś myślałam i patrz, na co nam przyszło. – Wskazała wysuszone w solarium policzki. – Przykro mi, ale wakacje skończone. – Rzuciła na stół teczkę z kiepskimi wydrukami zdjęć topielców. – Sytuacja bliska opanowania, więc możesz zająć się swoją działką. Ofiary na zdjęciach to prawdopodobnie Rosjanie, wczoraj jeden z nich wynajął wypasiony jacht na nocną libację z kurewkami. Kopsnij się do Prawdzica, popytaj Ruskich, tam był zameldowany. I weź Wiecha ze sobą, jest wolny.

– Jasne – mruknął, wstając od stołu.

Odliczył piętnaście złotych i wsunął pod talerz. Komendant odprowadziła go do wyjścia i odczekała parę minut, by upewnić się, że odjechał. Na wszelki wypadek opuściła lokal drugimi drzwiami. Wsiadła do auta i ruszyła w kierunku miasta. Miała swoje sprawy, o których nikt nie powinien wiedzieć.

Robotnik w pomarańczowej kamizelce wstrzymał ruch, za jego plecami operowała koparko-spycharka usuwająca z jezdnii olbrzymie drzewo pokrojone piłami mechanicznymi na półmetrowe plastry. Każdy z nich mógłby służyć za stół dla kilkuosobowej rodziny.

Spojrzała w boczne okno, zatoczka jeziora sięgała prawie do samej drogi, brzeg porastały ostre jak miecz trzciny, ocierały się o siebie w lekkim wietrze. Woda była brunatna, przypominała ściek, gnojówkę, którą jeszcze parę lat temu okoliczni rolnicy chętnie wpuszczali do publicznych kąpielisk. Jak tu głęboko? Dwa metry, trzy? Więcej, zabarwienie tafli wskazywało na kilkanaście metrów, choć było to niemożliwe. Nie na myśl o głębokości przeszły ją lodowate ciarki, a od tego, co mogło się kryć pod powierzchnią.

Sekret wywołujący strach.

Od trzech lat przejeżdżała tą drogą dwa razy dziennie, nieraz częściej. Od kiedy wyprowadziła się od męża i zamieszkała w Harszu, w domku odziedziczonym po rodzicach. Małym, ale szykownie urządzone, postarała się o to. Miała gust, nie oszczędzała pieniędzy. To było jej gniazdko, jej ostoja. W porównaniu z willą męża mieszkała skromnie, ale jej to w zupełności wystarczało. Zarabiała na siebie, była niezależna, zabezpieczona. Wciąż atrakcyjna i na tyle młoda, że mogła wszystko rozpocząć od nowa. Próbowwała, ale coś wciąż krępowało jej ruchy, trzymało w miejscu. Balast, niewidoczna kotwica.

Przeszłość.

Coś było nie tak z jej przeszłością. Ilekroć przejeżdżała obok tego miejsca, nachodziło ją dziwne uczucie. Ostatnio wzmagало się, zwłaszcza po tajemniczym telefonie od nieznanego mężczyzny. Szantażował ją, żądał forsy. Nie wiedziała, za co, ale on najwyraźniej wiedział. Był przekonany, że ma nieczyste sumienie, a popełniony grzech odkupi tylko duża kwota.

To była jakaś piramidalna bzdura, typ pewnie bał się zadzierać z Waldkiem, jej byłym mężem, więc próbował coś uszczknąć z jej konta. Ściera, nie facet, cholerny tchórz. Źle zaczął, dlatego źle skończył. To nie była jej wina, ona tylko broniła swoich praw, broniła siebie. Nikt niczego jej nie udowodni. Wydarzenia wczorajszej nocy były tak nedorzeczne, że sama nie potrafiła w nie uwierzyć.

Zły sen, wymysł czyjejś filmowej wyobraźni.

Wciąż pozostawała jednak sprawa jeziora. Niepokoiło ją, odrysowywało w wyobraźni okrutne wizje. Tonęła tam? Ktoś inny tonął? Kiedy? Nic takiego nie odnajdywała w pamięci.

Znów przypomniała się jej legenda, którą opowiadają starsi ludzie. Nie, nie ta o topielcach, świteziankach i nimfach, tę znało każde dziecko. Chodziło o tę bardziej współczesną, o złych NKWD-owcach i ubekach mordujących Mazurów i AK-owców. Katujących, a później topiących w jeziorach swych wydumanych wrogów. Może odczuwa energię błakających się na dnie dusz, które nie wiedzą, jak uwolnić się od ciężących klątw? Wiele razy raportowano tu zjawiska paranormalne, kiedyś nawet sprowadzono medium. Zarejestrowano pole elektromagnetyczne zatopionego przez Ruskich żelastwa i beczek z toksycznymi śmieciami.

A jeśli na dnie kryło się coś jeszcze i tylko ona była w stanie to wyczuć?

Klakson stojącego za nią samochodu wyrwał ją z zamyślenia. Drogowiec

właśnie zszedł z jezdni, udroźniono przejazd. Wrzuciła bieg, odjechała. Zimne dreszcze minęły, jak tylko oddaliła się od nawiedzonego miejsca. Po prostu była zestresowana, spięta bardziej niż zwykle. Ciągłe w szoku po tym koszmarnym zdarzeniu.

W końcu kilka godzin temu zamordowała człowieka.

Ukryty w lesie między Pilwą a Skrzypami Dwór Prawdzica stanowił wierny falsyfikat magnackiego pałacu, odpowiednio pomniejszony, w skali, na jaką pozwalała zaadaptowana na cel hotelowy szlachecka rezydencja. Wystarczyło luksusowe samochody na parkingu zamienić w połączane karoce, gości odziać w dworskie szaty, napuszyć i upudrować im włosy, a inscenizacja byłaby doskonała. Obsługa półgębkiem meła uprzejmości i wyginała się w dyskretnych ukłonach, hostessy o aparycji modelek pilotowały klientów, do rytmu stukając wysokimi obcasami. Przepych wręcz atakował, zaszczuwał nieproszonych przyjezdnych w kąt, agresywnie wypychał z salonów na zaplecze dla służby.

Boy na widok ich nieoznaczonej meganki obcesowo wskazał odrestaurowaną stajnię, miejsca postojowe służących. W hierarchii tego przybytku zostali zapewne sklasyfikowani jako woźnice. Na złość wtoczyli się więc w zatoczkę między mercedesem klasy S a lexusem, spanikowany boy pobiegł na skargę do odźwiernego, który jedną ręką otwierał drzwi, drugą z galanterią uchylał cylindra. Ofuknął ich, ale Łokieć podsunął mu pod nos legitymację służbową, po czym groźnie zajrzał w oczy z pułapu swoich metra dziewięćdziesięciu pięciu. Wysokość cylindra w niczym by nie pomogła, bez trudu dałby radę napluć odźwiernemu na środek głowy.

Przywołana hostessa kiepsko zamarkowała uprzejmy uśmiech. Zaprowadziła ich na zaplecze, do gabinetu dyrekcji, gdzie tłustawy menedżer o aparycji świnki Peppy usiłował wyprosić ich tylnym wyjściem, przekonując o stuprocentowej pomyłce. Nie wierzył, że dystyngowani klienci jego hotelu mogliby mieć cokolwiek wspólnego z policją, nawet ci zza wschodniej granicy. Albo łgał w żywe oczy, albo rzeczywiście obdarzono go wiarą zdolną przenosić góry. Trudniej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do Królestwa Bożego, tak zdawał się rozumieć biblijny cytat.

Łokieć posłał Bondarowi porozumiewawcze spojrzenie.

– Też wiem, jak to jest, kiedy roboty tyle, a po obiekcie pałętają się mendy, mam to na komendzie na co dzień.



– No nie, nie o to mi chodzi, pracy co prawda w bród, ale... – wydukał prosiak.

– Żadnego ale, zostawimy pana w spokoju, sami se damy radę. Prawda, szefie? Przejdziemy się po hotelu, popytamy gości o tych Iwanów, cośmy rano z jeziora wyłowili, może ich znają. Chyba nie nabłocimy, nie zasmrodzimy komnat robociarskim odorem.

Unieśli się z krzesel, ale menedżer był szybszy, stanął nad nimi i gestem dłoni kazał siedzieć. Zmierzył ich wzrokiem, na dłużej zatrzymując się na plamach schnącego potu pod pachami. W radiowozach nie przewidziano klimy.

– Dobra, dobra, pomogę wam, ale załatwcie to szybko, żadnego szwendania się po głównym holu, jasne? Wiecie, ile ci ludzie tu płacą za dyskrecję i spokój?

– Pięć stów? – wypalił Bondar, co wydawało mu się astronomiczną sumą za pokój.

Sam nigdy nie zapłacił więcej niż dwie setki za noc.

– Chyba za drinka w barze. – Peppa łypnął na policjanta z taką pogardą, jakby sam zarabiał miliony i nieznane mu były liczby poniżej trzech zer po jedynce. Wystukał coś na klawiaturze laptopa, przygryzł wargę. – Wygląda na to, że kilku gości rzeczywiście nie wróciło na noc.

– To ci?

Łokieć rozłożył na blacie biurka plik zdjęć z topielcami. Menedżer głośno przełknął ślinę, chwycił za telefon i wydał kilka poleceń. Ponownie zerknął na fotografii, odwrócił się z obrzydzeniem. Wyraźnie miał problemy z utrzymaniem zawartości żołądka, przez chwilę oddychał głęboko, wpatrując się w okno.

– A żebyś jeszcze poczuł, jak cuchną! – szydził Łokieć. – Coś psuje wam się ostatnio klientela, dyrektorze.

Peppa zignorował komentarz, wstał zza biurka i zaprowadził ich do kameralnej sali spotkań, gdzie czekała już hostessa z parą opalonych turystów. U mężczyzny widać było lata dawnej świetności, kiedy musiał toczyć uliczne walki o strefy wpływów w obwodzie kaliningradzkim. Teraz lśnił gęstą siwizną, męską biżuterią i kilkoma widocznymi bliznami. Drobną kobietą o zdecydowanie przerośniętych piersiach w znudzonej pozie opierała się tyłem o bufet, sącąc z kieliszka białe wino. Miała na sobie sukienkę do tenisa i trampki z podeszwami na wysokich obcasach. Na widok policjantów wyduła wargi. Andrzej z ukłuciem zazdrości zerknął na Wiecha, też chciałby kiedyś zrobić wrażenie na takiej babce. Stuknęło jej pewnie z pięć dych, a i tak mogłaby reklamować bieliznę.

– Pan Jewgienij Puszatkin zadeklarował pomoc – poinformował menedżer

i dyskretnie wycofał się pod tylną ścianę.

Mężczyźni pozdrowili się skinięciem głowy, kobieta nawet nie drgnęła w odpowiedzi na nieme przywitanie. Łokieć rozłożył na stole zdjęcia, wydukał kilka rosyjskich słów mających przybliżyć okoliczności odnalezienia zwłok. Puszatkin pochylił się nad fotografiami, spojrzął na żonę, po czym pokiwał głową w stronę funkcjonariuszy. Trupy nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, jakby widział ich w życiu setki.

– Iwan Kokorin, Roman Szyrokov, Jura Akinfiejew i *diewoczki*. – Na nie machnął ręką, jakby próbował przegnać muchy. Raczej nie należały do grona najbliższej rodziny.

– *Mene zasmułyła tsia nowyna* – złożył kondolencje Andrzej szlifowanym od niecałego roku ukraińskim, nie zważając na konotacje polityczne. – Czy w razie konieczności odpowiedzą państwo na więcej pytań?

Mężczyzna kiwnął głową, widocznie wolał czyny niż słowa.

– Proszę, oto dane kontaktowe naszej komendy.

Wypisał numer telefonu i e-mail na kartce, którą podała mu hostessa. Zanotował podany przez gości numer pokoju. Pożegnali się, stanęli przy drzwiach do recepcji, żeby w przyjemnym chłodzie napić się wody mineralnej, którą zwinęli z sali konferencyjnej. Była w szklanych butelkach o kształcie gruszki, smakowała aromatycznie, perfumowana jak zagraniczna wódka. Nawet wodę należało w tym miejscu sfalszować, żeby ją odrealnić, napoić próżność hotelowych klientów. Andrzej prawie się zakrztusił, kiedy przyszło mu do głowy, ile ta butelka musiała kosztować.

Niespodziewanie zbliżyła się do nich żona emerytowanego zbir.

– *Eto byli moi blizkije druzja*. – Zamrugnęła zasmuconymi oczami. Na pokaz, jak się okazało, bo zaraz wyciągnęła w ich kierunku kartonik z zaproszeniem. – *Maleńkij prijom, siegodnia wieczerom*. Ciao!

Przeparadowała przez hol, świecąc brązowymi łydkami w oprawie krótkiej sukienki. Andrzej był przekonany, że Wiechu też widzi w wyobraźni biel majtek na czekoladowym tyłku. Wielkanocnego króliczka obranego ze złotka.

Osuszyli wodę do dna, butelki zostawili na parapecie, ulotnili się po angielsku, w razie gdyby przypadkiem ktoś kazał im za nie zapłacić. Wiech wykonał eliptyczny gest łokciem w stronę odźwiernego, markując uchylanie cylindra. Służący musiał wzbić się na wyżyny swego fachu, żeby zachować godność i nie splunąć im za plecami. Wyraźnie wzorował się na Anthonym Hopkinsie

w *Okruchach dnia* według Ishigury.

W służbowej megance zagotowało się powietrze, przyjęło konsystencję gęstego płynu. Pootwierali drzwi, zawisli oparci o dach. Andrzej przyjrzał się bilecikowi otrzymanemu od Rosjanki.

– Chyba o tym nie myślisz? – Wiech przebił go wzrokiem na wylot.

– O imprezie? Czemu?

– Pozamieniałeś się z chujem na rozum, Bondar. Przecież tam będą same kacapy.

– No i?

– Co, no i? Chyba nie będziesz chlał wódki z Ruskimi? – Podkomisarz wyprostował się, podejrzliwie zmrużył oczy. – Ty chyba z nimi nie trzymasz, co?

– Z kim?

– Nie świruj, dobrze wiesz, o czym mówię. Coś za bardzo cię do nich ciągnie, za dobrze po rusku nawijasz.

– Po ukraińsku.

– *Wsio rawno!*

– Ty chcesz mnie znowu wkurwić, Wiech? – warknął.

Łokieć otworzył usta i zamknął, połykając komentarz. Zachnął się, wsiadł do kabiny i trzasnął drzwiami.

Tak myślałem, skomentował w myślach nadkomisarz. Pozwalał sobie wchodzić na kolana, ale nie na głowę. Dał Wojtalowi palec, i tak za dużo, jak na jego standardy, pozostałych podwładnych wciąż trzymał na duży dystans. Nie chciało mu się już walczyć z wiatrakami, tłuc się o każdą piędź ziemi. Dawno przegrał, ale ciągle utrzymywał pozycję. I potrafił jeszcze zasunąć z grubej rury, o czym Wiech doskonale wiedział.

Odjechali, a Andrzej nieświadomie obejrzał się przez ramię, mając nadzieję jeszcze raz spojrzeć na ciało atrakcyjnej Rosjanki. Patrzenie – nagroda pocieszenia, którą dostawali frajerzy. Nie oszukiwał się, na nic więcej nie mógłby liczyć.

Z okien hotelu wpatrywały się w nich czyjeś oczy.

Puszatkin ociężale wdrapał się na schody wiodące z holu recepcyjnego na piętro. Przystanął na platformie, schowany za zakrętem zerknął w dół, odszukał wzrokiem funkcjonariuszy policji. Gapili się na opalony tyłek jego żony, a kiedy

zniknęła za drzwiami, zaczęli rzucać po hotelu ukradkowe, niepewne spojrzenia. Przypominali pańszczyźnianych chłopów wprowadzonych na salony hrabiego, brakowało im tylko czapek uszanek, które z zażenowaniem gnietliby w dłoniach.

Nie należeli do panów świata, potrafił to ocenić w pierwszej sekundzie. Ambicje tych gliniarzy ograniczały się do żalosnej policyjnej drabinki awansów, paru stów więcej do kiepskiej pensji i wymuszonego szacunku u cywilów, którzy pluli na nich, jak tylko odwracali się do nich plecami. Szczególnie ten niższy, o skórze wyblakłej i znoszonej jak chińskie szmaty z bazaru. Skończył się, żył tylko siłą inercji, pędem, którego nabrał przez lata psiej służby. Obaj zresztą w niczym nie przypominali jego, jego towarzyszy, mentorów, a nawet gówniarzy na posyłki z kaliningradzkich przedmieść, którzy próbowali się wybić. Aroganckich i butnych, wszędzie będących u siebie, każdą rzecz traktujących jak swoją własność.

Nie mieli nic, ale mieli wszystko.

Biegiem pokonał resztę schodów, jego ruchy stały się nagle sprężyste i lekkie, był niedźwiedziem, który po uśpieniu przeciwnika ruszył do akcji. Skierował się w prawo, w połowie korytarza zapukał do drzwi i wszedł, nie czekając na hasło. Nalał sobie pół szklanki whisky z kryształowej karafki, którą zdjął z komody ozdobionej ornamentem z łądyg i liści dębu. Zwalił się na skórzaną sofę, pociągnął łyk.

– Przyszli gliniarze – powiedział, nie odrywając wzroku od bursztynowego płynu, który załamywał promienie słońca i rzucał na stół pomarańczowe smugi.

Mężczyzna siedzący w fotelu nachylał się nad laptopem, czytał albo zasepił się nad wyszukany w sieci newsem. Był szczupły i żyłasty, bujne blond włosy przykrywające uszy opadły mu na czoło, częściowo zakrywały oczy. Mimo uderzającego braku podobieństwa mieli jakąś wspólną cechę, jakby wyszli spod ręki tego samego rzeźbiarza. Lub uformowała ich jedna ulica.

– Jura nie żyje, idiota wziął swoich kolesi i parę kurew na nocny rejs. Huragan ich zdmuchnął, nie mieli szans. *Idiot!* – Pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć w lekkomyślność kolegi.

Jak gdyby w przeszłości nie robili głupszych rzeczy. Dużo bardziej ryzykownych, niebezpiecznych.

– Nurkował?

– Nurkował, znaleźli go w pianie.

Spojrzenie blondyna wylało się poza krawędź monitora, napotkało wzrok Puszatkina. Połączyli się niczym dwa zwoje kabla, wymieniając wiadomość

zakodowaną w strumieniu danych.

– Gliniarze zadawali pytania?

– Nie, chcieli potwierdzić tożsamość ofiar. Oczywiście obiecałem im wszelką pomoc.

– Oczywiście.

Puszatkin wstał i podszedł do okna. Bez trudu rozpoznał nieoznaczony radiowóz, którym z parkingu wyjeżdżali funkcjonariusze. Na tle innych pojazdów prezentował się niczym wesz wypełzająca z włosów pięknej damy. Odprowadził ich wzrokiem, aż znikli za zakolem lasu. Świat nagle odzyskał swoją dawną harmonię.

– Trzeba ostrzec innych, niech mają się na baczności. Nigdy nie wiadomo, lepiej dmuchać na zimne.

– Przecież o nic cię nie pytali.

– Niby nie, ale wiesz, jak jest. Nie jesteśmy u siebie. Wypuściłem na przeszpiegi Tanię, zaprosiła ich dzisiaj na party. Zobaczymy, czy coś knują.

– Przyjdą? – Na twarzy blondyna rysował się grymas wątpliwości.

Puszatkin wzruszył ramionami.

– Ten zdechlak z podkrążonymi oczami wygląda na ćpuna, tacy nie unikają imprez. A dryblas aż się prosi, żeby mu dać w łapę, znam takich. Zresztą, co za różnica, Pietia, o co niby mieliby nas podejrzewać?

– Właśnie. Przecież nie mamy nic do ukrycia.

Ich surowe twarze wykrzywiły się w grymasie uśmiechu. Wznieśli szklankami niemy toast. Popili.

Nad ośrodkiem wczasowym panowała niezwykła dla tego miejsca cisza. Niemal dostojna, gdyby przez ściany sąsiedniego domku nie dobiegały wrzaski niemowlaka i przytłumione krzyki rodzinnej awantury.

Michał wyjrzał zza firanki na cienie w oknach oddalonego o jakieś dziesięć metrów szałas. Czekał na rozróbę, ale awantura zamierała, cichła. Nawet nie mieli już sił się pozabijać, tyle pozostało im z wielkiej miłości. Milczenie i gdakanie na zmianę do dziecka. Zamiatanie śmieci pod dywan. Puste wieczory przed reklamami w TV. Uroki rodzicielstwa, szczęście w związku, w którym nic do siebie nie pasuje poza wysokością pensji do raty kredytu hipotecznego, skrojonego przez doradcę finansowego do ich możliwości, tak żeby ani złotówka nie wystawała

w nieodpowiednim kierunku, nie gniotła się, dawała dopinać na ostatni guzik.

– Fra-je-rzy! – skomentował z poczuciem wyższości. W życiu nie dałby się wpuścić w taki kanał.

Usiadł na wersalce i wyciągnął nogi na stół, zacisnął usta na słomce i wyszał potężny łyk drinka z długiej szklanki. Był tak mocny, że Michał prawie się nim zakrztusił, przesadził z wódką. Zgodnie z obowiązującą modą wypełnił naczynie w proporcji pół na pół, a było sporych rozmiarów. Połowa alkoholu, połowa soku. Pięćdziesiąt procent z własnej kieszeni, pięćdziesiąt z kabzy szefa, zmiana w restauracji bez drobnej kradzieży byłaby zmianą straconą. Michał był zbyt atrakcyjny, żeby pić za swoje. Za bardzo się przy tym szanował.

Sięgnął na stół po pilota i włączył radio. Na Esce grali najnowszy przebój Justina. Zanucił melodię bez przekonania, z refrenu znał tylko trzy pierwsze słowa, resztę zamarkował niczym Jaś Fasola kościelny psalm. Nie przepadał za Timberlakiem, nie rozumiał fenomenu tego artysty. Ani wyjątkowo przystojny, ani utalentowany, osobiście wylansował niewiele hitów, po prostu miał szczęście załapać się do przebojów innych. Na krzywy ryj, on też by tak umiał, tylko nie trafił jeszcze na odpowiednią okazję. Ta się jednak nadarzy, prędzej czy później. Był młody, ciągle miał czas.

Piosenka skończyła się, więc pomachał wyobrażonej publiczności i wszedł do łazienki. Stanął pod deszczownicą, zasunął plastikową kotarę, puścił wodę. Namydlił się, przymknął powieki, pozwolił, żeby płynne ciepło kąsało go prosto w twarz, pieściło skórę, relaksowało.

Otworzył oczy. Wokół panowała ciemność. Zamrugnął, ale światło nie powróciło.

Awaria. W tym cholernym ośrodku zawsze fundowano im dodatkowe atrakcje. Zwłaszcza w starej części, gdzie szef udostępnił mu domek. Przez okno wpadała jednak poświata zewnętrznej lampy, a muzyka wciąż grała. Ktoś musiał wyłączyć światło.

– Jest tam kto? – zapytał drżącym głosem. Wyszedł z brodzika i stanął w progu pokoju, próbował wzrokiem przebić mrok. – Co to za głupie żarty?

To nie był kawał, ktoś włamał się, żeby wyrządzić mu krzywdę. Przywołał w pamięci plotki – od jakiegoś czasu w okolicy zdarzały się brutalne napady. Poczł na sobie obce dłonie, smród spoconego ciała. Przeszedł go lodowaty dreszcz. Oskoczył, strącił z siebie tę chorą wizję. Nikt się na niego nie rzucił, był sam.

Nie, wyraźnie rozpoznawał czyjąś obecność. Jediną drogą ucieczki były drzwi, żeby się do nich dostać, musiałby przebiec salon. Postąpił naprzód i natychmiast stanął. Zdawało mu się, że słyszy szept, ale nagły wybuch kłótni u sąsiadów stłumił wszelkie konkurencyjne dźwięki. Niemożliwe, po prostu zgasło światło, poszły korki. Złe rzeczy działały się tylko w telewizji, a wczorajszy kataklizm wyczerpał listę nieszczęść na wiele lat. Postawił nogę pół metra dalej, z tego miejsca miał szansę sięgnąć do włącznika. Był dzielny, nie bał się, nie wolno mu było się bać. Wyciągnął rękę.

Krzyknął.

Dotknął miękkiego ciepła czyjejś skóry, odskoczył w tył. Wpadł na drzwi, odbił się od nich i schował w kuchni. Po omacku próbował znaleźć coś do obrony, cokolwiek, ale wszystkie przedmioty wyślizgiwały mu się z rąk. Nóż, gdzie on jest? Umysł skurczył się do ziarna strachu, nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie co trzyma.

Ciche kroki, w progu pojawił się zarys głowy.

Michał rzucił się do okna. Nie miał szans na obronę, pozostała mu tylko ucieczka. Wymacał klamkę, szarpał, ale ta nie zamierzała ustąpić. Napał całym ciałem, poślizgnął się i upadł na podłogę wprost pod nogi przycajonego oprawcy.

Nagły błysk sufitowej lampy. Śmiech.

Michał przysłonił porażone oczy. Plama ludzkiej sylwetki znikła, ale rechot się wzmagił. Michał wstał, przytrzymując się ściany, ciężko dyszał. Światło wróciło, ale strach pozostał.

Ostrożnie zajrzał do salonu.

Na tapczanie siedział mężczyzna, w spodniach moro i zielonej koszulce przypominał żołnierza. Masywny, krępy, o wielkim łbie wygolonym na łyso i napakowanych barach. Śmiał się, ale jego spojrzenie było wciąż groźne. Zawodowy trep, który nie zna żartów.

– Aleś mnie wystraszył, Big, Jezu! – Michał oparł się plecami o framugę drzwi, złapał głęboki oddech. – Nie mogłeś normalnie zapukać do drzwi, musiałeś przedstawienie urządzać?

– Przecież lubisz grać, Michaś, to tworzę ci scenę. Tylko jakoś, kurczę, publiczność nie dopisała. Wybacz!

Chłopak wyczuł w głosie mężczyzny fałszywy ton. Ściągnął z wieszaka w łazience ręcznik, zaczął się suszyć. Dało mu to czas, żeby zastanowić się, jak zareagować na ten dowcip. A i tak nic mądrego nie wymyślił. Niby znali się

doskonale, ale ten facet był nieobliczalny.

– O co ci chodzi? – zapytał.

– O nic, Michaś, o nic. Tylko że siadam czasami, kupuję piwo i obserwuję, a ty przechadzasz się po tym barze jak kurwa po wybiegu w burdelu. Lubisz, jak się na ciebie gapią, nie?

Nie, nie da się sprowokować.

– Nie twoja sprawa. Jak ci się nie podoba, to chlaj gdzie indziej, nie będę ci psuł widoku.

– No co ty, Michaś, to całkiem przyjemny widok. Idealnie fruwasz między barowymi ćmami, błyszczysz na tle skunksów barowych.

– Odwal się. I wynoś się stąd, jeśli nie masz mi nic innego do powiedzenia. Jestem umówiony.

Odwrócił się, czuł wzrok mężczyzny na swoim tyłku, krępował go. Otworzył szafę, wyciągnął świeży T-shirt i spodnie, naciągnął je na siebie, nie włożywszy majtek.

– No, nie dąsaj się, Michaś, siadaj, pogadamy. – Mężczyzna poklepał wersalkę obok siebie. – I nalej drinka, też się napiję. Opowiesz mi, jak minął dzień, ja coś opowiem, będzie przyjemnie, obiecuję. Siadaj, kurwa, powiedziałem!

Chłopak drgnął. Jak automat podszedł do stołu, nalał dwie szklanki wódki i zabarwił je sokiem. Okrążył stół, usiadł dokładnie we wskazanym miejscu. Facet poklepał go po plecach i roztrzepał potarganą fryzurę. Wziął do ręki drinka, posmakował. Mlasnął.

– Widzisz, jak fajnie? Obiecuję, że spędzisz naprawdę przyjemny wieczór.

Michał popił ze swojej szklanki przez słomkę. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w głosie gościa znów zabrzmiał fałszywy ton. Chciał jednak wierzyć, że było inaczej. Odprężył się, rozsiadł wygodniej.

Tak, w końcu kiedyś będzie inaczej.

Na hotelowy parking zamierzał dostać się pod osłoną nocy, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. Nie chodziło o to, że wstydził się krokodyla szos, prezentującego się na tle wypasionych fur niczym puszka rybna. Wręcz przeciwnie, to samochód powinien raczej wstydzić się jego. Przyjechał na party nieoficjalnie, żeby nie powiedzieć prywatnie, a gliniarz w tym względzie przypomina księdza, zawsze występuje trochę w roli służbowej. Wolał więc unikać sensacji, a w



konsekwencji ewentualnych problemów.

Rzykował, ale nie potrafił się oprzeć zaproszeniu. Nie imprezował jeszcze w towarzystwie wyższych sfer, a tak często szydził z bogatych, że wypadałoby wreszcie zweryfikować teorię. Był przekonany, że elity finansowe tworzą odrębny podgatunek, który pochodzi od ludzi w równym stopniu, jak ludzie pochodzą od małp. Andrzej przez całe życie obserwował katolickich kreationistów, więc rozumiał skalę ich rozpacz.

Wtoczył się na parking, olbrzymie SUV-y dawały spory cień, w rzędzie najdalszym od wyjścia można było się całkiem skutecznie schować. Nasunął na nos ray-bany i wysiadł z auta. Postanowił tym razem nie pchać się tam, gdzie go nie chcą, i wybrał tylne drzwi. Odnalazł dyskretnie wklejoną w filar kelnerkę, pokazał jej zaproszenie. Wciągnął brzuch i wyprężył się, kiedy mierzyła wzrokiem jego strój galowy. Przejrzał się w jej spojrzeniu, w czarnych motocyklowych dżinsach, bordowych skórzanych trampkach, białej dopasowanej koszuli, którą trzymał w szafie na ewentualność własnego pogrzebu, i okularach zsuniętych na czoło wyglądał niezłe. Nie tak dawno porównano go do Kurta Cobaina z Nirvany i DJ-a Avicii, więc nie było tragedii. Ciągle umiał podszyć się pod kogoś lepszego od siebie.

Udał się we wskazanym kierunku. Zszedł po schodach do piwnicy, gdzie zalały go efekty świetlne klubu nocnego, dyskotekowa muzyka waliła basami, ale nie wgniatała w ziemię, dało się nawet rozmawiać. Bramkarz o kłacie szerokości całego wejścia uprzejmie skłonił wygolony łeb, barman zapytał, co pije. Nie pił, więc poprosił o wodę. Usiadł przy ladzie, rozejrzał się po klubie. Nic specjalnego, ceglane ściany i łuki stylizowane na średniowieczne, podobnych nor funkcjonowało w Polsce tysiące. Niewiele jednak z taką klientelą. Żadnych nakłutych gówniar i nadmuchanych dyskomanów. Sama elegancja, w większości ludzie w średnim wieku. Lśniący forsy kolesie i piękne, wyrzeźbione przez chirurgów plastycznych babki. Andrzej musiał z podziwem przyznać, że ta rasa naprawdę była inna. Okiełznała naturę, opanowała tajemnicę wiecznej młodości.

– *Pan oficjer, poka!*

Usiadła przy nim żona Puszatkina. W złotej sukni wyglądała jak rzeźba babilońskiej bogini. Andrzej natychmiast zapomniał o wątpliwościach, które męczyły go w drodze do hotelu. Zapomniał o czekającej na niego w Węgorzewie Alinie.

– *Poka!* – odpowiedział.

Pocałowała go w policzek, pozostawiając po sobie słodki zapach. Nie było

widać na jej twarzy rozczarowania, że zamiast Wiecha przyjechał on. Pozwoliła mu wierzyć, że czekała właśnie na niego.

– Z jakiej okazji ta impreza?

Wzruszyła ramionami.

– Powiedzmy, że z okazji śmierci naszych przyjaciół. A co, mamy oblec się w czarne chusty i posypywać popiołem?

Wzruszył ramionami, był za. W końcu zeszedł z tego padołu smutku, należało się cieszyć. Kobieta spojrzała na jego pełną szklanekę.

– Ostro zaczynasz.

– Spokojnie, to tylko woda. Alkohol mi nie służy.

– To chodź, mam dla ciebie coś lepszego.

Pociągnęła go za rękę, zaprowadziła do pomieszczenia obok. Ceglane ściany zamieniły się w betonowe. Andrzej domyślił się, że lokal urządzono w byłym schronie. Ktoś zamknął za nimi drzwi, muzyka była tam ledwo słyszalna, po murach pełzły tylko wibracje dolnych tonów, zamieniały zadymioną poświatę w falujące mgły. W nozdrza uderzył zapach konopi indyjskich, w żyłach przyspieszyła mu krew, wzrosło ciśnienie, w głowie poczuł szum diabelskiego podszeptu.

Wokół kilku kawowych stolików poustawiane były skórzane sofy. Usiedli naprzeciw pary, która zdawała się spać lub po prostu marzyć z zamkniętymi oczami, z fajki wodnej przed nimi leniwie ulatniało się ciemne, węzowe ciało baśniowego dżina. Rosjanka otworzyła wieczka kilku szkatulek, Andrzejowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby nazwać ich zawartość. Popatrzył zaskoczony w oczy kobiety.

– No co, nie chcesz?

Chciał, nawet nie miała pojęcia, jak bardzo. Na języku poczuł charakterystyczne swędzenie, wewnętrzną stronę warg zmroziła mu obietnica pierwszej działki.

– Jestem na służbie – wymówił się standardową formułką, na co kobieta parsknęła śmiechem.

Zęby błyszcząły jej niczym korale pereł, kropelka śliny na języku odbiła światło, Andrzej wyobraził sobie srebrny kolczyk.

– A ja jestem na haju.

Nachyliła się, płaską łyżeczką wybrała grudkę proszku z pierwszej szkatułki i rozsypała na stole, sprawnie uformowała dwie kreski śniegu, pasma autostrady do

nieba. Podała Andrzejowi plastikową rurkę, jedną wzięła dla siebie.

– To co, oficjerze, służbowego brudzia?

Spletli się ramionami, wciągnęli, świat w oczach nadkomisarza przekręcił się o sto osiemdziesiąt stopni, stanął do góry nogami, zawisł sto metrów nad ziemią. Towar był dobry, cholernie dobry. Takiego nie wachał od czasów wczesnej młodości.

– Tania – przedstawiła się, wkładając mu do ust pomarańczowy groszek ecstazy.

Połknął i popił podsuniętym drinkiem, w jego palcach znalazł się wąż fajki wodnej. Zaciągnął się do samego żołądka.

– Chodź. Obiecuję, że nie będziesz żałował.

Przez łąy widział jej rozkołysaną figurę znikającą w drzwiach, za którymi ciągnął się rząd pulsujących świateł w holu o nieskończonej długości. Ruszył za nią na chwiejnych nogach, powoli pokonywał długość korytarza. Światło było czerwone, pulsowało w rytm serca, w czarnych dziurach pomiędzy mrugnięciami zgubił Tanię.

Z prawej strony dobiegała agresywna metalowa muzyka. Odchylił drzwi, w łunie niebieskich lamp dwóch facetów nadziewało kobietę w kombinezonie z lateksu. Zdawała się lśniąca, uwieczniona pomiędzy nimi płynnym cieniem, martwą substancją. Andrzej dostrzegł tylko jeden wolny otwór w tym ciasnym stroju, w miejscu ust, kobieta łapała przez nie powietrze niczym ryba. Gdyby go wypełnić, nie miałyby jak oddychać.

Poszedł dalej. Inne drzwi miały otwierany świetlik, jak w więzieniu. Zerknął w niego, długo przyzwyczajając się do ciemności. Odkoczył, kiedy rozpoznał kształt. Na ścianie wisiał człowiek o ramionach rozpostartych na boki jak na krzyżu. Nie potrafił określić barwy, ale coś z niego kapało na ziemię.

*What the fuck?!*

Co to było za miejsce, gdzie, do cholery, trafił? Słyszał o takich lokalach w Berlinie i Amsterdamie, ale na mazurskim zadupiu, pomiędzy Pilwą a Skrzypami? Torturują siebie nawzajem czy wynajęli ofiary? Kto jednak pozwałaby sobie robić krzywdę za jakiegokolwiek pieniądze? Porywali ich, zmuszali siłą?

Sen. To musiał być tylko cholerny sen. Przesadził z dragami, na plecach poczuł zimne poty. Dopadł go lęk koszmaru.

Nie potrafił się jednak powstrzymać, brnął dalej. Z prawej strony dobiegły go jęki i urywane szłochy. Wszedł za kotarę, w nosie poczuł silną woń perfum i potu.

Usłyszał westchnienia, jęki, miękkie uderzenia skóry o skórę. Nagle stracił oparcie dla nóg, oderwał się od ziemi i zanurkował. Zanurzył się w głębię, wprost w topliwą ciecz wilgotnych ciał, wody bez powierzchni i dna. Chciał krzyknąć, ale usta wypełnił mu czyjś język, lepkie, ciepłe dłonie wtargnęły mu pod koszulę, w spodnie.

Poddał się. Obce wargi na nim, jego wargi na czyichś piersiach, sutkach tak wielkich, że ledwo mieścił je w ustach. Języki, palce, ocierające się o niego włosy łonowe i ziarenka łechtaczek. Lizał, pił, wewnątrz kobiety smakowało jak nektar. Czyjeś zęby, podniebienie, ciasny pierścień przełyku. Był w kimś, był w niej, dostrzegł jej ciało wijące się na nim, perłowy uśmiech, kolczyk z kropelki śliny.

Tania. Teraz ich widział, wszystkich, poruszali się w jednym rytmie, dziesiątki ciał o setkach ruchomych kończyn, gniazdo mieniących się w słońcu ludzkich robaków. Zmaterializowane marzenie o wolnej, wspólnej miłości. Orgia.

Dochodził. Przeciagle jęknął, krzyknął, tryskając w czyjąś twarz.

– Tania? – Próbował odnaleźć jej sylwetkę w ciemności. – Tania?

Odpowiedział mu śmiech, a zaraz po nim przerażający wrzask. Otrzeźwiało. Skoczył na nogi, podciągnął spodnie, po omacku szukał drogi do wyjścia. Potknął się o coś, o kogoś, nadepnął na czyjąś rękę. Uderzył w ścianę, po niej trafił do kotary, na korytarz. Chciwie nabrał powietrza, ale serce nie chciało się uspokoić, czerwone światła nie tylko pulsowały, zaczęły falować.

Kolejny krzyk. Cięcie. Obraz przeskakiwał co kilka klatek, raził w oczy. Andrzej ruszył biegiem, przywarł do drzwi, za którymi rozgrywało się coś złego. Zabębnił pięściami, szarpnął klamkę, zamek ustąpił. Cięcie. Był w środku. Rozglądał się, ale w pulsującej w kilkusekundowych odstępach lampie stroboskopu dostrzegał jedynie kontury jakichś przedmiotów, maszyn, dziwnych konstrukcji. Warsztat? Sala tortur? Wyciągnął telefon, żeby włączyć latarkę.

Cięcie. Tuż przed nim pojawiła się ludzka postać.

Zaatakowała. Upadł, lądując na twardej posadzce, czyjeś ciało przydusiło go do podłogi. Bronił się, szamotał, wymierzał ciosy pięściami i łokciami, ale nie miał pewności, czy dochodzą do celu. Panikował. Ktoś chce wyrządzić mu krzywdę, czy to kolejny etap sadystycznej zabawy? Ale ten krzyk nie mógł być udawany. Czyjeś życie było w niebezpieczeństwie. Musiał działać.

Odwinął się, kopnął. Chyba trafił, bo napastnik nagle zniknął. Cięcie. Andrzej stał w najmroczniejszym kącie, gdzie nie było go widać, wtopił się w bryłę żelaznych dybów. Wciąż pozostawał ślepy, ale przynajmniej zwiększył szansę

obrony. Uruchomienie latarki w tej chwili groziłoby ujawnieniem pozycji, straciłby całą przewagę.

Czekał. Wstrzymał oddech, starał się wyłowić najmniejszy szmer. Ruch. Przymknął powieki, by pozwolić pracować trzeciemu oku, bliźnie na czole po wypadku w Bieszczadach. Postrzeganiu pozazmysłowemu, które w Borach Tucholskich doprowadziło go do kryjówki Skorpiona. Intuicji.

Cięcie. Cięć znalazł się tuż przed nim, w odległości dwóch kroków, potrafił dokładnie zakreślić jego kontury. Nie szkicował teraz jednak, lecz walczył. Być może toczył pojedynek na śmierć i życie.

Skoczył. Powalił postać, która wydała głośny jęk. Oplótł ofiarę nogami i ramionami, sięgnął do szyi, palce zacisnęły mu się na chłodnym metalu otaczającym kark. Zacisnął dłoń, pociągnął, naprężył mięśnie. Chłonał energię ulatującą z obezwładnionego ciała, czuł zwalniające tętno. Pierwsze konwulsje. Bezruch.

Cięcie. Stał i przypatrywał się nieruchomej postaci z progu celi. Wyszedł do holu. Spojrzał na swoje dłonie, w czerwonym świetle były całe we krwi, płonęły. Płonał. Nie był pewien, co zrobił, czy uczestniczył w zabawie, czy w prawdziwej walce. Słyszał o takiej grze: *master and servant*, kat i ofiara. Nie zamierzał w nią grać. Zaprzagnął cofnąć czas, nigdy nie znaleźć się w tym miejscu, nie spotkać Tani. Nie zgodzić się na stanowisko w Węgorzewie. Nie przyjąć pracy w policji.

Zaczął biec, uciekać, wpadł do świetlicy wypełnionej narkotykowym dymem i melancholią. Wciągnął ostatnią kreskę, na jasność myślenia. Źle. Świat wyostrzył mu się aż za bardzo, wrażenie snu znikło. Realność uderzyła go w twarz.

Wcisnął się w tłum okupujący klub nocny, skąpanych w tęczy kolorów wesołych, szczęśliwych ludzi. Służą klatki schodowej wydostał się na górę. Z hotelu wymknął się tyłem, garden party trwało w najlepsze, nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Wskoczył do samochodu, wcisnął gaz do dechy, turbodoładowany silnik głośno zaryczał, sto pięćdziesiąt koni mechanicznych pognało w noc, z promieni sztucznego słońca oświetlającego pałac wjechał w strefę cienia, w las. Do prawdziwego świata. Nie zatrzymywał się, dopiero na parkingu szpitala zadał sobie zasadnicze pytanie.

Ile z tego snu wydarzyło się naprawdę?

# ROZDZIAŁ 3

24 godziny po osadzeniu

Z hukiem trzasnęły stalowe drzwi.

Oficer przemieszcza się długim korytarzem, o posadzkę stukają wojskowe buty. Słyszcąc pogłos dobiegającej skądś muzyki. Zatrzymuje się przy jednej z cel, otwiera świetlik i zagląda do środka. Z wygłuszonego pomieszczenia wylewa się tubalna muzyka, znana melodia z *Dziadka do orzechów* Czajkowskiego, osadzony, czarnowłosy mężczyzna w więziennym stroju, śpiewa, wymachując rękami jak dyrygent. Wyraźnie szydzi ze swoich oprawców, podjął ich grę i przerobił ją w farsę.

Kolejne drzwi, na korytarz wycieka flesz światła. Brodaty mężczyzna w identycznym ubraniu siedzi na łóżku oparty głową o ścianę. Założone na piersi ręce oznajmują bierny opór, zacięta twarz wolę walki. Promienie lampy stroboskopowej omiatają go niczym tumany śniegu, co sekunda pojawia się i znów znika.

Ostatnią celę zajmuje młoda kobieta. Nerwowa, ruchliwa, bezustannie przemierza krótką odległość pomiędzy ścianami. Siada i wylamuje palce kurczowo ściskanych rąk, zrywa się i znowu krąży w kółko. Rozbiegane spojrzenie wyraża panikę, zagubienie. Przypomina ptaka zamkniętego w ciasnej klatce, ciągle nie pojmując, jak mogło jej się takie nieszczęście przytrafić. Ofiara przypadkowa, ale konieczna.

– Wypuście mnie stąd! – wrzeszczy, dostrzegając czyjeś spojrzenie w drzwiach. – Nic nie zrobiłam, wypuście mnie! Czego ode mnie chcecie?!

Bębni drobnymi piąstkami w grubą blachę, aż syczy z bólu. Kładzie się w progu, a jej ciałem wstrząsa potężny szloch.

48 godzin po osadzeniu

Echo zamykanych i ryglowanych krat.

Odgłos butów uderzających o posadzkę. Oficer podchodzi do pierwszej celi, otwiera świetlik. Ta sama muzyka, ten sam czarnowłosy mężczyzna. Spocony i zaśliniony truchta w miejscu, rzuca się na podłogę i wykonuje pompki, na głos liczy powtórzenia: czterdzieści. Wstaje i ćwiczy wyrzuty ramion, boksuje powietrze. Siada na łóżku i nieruchomieje, uspokaja oddech. Nagle zrywa się i powtarza serię, liczba pompek zmniejsza się do trzydziestu pięciu. Ćwiczy do upadłego, kiedy zupełnie opada z sił, kładzie się na plecach i przyryka oczy. Dźwięk próbuje pokonać ciałem.

Drugie drzwi. Mężczyzna z brodą również się rusza, w równomiernym rytmie okrąża celę, stara się przełamać dominujący rytm impulsów światła. Zamknął oczy, nauczył się rozkładu pomieszczenia na pamięć. Mimo tego co kilka kroków się chwieje, trudno mu przewyciężyć zawroty głowy. Mówi coś do siebie półgłosem, kiedy zbliża się do drzwi, słyszcąc słowa modlitwy. Wyraźnie akcentowane, z pasją deklamowane zwrotki, które mają mu pomóc przeżyć. Torturę próbuje opanować umysłem.

Kobieta spokojnie leży na łóżku. Słyszcząc zbliżające się kroki, podchodzi do wyjścia i odważnie zagląda oficerowi w oczy. Nie widzi go, ale doskonale wie, jak wygląda. Zna tego oprawcę

niewinnych, zawodowego sadystę. Mordercę.

– Masz mnie stąd wypuścić, natychmiast! – wydaje polecenie. Wskazuje palcem miejsce poza więziennymi murami. – Nie tam, chcę stąd wyjechać. Zabierzesz mnie stąd, jak obiecałeś. Robiłam, co kazałeś, taka była umowa.

Oficer milczy. Wytrenowana przez tyle godzin pewność siebie kobiety kruszy się, natarczywość wzroku słabnie. Żrenice rozszerza strach, a po chwili rozmywa rozpacz.

– Otwieraj te cholerne drzwi! – Bije pięściami i kopie. – Proszę, błagam, powiem wszystko, tylko mi zadaj jakieś pytanie... Gadaj, mów do mnie!

Wzrok oficera znika, kroki oddalają się korytarzem.

96 godzin po osadzeniu

Czarnowłosa mężczyzna miota się jak oszalały po celi, wali rękami w ściany i podłogę, kopie drzwi. Z rozszarpanego materaca wysypują się trociny, wszędzie walają się strzępy koca. Osadzony ściga bluzę, zaczyna nią bić niewidocznych ludzi, coś do nich krzyczy, wygraża im. Wreszcie staje nieruchomo i dłońmi zasłania uszy, pada na kolana. Rozdziawia usta w zwierzęcym ryku. Na twarzy rysuje się obłęd człowieka zamienionego w zwierzę.

W następnym pomieszczeniu zniszczona istota ludzka pełźnie wzdłuż ściany, przypomina animację, w zwolnionym tempie przeskakujące klatki filmu. Mozolnie, centymetr za centymetrem, jakby brakowało jej sił, jakby grzęzła w mule. Po kilku minutach dociera do rogu celi, tak samo wolno zwija się w kłębek i zaczyna nieznacznie kiwać. Czas wyhamował, prawie stanął, postępuje w niezwykłym rytmie. Z ust na podłogę wycieka gęsta piana. Brodaty mężczyzna przypomina roślinę.

Kobieta staje za drzwiami prawie na baczność, wygłasza wcześniej przygotowaną mowę, oświadczenie. Protestuje, a następnie żąda. Domaga się adwokata i kontaktu z rodziną. Na końcu i tak nie wytrzymuje, przechodzi do negocjacji. Podręcznikowy przykład osoby gotowej powiedzieć wszystko, byle ocalić skórę. Niewinnego, z którego można wycisnąć każdą winę. Mimo że nic nie wie, niczego nie zrobiła. Jest przypadkową ofiarą.

Oficer zostawia ją, jeszcze raz podchodzi do pierwszej celi, zagląda do środka. Wskazuje na usta osadzonego. Muzyka zagłusza głos, ale z ruchu warg można odczytać słowa:

„Proszę, Boże, pozwól mi umrzeć”.

Koniec nagrania.

Grzelak biegł leśną ścieżką. Pod gumiakami chrzęścił żwir, w koszyku kołatał nożyk. Oddech przyspieszał, świstał coraz głośniejsze, aż przeszedł w charczenie o mechanicznym brzmieniu zepsutego wentylatora. Nogi drętwiały, zaczęły silnie drżeć. Drzewa chwiały się i wyginały, z każdym krokiem bardziej rozplływały się w porannym słońcu, zlewały z drogą w akwarelową masę. Obraz zawirował.

Mężczyzna przystanął. Oparł się o pień sosny, z trudem łapał powietrze. Serce zwolniło, oddech nieco się uspokoił, ale mięśnie pozostawały jak z gumy.

Uniósł głowę, rozejrzał się w obie strony, rzucił przez ramię zaniepokojone spojrzenie. Nikogo nie zobaczył. W lesie panowała kompletna cisza, nie słyhać było najmniejszego szmeru. Ten, przed kim uciekał, znajdował się poza zasięgiem

zmysłów, co nie znaczyło, że znikł. Zaszył się gdzieś, być może obserwował otoczenie z ukrycia. Gotowy dopaść każdego, kto stanowiłby zagrożenie.

Grzelak kimś takim był, dlatego musiał uciekać.

Ruszył dalej. Nie dał już rady biec, więc tylko szybko szedł, siłując się z ciężarem gumowych butów. Za stary był na takie atrakcje, bliżej mu było do trumny niż do sportu, każdy większy wysiłek groził śmiercią. Mimo tego nie poddawał się, parł do przodu, żeby jak najprędzej dotrzeć do domu. Został mu jeszcze jakiś kilometr, prawie dwa już przebył, za dziesięć minut zabarykaduje się w swojej chacie. Będzie bezpieczny.

W kieszeni niósł dowód zbrodni.

Na grzyby wyszedł skoro świt, nie przeczuwając niczego. Znał te lasy lepiej niż swoje izby, te co jakiś czas żona lubiła przemeblować tak, że zdarzało mu się nie trafiać tyłkiem na fotel, bo ten nagle zmienił swoje położenie o dwa metry w jedną czy drugą stronę. W lesie wszystko pozostawało bez zmian przez lata, żeby nie powiedzieć wiecznie.

Obiecał starej kobiałkę kurek, miała z nich zrobić sos do pieczenia. Kiedy grzebał w wilgotnej ściółce w poszukiwaniu żółtych kapeluszy, dojrzał błysk. Coś załśniło kilka metrów dalej, przy dróżce. Inaczej niż potłuczona butelka czy papierek po lodzie, silniej. Podszedł, ukląkł pod drzewem, rozsunał krzaki jagodzin. Pomacał ręką i wyciągnął przedmiot, który odbijał słońce. Mikroskopijne lusterka luksusowego kruszcu.

Złoto!

Gruby złoty łańcuszek, który przypominał warkocz kobiecych włosów. Ciężki, jego wagę czuć było w dłoni. Klejnot przelewał się Grzelakowi z ręki do ręki, wyślizgiwał pomiędzy palców niczym wąż. Z jakiegoś powodu pękło ogniwo zamka, grube jak od obroży dla psa. Czyjaś strata, jego zysk. Przetrzęsnał najbliższe krzaki, ale nic więcej nie znalazł. Był tylko łańcuszek, prezent, który spadł prosto z nieba.

Wyobraził sobie wartość znaleziska. Kilka tysięcy złotych, może więcej. W życiu nie widział tyle złota w jednym przedmiocie, chyba że w telewizji. Nie klepał biedy, wystarczało na życie, ale taki zastrzyk gotówki by się przydał. Wymienić parę sprzętów w chałupie, zrobić remont. Kupić żonie palto do kościoła, żeby też raz mogła trochę popuszyć się przed babami ze wsi, postroszyć swoje kurze piórka. Kto będzie wiedział, że to właśnie on znalazł?

Co tam, znalezione nie kradzione!



Schował łańcuszek do kieszeni, cofnął się, podniósł kobiałkę. Pal lichy grzyby, raz może nie wyrobić normy, okazja była wyjątkowa. Bez zastanowienia ruszył najbliższą drogą do domu, od lat mu się tak nie spieszyło. Zdołał jednak ujść najwyżej sto metrów, gdy nagle stanął w miejscu. W pryzmach słońca sączącego się przez korony drzew przyjrzał się swoim dłoniom.

Na rękach miał krew ze znalezionej łańcuszka.

Ręce miał czyste.

To był tylko zły sen, kolejny z serii niepokojących koszmarów. Coś próbowało do niego w ten sposób przeniknąć. Przeszłość, której się wyparł.

Wykąpał się, włożył T-shirt z okładką *Chaos A.D. Sepulchry*, zwisający głową w dół kokon ludzki był doskonałą metaforą jego stanu umysłu, jemu też z mózgu wyciekały skroplone myśli. Założył słuchawki, *War for Territory* z tego samego albumu ocuciło go, wprowadziło w bojowy nastrój. Przypomniało, że jeszcze nie może się poddać, do emerytury brakowało mu prawie pół roku. Sześć miesięcy walki, wtedy ustąpi z ringu.

Odda swoje terytorium komuś innemu.

Potrzebował energii, od chemicznego kaca zwiotczał niczym dmuchana lalka po ostrym seksie. Postanowił zjeść śniadanie w kantynie jednostki wojskowej, U Wiarusa. Karmili jak w armii, raczej dawali żreć, niż serwowali jedzenie, ale było najbliżej. Właściciel kazał sobie płacić za te podróbki dań jak za markowe oryginały. Nic dziwnego, próbował wydusić z turystów ile wlaźło, trwał sezon. Zwyczajna prowincjonalna gościnność, folklor.

Minął hol udekorowany plakatami kolejnych edycji festiwalu rockowego, każdy brzydszy od poprzedniego, co wydawałoby się niemożliwe, poczucie estetyki powinno rozwijać się wraz z upływem lat, nie cofać. Ukłonił się głową kelnerce, zajął miejsce przy samym oknie. Herbata pojawiła się przed nim bez pytania, domówił jajecznicę i parę plasterków sera ze świadomością, że smakuje jak udzierygany z wełny. Przez chwilę obserwował torebkę herbaty brudzącą wodę rdzawym osadem. Popił cuchnącą papierem toaletowym cieczą i zapatrzył się w okno.

Po przeciwnej stronie ulicy ciągnął się gmach szpitala z lewym skrzydłem przerobionym na hotel. Wynajmował tam mikroskopijny apartament, tanio, bo mało kto chciał spać w miejscu, gdzie umierali ludzie. Andrzejowi to nie przeszkadzało, przywykł do obcowania ze śmiercią.

Nagle powierzchnia szyby zmarszczyła się, upodobniła do rysów twarzy. Zeszpeconego oblicza o zniekształconej połowie zawsze pozostającej w cieniu. Demona spotkanego we śnie sprzed dwóch dni. Wypełzył za nim z jeziora, zaczął go śledzić.

Andrzej odwrócił się, omiótł salę wzrokiem. Przy sąsiednim stoliku siedziała czteroosobowa rodzina, kawałek dalej starsze małżeństwo, nikt więcej. Znów spojrział w okno, ale odbicie nieznanego mężczyzny zniknęło.

Halucynacje? Andrzej ciągle był na haju. Poza nielegalnymi substancjami w żołądku paliły go wyrzuty sumienia. Po raz pierwszy od lat miał wrażenie popełnionej zdrady. Moralnie przebił kolejne dno, a na miejscu czekała na niego dziewczyna. Pomyślał o niej z rozrzewnieniem, może i z czymś jeszcze. Miłością?

Sięgnął po telefon, wykręcił numer do matki. Rzadko ostatnio do siebie dzwonił, za każdym razem jej głos brzmiał osobliwiej, jakby miała coraz mniejszą ochotę z nim rozmawiać. Nie dziwił się, był marnotrawnym synem, ale nadszedł czas, żeby przekazać jej dobre wieści.

– Cześć, mamó, jak zdrowie. Co? Nie, nic się nie stało, czemu? Słuchaj, chciałbym ci powiedzieć coś ważnego. Nie, nie wyrzucają mnie z pracy, i tak, jestem cały. Ale słuchaj, naprawdę, bo mam mało czasu. Poznałem kogoś... Ślub?  
– Zastanowił się, nigdy nie rozważał tej wersji poważnie. Konserwatywna instytucja sklerotycznego państwa, okowy indywidualizmu i wolności. Właściwie czemu by nie? – Nie, w żadnym wypadku, mamó, nie miej złudzeń. Tak, zobaczysz ją. Wezmę ją ze sobą do domu. Wkrótce, cierpliwości. Dobra, muszę kończyć, służba wzywa. Też cię kocham, cześć!

Skończył, bo do restauracji wszedł Janek Gryczak, pseudonim Niańka, najmłodszy aspirant z jego ekipy śledczej. Kumple dali mu taką ksywę jeszcze w drogówce, skąd awansował do wydziału kryminalnego. Często brał wolne na opiekę nad dziećmi, nie chodził wieczorami chlać, bo nie pozwalała mu żona, pomagał jej bawić pociechy. Dobry chłopak, szczery, całkiem niegłupi, pracowity i posłuszny. Niestety, żadna z tych cech nie pasowała do typowego gliniarza, minął się z powołaniem. Andrzej nie wróżył mu porywającej kariery.

Gryczak spieszył się, jak tylko dostrzegł szefa, w ułamku sekundy wyparował z niego cały animusz. Zawisł nad stołem, nie wiedząc, czy usiąść, czy stanąć na baczność. To zachowanie nie wróżyło nic dobrego.

– Co się stało, Jaś, jakiś smród?

Niańka przytaknął.

– Padlina?

Młodszy aspirant zaprzeczył, zwierzchnik poczuł napływającą irytację. Miał szczęście, że na talerzu została tylko resztką jajecznicy i sera, bo Andrzej z pewnością rzuciłby mięsem.

– Więc co, Gryczak, nie doprowadzajcie mnie do szału!

– Z Dworu Prawdzica przysłali zawiadomienie o podejrzeniu dokonania przez pana przestępstwa.

Andrzej zakrztusił się herbatą.

– Wtargnięcie, zakłócenie miru domowego, zastraszenie personelu i gości.

Komendant wyliczała grzechy na zbrojnych w czerwone ostrza szponach prawej dłoni. Przysiadła na krawędzi biurka, kołysząc szpilką zsuniętą z pięty, spódnica podwinęła się jej prawie do tyłka. Mimo tego Andrzej nie mógł oderwać wzroku od jej ust. Na górnych siekaczach został ślad szminki, jakby przed chwilą kogoś zagryzła i ciągle miała ochotę na więcej.

– Masz coś do dodania, Bondar?

– Nie. – Wziął pismo z rąk szefowej i zmiął je w kulkę, którą rzucił w kierunku śmietnika. Spudłował. – Zarzuty są bezprzedmiotowe, dokonywaliśmy potwierdzenia identyfikacji zwłok, nie najazdu.

– Mam taką nadzieję. W nagrodę otrzymujesz bonus, następną sprawę. – Inspektor wyszczerzyła kły w sadystycznej radości, że ruch w interesie jest coraz większy. – Tylko nie wysyłaj tam chłopców, sam się tym zajmij. Może wreszcie będziesz miał sposobność się wykazać.

Wykazać się... Hula-Chłop chyba zapomniała, jakie Andrzej miał na swoim koncie sukcesy, ile w tym zawodzie dokonał. Dawno temu. A jednak niektórzy ciągle uważali go za legendę.

Wyszedł. Przejrzał zgłoszenie w drodze do biura. Założył na ramię torbę na laptopa, przywołał palcem Jasia Gryczaka i kazał mu przyprowadzić radiowóz. Ruszyli w drogę od razu, przejazd zajął im prawie pół godziny. Szosa ciągle usłana była wspomnieniami białego szkwału. Zepchniętymi z jezdni pniami drzew stroszącymi nieruchome gałęzie o zwiędłych liściach, wyrwami w poboczu z wyłamanymi korzeniami. Andrzej znał trasę, przebył ją poprzedniego dnia dwa razy w obie strony, zamiast jednak skrócić w kierunku Dworu Prawdzica, wjechali do lasu.

Patrol zdążył już zabezpieczyć teren policyjną taśmą. Na miejscu zastali starszego mężczyznę we flanelowej koszuli w kratę, który wskazywał coś palcem pani prokurator w czarnej marynarce sięgającej prawie do kolan. Kobieta była szeroka i niska, szara, przypominała wyjątkowo przerośniętą purchawkę. I trzeba było uważać, żeby na nią nie nadepnąć, mogłaby wybuchnąć. Między drzewami błyszczały zielone kamizelki funkcjonariuszy przeszukujących teren. Piaszczystą ścieżkę blokował dżip nieokreślonej marki, konstrukcją i wiekiem przypominał militarnego honkera.

– Ile mam jeszcze czekać na głównego śledczego? – Prokurator prześlizgnęła się wzrokiem po Andrzeju i zatrzymała na młodszym aspirancie Gryczaku. – W co wy tam gracie na tej waszej komendzie, w kulki?

– W chuja – burknął Andrzej.

– Co?

– Nic. Nadkomisarz Andrzej Bondar, naczelnik wydziału – przedstawił się, spoglądając na militarny wóz.

Nie dostrzegł jednak obecności przedstawicieli armii. Za to dostrzegł urazę w oczach prokurator, kiedy lustrowała go spojrzeniem i odkryła grafikę na wygniecionym T-shircie.

– Niech będzie – podsumowała, wydając zrezygnowane westchnienie. – Alicja Skórka, Prokuratura Okręgowa. Możemy się zabrać do pracy?

– Jasne. Co wiemy?

– Niewiele, właściwie nic. Poranny grzybiarz znalazł zakrwawiony łańcuszek. Raczej łańcuch, gruby jak palec. – Sierżant z patrolu podał Andrzejowi woreczek ze złotym węzem.

– Pewnie się babka zaczepiła o gałąź i skaleczyła, zerwała ozdóbkę.

– I ciuchy z tyłka? – Sierżant podał kolejny worek.

Biała bluzka wyglądała jak poszarpana przez psa i wdeptana w ziemię.

– To pani wystarczy do wszczęcia postępowania? Mało mamy roboty z topielcami?

– Chyba nie będzie mnie pan uczył procedur, nadkomisarzu? Jest podejrzenie, więc trzeba przeprowadzić czynności śledcze.

– A ciało?

– Znajdzie się, w przyrodzie nic nie ginie. No jazda, nie ma czasu!

– *Jawohl!* – Leniwie zasalutował palcem.

Purchawa wykonała gest, jakby rzeczywiście przyjmowała honory. Pełna groteska.

Przyjrzał się dokładnie łańcuszkowi. Czuł jego chłód nawet przez folię. Oddał woreczek Niańce.

– A szwej gdzie zginął? – Wskazał na zielonego dżipa.

– Szwej? To moja fura, nadkomisarzu. Ekstra, nie? Nie podoba się panu?

Andrzej przybrał sceptyczną minę.

– No tak, jasne. To przecież wóz dla prawdziwego mężczyzny.

Andrzej przytaknął. Pewnie dlatego Skórka pasowała do niego jak czarownica do miotły. Andrzej nie potrafił zrozumieć tej mody wśród kobiet na terenowe samochody. Pragnęły dzięki temu być bardziej męskie od samych mężczyzn?

Odwrócił się, w tumanie piachu zbliżała się škoda ekipy technicznej. Podszedł do naburmuszonych techników, obrażonych na cały świat, że ludzie nie chcą umierać naturalnie, tylko pchają im się do laboratorium. Razem przyjrzeni się miejscom znalezienia podejrzanych przedmiotów. Wzruszył ramionami, na takich mizernych fantach można było oprzeć co najwyżej kryminał, nie śledztwo.

Andrzej wysepił papierosa od mundurowego i oddalił się od miejsca pracy techników. Rozejrzał się, zadarł głowę i popatrzył na chmury, które z tej perspektywy niemal zawadzały o czubki sosen. Zdawały się stać w miejscu, to ziemia płynęła. Obracała się, a on sterczał w samym środku.

Poczuł nudności.

Opuścił powieki, ale jego trzecie oko nie chciało się otworzyć. Bolało, stara rana na głowie często odżywała bólem, kontuzja wracała zawsze w najtrudniejszych momentach, dodatkowy balast do problemów, których i tak nie dawał rady udźwignąć. Order za wierną służbę ciemnej strony mocy.

Obraz rozmazał się i zawirował. Andrzej poczuł tężące w brzuchu śniadanie. Nabrał powietrza, zaczął głęboko oddychać. Przeszło mu na tyle, że ruszył w powrotną drogę. Po kilkudziesięciu metrach w przeoranej burcie dostrzegł płaski przedmiot. Schylił się, zmiotł wierzchnią warstwę kurzu, ostrożnie dwoma palcami podniósł z ziemi telefon, po czym od razu wsunął go do foliowego woreczka. Związek miejsca i czasu był ewidentny, chyba znalazł kolejny dowód. Przypomniało mu się dochodzenie w Borach Tucholskich, tam też brakowało włók. Prokurator Purchawa miała rację.

Istnieli zabójcy bez ofiar, musiały więc istnieć morderstwa bez ciał.

Najbliższa osada ludzka znajdowała się w odległości trzech kilometrów. Grzelak wskazał im kierunek z wyraźną satysfakcją.

– I zara stryczek przez grubo gałóńś i do widzenia, niech dyndają. Bo po co to, panie, jeszcze w więzieniu pilnować i żywić – gderał z komicznym akcentem. – Ile to piniendzy kosztuje. Jaki przykład daje. Kto by nie chciał tak, ło, za darmo żreć jak w restauracji i cały dzień telewizje oglondać. Carringtony, panie, nie zbóje, tfu!

Na Andrzeja takie brednie działały jak woda na kwas, kipiał. Znał życie za murami Hebronu, swoje odsiedział. Błędy młodości, które już dawno odkupił, ale ich nie zapomniał.

– No to zapraszam, Grzelak, na te luksusowe salony, kible z połączanymi sraczami, kryształowe kieliszki do francuskiego wina w restauracji. Tak parę miesiączków, ekskluzywne wakacje w raj, co?

– Mnie? – Starszemu człowiekowi wydłużyła się twarz w przerażeniu. – Ale co ja takiego zrobił?

– No jak, to przecież w nagrodę jest, nie za karę, to co miał zrobić?

– Panie władzo, ja uczciwy jak proboszcz z parafii, słowo daję!

– To nic dziwnego, jeśli proboszcza za przykład macie. Złoto kto niby chciał zaiwanić, ja?

Dziadek pokręcił głową, postąpił dwa kroki do tyłu, jakby gotował się do ucieczki. Przeraził się, że policjant potrafi czytać w myślach.

– No, tak myślałem. To jeszcze raz, jak jedzie się do gospodarstwa tych całych Złych?

– Dobrych! – poprawił go młodszy aspirant.

Znał drogę, klan złodziei i rozbójników był sławny na cały powiat.

Przejechali leśną ścieżką wzdłuż poligonu, po czym skręcili w stronę jeziora. W niektórych partiach lasu drzewa wyglądały jak żerdzie, strzeliste i chude, tylko na samym szczycie najeżone koroną rzadkich igieł. Las martwych rąk, las włócznie wyrastających z pobjowiska. Przy silniejszym powiewie musiały klekotać niczym upiorne kołatki tańca śmierci. Mimo upału panującego w aucie Andrzej dostał ataku gęsiej skórki, zadygotał. Poczul na sobie zaniepokojony wzrok podwładnego, ale Niańka na szczęście nie wykazał się zwyczajową troską.

Gospodarstwo Dobrych przywitało ich słodko-kwaśną wonią zgnilizny, która w bezpośrednim sąsiedztwie zabudowań przechodziła w atakujący falami fetor. Do

jeziora było z pięćdziesiąt metrów, ale to nie woda wydzielala ten zapach. Cała polana, przy której stał dom, pokryta była siecią linek rozwieszonych pomiędzy powbijanymi w ziemię kołkami. W słońcu suszyły się martwe ryby, setki, tysiące brunatnych ścierv z daleka przypominających chłopskie onuce. Z bliska skorupki wyparowanych oczu lśniły niczym kolorowe guziki.

Zabudowania ustawione były w podkowę. Drewniane, oprócz chałupy malowanej łuszczącą się farbą w kolorze sraczki pokryte spalonym olejem. Zza mniejszej budy, stajenki lub chlewika, ulatniał się dym, w nos gryzł swąd spalenizny. Wędzarnia, choć na myśl przychodziło krematorium. W stodole przerobionej na garaż brakowało desek, szczyrby prześwitywały na wylot, można było dojrzeć krzaki rosnące z tyłu. Dom kiedyś musiał być śliczny, po latach została z niego karykatura, niemal ruina. Dlatego zaskakiwał mocny, trudny do sforsowania płot, zasieki zbudowane dla ochrony przed agresywnym wrogiem. W przypadku inwazji miejsce to zamieniłoby się w małą fortecę.

Zaczął ujadać pies, niewidoczny, z niewytłumaczalnego powodu uwiązany z drugiej strony chałupy, od jeziora. Miał chronić przed czymś nadchodzącym z wody? W chałupie zakołysała się szara firanka, po chwili na progu pojawił się gospodarz. Borowy dziad, zapewne rówieśnik tej rudery, w kłapkach, spodniach od dresu i puchowym bezrękawniku narzuconym na goły tors obrośnięty siwym, kwitnącym mchem. Rzadkie włosy zwisały w strąkach. W ustach tliła się fajka z ustnikiem zakrzywionym w znak zapytania.

– Lech Dobry? – zapytał Niańka, facet kiwnął głową. – Młodszy aspirant Jan Gryczak, to jest nadkomisarz Andrzej Bondar. Czy możemy panu zadać parę pytań?

– Zadawać możeta, ale z góry ostrzegam, że nic nie wiem.

Pyknął fajką, wydmuchał brązowy dym. Gdyby nie było suszących się ryb i wędzarni, źródło odoru wydawałoby się pewne.

– Co robił pan wczoraj w nocy?

– Spał, a bo co?

– Nieważne, ja tu zadaję pytania. Widział pan coś podejrzanego? Kobiety, mężczyzn, pary? Nie słyszał pan żadnej kłótni, nikt nie wzywał pomocy?

Gospodarz pokiwał głową. Zszedł z progu na ziemię, usiadł na desce udającej ławkę, oparł się o parchatą ścianę. Zassał tytoń, wydmuchał kurz. Mlasnął.

– A łažo tu, krenco sie jakie grzybiarze, wendkarze, turysty wścibskie. Żołnierze jeżdzo, czasem na poligonie hałasuj, ale tej nocy nie, cisza była. Jak żem

wspominał, nic nie wiem.

Niańka kontynuował wywiad niemający żadnego sensu, funkcjonariusze nie potrafili nawet oszacować czasu zdarzenia. Andrzej oddalił się, obszedł róg domu i wszedł na ciasne podwórko. Zza garaży dobiegało ujadanie psa, niski, charkliwy dźwięk, który można było porównać do rozrusznika starego auta. Metalicznie szeleścił łańcuch. W chlewiku rozległo się przytłumione bębnienie, jakby ktoś walił deską o deskę. Podeszedł tam, przystawił twarz do ściany i zajrzał do środka przez otwór po sęku. Nie zauważył niczego poza migotaniem drobinek srebra w pryzmie padającego światła.

Bardziej poczuł, niż dostrzegł z boku nagły ruch.

Odsunął się, ale nie zdążył przyjąć pozycji obronnej. Bezkształtna masa cielska wpadła na niego z całym impetem, wbiła w deski. Stracił na chwilę oddech, otoczenie zawirowało. Myślał, że leży, ale ciągle stał, przygwożdżony przez napastnika do ściany. Nie widział go, miał unieruchomiony kark, ale czuł temperaturę przylegającej do pleców żywej tkanki. Człowiek, to nie ulegało wątpliwości, silny i najwyraźniej pieprzony, żeby atakować gliniarza. Chyba że nie wie, kim Bondar jest. Nikt niczego na tym zadupiu nie wie.

Syknął, z trudem nabrał powietrza i wrzasnął. Przy uchu usłyszał śmiech, chichot przypominający kaszel, prawie jak rozrusznik w krtani psa. Wilkołak? Można się było w tej dziczy spodziewać wszystkiego.

Niedźwiedź?

– Nie rusz, Czyngis! – ktoś wydał rozkaz. – Zostaw go, kurwa, do nogi!

Andrzej dostrzegł kątem oka biegnącą postać z rozhuśtanymi frędzlami białych włosów. Wymachiwała nieociosanym drągiem. Kolejna salwa psiego śmiechu, wszawy smród. Więc jednak pies? W jaki sposób ten kundel mógł go tak przydusić, czemu nie gryzł, nie szczekał?

– Won, powiedziałem!

Uderzenie w przylegające ciało poczuł aż na sobie, napastnik odkleił się. Andrzej ukląkł, chciwie łapał oddech, by jak najszybciej dojsć do siebie. Ponownie musiał walczyć z żołądkiem, żeby nie puścić pawia.

– Co tu jest grane, do ciężkiej cholery, jesteśmy oficerami policji!

Niańka przybiegł rychło w czas. Jeśli tak samo pilnuje dzieci, pewnie już dawno poucikały, a on żyje złudzeniem, że spędzają życie w wyimaginowanym świecie zamkniętego pokoju.

– Jeszcze jeden krok i tobie też przypierdolę! – ostrzegł blondyn.



Andrzej podniósł się, jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Napastnikiem okazał się młody mężczyzna o twarzy zniekształconej zespołem Downa i zdeformowanym, gruszkowatym tułowiu. Szczerzył ostre gwoźdźniki rzadkich, pokrzywionych zębów, wyraźnie rozbawiony psikussem. Na silnych, owłosionych przedramionach wytatuowane miał bezkształtne bohomy tak szkaradne, jakby wyrzył je samodzielnie. Gwoździem.

Trzeci z Dobrych, chłopak o rozczochranych blond włosach, dzierżył w obu rękach krótki drąg, gotowy zdzielić nim gotującego się do kontrataku Gryczaka. Zaczerwienił się, skóra przybrała barwę pryszczu, które obrastały mu twarz. Teraz znikły. Dziad oparł się o szczyt domu i bez entuzjazmu pykał fajkę.

– Spokój! – warknął nadkomisarz.

Najchętniej wyrwałby pałkę i rozbił nim głowę zadowolonego z siebie potworka. Powstrzymał się, miał do czynienia z chorym człowiekiem.

Czyngis, mongol, osoba cierpiąca na mongolizm. Przewisko idealnie odpowiadające intelektowi tej rodziny. Traktowali go na równi z psem. Andrzej przeklął dzikich ludzi, wegetujących w dzikich rejonach tego kraju. Spotykał ich w Bieszczadach, w Borach Tucholskich, teraz tutaj. Nie rozwinęli się i nie rozwiną, a kiedy upadnie cywilizacja, przejmą rządy nad całym światem.

– Mam wezwać posiłki i zwinąć was wszystkich na dołek?!

Przesunął po trzech mężczyznach wzrokiem, w spojrzeniu Czyngisa dostrzegł czyste szaleństwo, blondyna – tępą zaciekłość, starego – jawną kpinę. Był pewien, że w każdym innym wypadku rzuciliby się na nich, skatowali, poćwiartowali i wysuszili na linkach. Byli prymitywni, ale nie głupi, nie zamierzali ryzykować starcia z policją.

– Wongier! – rzucił stary, a blondyn natychmiast upuścił zaimprovizowaną broń.

– Skończyłeś wywiad, Gryczak?

– Skończyłem.

– No to jazda, zbieramy się. W razie dodatkowych pytań wrócimy. Jeśli coś się panom przypomni, proszę o kontakt z komendą. Do widzenia.

Funkcjonariusze ruszyli do bramy, czując na plecach wzrok trójki mężczyzn. Młodszy aspirant z ociąganiem, trudno mu było przełknąć porażkę. Kiedy dotarli do radiowozu, usłyszeli echo śmiechu, którym pożegnali ich Dobrzy. Wsiedli do kabiny, Jaś włączył silnik.

– Wszystko w porządku, szefie? – Spojrzał na nadkomisarza, jakby wyrządzono mu znacznie większą krzywdę, niż się zdawało.

– Wrzucaj bieg i jedziemy, Janek, spieprzamy stąd. Co się tak gapisz, przecież o nic go nie możemy oskarżyć. A nawet jeśli, jesteś sobie w stanie wyobrazić ten hałas w mediach?

Aspirant pokręcił głową, nie był. Wykonał więc polecenie, ale w powietrzu pozostało coś niedopowiedzianego. Jakby Andrzej zaraził się mongolizmem, a podwładny krępował mu się o tym powiedzieć.

Odjechali. Nadkomisarz zaczął na spokojnie analizować wydarzenia sprzed paru minut. Nagle znieruchomiał, żołądek ponownie zaczął mu kipieć. Tym razem nie wytrzymał, zwymiotował przez okno. Skurczył się, zapadł w sobie, jeszcze nigdy nie poczuł takiego wstrętu do własnego ciała. W miejscach, których dotykał Czyngis, otworzyły się żrące rany.

Andrzej czuł to teraz bardzo wyraźnie. W okolicach pośladków przylegał do niego naprężony członek obcego mężczyzny. On go nie dusił. On symulował na nim stosunek płciowy.

Usiłował go pokryć jak pies.

Zwolniła.

Tak silnie skoncentrowała wzrok na jezdni, że asfalt zaczął się topić, spływać, obnażać skryte pod jego czarną skórą wnętrzości bruku. Przymknęła powieki, żeby przegnać halucynacje, ale w tym momencie straciła panowanie nad autem, zahaczyła o piaszczyste pobocze, wzbijając w powietrze tuman kurzu.

I wtedy znowu w nie spojrzała. W głębi jeziora, które nawoływało ją ze swoich odmętów. Przeszły ją zimne dreszcze, mózg wyemitował fragment ruchomego obrazu przywołanego z pamięci.

Krzyczała. Waliła pięściami w stół, przy którym siedział Waldek, jej były mąż. Złamany wpół, obwisły, opuszczona broda przylegała mu do klatki piersiowej. Lewą dłonią przytrzymywał się krawędzi stołu jakby ze strachu, że zsunie się z krzesła i upadnie na podłogę. Ten silny, energiczny mężczyzna, zawsze tak pewny siebie, asertywny. Agresywny, jeśli ktoś stanął mu na drodze, nieustępliwy. Atakowała go, wygrażała mu, a on nawet się nie odezwał. Zupełnie jakby ktoś wyciągnął z niego cały środek, a pustą powłokę wypchał zmiętymi papierami. Nienawidziła go w tamtym momencie nienawiścią, która odbierała jej oddech, skasowała rozum i zdolność racjonalnego myślenia. Mogłaby wtedy zabić, jego lub

kogokolwiek innego, kto akurat nawinąłby jej się pod rękę.

Wspomnienie.

Zahamowała, stanęła na poboczu. Ścisnęła głowę i oparła ją na kierownicy, próbowała wolno, regularnie oddychać. Poskutkowało, po paru minutach uspokoiła się na tyle, że mogła jechać dalej. Nie rozumiała tego, nie potrafiła połączyć przyczyn ze skutkami, w jej świecie logika przestała istnieć. Człowiek przejechany przez tira, jej mąż, ona, co ich wszystkich ze sobą łączyło?

Co wspólnego miała z tym zatoczka mijanego jeziora?

Zajechała pod dom, SUV-a zaparkowała przed garażem, wysiadła. Udała, że nie widzi mężczyzny, który wyszedł z zielonej meganki i zmierzał do furtki. Wsunęła klucz w zamek drzwi wejściowych, przekręciła i nacisnęła kłamkę, zamierzała jak najszybciej dostać się do środka, zabarykadować się, odizolować od świata. Otaczało ją za dużo niewiadomych, dopominało się o nią za dużo ludzi, których nie знаła. Traciła kontrolę nad własnym życiem, a dopiero co udało się je uporządkować, wepchnąć na odpowiednie tory. Nie pozwoli na to.

Zabrania im!

– Pani Jadwiga Koterska? – zapytał obcy człowiek, stając przy bramce. – Podkomisarz Wiesław Wojtał, wydział kryminalny policji powiatowej. Czy mogę zadać pani kilka pytań?

Za późno, namierzyli ją. Zastygła w drzwiach, których nie zdołała jeszcze otworzyć do końca. Przez kilka sekund stała tak, zakleszczona między dwoma światłami, nie mogąc się ruszyć. W końcu zebrała się w sobie, opanowała drżenie rąk, posłała policjantowi serdeczny uśmiech.

– Tak, to ja. W jakiej sprawie?

– Czy moglibyśmy porozmawiać w bardziej kameralnym miejscu?

– Nie – rzuciła bez zastanowienia. Zbliżyła się do ogrodzenia, którego kute, zaostrome od góry pręty dawały jej minimalne poczucie bezpieczeństwa. – Tak jest dobrze. Czym mogę panu służyć?

Podkomisarz przeczesał przydługie blond włosy, wyraźnie zbity z tropu. Wyglądał na typa, któremu kobiety rzadko odmawiają wstępu do swoich domów, a ona go spławiła jednym słowem. Świadomość tego dodała jej pewności siebie.

– Czy znała pani niejakiego Józefa Weinara?

– Czemu pan pyta?

– Nieważne czemu. Pytam, czy go pani znała.

Udała, że szpera myślami w pamięci. Nazwisko nic jej nie mówiło, ale nie miała wątpliwości, że chodzi im o ofiarę wypadku. Jej ofiarę.

– Nie przypominam sobie – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Powinnam?

Niewłaściwe pytanie. Należało zapytać, skąd tak szybko wpadli na jej trop.

– Józefa Weinara znaleziono wczoraj na skraju drogi w okolicach Kirsajt, zginął w wypadku. Staramy się ustalić, czy w zdarzenie nie były zamieszane osoby trzecie.

– Trzecie to nie wiem, ale na pewno drugie. Ktoś musiał go trzepnąć, nie?

Przewiercił ją wzrokiem, jakby dopiero teraz zaczął doceniać ją jako człowieka. Pewnie wyobrażał sobie, że na sam widok jego legitymacji popłacze się i do wszystkiego przyzna, uklęknie i zacznie błagać o litość. Nie ona, nie w tych okolicznościach.

– Znaleźliśmy jego telefon, udało się odczytać część danych. Józef Weinar dzwonił do pani dwa razy, na dwa dni i na kilka godzin przed śmiercią. Więc jak, wciąż utrzymuje pani, że go pani nie zna?

Ponownie zamarkowała intensywne myślenie, przecząco pokręciła głową, odważnie przyjmując natarczywy wzrok policjanta.

– Może jakiś klient? Prowadzę własną firmę, otrzymuję co najmniej kilka dziwnych telefonów dziennie, ludzie dzwonią, ale nie potrafią stwierdzić, o co im chodzi. Mógł to być facet, który pytał mnie o odpisy podatkowe, był taki jeden. Zaprosiłam go do biura, nie udzielałam porad telefonicznie.

– Oczywiście. – Wyciągnął z kieszeni spodni mikroskopijny notes i zanotował krótką informację. Postukał długopisem w okładkę. – A przedwczorajszej nocy co pani robiła?

– Ja? Oglądałam telewizję do dziesiątej, później położyłam się spać. Zbudziła mnie wichura, przez jakieś dwie godziny czuwałam. Jak się uspokoiło, wzięłam tabletkę nasenną. Wystarczy?

– Tak, tak... – wymruczał, uzupełniając swoje notatki. – Jeśli coś się pani przypomni, proszę zadzwonić. – Podał przez płot wizytówkę, ale jej nie przyjęła. Cofnął rękę i wsunął kartonik pomiędzy pręty. – Dziękuję i życzę miłego dnia.

Pozegnał się, ale nie odszedł od ogrodzenia. Starła się iść do drzwi, jakby przeprowadzano kontrolę trzeźwości, po niewidocznej linii. Patrzył na nią, nie przestał, nawet kiedy już trzasnęła drzwiami. Zaryglowała je, oparła się o nie plecami. Czowała jego wzrok przez masywne blachy konstrukcji antywłamaniowej, prześwietlał je. Ją również. Coś wiedział.

To nie była rutynowa obserwacja podejrzanego. To było oskarżenie.

Lech Dobry wylazł z chałupy, stanął na progu i uniósł głowę, wbił wzrok w płacheć granatowego nieba. Czegoś mu brakowało, ale nie potrafił zlokalizować błędu, jakby nie te kolory czy kształt. Przyłożył do ust fajkę, pyknął, ale z wypalonego cybucha powiało sadzą. Odkaslnął, wypluł posmak spalenizny, ostukał fajkę o krawędź futryny, resztki popiołu wyskubał długim paznokciem u małego palca. Schował fajkę do kieszeni grubej flanelowej koszuli, zapiął guzik.

– Wongieeer! – ryknął, a jego głos spłoszył jakiegoś nocnego ptaka, który zatrzepotał w ciemności niewidocznymi skrzydłami. – Dawaj samochód, już czas.

Wszedł za chałupę, przyciskiem na rogu włączył lampę, która rozświetliła podwórko pomarańczową poświatą. Nie było ani widno, ani ciemno, wszystko zdawało się unosić w zawieszaniu mętnych pomyj po czyszczeniu pędzla z farby. Odezwał się pies, tak samo agresywnie na widok właściciela, jak obcego. Dobry kundel, Lech pochwalił bestię w myślach za to, że nie uznawała nikogo. Zagryzłaby swojego z taką samą pasją, jak złodzieja. Lata uwięzi na krótkim łańcuchu zrobiły swoje, zamieniły milusińskiego szczeniaczka w obłąkanego potwora.

– Wongier! Cholera jasna, ile mam powtarzać?!

Syn wyłonił się zza wędzarni, zajadał świeżą rybę prosto z haka, chuchając, żeby się nie poparzyć.

– No, wyjeżdżaj wreszcie tym truckiem, trza załadować pakę. Dzie Czyngis?

– Nie wiem, pewnie jebie go pies.

Wągiel zaniósł się głośnym rechotem, do gardła wpadła mu ość ryby, śmiech płynnie przeszedł w kaszel.

– Kurwa, bym się udusił jeszcze – wyjęczał, z furią odrzucając hak z resztką ryby w pokrzywy pod garażem. Otworzył wrota stodoły, włączył światło, dużo mocniejsze i bardziej jaskrawe niż to na podwórku, wskoczył do kabiny białego transportera T5, zastukał rozgrzewający się diesel.

– A ty dzieś się znowu podziewał, Czyngis? – Stary wypatrzył w cieniu drugiego syna. Chował się, jakby miał nieczyste sumienie. – No choć, nic ci nie zrobię. No już, chyba nie bendziesz uciekał przed własnym ojcem, co?

Chory mężczyzna wyszedł z osłony cienia, drobnymi kroczkami zbliżył się do Dobrego. Czujny, w pełnej gotowości do ucieczki, gdyby nastąpił nagły atak. Bagażnik transportera huknął żelastwem rzuconym na blachę, Czyngis stracił koncentrację i natychmiast otrzymał cios w twarz. Niezbyt silny, ostrzegawczy.

– Na przyszłość, chłopcze. – Dobry celował palcem wskazującym w wybałuszone oczy syna. – Masz się trzymać obejścia, nie łązić, dzie diabeł ma młode, rozumisz? Gównu rozumisz, jakbym ci nasrał do głowy, tobyś miał wiency rozumu niż tera. Jazda, do roboty, trza załadować resztę!

Czyngis podbiegł do brata i zaczął wrzucać na pakę wcześniej przygotowane przedmioty.

Po krótkiej chwili ojciec podszedł do synów, którzy skończyli pracę i czekali na dalsze instrukcje oparci plecami o burtę trucka. Zmierzył ich wzrokiem, krytycznie pokręcił głową. Nie udał mu się ani jeden, ani drugi. Down i półgłówek, razem z psem na łańcuchu ledwo zebrałoby się mózgu na jednego normalnego człowieka. Żona przeklęła całą trójkę na łożu śmierci, miała rację. Nie było jej z nimi łatwo, musiał to przyznać, ale nie wybaczył jej, że zostawiła ich samych. Była młoda, dwa razy młodsza od niego, jak sobie ją brał. Młoda w chwili śmierci. Od kiedy to chłop umie wychować dzieci, tak żeby z nich coś porządnego wyrosło?

– Dobra, wycofuj, Wongier, i jedziemy. Czyngis, pozamykaj wszystko, załóż kłódki, spuść psa!

Rozeszli się do wyznaczonych zadań, ojciec ruszył do bramy wjazdowej. Chory syn był jedyną istotą na ziemi, której pies nie próbował rozszarpać. Pewnie traktował go na równi z sobą, dwa zaszczone zwierzęta bez piątej klepki. Nawet czwartej.

Po paru minutach siedzieli w kabinie trucka. Wągier za kierownicą manipulował pokrętełkiem radia, żeby wyszukać ulubioną stację radiową. Dobry przy drzwiach, drugi syn w środku. Z głośników popłynęła melodia disco polo, diesłowski silnik warczał ochoczo. Jechali przy zgaszonych światłach, unikając utwardzonych dróg. Nie było to zbyt skomplikowane. Ktoś, kto znał tutejsze tereny, praktycznie wszędzie mógł się dostać nieoficjalnie, tylnym wejściem. Schodząc z oczu policji i każdemu, kto chciałby się za dużo domyślać.

Narobić niepotrzebnych problemów.

Ojciec nabił fajkę świeżym tytoniem, przyłożył zapalniczkę i wciągnął płomień do środka. Po chwili cybuch zaczął się jarzyć, wypełniając kabinę upiorną poświatą ognia. Z zewnątrz wyglądało to tak, jakby w trzewiach stalowego golema rozpałało się życie. Wągier stukał palcami o kierownicę w rytm muzyki, podchwytywał znajome fragmenty i nucił razem z wokalistami. Co chwila zaczepiał brata, szczypiąc go lub szturchając w bok łokciem. Był podniecony, pełen energii, gotowy do akcji.

– Co, Mongoł, poruchałbyś sobie, co?

– Spier-dalaj!

– Nie ściemniaj, żeś się napalił na tego mendziarza z długimi klatrami, wpadł ci w oko, widziałem!

– Kces w ryj?!

– Zobaczmy, może se dziś poużywasz, pierdolniemy jakiegoś skurwysyna pedała, nie?

Chory mężczyzna zaniósł się gardłowym śmiechem przypominającym ujadanie psa. Jego twarz w blasku żarzącej się fajki przybrała formę maski z japońskiego teatru.

– Pedała, pierdolniemy pedała! – powtórzył za bratem.

– Zamknońc sie! – warknął ojciec i trzasnął obu synów na odlew dłonią w łeb. – Cisza, zara dojeżdżamy na miejsce. Skupić się, żeby mnie nikt niczego nie spartolił, jasne?!

Ucichli. Wągier wyłączył muzykę, posuwali się teraz w pomruku pracującego silnika. Las obejmował ich tak ciasno, że gałęzie najbliższych drzew ocierały się ze zgrzytem o szyby. Korony drzew zamknęły się nad nimi nieprzeniknioną kopułą. Dobry wyjrzał przez szybę, ale nie dostrzegł nawet najmniejszej gwiazdy.

Ciągle mu czegoś brakowało na niebie.

– Brakuje księżyca.

Ala wskazała niebo. Stała w oknie, w świetle ulicznych lamp widać było tylko połowę jej nagiej wychudzonej sylwetki, druga połowa znikwała w mroku. Dziewczyna składała się z wyciągniętego w górę ramienia, jednej piersi, wklęsłego brzucha i wzgórka łonowego z krótkim futerkiem. Twarz schowała się za rozpuszczonymi kręconymi włosami.

– Co?

Nie zrozumiał, jej głos wyrwał go z zamyślenia. Nie pamiętał, gdzie przebywał i co robił, ale było przyjemnie, lekko. Zawsze się tak przy niej czuł. Kiedy znajdowała się w jego pokoju, był u siebie.

– Nie ma księżyca, zniknął.

– Może się schował za chmurami albo świeci po drugiej stronie budynku. Jak niby miałby zniknąć?

Wzruszyła ramionami. Odwróciła głowę w jego kierunku, jej skóra lśniła jak szklanka mleka, oczy błyszczały niewidocznymi gwiazdami. Z głośników popłynęły słowa utworu *Pictures of You*. Postać Aliny nałożyła się na obrazki kobiet z przeszłości Andrzeja.

– Nie ruszaj się – polecił.

Sięgnął po szkicownik, włączył mikroskopijną latarkę na elastycznym pałaku i włożył ją sobie do ust, żeby oświetlić kartkę. Nadawała się do tego celu idealnie, pozwalała pracować, nie zabijając atmosfery chwili. Tworzył historię zainspirowaną pojawieniem się w jego życiu nowej kobiety. Cyber-fantasy rozgrywająca się w scenerii uwięzionego miasta. Wszystkim mieszkańcom pewnego dnia zabroniono wychodzić z domów. Obserwował uwięzioną bohaterkę, jej walkę o wolność, o życie, o prawo do śmierci. To miała być księga ludzkich uczuć.

– Już?

Ocknął się na dźwięk jej głosu, znowu pozwolił odpłynąć myślom.

– Nie, poczekaj, jeszcze moment.

Wrócił do pracy. Po paru minutach wstępny szkic był gotowy. Odłożył zeszyt, dokończy kiedy indziej, detale pozwoli mu odtworzyć tęsknota. Teraz wolał mieć Alinę dla siebie, w realnym świecie, nie w wyobraźni.

Melodia zmieniła się, teraz The Cure grało *The Hanging Garden*. Dziewczyna podchwyciła słowa, zaczęła skakać i śpiewać: *Fall fall fall fall / Into the walls*[2]. Pierwsza kobieta od studenckich czasów, która podzielała jego muzyczny gust. Już tylko za to wzniosłby ją na piedestał i udekorował kwiatami całej Holandii.

Podeszła do łóżka, nachyliła się i wyciągnęła coś z kieszeni szortów, zaszeleścił materiał. Usiadła na nim, wsunęła mu do ust pastylkę o obłym kształcie, drugą wzięła dla siebie. Popili wodą z butelki. Położyła się na nim, głowę wtuliła w szyję między ramieniem a głową. Spędzili ze sobą już kilkanaście nocy, ale jej bliskość wciąż go oszałamiała. Była doskonała, najcudowniejsza istota, z jaką miał kiedykolwiek do czynienia. Jej włosy pachniały wiatrem, piersi fiołkami, brzuch deszczem, cipka wanilią, stopy morską wodą. Wchłaniał wszystkie te wonie jednocześnie, odurzały go. Nie, to nie narkotyk tak działał, to ona.

– Skąd tyle tego bierzesz?

– Po co pytasz? Nie czujesz się po tym lepiej?

Czuł się doskonale, dopamina okazała się wehikułem, który przynosił go do krainy marzeń, zatrzymywała go tam na długie godziny. Ustępował wszelki ból.



Głowy – w miejscu, gdzie doznał urazu ponad pół roku temu w wypadku samochodowym. Ramienia – po postrzale przez koleżankę z pracy przed miesiącem. Był podziurawionym sitem, życie przepływało przez niego jak woda, pozostawiało po sobie same paprochy.

– Andrzej?

– Tak?

– Opowiadałam ci, jak byłam na wakacjach w Brazylii?

– Nie. Mów!

Uniosła się, usiadła. Sprężynki jej rudych włosów opadały na piersi, twarz rozświetlały źrenice oczu i błyski króliczych zębów. Pomarańczowe sutki przypominały dwa drobne języki ognia.

– Wstaliśmy wcześniej rano i poszliśmy na plażę Copacabana, słońce barwiło szczyty hoteli na czerwono, piasek miał kolor różu. Nikogo nie było, wyobrażasz to sobie? Tylko my, piasek i woda. Palmy. Pomyślałam, że ten poranek mógłby trwać wiecznie...

Ona i jej historie, serwowała mu je dziesiątkami. Uwierzył tylko w pierwszą, może jeszcze w drugą, częściowo. Później po prostu słuchał jej głosu, przymykał powieki i odpływał, wtedy naprawdę widział miejsca, do których go zabierała. Zdarzało jej się mylić miejsca i czasy, gubiła logikę i plątała się w treści, ale przestał zwracać na to uwagę. Domyślał się, że nigdy nigdzie nie była, może poza Olsztynem i paroma innymi zadupiami w regionie. Nic konkretnego o niej nie wiedział. Nie informowała go, sam nie zapytał. Bał się odpowiedzi, rzeczywistość ubrudziłaby ją, pokalała. Tak było dobrze, przebywali we własnym świecie na wymarzonych wakacjach.

To ona go zaczęła któregoś razu, kiedy mijał ją przy wejściu na klatkę schodową. Układała puzzle odwrotną stroną, białą wycinankę z kartonu. Zamienili kilka słów o poezji, brutalnie skrytykował jej uwielbienie Baczyńskiego. Mimo tego tej samej nocy zapukała do jego drzwi, stanęła w progu z tym swoim łobuzerskim wyrazem twarzy, wiecznie błąkającym się uśmiechem po zmajstrowanym psikusie. Z wścibskim, spiczastym noskiem upstrzonym milionem piegów.

Nie chciał jej wpuścić, była za młoda. Zbyt ładna mimo wyraźnych śladów przebytego nieszczęścia. Krucha, podatna na zarysowania. A on nie przynosił radości, kaleczył, zarażał śmiercią. Spoliczkowała go, kiedy próbował przemówić jej do rozsądku. Poddał się po jednym słabym uderzeniu w twarz. Wzięła go sobie,

była znacznie silniejsza. Może też bardziej trwała, niż mu się początkowo zdawało. Jej upór obiecywał przetrwanie.

– Andrzej...

– Tak?

Już prawie spał, ściągnęła go za nogi z nieba na ziemię.

– Dokąd mnie zabierzesz?

– Dokąd zechcesz. Na Kubę, będziemy oglądać stare cadillaki. Do Tajlandii, popływamy dżonką. Na Tasmanię, odnajdziemy ostatniego tygrysa tasmańskiego.

Wyobraził sobie te wszystkie krainy, bardziej ją niż siebie, on pasował tylko do ciasnego M3 w bloku na warszawskim osiedlu.

– Najbardziej chciałabym, żebyś mnie zabrał do domu.

Chwilę zajęło mu, żeby nadążyć za jej tokiem myślenia. Ona naprawdę go ściągnęła na ziemię w jej najbardziej prozaicznym wydaniu.

– Ale ja nie wiem, gdzie mieszkasz.

– Nie, ośle. Do naszego domu.

Zaszył się między drzewami w parku, czekał. Miejsce było ryzykowne, choć w mroku nikt nie był w stanie go dostrzec. Na głównej drodze panował ruch nawet nocą, co chwila ktoś zmierzał z jednostki wojskowej do kantyny. Powtarzały się nawoływania, po drugiej stronie parku rozbłyskiwały papierosy. Dzięki temu czuł jednak większe podniecenie, zagrożenie dodatkowo wyostrzało mu zmysły.

Potrzebował ich, wyszedł na polowanie.

W klubie trzasnęły drzwi, rozległy się męskie głosy. Ktoś schodził po schodach, w świetle ulicznej latarni zamajaczyła sylwetka. Facet przeszedł przez jezdnię, po szybkim marszu w dół Bema skręcił w lewo, minął kilka budynków i zniknął w zaroślach nieużytków za barakami starych koszar.

Trudno było wyobrazić sobie lepsze miejsce, zwierzyzna sama wystawiła się do odstrzału. Myśliwy przyspieszył, wszedł w krzaki pod nisko nachylonym konarem rozłożystego klonu. Zatrzymał się, nasłuchiwał, odgłosy marszu dochodziły z zachodu, wyraźnie szeleściła wysoka trawa i gęste chwasty. Ruszył biegiem, musiał dopaść ofiarę, zanim ta wyjdzie z ciemności. Znów szczęście, człowiek przystanął pod młodym drzewkiem, oparł się o pień i zaczął grzebać w gaciach. Łowca zwolnił, stanął mu za plecami. Wsłuchał się w plusk moczu, spokojnie pozwolił obcemu się wysikać, zapiąć rozporek.

Wtedy zagroził mu drogę. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, bezskutecznie starając się przebić mrok. Zaleciało alkoholem, pijak wybełkotał przekleństwo.

W odpowiedzi padł cios. Pod pijakiem ugięły się nogi.

Właśnie to go kręciło, przewaga, jaką nad nimi zyskiwał, słodki zapach wygranej, któremu każdorazowo towarzyszy odór porażki. Zwycięzca bierze w posiadanie zwyciężonych, taka była prawidłowość od zawsze. Pokonany przestaje być człowiekiem, staje się przedmiotem.

Myśliwy brał ich sobie na własność.

Histeryczna próba ataku, szarpanina, seria mniej precyzyjnych ciosów. Uniki, taniec wokół spanikowanej zdobyczy. Uderzenie wprost w kontur głowy, pięść naprowadzana świstem przyspieszonego oddechu. Chrząst łamanego nosa, rozbita warga, przecięty łuk brwiowy. Wciąż na stojąco, ofiara zadziwiająco długo pozostawała w pionie.

W oczach jeszcze tliła się nadzieja.

W wyciągniętej dłoni napadniętego zaszeleściły pieniądze.

– Bierz wszystko, nie mam więcej... – prosił.

Postąpił kilka kroków w stronę nieznanego mężczyzny, ale ten nie wykazał zainteresowania pieniędzmi.

– To czego chcesz?

Myśliwy w odpowiedzi zarechotał.

Strach w sekundę sparaliżował zdobycz, kopnięcie w brzuch powaliło.

Precyzyjnie mierzony cios butem zamienił twarz w jamę gębową. Zęby wbiły się w wargi i język, wysypały na ziemię. Zwierzyna już tylko charczała i kwiliła, zwinęła się w kłębek strachu. Im większa, tym większy lęk, oprawca pragnął zaszcześcić terror wielkości ziemi.

Nasyć się nim.

Usiadł okrakiem, przytrzymał głowę swojego łupu w żelaznym uścisku ramion. Z kieszeni wyjął przyrząd przypominający strzykawkę, zbliżył go do zakrwawionej twarzy. Stał wrzynająca się w skórę wywołała histeryczne konwulsje. Palce drapały ziemię, zrywając paznokcie o zastrzone kamienie, nogi orały grunt. Z krtani popłynęło dzikie rżenie odczłowieczonej istoty.

Ostatnia próba ucieczki przed nacierającym narzędziem, ale wbite w szyję i kark palce trzymały mocno. Dokładnie wyczuwały puls słabnącego życia, w każdej chwili mogły odciąć dopływ krwi do mózgu, powietrza do płuc. Myśliwy

z łatwością by zabił, gdyby chodziło o śmierć.

To była jednak gra o życie.

# ROZDZIAŁ 4

Oficer wyszedł na papierosa.

Od kilku dni trwała mobilizacja przed zaplanowanym poligonem z okazji 22 lipca. Z ćwiczeń właśnie wracały amfibie, w uszy wdarł się ryk ich potężnych silników. Olbrzymie koła sypały grudami zeschniętego błota, z korpusów zwisały gałęzie o pokurczonych, zwiędłych liściach. Hałas wrzynał się w umysł i resetował pamięć, można się było poczuć jak na wojnie, gdzie trzeba reagować na impuls, nie ma miejsca i czasu na analizowanie rozkazów. Proste życie ograniczone do wegetacji, podstawowych instynktów. Pokonać wroga, by samemu nie zostać pokonanym.

Zabić, żeby samemu nie zginąć.

Jego praca była dużo trudniejsza, stał na straży światowego pokoju. Nikogo nie interesowały stosowane metody, o ile przynosiły zadowalające efekty. Zło łatwo staje się dobrem, jeśli służy dobru wspólnemu. Bezpieczeństwu, równowadze sił, demokracji, prawom człowieka, racji stanu czy jak tam władza ubierze w słowa interes państwa. A ten jest zawsze niezmienny: wycisnąć jak najwięcej z ujarzmionych narodów, eksploatować zaprzyjaźnione kraje, sprzedawać jak najwięcej broni tym, których na nią nie stać.

Siać wiatr, żeby ktoś inny musiał zbierać burzę.

Tym razem jeden papieros nie wystarczył, wyciągnął z paczki kolejnego. Zapalił, uniósł głowę i wystawił twarz na słońce. Piekło, żar natychmiast wyciskał ze skóry pot. Nie taki skwar jak na południu lub wschodzie, w Afganistanie, ale wystarczający, by naładować baterie. Oficer walczył na pierwszej linii zimnej wojny, potrzebował energii.

Na drodze pojawił się dżip Żandarmerii Wojskowej, podjechał pod same drzwi do baraku. Ze środka wysiadł funkcjonariusz. Zasalutował, przedstawił się, zadał pytanie:

– Czy któryś z pana ludzi opuszczał przedwczoraj w nocy teren jednostki?

Nie miał do tego prawa, wiedział o tym. Trudno go było jednak winić za to, że próbował, taka praca. Świdrował oficera wywiadu zmrużonymi oczami, jakby go próbował prześwietlić. Kretyn, równie dobrze mógłby powtórzyć tę sztuczkę z blachą ołowiu, z podobnym skutkiem.

– Mogę sprawdzić na bramie – zagroził, spoglądając na wozy terenowe zaparkowane w otwartych hangarach.

Oba w kolorze khaki, z ledwo widoczną gwiazdą wymalowaną na drzwiach. Jednym z nich oficer udał się na spotkanie z dostawcą, o czym Polak zdawał się doskonale wiedzieć. Listę na bramie sprawdził najpierw, po prostu chciał wyciągnąć informację bezpośrednio ze źródła. Wbrew procedurze.

– Wszelkie informacje związane z moją działalnością są ściśle tajne. Mnie nie wolno ich zdradzać, panu o nie pytać – powiedział oschle oficer.

– Nie interesuje pana, co się stało?

Nie lubił przedstawiciela bratniej armii i w ogóle się z tym nie krył. Należał do tej części wojska, która nie tolerowała na swojej ziemi obcych żołnierzy, obojętnie – w roli przyjaciół czy wrogów. Tacy uznawali jego mundur za zagrożenie i mieli rację. On wiedział o tym najlepiej, dlatego też nie dostrzegął powodu, żeby darzyć sympatią podejrzliwego żandarma. Więcej, zaczynał go denerwować. Był natrętny, silnie kaleczył słowa, czekał w obcym języku jak pies.

– Nie – odpowiedział mu. – Nie wtrącam się w wasze wewnętrzne sprawy.

– Zaginęła miejscowa dziewczyna, spotykał się z nią ktoś z bazy.

– Sugeruje pan coś?

– W żadnym razie, przecież jesteśmy towarzyszami broni! – Żandarm uśmiechnął się półgębkiem, obnażył kilka żółto-brązowych zębów. – Dziękuję za pomoc.

Odwrócił się i dopiero wtedy machnął na pożegnanie. Zupełnie jakby pokazywał żołnierzowi sprzymierzonego państwa dupę. Nic więcej zresztą nie mógł zrobić, musiał zadowolić się prymitywnymi gestami. Oddział wywiadu pozostawał poza jurysdykcją polskiego wojska, podlegał tylko własnym zwierzchnikom. Krytycy mieli rację, stacjonujące w Polsce obce wojska stanowiły enklawę, państwo w państwie. Tolerowano je tylko dlatego, że były potężniejsze, bał się ich cały świat.

Oficer wrócił do biura, ale nie był w stanie skoncentrować się na robocie. Strzelali ślepakami czy naprawdę powzięli jakieś podejrzenia? Zdołali zebrać dowody czy tylko blefowali? Niepokoił się, choć powinien czuć się bezpiecznie,

pewnie. Nie mieli nad nim żadnej władzy.

Przecież był oficerem armii bratniego państwa.

Pierwszy własny zespół Andrzeja od trzech lat, kiedy wykopali go ze Stołecznej, bo nie wyrabiał targetów. Skazano go na banicję, włączył się po komendach wojewódzkich, wybierając co prostsze zadania, żeby się nie narobić. Ale trudne sprawy i tak zawsze go dopadały, kłopoty lgnęły do niego jak muchy do gówna. Śmierdział trupem, dlatego nikt nie chciał go zatrudnić, ale musiał jakoś dotrwać do emerytury, taka była umowa. Węgorzewo zdawało się zbawieniem, spokojnym miejscem na spokojny koniec kariery.

Niestety, gnojne muchy wyczuły go nawet tutaj.

Najpewniej wyczuły też jego ostatni zespół. Szkoda mu było chłopaków, harowali za psi grosz, babrając się w ludzkich odchodach.

– Dobra, panowie, po kolei – zaczął odprawę. – Janusz, co z topielcami?

Andrzej wyłączył się już po pierwszym zdaniu. Wiedział, że to sprawozdanie przybierze formę wykładu, z potoku słów zdołał tylko wyłowić liczbę ofiar, do tej pory osiemnaście.

– W tej chwili rozważa się przebadanie sprawy w kierunku możliwych powiązań ofiar narodowości rosyjskiej z działalnością szpiegowską – podsumował Nowik.

Andrzej o mało nie zakrztusił się własną śliną.

– Co proszę?

– Wpłynęła prośba o kopię akt sprawy z wywiadu wojskowego, zapowiadają swoją wizytę.

– Mówiłem już, że to zielone ludziki – wtrącił się Łokieć.

Z jego miny wynikało, że wcale nie żartuje. Inni kiwnęli głowami.

– Że niby Marsjanie? – Andrzej głośno sarknął. – Chyba wam wszystkim zaczyna odbijać z przepracowania, panowie.

– Niekoniecznie. Od dawna słyhać o aktywności na tych terenach rosyjskich służb wywiadowczych, mówi się o przygotowaniach do przyszłej inwazji.

Wiech zdawał się wierzyć w te propagandowe brednie jak w legendę o niepokalanym poczęciu. Andrzej nie był dobry w zagadnieniach religii, zdecydowanie preferował fakty.

– A biały szkwał pewnie wywołał Putin?

– A niby kto?

Andrzejowi zabrakło słów krytyki, co rzadko mu się zdarzało. Wrócił do odprawy.

– Jak już zabrałeś głos, Wojtal, to kontynuuj. Co z wypadkiem pod Kirsajtami?

O dziwo, Wiech nie zazgrzytał zębami ze złości, wcale nie potraktował dochodzenia jak kuli u nogi, o co chodziło Andrzejowi. Wżarł się w nie i zaczął rozwijać ciekawe wątki.

– Zidentyfikowaliśmy zwłoki, ale jeszcze nie udało nam się dotrzeć do rodziny, bierzemy pod uwagę ewentualność, że żadnej nie ma. Przeanalizowaliśmy rozmowy telefoniczne, przeprowadziłem wywiad z kilkoma osobami, głównie z pracy, nie utrzymywał zbyt wielu kontaktów towarzyskich. Zastanawiają dwa połączenia telefoniczne z babką, która nie przyznaje się do znajomości z denatem. Zamierzam pokopać głębiej, sprawa wydaje się rozwojowa.

– Rozwojowa? A nie miałeś przypadkiem szukać sprawcy potrącenia?

– Ja tam nie wiem, co się złapie na haczyk, tylko zarzucam wędkę.

– Sprawdzam zapis monitoringu w kilku lokalizacjach na szosach – wtrącił pomocnik Wojtala, aspirant Jar Mieczek, z jakiegoś powodu zwany Lujem. – Czekam też na rejestr z bramek na głównej drodze, ale drogowcy mają jak zwykle czas. Im trup nie gnije w szafie.

– Dobrze, ciśnijcie, żeby to jak najszybciej zakończyć, nie będziemy zeszkrobywać tygodniami szczątków z asfaltu, mamy ważniejsze sprawy. Janek?

Niańka spał na siedząco, z otwartymi oczami, co jakiś czas automatycznie kiwał głową, jakby aktywnie uczestniczył w dyskusji. Rzadka sztuka, którą opanował niemal do perfekcji. Jeśli zacznie jeszcze zadawać przez sen pytania pomocnicze, osiągnie mistrzostwo.

– Jan!

– Tak – ocknął się i od razu zaczął recytować sprawozdanie.

Usta ruszały się, ale w oczach wciąż widać było ciemność. Andrzej wsłuchiwał się w jego słowa dokładnie, co do tego śledztwa miał złe przeczucia. Aspirant przerwał po przedstawieniu zebranych faktów.

– Nie było telefonu z prokuratury?

Niańka pokręcił głową.

– Dobrze, tymczasem nie znaleziono zwłok, mamy jakby połowę dochodzenia, działamy na pół gwizdka. Jakies odciski palców?

– Fragmentaryczne na łańcuszku, kilka zestawów, jak na razie żadnego trafienia.



Krew wysłaliśmy do laboratorium, ale DNA będzie pewnie za dwa tygodnie, o ile dopisze nam szczęście.

– Okay, weź do pomocy Pawła i sprawdźcie zgłoszenia zaginięć, objeźdźcie okolicę. Wyślijcie zdjęcie łańcuszka do jubilerów w regionie, może ktoś rozpozna. Dostyc charakterystyczny przedmiot.

Przejrzał resztę papierów. Znalazł zgłoszenie ze szpitala w sprawie nocnej napaści. Przesunął kartkę w stronę Jara.

– Znajdziesz godzinkę w przerwie między gapieniem się w ekran.

Aspirant niechętnie wziął papier do ręki, prześledził treść wzrokiem.

– Ale tutaj jak byk widnieje adnotacja komendant, że pan ma się tym zająć.

– Co?

Bondar dokładniej przejrzał kopię zgłoszenia. Rzeczywiście, między bazgrołami Hula-Chłopa rozpoznał swoje nazwisko. Cwany babsztyl.

– W takim razie do roboty. Jak mi nie skończysz tej sprawy do jutra, Wiech, będziesz siedział na dyżurze przez weekend, nie żartuję!

Wstał. Wyszedł z sali konferencyjnej na końcu, usiadł za swoim biurkiem. Przyjrzał się stosowi dokumentów, ilość papierów przerażała. Połknęłyby go, przeżuły i wysrały pod stół, gdyby się do nich teraz zabrał. Wrzucił do torby laptopa i poczłapał schodami w dół, zamierzał złożyć najpierw wizytę w szpitalu.

W recepcji trafił na awanturę. Młoda kobieta darła się po rosyjsku na funkcjonariuszkę, która próbowała jej coś wytłumaczyć. Napakowany typ siedział pod ścianą z obitą głową, macał szczękę. Andrzej uchwycił błagalne spojrzenie policjantki, ale nie zamierzał angażować się w kłótnię, nie jego piętro.

Znał ten scenariusz na pamięć, w ciągu jego kilkutygodniowego pobytu w Węgorzewie powtarzał się prawie codziennie. Lokalne zbiry prowokowały turystów zza wschodniej granicy, ci dawali się sprowokować, dostawali po mordzie, po czym zgłaszali pobicie. Nie potrafili zidentyfikować sprawców, nigdy nie było świadków, więc sprawę oddalano. Jeśli ktoś się za bardzo domagał sprawiedliwości, udowodniano winę pobitego, policjanci po mistrzowsku opanowali sztukę czynienia sprawcy z ofiary. I nikt nie miał z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

Przecież do czynienia mieli tylko z Ruskami.

Wnętrze szpitala przypominało trupiarnię, orzechowe lamperie kontrastowały

z zielonkawymi kaflami, zalatywało lizolem. Ludzie oczekujący pomocy dogorywali w poczekalni, na straży porządku stała pielęgniarka tak wielka, jakby pozjadała wszelką władzę przynależną ludowi. Spiorunowała Andrzeja wzrokiem, gromkim głosem zapytała, co mu dolega. Wyraźnie wkurzył ją widok policyjnej legitymacji, jej autorytet nie znosił konkurencji. Warknęła do telefonu, wskazała schody na drugie piętro. Zdążył zniknąć za rogiem, kiedy puściła serię z pyska na cały szpital. W trzy sekundy ustawiła poczekalnię na kolejną godzinę.

Odszukał drzwi z odpowiednią tabliczką, grzecznie zapukał. Po dziesięciu sekundach poprawił, a wtedy drzwi rozwarły się z wyjątkową energią. Ukazała się w nich młoda, drobna lekarka przypominająca Małą Mi, w paskudnych okularach na długim, wrednym nosie. Tym razem uprzedził pytanie, od razu pokazał legitymację. Wyrwała mu ją z ręki, prześwieciła, kilka razy podejrzliwie zerkając na właściciela.

– Nadkomisarz?

Kiwnął głową, ale i tak nie uwierzyła. Spokoju nie dawał jej T-shirt z okładką albumu *Pornography* The Cure – trzema głowami płonącymi w piekielnych ogniach.

– Też tego słuchałam, jak miałam piętnaście lat – skomentowała.

Andrzej rozpoznał szyderstwo, ale nie podjął dyskusji, przeszedł od razu do sprawy.

– Nie mam za dużo czasu, możemy porozmawiać w normalnych warunkach?

– W normalnych nie, ale w moim gabinecie możemy. Zapraszam.

Pomieszczenie miało wielkość windy w socrealistycznym wieżowcu, kiedy usiedli, stykali się niemal kolanami. Lekarka wyjęła kartę, prześledziła ją wzrokiem, jakby zamierzała utrwalić sobie treść zapisów lub upewnić się co do wydanej diagnozy.

– Będziecie wszczynać postępowanie?

Utkwiła w nim napastliwe spojrzenie. To był atak, nie pytanie.

– Najpierw musimy zbadać okoliczności zdarzenia, zebrać dowody, potwierdzić zeznania...

– Czyli nie będziecie?

– Nie rozumiem...

– Już pan mnie dobrze rozumie, proszę nie udawać idioty. Wysłali od razu naczelnika wydziału, żeby ukreślić tej sprawie łeb, tak? Oboje dobrze znamy

metody działania w takich przypadkach, nadkomisarzu. Proszę więc być ze mną szczerzy.

Nie mógł być szczerzy, prościej było kłamać, naginać rzeczywistość. Doskonale orientował się w statystykach dotyczących podobnych przestępstw, absurdalnie niskiego poziomu wykrywalności i śmiesznie małej liczby zgłoszeń w stosunku do liczby napaści. System sprzyjał sprawcom, sprawiedliwość była tylko figurą retoryczną.

– Muszę najpierw porozmawiać z ofiarą. Zaprowadzi mnie pani?

Wstał, otworzył drzwi. Lekarka chwyciła go za przedramię, przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem.

– Proszę mi chociaż obiecać, że się pan postara. Proszę.

Odwrócił się, zachowując kamienną twarz. Za długo pracował w policji, aby z czystym sumieniem składać jakiegokolwiek obietnice, jeśli miałyby z tego wynikać kłopoty.

Przemierzyli korytarz, stanęli nad łóżkiem poszkodowanego mężczyzny. Andrzej zerknął na kartę, facet miał czterdzieści jeden lat, piwny brzusek i łysinę, zupełnie przeciętną twarz z wyraźnymi śladami pobicia. Złamane żebro, zwichnięta kostka, kilka wybitych zębów. Pewnie nigdy by się nie zgłosił do szpitala z własnej woli, znaleziono go nieprzytomnego w parku. Kłamał, że pokłócili się z kumplem i pobili, po czym zaniemógł w krzakach od dziesięciu browarów. Kiedy zobaczył w lustrze swój policzek, coś w nim pękło. Zamilkł.

Andrzej poprosił o zamontowanie parawanu, usiadł przy łóżku i nachylił się nad pacjentem.

– Panie Józwiak, jestem z policji – poinformował stłumionym głosem. – Czy opowie mi pan, co się zdarzyło zeszłej nocy?

Cisza, facet nawet nie uniósł powiek.

– Mamy powody przypuszczać, że został pan napadnięty. Zamierzamy wszcząć dochodzenie, ale potrzebujemy pana zeznania, okoliczności zajścia, rysopisu sprawcy... Panie Józwiak, potrzebujemy pana pomocy, żeby panu pomóc.

Stary, wyświechtany tekst policyjny, uczył go na pierwszych zajęciach w akademii. Twierdzenie jest bez wątpienia prawdziwe, lecz nie zawiera treści. Płytki frazes klepany w odpowiednich momentach jak paciorek. Mężczyzna jeszcze mocniej zacisnął powieki, odwrócił się do ściany, w pięściach zgniótł rąbki prześcieradła. Bezsilność, żal, wstyd, poczucie pełnego braku wartości. Wolałby umrzeć, niż pozwolić, żeby wieść się rozeszła po mieście.

– Może załatwić panu oddzielne pomieszczenie? Zadzwoń po psychologa?

Głośno westchnął. Każde jego słowo zadawało temu człowiekowi zbędny ból, rwało jego człowieczeństwo na strzępy. Ewentualna sprawa sądowa zabiłaby go, Andrzej był tego pewien. Teoria kontra rzeczywistość, ta lekarka nigdy tego nie zrozumie.

– Proszę się ze mną skontaktować, jeśli zmieni pan zdanie. Do widzenia.

Zostawił swój numer telefonu i wyszedł z sali, na końcu korytarza dostrzegł sylwetkę Małej Mi. Zawahał się, spojrzał do tyłu, musiały być jakieś schody ewakuacyjne, którymi mógłby uciec. Lub choćby otwarte okno, skacząc z drugiego piętra, może nie połamałby sobie nóg. Nawet upadek na beton z dziesięciu metrów byłby mniej niebezpieczny niż czyhająca na niego złoźnica. Niestety, był w potrzasku. Musiał ją minąć, choć swoim mikrym ciałkiem wypełniała całą szerokość przejścia. Miały szansę w pojedynku na pięści, ale jej krzyk powali go niczym broń hukowa.

– I co?

– Nic – rzucił, nie zatrzymując się. – Poszkodowany odmawia zeznań.

– Ja się domagam postępowania! – krzyknęła. – Żądam podjęcia działań!

Pchnął drzwi, wypadł na klatkę schodową, zbiegł w dół. Mała Mi wyskoczyła za nim.

– Ja zgłoszę skargę do województwa, do Warszawy! – nie przestawała wrzeszczeć. – Napiszę do prasy, wezwę telewizję! Będzie pan skończony, nadkomisarzu, skończony!

Zatrzymał się dopiero na zewnątrz budynku, usiadł na schodach. Zaswędziało go w gardle, nagle zapragnął szluga. W zafałszowanym świetle każdy przejaw prawdy zamienia się w mękę. Tym razem to on miał jednak rację, nie ona. Lekarka działała w dobrej wierze, domagała się sprawiedliwości, kary za popełnione czyny. Dobro się wynagradza, zło karze. A co robi się z niemym błaganiem o litość?

Andrzej nie musiał czekać na interwencję złoźnicy. Był skończony od dawna.

W jednym pani doktor się nie myliła, miał już dosyć kłopotów. Był przepracowany i przemęczony, ledwo radził sobie z bólem barku, szefowa doprowadzała go do szału. Do pełni nieszczęścia brakowało mu tylko awantury w mediach. Jak sobie ta wariatka chce, rozkręci sprawę na złość ofierze, sobie i całemu systemowi. Nieważne, ile będzie go to kosztować, ile zeżre wątlých

zasobów jego wydziału.

Wjechał na teren zakładu mechanicznego. Stanął niebezpiecznie blisko starych rzeźbów przeznaczonych do zezłomowania, za nimi rozciągało się cmentarzysko maszyn.

– Łocho, takiego egzemplarza to my tu jeszcze nie mieli! – Z garażu wyłonił się łysy majster w usmarowanych ogrodniczkach. – Chodź, zobacz, Tomcio, to będzie starsze od syrenki.

– A jakie szpetne, toć chyba kamaz ładniejszy! – dodał Tomcio, wąsacz parę centymetrów wyższy od Smolenia.

Z biura wyjrzał grubas w koszuli w kratę. Jak na warunki tego zakładu elegant i czyścioszek, pewnie właściciel.

– Szkoda jeszcze złomować, panie, zarejestrowałbym na zabytkowy – odpowiedział. – Na złoty starzyzny będzie jak ta lala.

Andrzej z uczuciem przyjrzał się swojemu krokodylowi. Wierny jak pies, choć mógł na nim polegać jak na kocie.

– Dzięki za troskę, jeszcze pojeździ.

– Pojeździ, pojeździ, ale co to, panie, za jazda? Pomyli się z kubłem na śmieci i go jeszcze śmieciarze zwiną, taki będzie z tego interes.

– Albo złomiarze przywleką go na wózku jak pralkę! – dorzucił łysy i zarechotali chórem.

Andrzej tracił cierpliwość.

– Nie chcę przerywać dobrej rozrywki, ale robota czeka.

– Gdzie? – wystraszył się Smoleń i rozejrzał wkoło.

Niepotrzebnie, w garażu stał tylko peugeot rozbierany na części. Robota dosłownie im się paliła w rękach, każdemu spomiędzy palców sterczał papieros.

Andrzej wyciągnął legitymację, nie miał czasu na głupie żarty.

– Policja. Podobno pracuje tu Witold Józwiak? – Właściciel pokręcił głową, a robotnicy natychmiast przypomnieli sobie o pracy, wrócili do garażu. – Stop, wracać mi tu! Jeśli nie, to czemu stoi tam jego samochód?

Elegant wzruszył ramionami, nawet nie patrząc na forda fiestę.

– Który z nim wczoraj pił? Przyznać się, bo zabiorę na dołek!

– Seba – bąknął Smoleń.

– Który to?

Łysy wskazał brodą młodego byczka, który segregował jakieś graty w głębi złomowiska.

– Sebaaa! – krzyknął i przywołał go ręką. – Policjaa!

Gnojek stanął w połowie kroku, odwrócił się i zaczął uciekać.

– Kurwa mać, serio?!

Andrzej jęknął i ruszył w pogoń. Złomowiec pędził szeroką aleją w pole, po obu stronach walały się karoserie samochodów, stosy opon i hałdy części. Chłopak skręcił przy samym płocie, zniknął za zakrętem. Miał pięćdziesiąt metrów przewagi, kiedy nadkomisarz dostrzegł go ponownie, pewnym tempem zmierzał do otwartej na oścież bramy, za którą rozciągał się rozkopany nieużytek, za nim rozpoczynał się las. Jeśli dopadnie drzew, zniknie i nie wiadomo, kiedy uda się go odnaleźć.

– Stój!

Krzyk na nic się nie zdał. Sto metrów, dwieście, nogi zaczęły twardnieć, a płuca rozpały się żywym ogniem. Sport nigdy nie był mocną stroną Bondara, w jego formie raczej zabijał, niż służył zdrowiu. Machnął ręką, nie był Dannym Gloverem, żeby przed emeryturą ganiać młodocianych sprinterów. Musiałby stać się cud, żeby dorwał zbira.

– Niech to wszyscy diabli!

Modlitwa poskutkowała. Z przodu rozległ się nagły krzyk, szczył upadł w trawę. Andrzej dobiegł do niego truchtem, szarpnął za T-shirt i pociągnął w stronę zakładu mechanicznego. Aresztował go na migi, ze zmęczenia nie mógł wykrztusić słowa.

Gnojek skręcił nogę, ledwo kuśtykał. I dobrze, i źle, z kaleką zawsze kłopot, ale chorego łatwiej złamać.

– Co wiesz o Józwiaku? – zapytał, jak tylko odzyskał głos.

– O jakim Józwiaku, chłopie? Zawieź mnie do szpitala, szybko!

– Chłaleś z nim wczoraj? Wpieprzyłeś mu?

– Pierdol się! Ja potrzebuję lekarza!

Andrzejowi też przydałaby się interwencja medyczna, ledwo dyszał. Ze stosu złomu podniósł kawał rury i zdzielił nią szczyła w nogę. Odpowiednio nisko, żeby poczuł to w chorej kostce.

– Au, kurwa, odbiło ci!? – Zamierzył się drugi raz, ale chłopiec pisnął: – Nie, nie bij, proszę!

I całe szczęście. Sam pewnie by padł po drugim uderzeniu. Żelastwo ważyło chyba z dziesięć kilo.

– Wiesz coś na temat Witka Józwiaka czy nie?

– Nie wiem, co mam wiedzieć?

– Co mu się wczoraj stało, na przykład. Przecież z nim piłeś.

– Piłem, ale tylko jednego, umówiłem się z laską.

– To po coś uciekał?

– Mandaty mam nieopłacone. Myślałem...

– Debil! Ciesz się, że nie mam siły, bo bym ci jeszcze raz przyłożył. Wstawaj, jedziemy na komendę, chłopcy z drogówki ucieszą się na twój widok.

– Nie! Wszystko powiem, tylko niech mnie pan nigdzie nie bierze.

– Przecież nic nie wiesz.

– Tak tylko mówiłem, bo co będę kablował na kolegów. Józwiakowi czasami odbija po pijaku. W dupę klepie i jak się obok szcza, to na fujarę zagląda. Takie żarty, bo pedzia by gołymi rękami zabił, jakby dorwał. Może się jednak ktoś wreszcie wnerwił i go skopał.

– O tym nic nie wspominałem, kto ci powiedział?

– Że mu patelnię obili? Każdy słyszał.

Każdy, ale policja najmniej i na końcu. Ciekawe, skąd bierze się brak zaufania obywateli do władzy. Andrzej sięgnął po telefon, wybrał numer komendy.

– Potrzebuję radiowóz na złomowisko przy Armii Krajowej dwanaście, opór podczas próby zatrzymania.

– Skurwysynu, obiecałeś! Jeszcze cię dorwę, mendo!

– I napaść na funkcjonariusza na służbie.

Konieczna była rozmowa z żoną Józwiaka, nowe fakty rzucały zupełnie inne światło na sprawę. Andrzej skręcił w jezdnię wyłożoną trylinką, dojechał nią do Kopernika. Zaparkował pod czteropiętrowym blokiem, wysiadł. Poskładane z prefabrykatów kłocę domów w celu zaklęcia brzydoty pomalowano w jaskrawe prostokąty, pomarańczowe na żółtym tle i zielone na jasnozielonym. Przypominały fantazyjną ceratę na stół kuchenny.

Wcisnął przycisk domofonu, odpowiedział mu kobiecy głos, rozbrzmiał dzwonek. Wszedł do środka, wdrapał się na trzecie piętro, przeklinając geniusz

inżynierów stawiających bloki bez wind. W drzwiach czekała na niego gospodyni, całkiem atrakcyjna brunetka w fartuchu w szkocką kratę z emblematem Knorra.

Gotowała, coś skwierczało na patelni, z kuchni ulatniała się para. Przedstawił się, kobieta potarła dłonie, jakby zastanawiała się, czy podać mu dłoń, czy dać w pysk. Za to, że w ogóle ośmielił się złożyć jej wizytę. Wpuściła go z ostentacyjną niechęcią, wróciła do kuchni i kontynuowała robotę, nerwowo dłubiąc drewnianą łyżką w parującej potrawce.

– Czy zna pani okoliczności ataku na pani męża? Czy wspominał coś, opowiadał, przekazywał jakiegokolwiek szczegóły?

– A co miał gadać? Pokłócili się z koleżką przy kielichu, poszarпали się trochę, jak to normalne chłopy. – Posłała policjantowi krytyczne spojrzenie.

Widocznie długie włosy i rurki nie kwalifikowały go do wymienionej kategorii.

– Pani Józwiak, to jest poważna sprawa. Zamierzam wszcząć oficjalne postępowanie, ale potrzebuję informacji. Gdzie był, z kim, o której godzinie? Cokolwiek.

Na każde pytanie kręciła głową. Andrzej bez pytania o zgodę zdjął z drucianej suszarki szklanę, nalał sobie wody z kranu i usiadł na krześle. Wypił połowę naraz. Chłód spływał do żołądka, przyjemnie ziębił. Gdyby w ten sam sposób mógł schłodzić mózg, zanim się przegrzeje...

– Widziała pani jego policzek? Takich rzeczy nie robi się w wyniku zwykłej bójki.

– Nie wiem... Może to głupie żarty, chłopom lubi odbijać po wódce.

– Tym normalnym? Wyjątkowe poczucie humoru, nie?

Nie odezwała się. Zagryzła wargi, jakby starała się na siłę zatrzymać w ustach słowa. Andrzej kontynuował:

– Pani Józwiak, czy mąż zachowywał się inaczej, w sensie... – To było trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Prościej rozmawiałoby się o denacie. – Czy Witek przejawiał zainteresowania homoseksualne?

– Jak pan śmie!

– Do kurwy nędzy! Jest gejem albo nie!

Kobieta uniosła drewnianą łyżkę niczym oręż. Ręka zadrżała jej, ale nie uderzyła. Andrzej wycofał się, w przepaszającym gości uniośł dłonie.

– Nie możemy tego tak zostawić, pani Józwiak, udawać, że nic się nie stało. Nieważne, czy Witek zawinił, czy nie, musimy ukarać sprawcę.



Odwróciła się do kuchenki, oparła zaciśniętymi pięściami o krawędź półki. Z oczu wysypały się łzy, wsiąkały w przypalającą się potrawkę. Płakała bezgłośnie, nie wykonując żadnego gestu, samymi oczami.

– Jeśli mi pani pomoże...

– Nie! – odmówiła stanowczo. Powtórzyła to kilkukrotnie, za każdym razem głośniejsz. Od ostatniego wrzasku zabrzęczało szkło, a kobieta utwierdziła się w swoim przekonaniu. – Ja nie wiem, o czym pan mówi. Witek pobił się ze znajomym. Wyliże się z tego, zapomni...

– Pewnie, a później dadzą sobie z napastnikiem całusa na zgodę i będzie cacuś?

– Wypieprzaj! Wynoś się z mojego domu! Wynocha!

Ciśnienie jej krzyku wypchnęło go z kuchni na korytarz, stamtąd na klatkę schodową, omal nie potknął się i nie runął w dół. Poziom wstyd, strachu przed napiętnowaniem i zakłamania wywołał w nim szok. Oni wszyscy będą teraz odgrywać swoje role, udawać, że to się nigdy nie stało. On będzie gardzić sobą, ona nim. Pogarda zamieni się w nienawiść, ta w czyn. Zniszczą się, żeby za wszelką cenę stłamsić prawdę.

Wsiadł do saaba, uruchomił silnik. Wykręcił w telefonie numer do Niańki, czekał kilkanaście sekund, aż ten odpowie.

– Weź, Janek, Chmiela i przejdźcie się do archiwum. Wybierzcie akta sprawców po długoletnich wyrokach, recydywistów też. W drugiej kolejności homofobów.

– Czego szukamy?

– Mężczyzny, który nienawidzi mężczyzn.

Teoria bijatyki między kolegami nie miała podstaw. Jeśli rzeczywiście w grę wchodził motyw homoseksualny, Andrzej wolał poradzić się najlepszego fachowca w mieście. Skierował się do przystani, saaba zatrzymał tuż pod znakiem zakazu parkowania.

– Dzie! – Z biura portu wyskoczył oślizgły typ. Miał koszulę rozpiętą do pępka, ale na spocony łeb włożył czapkę przypominającą te noszone przez admirałów. – Nie widzisz zakazu?! Wypierdalaj tym klaprem!

Andrzej bez słowa wygrzebał z tylnego siedzenia kamizelkę odblaskową z napisem „Policja”, którą zawiesił na siedzeniu kierowcy tyłem do przodu, lizak położył na przedniej szybie. Na widok insygniów władzy grubas wybełkotał przekleństwo, ale grzecznie wycofał się do swojej kanciapy.

To był jeden z przywilejów Bondara jako oficera policji. Jak również możliwość wykorzystywania ludzi, którzy mają coś do ukrycia. Michaśka miał, skubał szefa, kombinując z rachunkami, wynosił z baru wódę, jarał gandzię i wciągał białe.

Andrzej wpadł do restauracji, wypatrzył go, kiedy akurat wchodził do kuchni, wszedł za nim.

– Bondy? Co ty tu robisz? – Kelner wydawał się wystraszony. Zbroił coś albo nadkomisarz wyglądał strasznie.

– Węsę, a tu wyjątkowo cuchnie. Zbieraj się, Michał, jedziesz ze mną. Potrzebuję informatora.

– Co? Przecież jestem w pracy.

– Pstro! Zwalaj ten fartuch, zakładaj kieckę i pudruj nos, jedziemy w miasto. Szef! – Zza filara potężnego okapu wyjrzała główna kucharka w niebieskiej siatce na okrągłej czerwonej głowce. – Zabieram go na komendę!

Machnęła warząchwią, jakby w ogóle jej to nie obchodziło. Musiała mieć kelnerów w bród, a w razie czego mogła sobie usmażyć na patelni nowego. Opuścili lokal tylnymi drzwiami, obeszlą góry śmieci w czarnych workach, z których wyciekała oleista substancja w kolorze grochówki, i ścianę skrzynek po piwie piętrzących się na wysokość dachu. Wsiadli do saaba, wyjechali na drogę.

– Jezu, nadkomisarzu, chyba nie będziemy tym jeździć po Węgorzewie? Będziemy? Trzeba było już lepiej wziąć radiowóz drogowki, byłby mniejszy obciach. Bić będziesz? Nie? Gwałcić?

Pajac. Za to głupie gadanie Andrzej mógłby naprawdę dać mu w niewyparzoną gębę.

– A co, morda cię swędzi? To uważaj, bo się jeszcze doigrasz. Właśnie zgłoszono mi poważną napaść. Skatowany mężczyzna z dziwacznym urazem twarzy. Zakładam motyw homofobiczny. Coś ci to mówi?

Michał nagle spiął twarz, odwrócił się do okna.

– Wiesz coś czy nie?

Wzruszył ramionami. Zaciśnął zęby jakby z obawy, że puści parę.

– To jeden z was? Kurwa mać! – Andrzej zahamował, chwycił kelnera za włosy i szczękę, przyciągnął do siebie, zbliżył twarz do jego ucha. – Jeśli nie zaczniesz gadać, każę ci obić mordę, a później zrobię nalot na chatę. Zobaczymy, ile znajdziemy dragów. Pójdiesz pod celę, a grypsiarze zrobią z ciebie ścięgę na spermę.

Puścił, odsunął się. Michał pogładził się po szczęce, poprawił misternie ułożoną fryzurę. Przybrał zniesmaczoną minę.

– Jedzie ci z ust, Andrzej, myłeś zęby? Faj!

Bondar wstrzymał na chwilę oddech, zacisnął dłonie na kierownicy, aż zbieleły mu knykcie. Rozważał najgorsze opcje, włącznie z morderstwem i pozbyciem się zwłok, potrafiłby to zrobić bez śladu. Michaśka dostrzegł w nim chyba pragnienie krwi, bo zmienił taktykę.

– A nie lepiej poprosić, nadkomisarzu? Jak mógłbym odmówić pomocy stróżom prawa.

– Nie przeginaj!

– No dobra, Dżizas, co w ciebie wlało, Bondy? Słyszałem coś, plotki, nic pewnego. Ktoś tam podobno dostał to, na co zasłużył. Został, jak to się mówi w niektórych kręgach, naznaczony.

– Kiedy to było?

– Nie wiem, parę miesięcy temu. Przecież mówiłem, to tylko plotki.

– W takim razie mielibyśmy co najmniej dwie ofiary.

To mogła być większa sprawa. Andrzej wrzucił bieg, włączył się do ruchu. Michaśka zmienił pozycję na niemal leżącą, wyraźnie chował się przed oczami mieszkańców miasta. Jak baba, kobiety marudziły i kręciły nosem na widok stylowej sylwetki saaba, ale ostatecznie wchodziły do środka i siedziały spokojnie. Ten pajacował.

Był jeszcze gorszy od baby.

– Masz jakieś podejrzenia?

– Mogę mieć. Jest w okolicy paru kryptogejów. No wiesz, frustratów, co to nie mogą pogodzić się ze swoją seksualnością. Nazywamy ich „błędne ognie”. Starają się prowadzić normalne życie, mają żony, dzieci, gromadę kumpli. Ale nigdy nie wiedzą, w którym momencie i miejscu zapłoną. Odbija im i napadają swoich, żeby wydać ich światu. Myślą, że przez to sami zostaną w cieniu.

Tak, Andrzej słyszał o tym syndromie. Kryzys tożsamości. Najlepszymi poganiaczami niewolników byli Murzyni, najbardziej zawziętymi antysemitami Żydzi, największymi homofobami ukryci geje. Czy ktoś z nienawiści do własnych skłonności mógłby w ten sposób naznaczać ludzi? Raczej bić, w ostateczności zabijać. Prędzej stawiałby na zwichrowanego typa po wyroku.

Psychopatę.

Zatrzymali się przed komendą, Andrzej kazał Michaśce iść przodem.

– Ależ nadkomisarzu, chyba mnie pan nie aresztuje?

– Nie wkurzaj mnie, Michał, jestem na skraju wytrzymałości, ostrzegam!

Wepchnął chłopaka przez drzwi, kątem oka zauważył dwóch policjantów z drogówki, opierających się o bok radiowozu. Jeden z nich sugestywnie wsadzał sobie do ust palec, językiem wypychając na zewnątrz policzek. Andrzej zignorował to, ale zapamiętał gębę posterunkowego. Jeszcze będzie miał okazję dobrać mu się do dupy.

Weszli na piętro, Andrzej wpuścił informatora do gabinetu i przyjrzał się grupce smutnych mężczyzn stojących przed salą konferencyjną. Jeden z nich miał na sobie mundur wojskowy, reszta czarne garniaki. Żandarmeria Wojskowa?

– O, Bondar! – Z sali konferencyjnej wyłoniła się komendant Chłopska. – Podejź no tu na chwilę, możesz się przydać.

Podreptał w kierunku szefowej, po drodze wsunął głowę do biura podwładnych, Lujowi polecił zweryfikować informacje od Michała. Zbliżył się do szefowej, uściśnął wyciągnięte dłonie. Wszyscy mieli sylwetki, jakby połknęli kij. Raczej wada nabyta niż wrodzona, każdy wyglądał na obecnego albo byłego trepa.

– Nadkomisarz Andrzej Bondar – przedstawiła go, kładąc akcent na „Bond”. – Nasz agent specjalny. Wojskowi zarechotali półgębkiem. – Panowie reprezentują Służbę Kontrwywiadu Wojskowego.

Więc gorzej niż zwykle trepy. Andrzej wysłuchał imion, nazwisk i stopni, ale żadnego nie zapamiętał. Na zaproszenie Hula-Chłopa zajęli miejsca wokół stołu, po chwili dołączył do nich Janusz Nowik i zastępca szefowej podinspektor Zenek Zioło, z wiadomych przyczyn zwany Marychą. Miał jeszcze przybyć przedstawiciel Straży Granicznej, ale się spóźnił.

– Może zaczniemy – zasugerował typ w mundurze. – Mamy jeszcze dzisiaj parę wizyt.

– Ależ oczywiście! Aż mnie łaskocze w palcach, żeby poznać przyczynę panów odwiedzin.

Andrzej przypuszczał, że zacznie drapać się czerwonymi szponami, ale się pomylił, komendant zachowywała się tym razem taktownie. Był za to pewien, że zdjęła pod stołem buty i siedziała boso. Jeden z krawaciarzy wydobyl z aktówki teczkę z jakimiś dokumentami, kilka z nich rozłożył na stole.

Zaczął:

– Jak wszyscy pewnie wiedzą, zajmujemy się przeciwdziałaniem aktywności wywiadowczej państw wrogich. Duży nacisk kładziemy na obserwowanie sytuacji na granicy z obwodem kaliningradzkim, a od jakiegoś czasu docierają do nas coraz bardziej niepokojące informacje. Sprawozdania, które nam dostarczyliście, zdają się tylko potwierdzać nasze najgorsze domysły. – Zrobił pauzę, żeby komunikat, który zamierzał przekazać, wywarł odpowiednie wrażenie. – Otóż, proszę państwa, Rosjanie przygotowują się do inwazji na Polskę.

Andrzej parsknął śmiechem. Wzrok ośmiu par oczu wtłoczył go w oparcie krzesła, w odpowiedzi rozłożył ramiona w geście kapitulacji. Krawaciarz z wywiadu kontynuował, tym razem głównie dla jego wiadomości.

– Oczywiście, wiele wpływowych środowisk krytykuje nasze analizy, nie przyjmuje wniosków, zachowuje daleko idący sceptycyzm. Szczególnie bryluje w tym lewicująca opozycja, jak to niektórzy mówią – lewitująca. – Salwa stłumionego śmiechu. – Co, niestety, może nas wiele kosztować. Jeśli w porę nie wprowadzimy odpowiednich środków zaradczych, będzie za późno.

– A można wiedzieć, w jaki sposób wiąże się to z działalnością naszej komendy? – Podinspektor Marycha też mógł sprawiać wrażenie sceptyka.

Nic bardziej mylnego, na ścianie domowego salonu miał portret przodka z oddziału WiN. Po prostu był zavalony robotą i wściekły, że musi uczestniczyć w spotkaniu.

Głos zabrał kolejny agent w garniturze. Przed wypowiedzią złożył dłonie w piramidkę, co miało chyba oznaczać, że mówi prawdę.

– Jeden z wyłowionych po białym szkwale mężczyzn, niejaki Jurij Akinfiejew, obywatel Rosji, miał na sobie strój płetwonurka. Może i nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że nurkował nocą. Niedaleko miejsca, gdzie zlokalizowany jest podwodny złom radzieckiego sprzętu wojskowego. Poza tonami bezużytecznego żelastwa zawierający też tak zwane kapsuły czasu.

– Wiadomości dla obcej cywilizacji?

Hula-Chłop kopnęła Andrzeja pod stołem w nogę. Miał rację, ściągnęła buty.

– Nie. Doskonale zakonserwowana broń, środki łączności i inny sprzęt, który przeznaczony był do przyszłych działań zaczepnych na terenie wroga. Intencje Putina poznaliśmy na Ukrainie, gdzie najpierw wywołał konflikt wewnętrzny, a następnie wojnę. Podobny scenariusz może nastąpić u nas.

– Myślałem, że Majdan wszczęli przeciwnicy Rosji, nie Rosjanie.

Facet w mundurze nastroszył węża, wymierzył w Andrzeja palec z przydługim

wypielegnowanym pazurem. Gdyby to był prawdziwy pistolet, pewnie by strzelił.

– Zgodnie z tą logiką Polska wywołała drugą wojnę światową, a żołnierze wyklęci byli terrorystami i bandziorami!

A nie byli? – Andrzej zadał nieme, retoryczne pytanie. Wolał przemilczeć swoje wątpliwości. Ci ludzie naprawdę mogli się na niego wziąć, przeświecić go, aresztować, zmusić do wyznania win i skazać za zdradę stanu. W końcu całkiem niedawno spoufalał się z największymi wrogami.

– Reasumując – kończył wykład agent, który zaczął – zamierzamy objąć specjalnym dochodzeniem działalność rosyjskich służb specjalnych na tym terenie. Jeśli stworzyli tutaj siatkę lojalnych wobec siebie grup dywersyjnych, rozpracujemy ją. Rozbijemy. Winnych osądzimy lub wydalimy z kraju.

Wstali, ukłonili się jak aktorzy po spektaklu, uściśnieli dłonie i wyszli. Pozostała trójka wbiła oskarżycielski wzrok w Andrzeja, który poczuł się jak w sali sądowej.

– No dobra, zwracam honor, przyznaję Wiechowi rację. Zielone ludziki żyją wśród nas.

– Ty powinieneś pracować w cyrku, nie na komendzie, Bond, minąłeś się z powołaniem. Prawdziwy klaun z ciebie.

– I chuj, żeby tak szydzić z wartości – zawtórowała swojemu zastępcy pani komendant. – Ty masz w ogóle jakiegokolwiek poczucie więzi z narodem, patriotyzmu?

Andrzej przyjrzał się swoim kolegom z policji. Następnie objął myślami pozostałych pracowników komendy, dalej wszystkich ludzi, których spotkał w Węgorzewie w ciągu ostatnich czterech tygodni. Jeśli to miał być ten mityczny naród, to nie, nie miał z nim nic wspólnego. Był patriotą, ale z tych, co to srają we własne gniazdo, bo nie podoba im się, jak wygląda. Nie widział jednak najmniejszego sensu podejmowania dyskusji.

– Czy mogę się odmeldować? W biurze czeka na mnie informator.

– Nie, nie możesz! – Marycha trzasnęła dłonią w stół. – Co za bezczelny typ, skąd ty go w ogóle wzięłaś, Ula, przecież to przechodzi ludzkie pojęcie!

Hula-Chłop głośno fuknęła i odprawiła nadkomisarza gestem dłoni.

– Stop! – nakazała, kiedy otwierał drzwi. – I ostatni raz widzę cię w tych łachmanach z szatanami i satanistycznymi krzyżami. Co ty, masz siedemnaście lat? Od jutra elegancka koszula, krawat i spodnie w kant, bo ci wpierdolę naganę. Jasne?

Trzasnął drzwiami. Przywołał w pamięci liczbę miesięcy, tygodni, dni i godzin, które dzieliły go od zakończenia kariery. Robił to, ilekroć miał ochotę chwycić służbowego glocka i rozpieprzyć tyle głów, w ile zdoła wycelować. Z obecnej perspektywy nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że jeszcze parę lat temu traktował pracę w policji jak całe życie. Zmarnował na nią swoje najlepsze lata. Miał na koncie więcej osiągnięć niż kilka takich powiatowych komend razem wziętych, ale i tak był tylko organem w układzie pokarmowym lewiatana. Niedomagającym trybikiem.

Wszedł do swojego gabinetu, usiadł za biurkiem. Michał rozwalił się na krześle i bawił się komórką, z nudów przyklapnęły mu nawet włosy na głowie. Andrzej potrzebował paru sekund, żeby przypomnieć sobie, po co go tam sprowadził.

– Luja nie było? – zapytał.

Michaśka lubieżnie oblizał wargi.

– Był, i to jeszcze jaki!

No tak, Witkowski nazywał w swoich książkach lujami heteryków podrywanych przez cioty.

– Wziął ode mnie listę i zniknął, cham nawet na mnie nie spojrzął.

Andrzej zrezygnował z wzywania podwładnych do siebie, i tak byli wściekli, że muszą współpracować z gejem. Gdyby kazał im siedzieć z nim w jednym pokoju, ktoś mógłby zginąć. Sam musiał się do nich wybrać. Wstał, podszedł do drzwi, usadził Michała na miejscu, kiedy ten próbował iść za nim.

– Ty zostajesz. Jak będziesz grzeczny, zjemy później razem kolację.

– Mniam!

Jar przywitał go miną wkurwionego buldoga, pewnie się bał, że zostanie zainfekowany gejostwem. Bez zbędnych debat prześledzili sporządzoną przez informatora listę podejrzanych, dokonali selekcji. Ustalili szczegóły akcji.

Na korytarzu zaczęła go sekretarka, wręczyła mu koperty dostarczone z laboratorium. Dane odzyskane z telefonu znalezione w lesie. W jednej znajdowała się lista kontaktów. W drugiej gruby jak kciuk plik zdjęć. Przewertował je szybko, trafił na selfie – fotografię młodej atrakcyjnej kobiety na tle ceglanych ścian i łukowatego sklepienia. Na szyi połyskiwał jej gruby na palec złoty łańcuch.

Cofnął się do biura. Nie zważając na zaciekawione spojrzenie Michaśki, wrzucił koperty do szuflady biurka. Przekręcił zamek, klucz wrzucił do kieszeni spodni.

Zabezpieczył strategiczne dowody w sprawie.

Wojtał zbliżył twarz do monitora, po czym odsunął ją na normalną odległość. Przetarł oczy rąbkiem T-shirta, na granatowym materiale zostały plamki łez. Wpatrywał się w ekran przez pół dnia, falował już nie tylko obraz z monitora, ale cały pokój. Czuł się jak po pół litra czystej, gdyby w tej chwili wstał z krzesła, pewnie zatoczyłby się na ścianę. Właśnie w ten sposób policja robi z niewinnych funkcjonariuszy nałogowych pijaków.

Zamrugnął, jeszcze raz dokładnie przyjrzał się zatrzymanej klatce monitoringu. Nie był w stanie odczytać numerów rejestracyjnych wozu ani rozpoznać kierowcy, ale łatwo zidentyfikował auto. Niewiele takich jeździło w okolicy, a już w szczególności tą trasą, akurat o tej godzinie. Wydrukował ujęcie, dołączył je do pliku pozostałych zdjęć. Oparł się o zagłówek krzesła, położył nogi na biurko, ręce splótł na karku. Przymknął powieki, ale wir wokół niego nie ustał, teraz falowała ciemność.

– Miło patrzeć, że ktoś ma czas się opieprzać – skomentował Luj.

– Przywileje wyższego stopnia, aspirancie – odparował Łokieć. – Awansujesz, to też będziesz walił w chuja. Chyba że już teraz w jakiegoś walnąłeś?

Wyszczrzył zęby i wskazał brodą ścianę, za którą mieściło się biuro nadkomisarza. Ciągle siedział w nim nowy informator, Michaśka.

– Sam się wal, Wiechu, nawet nie byłem w środku.

– Co nie byłeś, co nie byłeś? A zresztą co za różnica? Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, tolerujemy każde kalectwo. Jakies newsy?

Luj zwalił się na fotel na kółkach, oparcie zaskrzypiało pod jego ciężarem. Głośno sapnął, pokręcił głową.

– Będziemy robić akcję, mamy zasadzić się na jakiegoś pedzia. Niby napastnik, ale ja w żaden napad nie wierzę. Jebią się między sobą w kanalizację, później kłócą i tłuką po mordach, każda patola jest taka sama. Kompletnie mu odpieprzyło!

– Cipie?

Luj przytaknął.

– Od początku był jakiś zwarzony, wystarczy mu się przyjrzeć, posłuchać. Co się dziwić, nikt inny na takie zadupie nie przyjdzie, zawsze wysyłają zjebów albo skończonych frajerów.

Przez chwilę milczeli, kiwając głowami, jakby jeden gest w tym wypadku nie wystarczył, przyznanie racji wymagało skomplikowanego rytuału. Poza tym obaj byli zmęczeni, gdyby marzenia przybrały obraz komiksowych dymków, wypełniłyby je puszki piwa, ślaska z grilla i mecz w telewizorze. Raj prawdziwego



mężczyzny.

Z zamyślenia pierwszy ocknął się Łokieć, zdjął nogi z biurka i usiadł w klasycznej pozycji, rozłożył wydrukowane zdjęcia. Dwa wskazał Lujowi. Ten przyjrzał im się, ale po kilku sekundach zdeorientowany podniósł oczy.

– Każesz mi wybierać, czy co?

– Nie tobie, kretynie. Trzeba sprawdzić oba wozy. I jeden, i drugi poruszały się w tym samym czasie tą samą trasą. Oba na tyle masywne, żeby przemielić człowieka.

– Wiemy, do kogo należą?

– Tir do firmy transportowej z Mrągowa. Na razie odmawiają wyjaśnień, a wóz jest na załadunku w obwodzie. Trzeba skonsultować z prokuraturą i wysłać nakaz, niech go zatrzymają na granicy, w drodze powrotnej.

– W drodze powrotnej? – Luj prychnął, opluwając sobie przy tym brodę. Otarł się rękawem koszulki. – Będzie odpicowany jak lampucera na mszę, Ruscy potrafią nawet czołg wyklepać.

– To będziemy wiedzieli, że coś jest nie tak, bo kabina za ładna. Przyciśniemy kierowcę, może pęknie.

„Może”. Obaj aż za dobrze znali ten termin. Jeden z najpopularniejszych w policji, obok „podejrzewamy”, „zrobimy, co w naszej mocy” i „bardzo nam przykro”. Podstawowy słownik gliniarza nie różni się wiele od mowy praludzi, zmieściłby się na kartce w kratkę wyrwanej z kieszonkowego notesu.

– A ten SUV?

– No właśnie, Jareczku, SUV. Nic ci ta toyota nie mówi?

Luj przybrał minę, jakby i ten zestaw słów był dla niego zbyt trudny. Nagle zaskoczył.

– Cycata raszpla, u której wczoraj byłeś?

Łokieć kiwnął głową, uśmiezek zadowolenia przedzielił mu twarz w poprzek, sięgnął do samych uszu.

– Ty to jednak masz nosa, Wiechu. Jak na to wpadłeś?

Podkomisarz niedbałym ruchem poprawił spodnie w kroku. Młodszy stopniem kolega wyraził podziw. Od dawna mówiło się, że Łokieć kieruje się zdaniem swojego fiuta i zazwyczaj dobrze na tym wychodzi.

– Tak to już jest, Jarek, co ja ci na to poradzę. Każdemu według potrzeb, dlatego mnie się trafiła babka ze sztucznymi cyckami, tobie homoś.

– Wal się!

Odwrócili się przodem do swoich monitorów, zajęli się pracą. Aspirant niechętnie, ze skwaszoną miną, za to podkomisarz z widoczną iskrą w oku. Gówniana sprawa, którą złośliwie przydzielił mu Bondar, zaczęła kiełkować. Oczami wyobraźni widział już, jak rozwija się w pędy, kwitnie, a Hula-Chłop zwija z nich wieniec laurowy, żeby udekorować mu skroń. Z okazji obiecanego awansu.

Sięgnął po telefon, wybrał numer. Po pięciu sygnałach odłożył słuchawkę, odczekał parę minut i spróbował ponownie, tym razem był bardziej cierpliwy. Kobieta odebrała po ósmym, miała wyraźnie poirytowany głos. Przedstawił się.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia! – zakomunikowała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Słyszeć było lata małżeństwa, rządzenia w domu i firmie, pomiatania ludźmi.

– Pojawiły się nowe okoliczności, pani Koterska. – Zawiesił głos. Uwielbiał suspens, wzrastające napięcie, z sykiem zasysane powietrze przez dotkniętych nagłym strachem rozmówców. Chwilową próżnię, którą zaraz wypełni trucizną. – Mamy dowody, które mogą wskazywać na pani udział w śmierci Józefa Weinara.

– Tak? Niby jakie?

Dobra była, podobała mu się. Odważna i zadziorna, waleczna. W innych okolicznościach spróbowałby ją poskromić, pojąć. Może później, jak już się wszystko wyjaśni. Jeśli się cokolwiek wyjaśni.

– Jesteśmy w posiadaniu zapisów monitoringu, które nie pokrywają się z pani wersją zdarzeń. Dokąd pani jechała tamtej nocy?

Cisza. Wstrzymała oddech, zastanawiała się. Niemal czuł przyspieszone bicie serca, krew szumiącą w żyłach.

– Nie wiem, trochę jeździłam, dla ukojenia nerwów. Uspokaja mnie to. Ale nie nocą, byłam w domu przed jedenastą. Halo, słyszy mnie pan?

Nie odpowiadał. Kłamała i był tego świadomy. Chciał, żeby o tym wiedziała. Przywiązał ją do koła i zaczął naprężyć liny. Jeszcze trochę i będą pękały kości. Złamie się, wszystko wyśpiewa.

– Proszę nie wychodzić z domu, w ciągu dwudziestu minut przybędą funkcjonariusze, którzy odstawią pani samochód do warsztatu w celu dokonania oględzin.

– Co?

– Proszę nigdzie nie wychodzić. To rutynowa procedura.

– Nie zgadzam się! Jakim prawem...

Zakończył rozmowę. Na razie wystarczy, musi pozbierać więcej dowodów lub chociażby poszlak, żeby móc kontynuować. Nie musiał się spieszyć, Koterska nie była na tyle głupia, żeby próbować uciec.

Uciec, to była jej pierwsza myśl.

Ale dokąd? Za granicę, do Hiszpanii, o której tak zawsze marzyła, a była tam tylko dwa razy, wciąż brakowało czasu. Nawet do Rosji jazda samochodem zajęłaby dwie godziny. Zaszyłaby się na trzy tygodnie, miesiąc. Ale co dalej? Pieniądzy przy oszczędnym wydatkowaniu starczyłoby jej nawet na parę lat. To byłaby jednak wegetacja, nie życie. W ciągłym strachu, z widmem zamknięcia jej w czterech ścianach przymusowego aresztu. Więziennej celi bez krat. Równie dobrze mogłaby się przyznać i odsiedzieć swoje. Przecież nie zrobiła tego specjalnie, on jej groził.

Broniła się.

Da radę. Jest poważną kobietą w średnim wieku, atrakcyjną, zamożną, prowadzi własny biznes. Ludzie ją szanują, kobiety zazdroszczą samodzielności, mężczyźni czują respekt, a jednocześnie zerkają pożądliwym wzrokiem. Jest silna, nie podda się byle szujom z policji, chłystkom zarabiającym miesięcznie tyle, ile ona w tydzień.

Jest od nich dużo twardsza.

Wyjrzała przez okno, na ulicy nie widać było żadnego ruchu. Wyszła z domu, dokładnie przyjrzała się swojej toyocie. Była brudna, niemyta od czasu wichury, Jadźka nie miała teraz głowy do takich detali. Z tylnego zderzaka usunęła zahaczoną gałązkę. Na prawej stronie znalazła kilka zadrapań, musiały powstać, kiedy podczas ucieczki z parkingu otarła się o krzaki porastające pobocze. I co z tego? Niczego to nie dowodziło, mogło się przytrafić gdziekolwiek. Ślady krwi? Jeszcze raz zbliżyła głowę do karoserii, otworzyła drzwi od strony kierowcy, sprawdziła tapicerkę. Nic, co dałoby się zauważyć gołym okiem, ale policja ma swoje metody.

Cholera, powinna była umyć samochód.

Wróciła do domu. Uruchomiła ekspres, w panelu wyświetlacza wybrała cappuccino. Musi się uspokoić, zrelaksować, dojść do formy. Normalnie nie pozwoliłaby im na to, pozbyłaby się tych natrętów w pięć minut. Maszyna zaczęła trzaskać i syczeć, po chwili wypluła strumień kawy, za nim porcję śnieżnej piany.

Jadźka ujęła kubek za uszko, zbliżyła się do okna. Popiła, zlizwała ze smakiem biały kozuszek z górnej wargi. Akurat w tej chwili pod bramę podjechał radiowóz. Było ich dwóch, wcisnęli dzwonek. Pofatygowała się do nich osobiście, nie było sensu chować się za murami domu, ta twierdza stwarzała tylko iluzję bezpieczeństwa.

Najlepszą obroną jest atak.

– Stój! – krzyknęła, kiedy jeden z funkcjonariuszy zamierzał wsiąść do SUV-a. Przyniosła z domu worek foliowy na śmieci, wyścieliła nim siedzenie kierowcy. – Teraz lepiej. A jak znajdę w aucie chociaż grudkę błota z waszych śmierdzących butów, będziecie ją żreć, a później pucować wykładzinę jęczorami! *Poniał?*

Młody, niedogolony policjant podniósł na nią zdumione oczy. Wybełkotał coś o interesie publicznym, nieśmiało przeklął. Próbował ratować twarz, ale w jego ruchach wyraźnie widać było zdenerwowanie. Kiedy przekręcił kluczyk, zadrżała mu ręka. Jadźka z zadowoleniem wydeła usta. Nic dziwnego, ta terenówka była warta więcej niż on, jego rodzina, dwunastoletni golf trójka i nędzne mieszkanie w bloku razem wzięci.

Poczuła nagły przyływ pewności siebie.

– Powiesz mi w końcu, o co chodzi z policzkiem poszkodowanego, czy nie?

– Nie.

– Dupek!

Michaśka nie chciał ustąpić, ciekawość zżerała go od środka. Nadkomisarz nie zamierzał niczego zdradzać, znał długi język informatora. To był najistotniejszy element prowadzonego śledztwa.

Z trudem znaleźli wolne miejsca, kantyna U Wiarusa pękała w szwach. W oczekiwaniu na zamówienie Andrzej dyskretnie rozpytał się o ofiarę wczorajszego pobicia. Obsługa i stali bywalcy pamiętali, że pił, ale już nie z kim, nie zauważyli nic podejrzanego, nie potrafili wskazać żadnych szczegółów. Józwiak wyszedł z lokalu o północy lub o pierwszej, wersje znacznie się od siebie różniły. Był stałym bywalcem, z nikim się nie kłócił, nigdy nie wszczynał żadnych awantur. Może mówili prawdę, ale jeśli po mieście rozeszła się już plotka, najprawdopodobniej kłamali. Nikt nie chciał mieć nic wspólnego z tą sprawą. Mężczyzna został zarażony śmiertelnościami wirusem. Skazany na izolację.

Michał też nikogo nie rozpoznawał. To było do przewidzenia, działania operacyjne w knajpach rzadko przynoszą spodziewane efekty. Są jednak doskonałym pretekstem do spędzenia paru interesujących, płatnych nadgodzin

w służbie prawa. I można wziąć rachunek na żarcie.

Siedzieli daleko od baru, przy wejściu do sali bankietowej, gdzie żołnierze w białych T-shirtach i spodniach od mundurów polowych grali w bilard i przechylali kufle. Również amerykańscy, ozdoba całej jednostki, dwóch białych ze sterzącymi brzuchami, jeden czarny i jeden Metys o finezyjnie wymodelowanej bródce. Siedzieli sami, bo z nikim nie mogli się po swojemu dogadać. Andrzej nie miał pojęcia, jak mieliby się porozumiewać na froncie. Wyobraził sobie wydawanie komend i o mało nie parsknął śmiechem. „Fajer!” – rozkazałby amerykański oficer. „Sam jesteś, kurwa, frajer!” – odpowiedziałby mu chór polskich szwejków.

– Mój bliski przyjaciel niedawno dostał się do wojska – poinformował Michał z dumą w głosie, z rozczuleniem zerkając na wojaków.

– Dostał się? – Andrzej przybrał kpiącą minę. – Też mi coś, za moich czasów każdy się dostawał.

– Wiesz, jaka jest teraz konkurencja? Dobrze wypadł na testach, mógł wybierać. Wybrał pułk przeciwlotniczy w Gołdapi, bardzo prestiżowa jednostka.

Andrzej nie wierzył własnym uszom: Michał wypowiedział to z dumą i spokojem.

– Czyli kamikaze.

– Co, czemu?

– Zgrywasz się, Michał? Przecież obrona przeciwlotnicza pójdzie na pierwszy ostrzał, ci ludzie zginą w pierwszej minucie wojny. Żeby tylko udało im się chociaż raz wystrzelić, artyleria zza granicy zrobi z nich orkę, zanim zdołają mrugnąć.

Michaśka nadąsał się, wzruszył ramionami.

– Na pewno będą się bronić do końca. Lepiej zginąć jak bohater, niż uciec jak tchórz.

– Brawo! – Andrzej cicho zaklaskał w dłonie. – Postawa godna prawdziwego Polaka, najwyższym celem życia jest śmierć.

– Fagas!

Michał naburmuszył się jak nastolatka, zaczął dłubać widelcem w resztkę sałatki z pojedynczymi siwymi kłakami pędów bambusa. Andrzej przyjrzał mu się pod innym kątem niż dotychczas. Był chyba jedynym na świecie studentem kulturoznawstwa, który skrycie marzy o wojnie i bohaterskiej śmierci. Rozdwojenie osobowości lub, jeszcze gorzej, tożsamości.

Kim tak naprawdę był Michał?

Takie same przemyślenia zdawał się mieć trudny do zidentyfikowania osobnik w polowym mundurze, który przechodził obok, dźwigając z baru pokalę z piwskim.

– Czy ja cię skądś znam? – zapytał.

Po głosie można było się domyślać, że to kobieta. Michaśka na chwilę poczuł się jak celebryta. Nie dość, że rozpoznany, to jeszcze przez przedstawiciela armii. Kokieteryjnie poprawił grzywkę.

– Prawie wszyscy mnie tu znają, pracuję w Kei. Często rządę nocami na dyskotekach.

Kobieta wyszczerzyła zęby, zagwizdała na palcach w stronę kumpli.

– Chłopaki, mamy tu u nas ciepłych w gościnie!

Żołnierze zareagowali gwizdami. Andrzej poczuł, jak tężeje pod ich spojrzeniem.

– Przyszliście zapolować na towar, co? Nie chcę się wtrącać, ale ci tutaj chyba przyszli spróbować was spedalić, chłopcy!

Wykonała ramionami gest pedałowania, przybierając przy tym wyraz twarzy kiepskiego klauna. Jak klaun wypięła zad, aż się prosiła, żeby ją kopnąć. Michał zwiesił głowę, wzrok wbił w talerz. Skulił się, zamknął w sobie, zamienił w manekina, z którym można by teraz zrobić wszystko. Jego życie w tej mieścinie musiało być katorgą. Nadkomisarzowi nagle przypomniała się postać prześladowanego Czyngisa. Właśnie w takich warunkach rodzą się największe potwory.

– Jestem z policji, prowadzę czynności służbowe. Odpuść sobie, bo cię oskarżę o utrudnianie śledztwa! – warknął.

Dla pewności położył na stole legitymację służbową. Kobieta oparła się o krawędź stołu, nachyliła nad dokumentem.

– Co, nie nauczyli cię czytać w wojsku? Nie przejmuj się, do zamawiania piwa dla kumpli wystarczy umieć liczyć na palcach.

Szybkim ruchem strąciła legitymację na podłogę, zawisała nad Andrzejem w bojowej pozie. Zmierzył ją zaskoczonym spojrzeniem, ona naprawdę zamierzała się tłuc.

– Peniasz, cioto? W pysk dajesz tylko chuja, po męsku nie potrafisz, co?

– Dawaj, Lara, jebnij mu! – dopingowali koleżankę kompani.

Zbliżyli się, zajęli całe przejście. Zainteresowali się nawet Amerykanie,

wyciągając szyje ponad kuflami.

Kobieta dyszała jak miech kowalski. Wyraźnie nie panowała nad emocjami, hormony albo trudne dzieciństwo. Andrzej zerknął na leżący pod stołem dokument. Jeśli się po niego schyli, dostanie kopa w plecy. Jeśli zaatakuje i da jej wycisk – co nie było zresztą takie pewne, dawno nie trenował – jej kumple wbiją go obcasami w podłogę... Miał mięśnie z gumy, a siłę z papieru. Najzwyczajniej w świecie G.I. Jane mogłaby mu spuścić manto.

Pozostała ostatnia opcja, czyli taktyczny odwrót. Michał nie miał racji, bohaterstwo rzadko jest lepsze od tchórzostwa.

Wstał, butem przesunął legitymację na drugą stronę stołu, podniósł ją i schował do tylnej kieszeni spodni. Wskazał Michałowi drzwi. Ukłonił się.

– Pozdrawiam dzielnych obrońców naszej ojczyzny – rzucił na pożegnanie.

Odwrócił się, spokojnym krokiem zmierzał do wyjścia. Spodziewał się rzuconego w plecy bagnetu, ale dostał tylko wyrazy życzliwości.

– Baby się peniasz, glino, baby?! Jesteś zwyczajną ciotą, pedale, pizdą!

Słyszał ją jeszcze na parkingu przed knajpą, chciała go chyba zabić krzykiem. Kolejny raz ktoś nazwał go pizdą. Zaczynał poważnie rozpatrywać możliwość, że mogło mieć to jakiś związek z prawdą.

Andrzej zatrzymał saaba pod płótnem między drzewami. Powietrze niesło woń żywicy, węgla drzewnego, rzadko serwisowanych kibli i jakiejś organicznej zgnilizny.

Zapach polskiego lata.

– Wejdiesz? – zasugerował Michał, licząc na zwieńczenie emocjonującego wieczoru. Z autentyczną nadzieją w głosie.

Andrzej przytaknął, wywołując uśmiech na twarzy chłopca. Łamiąc żalobny nastrój, ktoś puścił właśnie w ośrodku wczasowym *Hotel of California*. Atmosfera stała się wyjątkowo tandetna.

– Tylko bez żadnych rogatych myśli, Michał, odprowadzam cię, kładę spać i znikam, jasne?

Chłopakowi rozpustnie błysnęły zęby. Weszli do domku letniskowego, i na zewnątrz, i w środku było tak biednie, że aż ekstrawagancko. Gospodarz z zażenowaniem pozbierał walające się po podłodze gacie, papierki po słodyczach, zdjął ze stołu pustą butelkę po whisky, zniknął najpierw w kuchni, później

w łazience.

Andrzej przejrzał regały, jego uwagę przykuła stojąca między książkami ramka ze zdjęciem. Młody, dobrze zbudowany, opalony mężczyzna o zaokrąglonych ramionach i wielkich bicepsach. W mundurze z pagonami sierżanta, w zielonej czapce z daszkiem i orzełkiem na przodzie. O niepokojącej, dziwnie znajomej twarzy, której część zniknęła w cieniu długiego daszka, jakby w ten sposób żołnierz próbował coś ukryć. Zapewne przyjaciel – kamikaze z jednostki przeciwlotniczej w Gołdapi.

– Drinka?

Michał wyciągnął z lodówki kilka butelek o różnej zawartości. W pokoju zapachniało mydłem i perfumami, Andrzej o mało się nie roześmiał. Michał odświeżył się specjalnie dla niego. Usiadł na wersalce, która zapadła się niemal do samej podłogi.

– Nie piję, nie wysilaj się.

– To niby od czego wyglądasz jak w ciągłym cugu? – Nalał do szklanek whisky, wrzucił lód. Postawił drinki na stole, badawczo zajrzał gościowi w oczy. Rozjaśnił się nagle, jakby oświecony pocałunkiem Ducha Bożego. – Żartujesz sobie, nie?

– O czym ty gadasz?

– Ale sztos! Przecież gliniarze dragami brzydzą się bardziej niż pedałami.

– No teraz toś trochę przesadził, Michał.

– Pewnie. Czekaj chwilę!

Zniknął w kuchni. Zazgrzytały drzwi szafki, zabrzęczały talerze, coś spadło na podłogę. Po chwili gospodarz tryumfalnie zademonstrował dwie samary, jedną z zawartością zieloną, drugą białą.

– Mam cię przymknąć za posiadanie, durniu? – Andrzej spróbował być groźny, ale grał słabo. Nie wystraszyłby nawet dziecka.

Michał usiadł w fotelu i sprawnie skręcił blanta. Zapalił, poczęstował gościa. Andrzej wymierzył w niego palec.

– A jak się komuś wygadasz, wybiję ci wszystkie kły i każę je połknąć!

Michał zaciągnął się, powoli wypuścił powietrze.

– *Suuure.*

Wypalili gandzię, gość jednak stanowczo odmówił śniegu. Czoło paliło z pragnienia, jakby dostał gorączki, ale nie zamierzał zaciągnąć. Chciał tylko przypilnować, żeby Michaśka nie poszedł w długą i nie wypaplał planu porannej



operacji, to wszystko.

– Nie będę powtarzał, że jestem tutaj służbowo – zakomunikował stanowczo, gdy chłopak podkręcił muzykę i zaczął demonstrować swój powab w tańcu.

Choć można się było skusić, Michał w odpowiednim świetle był atrakcyjniejszy niż większość kobiet.

– No weź, Bondy, co ci szkodzi? Ej, nie bądź zgredem, wyluzuj. Daj się ponieść emocjom.

– Nie!

Wyskoczył zza stołu, założył na ramię torbę. Twarz Michała zmieniała się, przeszła etap rozczarowania, żalu i cierpienia, zastygła na masce gniewu.

– Jesteś chujem, glino, wiesz o tym? Małym żalonym chujkiem!

Nie tak źle, uznał Andrzej, ostatnio częściej nazywano go cipą.

– Pierdol się! Ty wiesz, kim ja mógłbym być? Modelem, aktorem, ekskluzywnym call boyem dla bogaczy, piękną kobietą! Wal się, żalony, wymemłany fagasio! Jesteś jak oni wszyscy! Cuchniesz dziadem!

Bardziej niebezpieczny od odtrąconej kobiety jest tylko odtrącony gej. Andrzej nie zamierzał więc podejmować kłótni, drugi raz tego wieczoru zaplanował odwrót. Trudno, jeśli Michał zemści się na nim i sprzeda komuś cel jutrzejszej operacji, winę weźmie na siebie. Najważniejsze było teraz wyjść cało z tej opresji.

Cofał się powoli, nie wykonywał nerwowych ruchów. W takich sytuacjach najlepiej sprawdzała się taktyka obrony przed atakującym psem. Ostrożność i spokój, nie okazywać strachu. Przyspieszył, gdy dotarł do drzwi, wybiegł i zatrzasnął je za sobą, przytrzymał barkiem. Po drugiej stronie rozbiła się szklanka, ale bestia nie próbowała wydostać się na zewnątrz. Andrzej odsunął się na kilka kroków, a wtedy kątem oka wyłapał jakiś ruch w nocy.

Znieruchomiał. Wyostrzył wzrok. Nie było wątpliwości, ktoś tam był. Podśluchiwał? Podglądał? Jak długo, widział coś?

– Hej! – krzyknął i wskoczył za róg domku.

Nic. Poświata sąsiedniej chatki rozpraszała mrok, wokół rozbrzmiewała muzyka, głosy. Zaszleściła trawa, zagrała siatka płotu. Andrzej pobiegł w kierunku dźwięku, ale dostrzegł tylko kolejny cień, zarys sylwetki.

– Widzę cię, wiem, kim jesteś! – Próbował blefować. – Stój, bo będę strzelał!

Kilkusekundowa cisza i odgłos szybkich kroków. Andrzej wyobraził sobie czającego się w mroku napastnika i przeszły go ciarki. Jeśli bandyta rzeczywiście

polował na gejów, mógł zacząć się na Michała.

Co gorsza, teraz również na niego.

Wyszedł z lasu, stanął przy płocie. Przez chwilę obserwował otoczenie, ale nie zauważył nic podejrzanego. To jednak nie wystarczyło, dla pewności poniuchał nosem, chrapy poruszały mu się przy tym jak u wilka. Skrzywił się od odoru ryb, który przytłaczał inne zapachy. Spojrzał w górę, w niebo, na którym brakowało księżycy. Dobry znak z jego punktu widzenia. Im ciemniej, tym mniejsze szanse na rozpoznanie.

Mniejsze ryzyko.

Machnął ręką, za kępą drzew rozległ się warkot silnika, auto na zgaszonych światłach podjechało pod bramę, zatrzymało się. Wsiadło dwóch mężczyzn, obaj jednocześnie sięgnęli po papierosy, zapalili. Grudki żaru wyrwały z mroku kilka groźnych rysów twarzy, plamy sylwetek.

– Czysto – poinformował ten, który wyszedł na zwiad. – Idziemy.

Bramka zazgrzytała, zaszeleściła sucha trawa. Ostrzegawczym warknięciem odezwał się pies, po kilku sekundach zaczął ujadać. Nie przejęli się tym, znali zwyczajnie tego domu. Gospodarz był gnidą, ale lojalną, nie praktykował brzydkich niespodzianek. Nie próbował odgryźć ręki, którą powinien całować.

Na wszelki wypadek otoczyli dom. Kiedy typ wydający polecenia pukał, pozostali przyczaili się w cieniu. Na ganku zapaliło się światło, otworzyły się drzwi. Najpierw na parę centymetrów, żeby zbadać sytuację, potem na oścież. Mężczyźni przywitani się, trójka gości weszła do środka. Lampa nad progiem zgasła, otoczenie znów zatoneło w mroku. Pies zawył kilkukrotnie, po czym zamilkł.

Goście usiedli przy ławie w salonie, gospodarz zgasił telewizor. Wyciągnął z barku ukrytego w PRL-owskiej meblościance flaszkę wódki i garść kieliszków, synowi kazał przynieść wędzoną rybę na zagrychę. Drugiego przegonił do sypialni. Rozlał, wypili na jedną nogę, na drugą, poskubali widelcami wędzonkę, pożuli, któryś splunął pod stół ością. Stary mruknął coś pod nosem, ale nie skomentował na głos. Nabił fajkę, zakopcił, uniósł i wychylił kieliszek. Chuchnął.

– Zdążyłeś naprawić łódź? – zapytał przywódca grupy.

Niski, szeroki drab po czterdziestce, który kiedyś musiał być atletyczny, teraz pęczniał chaotycznie w każdą stronę, przypominając knura.

– Tak, Bruce, ale ciongle schnie, przesmarowalim żywicom, żeby nie puszczała wilgoci. Co, myślisz, że to migiem idzie?

– Musimy dokończyć, co zaczęliśmy, a robi się coraz tłoczniej. Policja z Wojewódzkiej, wywiad wojskowy, chuj wie, kto jeszcze. Jeśli wywęszą to pierwsi, całą robotę szlag trafi.

– Was wtedy też! – dorzucił wysoki chudzielec o aparycji szczura, znowu plując ością pod stół.

– Jak jeszcze raz charchnie, to mu wbiję tom ość w oko! – zagroził stary, patrząc na szefa grupy.

– Słyszałeś, Leon?

Lis Leon parsknął, ale kolejną ość wyciągnął z ust i grzecznie położył na krawędzi talerza.

– To może pogadamy o kasie? Nic nie dostalim za ostatnią wyprawę.

Wszyscy trzej odwrócili się w kierunku siedzącego w fotelu blondyna. Z ich perspektywy musiał przypominać szmacianego pajaca, który niespodziewanie przemówił.

– Morda, Wongier! – warknął Dobry.

– No co, prawdę mówię!

– Zaprawdę mówię wam, że jeden z was mnie zdradzi. – Bruce źle zacytował Pismo Święte.

– Zaprawdę trzeba mieć jaja twarde! – rzucił trzeci i dźwignął się z krzesła.

Był wielki i ciężki jak kłoda drewna, przez nieumiejętnie zszytą zajęczą wargę prześwitywała żółta jedyńka.

– Daj spokój, Tapir, dzisiaj przychodzimy w pokojowych zamiarach – usadził go Bruce, akcentując słowo „dzisiaj”. – Wojna będzie następnym razem, teraz rozmawiamy jak ziomale.

Dobry nalał wódki. Wypili, poskubali rybę. Udawali, że nie czują na plecach wściekłego wzroku przyszczatego chłopaka. Jeszcze się nim zdążą zająć, mieli czas. Czasu brakowało im za to na planowaną robotę.

– Kiedy? – zapytał Bruce.

Naprężył muskuły, które bardziej upodobały go do Bola Yeunga niż do Bruce’a Lee. W końcu był tym złym, nie dobrym.

– Dwa dni.

Lis Leon jęknął.

– Co, co, wypłyniem za szybko, to możemy nabrać wody, łajba pójdzie na dno, my też. Co poradzę, był szkwał czy nie było? Też chcesz gnić w mule jak wasz koleżka?

– Chuj był, nie szkwał! – Szczurzy pysk wyciągnął się nad stolikiem, brakowało mu długości szluga, żeby odgryźć staremu cybuch fajki.

– Ee! – Bruce trzasnął dłonią w stół. Kieliszki podskoczyły z brzdękiem, jeden potoczył się na krawędź i spadł na podłogę. Nikt się po niego nie schylił. – Srać mi się zachciało od tej durnej gadki. Dawaj, Lechu, drugą flaszkę, zaraz wracam.

Herszt wyszedł z pokoju, w tym czasie Dobry posłusznie wyciągnął butelkę i dodatkowy kieliszek, rozlał kolejkę.

– Dzie! – Trzasnął Wągra w łapę wyciągniętą po swoją porcję.

Pogroził mu palcem. Obaj dobrze wiedzieli, że chłopakowi nie wolno pić. Co wyczyniał po alkoholu.

Lis Leon wydlubał widelcem drzazgę ze ściany, na podłogę posypał się śnieg wapiennego tynku.

– Same trociny i dechy – skomentował. – Jak cię, tatuśku, puścimy z dymem, nie zdołasz nawet wciągnąć kalesonów.

Dla zobrazowania pożaru wyjął pudełko zapalek, potarł siarkę o draskę, płomień wystrzelił. Cała czwórka obserwowała w milczeniu, jak biały wiór zamienia się w czarny popiół.

– Siedem sekund – ucieszył się Leon, Tapir zawtórował mu wymuszonym rechotem.

W głębi domu trzasnęły drzwi, w progu pokoju stanął Bruce. Nagle zachwiał się pchnięty od tyłu, oparł ramiona o brzeg meblościanki, która odezwała się szkłem. Wybałuszył oczy, okrągła twarz napuchła, spąsowiała.

– Kurwa mać! – ryknął, kiedy zorientował się w sytuacji.

Zaatakował go drugi syn Lecha Dobrego, wczepił się w niego od tyłu i wykonywał ruchy psiej kopulacji. Wydawał przy tym z siebie dźwięki na pół zwierzęce, na pół ludzkie.

– Czyngis, nie! – krzyknął stary, ale było za późno.

Bruce uderzył łokciem, poprawił pięścią. Szarpnięciem strącił z siebie chorego mężczyznę, potężnym kopniakiem powalił go na podłogę. Był dwa razy cięższy od gliniarza, którego musieli ratować dwa dni temu. Trzy razy silniejszy. Pięć razy

bardziej wściekły. Kopnął jeszcze raz, mierząc w żołądek. Syn Dobrego poczerwieniał, nie mogąc złapać oddechu, zwinął się, oczy prawie wyszły mu z orbit.

– Stop! – Bruce powstrzymał idących mu z odsieczą kumpli. – Jest mój!

Odpiął szeroki wojskowy pas, z trzaskiem wyciągnął go ze spodni. Założył pętlę na szyję mężczyzny, zacisnął. Powlókł po podłodze jak zwierzę, przez korytarz, do jednego z pozostałych pokoi. Dobiegł stamtąd stłumiony ryk, a następnie głośne charczenie. Miękki trzask skóry uderzanej o skórę. Sapanie ciężko pracującego organizmu.

– Dawaj go, dawaj! – dopingował Wągier, szczerząc z zadowoleniem zęby.

Ojciec bez większych emocji pykał fajkę, przyglądając się uszczęśliwionej minie drugiego syna. To musiał być urok nieżyjącej żony, w inny sposób nie potrafił sobie wytłumaczyć tak nieudanych dzieci. Nagle skoczył na środek pokoju, trzasnął blondyna w pysk. To wywołało rechot Lisa Leona. Odwrócił się więc i zdzielił go w szczurzą mordę. Śmiech ustał, przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem.

Stary usiadł, a chudy żarłocznie popatrzył na kikut wypalonej zapalki.

Księżycyca ciągle nie było.

Psy wyły, ale tylko z tęsknoty i żalu, w głuchą pustkę. Nie miał ich teraz kto wysłuchać. Jakiś typ w oknie naprzeciwko chodził w kółko po pokoju, co pięć sekund mijał okno. Czy istnieje lunatykowanie bez księżycyca? Pewnie mu odwaliło, stres pourazowy z Iraku albo zwykły pierdolec, na jaki chorował każdy.

Andrzej odsunął się od szyby, usiadł w fotelu. Zapalił nocną lampkę, do ręki wziął plik fotografii przyniesionych z komendy. Postać młodej dziewczyny solo lub z przyjaciółmi, w uniformie barowym, w dyskotekowych strojach, na pół nago. Roześmiana lub strojąca głupie miny. Potrafiła bawić się życiem. Czy to ta umiejętność doprowadziła ją do marnego końca? A może przetrwała atak, wylizała się z ran, uciekła i zaczęła gdzieś wszystko od nowa, a oni poszukiwali ducha?

Wrzucił fotografie z powrotem do szuflady, zamknął i schował klucz.

Poczuł w głowie silne ukłucie. Ból zawsze rozpoczynał się w miejscu starego urazu, rozchodził się po całej czaszce, niekiedy spływał po kręgosłupie w dół, promieniował na nogi. Był znacznie gorszy od rany po kuli, ta paraliżowała tylko ramię. On przeistaczał go w korpus, któremu odłączono funkcje kończyn. Oblano olejem i podpalono.

Andrzej płonął na stosie.

Ketonal działał słabo, a i tak mu się skończył. Kolejną wizytę u lekarza miał dopiero za tydzień. Przypomnił sobie samarę z białym proszkiem w dłoniach Michaśki, z pragnienia skurczył mu się żołądek. Gdyby chociaż miał blanta z gandzią, może zdołałby zasnąć. W przypiływie nagłego impulsu chwycił kluczyki do samochodu, wyszedł z mieszkania. Pojedzie do niego, niech się dzieje, co chce. Inaczej nie wytrzyma. Zrobi coś jeszcze gorszego.

Zatrzymał się. Cofnął w cień.

Na schodach majaczyła czyjaś postać. Częściowo schowana za rogiem, przyczajona. Przypomnił mu się cień z ośrodka wczasowego, z baru U Wiarusa, ze snu. Śledził go, był coraz bliżej.

Włączył światło. Na schodach siedziała dziewczyna w czarnej, dwa rozmiary za dużej bluzie. Z głową opartą o ścianę, wtulona w chłód.

– Ala? Co ty tu robisz?

Wstała. Podeszła do niego i objęła go rękami. Zaprowadził ją do swojego pokoju.

– Co się stało?

Pokręciła głową, założyła za uszy kosmyk włosów.

– Próbowałam do ciebie nie przyjść, Andrzej. Wymyśliłam, że jeśli dam radę spędzić dwie godziny przed twoimi drzwiami, nie wchodząc do środka, to w ogóle nie musiałabym tu przychodzić. Dałabym radę, ale wtedy pojawiłeś się ty. Po co żeś wylazł?

Pytanie, na które nie ma prawidłowej odpowiedzi. Mógł skłamać, że wyczuł jej bliskość i po nią poszedł, zadowolić ją tym. Albo powiedzieć prawdę, że jechał do Michaśki po dragi, i ją w ten sposób rozgniewać. Był tchórzem, prawdy unikał jak ognia.

Kłamstw też zaczął się bać.

– Powiesz mi coś czy będziesz tak stał i milczał? No powiedz coś. Każ mi się stąd wynosić, każ mi spieprzać!

– Spieprzaj.

Dała mu w twarz, ale natychmiast rzuciła się na kolana, ramionami oplotła mu uda, wtuliła się w krocze. Czuł jej gorący oddech, wilgoć łez. Pogłaskał ją, a ona natychmiast zaczęła odpinać mu spodnie.

– Nie! – Odsunął się. – Nie tak. Co się dzieje?

Pokręciła głową, łyzy kapały na podłogę niczym grochy.

– Ja nie wiem, Andrzej, ja, ja...

Zaszlochała. Podał jej papierowy ręcznik. Wyczyściła nos, głęboko odetchnęła. Wstała, popieściła go palcami w miejscu, gdzie go uderzyła. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła dwie białe tabletki. Oksykodon. Andrzej był taki zachłanny, że prawie odgryzł jej kciuk. Połknęła swoją, popili wodą mineralną prosto z butelki. Roześmiała się. Przeszła pod tylną ścianę i zrzuciła z siebie bluzę, zsunęła spodnie od piżamy. Pod spodem była całkiem naga.

Usiadła okrakiem na krześle, szeroko rozłożyła nogi. Wygoliła cipkę, białą jak ciasto biel przecinała kreska różowego wnętrza. Było w tym tyle samo metafizyki, ile perwersji. Jeszcze nigdy nie była dla niego tak obsceniczna.

– Rysuj mnie – zażądała. – Chcę dać ci siebie całą. Każdy kawałek, wszystko. Żeby już nic ze mnie nie zostało.

Nie zostawało nic, kiedy z nimi kończył. Wydierał im wszystko, zachowywał dla siebie. Patroszył ich duszę, wykrawał organy uczuć, zdierał bezpieczeństwo niczym skórę. Ćwiartował ich integralność, resztki osobowości mełł w maszynie do mięsa. Rozbijał na części, z których nigdy nie zdołają ułożyć swojej pierwotnej formy.

Pozostawiał im życie. Zabierał im życie.

Ten był odpychający, zdawał się czymś cuchnąć przez skórę. Jego plugawą powłokę w połowie wypełniał gnój. Nadawał się tylko na dno jeziora, kończyło tam wielu lepszych od niego. Intensywna i długa kąpiel, wieczne płukanie duszy. Powinien był go wykończyć od razu, złamać reguły gry. Ulga i dla niego, i dla świata, radość z dokonania dobrego uczynku.

Właśnie oplótł mu szyję udami, zapał się odpowiednio o ziemię. Był węzem boa zamykającym swoją ofiarę w śmiercionośnym uścisku. Wystarczyłoby napiąć mięśnie, a kark pękłby z cichym chrupotem. Metoda dużo skuteczniejsza niż chwyt ramionami. W ten sposób można ukręcić łeb nawet wołu.

Kiedyś udało mu się z konającym jeleniem.

Ofiara wierzgała, darła ziemię, kopała. Bezsilne zwierzę, które widzi zbliżający się koniec. Jeszcze chwila, a skręcenie karku nie byłoby konieczne, organizmowi zaczynało brakować tlenu, dusił się.

Wiotczał.

Nie. Myśliwy poluznił chwyt, po chwili wstał z ziemi. Popatrzył na swoją zdobycz z góry, kupę przedwcześnie psującego się ścierwa. Nie lubił, kiedy śmierdzieli, chciał, żeby byli czysti. Niech im się wydaje, że są mądrzejsi, lepsi od niego. Nie są.

Zarechotał.

Ciężkie życie rządzi się całkiem innymi prawami. Przyswoił je sobie doskonale, musiał. Siła lub słabość. Władza albo poddaństwo. Na respekt trzeba zasłużyć siłą. Strach wzbudzić okrucieństwem. Niech im się wydaje, że mają wszystko.

On nie zostawiał im nic.

Ofiara podniosła się z ziemi, uklękła. Wyciągnęła złożone dłonie, rozpoczęła błagalną pieśń jak one wszystkie. Z poharatanych ust wylewała się gęsta krew z kawałkami tkanki i połamanych zębów. Lament przechodzący w niezrozumiałą modlitwę. Myśliwy był teraz rachitycznym bogiem, wszystko zależało od niego.

Tę zdobycz potraktuje szczególnie.

Młody, dobrze zbudowany mężczyzna chwiejnym krokiem zmierzał w kierunku portu. Potrafił kobietę, która odskoczyła, wymierzając mu oburzone spojrzenie. Wtulona w siebie para w średnim wieku zeszła mu z drogi, grupka roześmianych, palących papierosy dzieciaków ucichła, śledząc go wzrokiem. Właśnie wszedł w strugę promieni ulicznej latarni, od których zalśnił mu goły tors, ożyły smocze tatuaże na rękach. Twarz znieruchomiała, z rozwartymi ustami i na półprzymkniętymi oczami okazała się martwa.

Z tancbudy po prawej stronie wylewała się tubalna, prymitywna muzyka dyskotekowych barbarzyńców. Walily bębny, cykały soprany, zdeformowany cukrem głos lalki Barbie śpiewał coś o miłości. Raj albo piekło, w zależności od tego, kto czego poszukiwał.

Mężczyzna skierował się do wejścia.

Było na tyle późno, że ulane z olbrzymiej formy wieże selekcjonerów zeszły z bramki, na tyle jednak wcześniej, że klub nocny pękał w szwach. Jazgot muzyki, amatorskich śpiewów, śmiechów i krzyków przytłaczały, zaduch perfum, potu i rozlanego piwa zatykał nozdrza. Widoczność ograniczała się do oczu i ust, sylwetki pozostawały masą splątanych ciał, mebli, geometrycznych plam różnokolorowych efektów świetlnych, wielowymiarowych siatek laserów. Filmowych klatek migającego stroboskopu. Mężczyzna przedarł się do baru, wbił klinem między oczekujących w kolejce, oparł się ramionami o blat.



– Pić! – zażądał słabym, wyciśniętym z głębi gardła głosem.

Wypchnięty z kolejki chłopiec z kolczykiem w nosie coś wykrzykiwał mu do ucha, niemal przewrócona dziewczyna pchnęła go. Z obrzydzeniem spojrzała na swoje dłonie i wycofała się, znikła w tłumie.

– Pić! – powtórzył zamówienie głośniej.

Barman nachylił się nad ladą, z poirytowaną miną próbował przekrzyczeć zgiełk:

– Obowiązuje kolejka! Co ma być?

– Pić... – wyrzucił z siebie mężczyzna i zachwiał się, jakby miał zaraz runąć.

Przytrzymał się brzegu lady, chwycił należący do kogoś kufel i przyłożył do ust, łapczywie wlewał w siebie żółtawy płyn, który rzadką pianą ściekał mu po policzkach i brodzie. Kapał na tors.

– Co jest, kurwa, co jest! – rozdarł się właściciel drinka.

Dwa razy silnie trącił złodzieja w ramię. Ten odstawił kufel, zaczął nagle drgać jak w ataku febry, przez skórę przepłynęła mu fala dreszczy.

Odwrócił się, stanął tyłem do baru. Jaskrawe, ostre światło zza lady zalało mu plecy.

– Jezus Maria! – krzyknął właściciel drinka.

Barman stanął na swoim stanowisku jak wryty. Wokół dziwnego gościa utworzył się pusty pierścień, klienci zaczęli się panicznie od niego odsuwać, uciekać. Muzykę przebiły piski spłoszonych kobiet, przekleństwa mężczyzn. Na odsiecz przybyli ochroniarze, ale bezradnie stanęli w kółku, nie znając prawidłowej procedury w takim przypadku. Nie trzeba było dawać w pysk, nie wolno było wyrzucić. Nie potrafili udzielić pierwszej pomocy.

– Karetkę pogotowia i policję, szybko! – wrzeszczał do telefonu najstarszy barman, który pierwszy odzyskał zdolność myślenia. – Nie wiem, co się stało, ale ten człowiek nie ma pleców!

Skóra zdarta była od obojczyka niemal do samego krzyża, odsłonięte mięśnie były poszarpane i porozrywane, mimo tego widać było każde napięcie i rozkurcz, gdy pracowały. Krew ściekała na spodnie, kapała na podłogę. W miejscu, gdzie stał, utworzyła się niewielka kałuża. Rozdeptana, okaleczony człowiek wszedł w nią i roznosił dalej. Nie zatrzymywał się, wciąż wolno zmierzał do wyjścia.

Zombi. Ludzka zwierzyna, która wymknęła się z rzeźni i nie przestawała uciekać. Tusza ciągle żywego mięsa.

# ROZDZIAŁ 5

Oficer wchodzi do pokoju przesłuchań. Siada naprzeciwko osadzonego, na stół kładzie przyniesioną teczkę. Przez ramię spogląda w stronę kamery, jej pracę oznajmia świecąca się dioda. Jest odwrócony tyłem, ale przez sekundę jego oczy stają się widoczne. Dwa szklane krążki bez jakiegokolwiek wyrazu, niewiele różnią się od szklistej powierzchni obiektywu.

Jego twarz pozostaje nieruchoma jak kamień.

Za to oblicze osadzonego przebiegają skurcze, jakby rażono je wyładowaniami elektrycznymi. Powstrzymywane drżenie zdenerwowania i strachu, siłą woli zwalczana panika. Jego ręce i nogi są skute kajdankami, połączono je ze sobą łańcuchem, który przy każdym ruchu dzwoni. Schowany za plecami dzwonek oznajmiający trwogę.

– Znasz tę kobietę?

Więzień zerka na podsunięte mu zdjęcie młodej dziewczyny. Kręci głową, zbyt pospiesznie i stanowczo, żeby wyglądało to szczerze.

– Znasz, spotykaliście się po kryjomu, w lesie.

Przed osadzonym pojawia się drugie zdjęcie, widnieje na nim ta sama kobieta, tym razem w jego towarzystwie. Przyłapani pośród drzew, gdzie wyraźnie starali się schować. Skupione miny wskazują, że prowadzą poważną rozmowę.

– W jakim celu się spotykaliście?

– To był tylko seks, nic więcej – bez zastanowienia odpowiada przesłuchiwany i twardo zagląda w oczy oficerowi.

Stwierdzenie jest tak płynne, że musiało być wyuczone na pamięć.

– To akurat wiem, ale nie interesują mnie twoje przygody miłosne. Powiedz mi, o czym rozmawialiście, jakie informacje jej przekazałeś.

Cisza. Osadzony opuszcza głowę, ale nie patrzy na zdjęcia, wzrok wbija w obdrapany blat stołu. Niektóre rysy przypominają ślady po zębach.

– Pamiętaj, że ją też przesłuchiwałem, całkiem chętnie odpowiadała na pytania. Nie interesuje cię, czego się dowiedziałem? – Więzień wbił w niego nienawistne spojrzenie. – Nie? I tak ci powiem, to ciekawe. Twierdzi, że brzydzi się takim zdrajcą ojczyzny jak ty. Dawała ci tylko ze względu na twój długi język, to była wymiana handlowa, nic więcej.

Przesłuchiwany zwiesza głowę, miele ustami, jakby przygotowywał dłuższą wypowiedź. Nagle odchyła się i z impetem pluje na blat stołu. Biała plwocina ląduje na pustej przestrzeni pomiędzy rozłożonymi zdjęciami a szarą teczką. Oficer przytakuje, ta demonstracja wystarcza mu za odpowiedź. Nie spiesząc się, wstaje i podchodzi do osadzonego z boku. Błyskawicznym ruchem wykopuje spod niego krzesło.

– Wstawaj!

Odsuwa się i opiera o ścianę, obserwuje nieudolne próby oderwania się od podłogi, utrzymania równowagi na skutych kajdankami nogach. Mężczyzna nie może się wyprostować, z powodu łańcucha pozostaje w narciarskiej pozycji.

– Jeśli usiądziesz, każę cię wyprowadzić na ścieżkę zdrowia. Rozumiesz?

Wypala papierosa, wraca do stołu i przegląda notatki, wprowadza nowe zapisy. Pozornie zapomina o osadzonym, choć nie przestaje obserwować go kątem oka. Dzwonienie łańcucha wzmagą się, brzmi tym silniej, im bardziej drżą przemęczone mięśnie. To nie pierwsza tortura, więzień jest wycieńczony. Sapie, poci się, po piętnastu minutach zaczynają mu klekotać zęby.

– Więc jak, nie zmienisz zdania? Tak, nie, mam wezwać strażę?

Oficer doskonale zdaje sobie sprawę, że przesłuchiwany nie jest w stanie wykrztusić słowa, całą pozostałą energię skoncentrował na walce ze swoim ciałem. Podchodzi do niego i podcina nogą, drgająca masa ludzka miękko upada na podłogę, jęcząc z ulgi. Oficer kuca nad nim, z bliska zagląda w rozmytą potem twarz.

– Jakie informacje jej przekazałeś?

Osadzony w odpowiedzi zamyka oczy, już tylko bariera powiek odgradza go od oprawcy. Ten podnosi się, zerka w kierunku kamery, skinieniem głowy przywołuje strażników.

Dwóch drabów wpada do sali przesłuchań, ujmują więźnia i odrywają go od podłogi. Dopiero wtedy wyrywa mu się z gardła paniczny krzyk. To już nie jest kwestia zachowania milczenia, lecz zachowania życia.

– Tej dziwce zależało tylko na tym, żeby jej pomóc w wyjeździe – wypluwa

z siebie ledwo zrozumiałe słowa. – Pragnęła lepszego świata, chciała się wyrwać z tej dziury, nic więcej!

Oficer gestem nakazuje strażnikom, żeby się zatrzymali. Posadzili osadzonego na krześle, wyszli z sali.

– Słucham.

Zeznania trwały niecałe trzy minuty, tyle miał im do powiedzenia. Pół kartki, którą dostał do podpisania. Strażnicy wrócili. Rozczarowanie, rozpacz i przerażenie w oczach przesłuchiwanego były tak plastyczne, jakby nakreślił je malarz.

– Neeee! – Odprowadzany walczył, wierzgał i wił skutym w kajdany ciałem.

– Tak, żołnierzu, tak. Przecież wiesz, jak w naszej ojczyźnie kończą zdrajcy.

Koniec nagrania.

Kłoc domku jednorodzinny z lat osiemdziesiątych otaczał druciany płot przerośnięty pnączami kwiatów, spomiędzy liści zwisały smutne łebki niebieskich i białych dzwonek. Na wjeździe stał granatowy focus, warkocze ratanowego zestawu ogrodowego rozplatały się ze starości, gdzieś sterczały z nich ostro zakończone badyle. W słabym wietrze klekotał i cicho wył bambusowy gong, na drzwiach wisiał wianek z wyschniętych ziół. Z nadzieją, że ochroni mieszkańców przed złymi mocami.

Nie ochronił.

Niańka z Chmielem przedostali się przez sąsiednią posesję na tyły domu, Łokieć z Lujem mieli sforsować frontowe drzwi, najlepiej siłą perswazji. Odwody w postaci dwóch mundurowych czekały w radiowozie zaparkowanym w stosownej odległości, nad wszystkim z pułapu służbowej terenówki pieczę trzymała komendant Chłopska. Andrzej przemknął pod osłoną krzaków obrastających granicę z sąsiednią działką i przyczał się za rogiem budynku. Osobiście zamierzał dać hasło do akcji, najpierw upewniwszy się, że nie czekają ich komplikacje.

Facet, którego zamierzali aresztować, miał na koncie odsiadkę za pobicie, które nie zostało zakwalifikowane jako przestępstwo z nienawiści na tle homofobii na wyraźne żądanie poszkodowanego. Poza tym kilka pomniejszych wykroczeń, między innymi obnażanie się w miejscach publicznych. Ostatnie sprzed siedmiu lat, nie chodziło jednak o okres popełnionych czynów, a sam fakt ich popełnienia. Siedział niespełna pół roku, ale to wystarczyło, żeby stał się dla policji wiecznym podejrzanym.

Tym bardziej że wytypował go informator.

Andrzej przesunął się wzdłuż ściany i zajrzał przez okno do środka. Olbrzymi zegar ścienny z kotami wskazywał siódmą trzydzieści, stojąca tyłem kobieta krzątała się przy garach, z tyłka zwisały jej lejce kraciatego fartuszka. Przy stole siedział zgarbiony nad jajecznicą mężczyzna o fizjonomii księgowego, okrągłej, zaślinionej gębie notorycznego pedofila. Doskonały, wręcz podręcznikowy podejrzany, zbyt idealny jak na zebrane przez nich informacje. Andrzej poczuł niepewność, ale i tak nie zamierzał odwołać akcji. Jeśli spudłują, grzecznie przeproszą i wytrą sobie pysk interesem publicznym.

Uniósł w górę wskazujący palec.

Na umówiony sygnał Łokieć z Lujem wdarli się na teren posesji, szybko podeszli do drzwi, nacisnęli przycisk dzwonka. Zza ściany dobiegła tandetna melodyjka jak z reklamy proszku do prania. Żona odwróciła się zaskoczona, mąż spojrzał na zegar ścienny. Na słowa żony wzruszył ramionami i wrócił do jajeczniczy, ona z poirytowaną miną zniknęła w holu.

– Tak? – rzuciła przez otwarte na pół metra drzwi, zmierzyła gości zaniepokojonym wzrokiem.

– Komenda Powiatowa Policji, podkomisarz Wiesław Wojtał... – Łokieć nie dokończył formułki, kobieta nagle szarpnęła za klamkę, przyciągnęła do siebie drzwi. Ryknęła: – Tadek! Tadziuuu!

Podejrzany wyskoczył zza stołu, rzucił się do ucieczki. Luj chwycił klamkę z drugiej strony, rozpoczęła się szamotanina.

– Ratunku! Bandyci! Mordują! Jezus Maryja!

– Precz, kurwa! – wrzasnął Luj, brutalnie wyrywając drzwi. W ostatniej chwili zasłonił się łokciem, gospodyni wycelowała mu w głowę metalową warząchwią. – Suko! – Runął na nią, oboje upadli na podłogę.

Andrzej wezwał przez radio posiłki, postawił w gotowości funkcjonariuszy z tyłu domu. Wojtał przeskoczył walczących na podłodze, wbiegł na schody w ślad za podejrzanym, który zniknął na piętrze.

– Co tam się, do cholery, dzieje, Bondar?! – padło w radiu pytanie Chłopskiej, które adresat zignorował.

Wyminął aspiranta spinającego kobietę kajdankami i wszedł na górę.

– Tutaj! – poinformował Wiech.

Stał w progu pokoju wyklejonego tapetą z Królem Lwem, celował do środka

z odbezpieczonego pistoletu.

Podejrzany stał pod przeciwległą ścianą i ścisnął dwójkę małych dzieci, chłopczyka i dziewczynkę. Zasłaniał się nimi jak tarczą. Płakał.

– Moje dzieci... – Przycisnął je bliżej siebie, jakby były ostatnią linią obrony. – Ja nic nie zrobiłem, mam rodzinę. Mam żonę. Mam dzieci...

– Rzuć to, Wiśniewski! – warknął Wiech, nie przestając celować. Dopiero teraz Andrzej zauważył nóż w ręku podejrzanego. – Rozpierdolę ci łeb, zanim zdążysz mrugnąć!

Bez wątpienia, typowi trzęsła się dłoń jak w delirium, podkomisarzowi tylko trochę.

– Chcieliśmy tylko pogadać. – Andrzej zbliżał się niewielkimi krokami.

– Ale nic nie zrobiłem! Ludzie, uwierzcie mi, ja nic nie zrobiłem!

Histryzował, kompletnie zapętlił się w swoim strachu. Był równocześnie niezdolny do niczego i zdolny do wszystkiego. Kompletnie nieprzewidywalny.

– Wiemy o tym. Nie chcieliśmy pana aresztować, tylko potwierdzić pana niewinność.

– W tyłu?

– To nie wiedziałeś, że gliniarze muszą poruszać się w parach, żeby skompletowali sto IQ?

Dowcip zdawał się działać, podejrzany wykrzywił się do śmiechu, ale nagle wstrząsnął nim szloch. Milczące do tej pory dzieci ryknęły płaczem, nóż przesunął się nieco bliżej gardeł.

Andrzej skoczył do przodu, chwycił i unieruchomił uzbrojoną rękę, wykręcił ramię. Ukląkł, z trudem przerzucając mężczyznę przez prawy bark. Nóż wypadł na podłogę, tępy jak łyżka przyrząd do smarowania chleba.

Krzyknęli obaj, nadkomisarz z bólu, który przeszył mu ciało aż do kolan. Uderzył z otwartej dłoni, poprawił pięścią zdrowej ręki, miękkie policzki trzaskały niczym mokre klapki.

– Nie chciałem! Nie bij! Nic nie zrobiłem!

– Zajeb skurwysyna! – dopingował Łokieć, szykując się do swojej kolejki.

Andrzej przerwał po czwartym ciosie. Zadyszał się, jakby przebiegł sto metrów, więcej nie dałby rady.

– Odwal się, Wiech, prędzej sam zdechnę, niż go zatłukę. Przynieś kajdanki,

zabieramy typa na dołek.

Podkomisarz troskliwie pogłaskał dziecięce główki, w drugiej ręce wciąż dzierząc glocka. Urodzony tatusiek.

– Na własne dzieciaki z nożem się darł, chuj jeden!

Zszedł na dół, po chwili wrócił z kajdankami. Przydreptali za nim jeden mundurowy i Hula-Chłop o twarzy zaostrej złością jak brzytwa.

– Dobra, zabierać go! – polecił Andrzej.

Kątem oka podchwycił spojrzenie szefowej, dosłownie wierciła mu w głowie dziury. Spieprzyli, nie było co dyskutować. Tak to czasami bywa, sytuacja wymyka się spod kontroli. Ludzie wariują bez powodu, w najmniej przewidywanych sytuacjach. Choć to akurat przewidział, zaangażował do akcji cały swój wydział plus posiłki w mundurach.

Wskazał podkomendnym drogę do wyjścia, z odpowiednim dystansem ominął panią komendant, unikając jej wzroku. Dogoniła go tuż za drzwiami, w kilku szybkich stuknięciach butów podobnych do zabijania gwoździ. Ostatni trafił chodnik tak blisko za jego plecami, że następny na pewno ugodziłby w głowę.

– Stój! Jesteś większą łazęgą, Bond, od patałachów z drogówki, a tym zdarza się złapać na radar drzewa.

– Gorzej! W Starogardzie złapali znak ograniczenia prędkości.

Nabrała powietrza, ale nie zdążyła wypluć wiązanki, od strony radiowozów dobiegły krzyki. Aresztowany wygrażał komuś, obiecywał zemstę. Odwrócili się, po drugiej stronie stał Michał, jedną rękę opierał na biodrze, drugą pokazywał środkowy palec.

– To on mnie wrobił, on na mnie nakłamał!

Andrzej miał już dosyć tej awantury, gestem kazał uciszyć Wiśniewskiego, sam ruszył w kierunku swojego saaba. Komendant przytrzymała go za ramię.

– Jesteś kretynem, ale to cię nie usprawiedliwia. Za godzinę widzę cię na komendzie. Uczesany, ogolony, w białej koszuli ze szlejfą na szyi, porządnych spodniach i eleganckich butach. Nie żartuję, nadkomisarzu, to moje ostatnie ostrzeżenie. W przeciwnym razie będzie nagana, badanie krwi i zawieszenie. Wylecisz na zbity ryj i możesz zapomnieć o emeryturze. Kapujesz?

Przytaknął nagle skruszony i pokorny. Rozumiał. Miała na niego haki, mogła mu poważnie zaszkodzić. Poczekał, aż odjedzie swoim dżipem w asyście dwóch radiowozów, kiedy znikła na skrzyżowaniu, wrócił posprzątać bałagan, którego

narobili. Obciach i tak poszedł w świat, z każdego okna sąsiadujących domów wychylali się gapie, niektórzy nawet wylegli na drogę. Otworzył drzwi radiowożu, w którym szlochała żona podejrzanego.

– Ściągnąć kajdanki i puścić babsztyla wolno, niech się zaopiekuje dziećmi – polecił.

Następnie zbliżył się do swojego saaba, gdzie na fotelu pasażera siedział Michaśka. Nachylił się do otwartej szyby.

– Wpuściłeś mnie w kanał, Michał?

Chłopak przybrał wyraz twarzy niewiniątka.

– Jeśli tak, oddam cię na pastwę podkomisarza Wojtala, napierdoli ci swoim łokciem.

– Obiecujesz? – Kelner kokieteryjnie wyduł usta, ale Andrzej nie wykazywał ochoty na głupie żarty. Zaraz więc dodał: – Wiśniewski to wesz, zasłużył na to.

Może zasłużył, może nie, nie im było o tym decydować. Jedno nie ulegało wątpliwości – poniesie karę.

Jadźka zamówiła taksówkę. Wysłużony mercedes z reklamą wypożyczalni jachtów podjechał pod bramę i zawył klaksonem, jakby każda sekunda oczekiwania na klienta kosztowała tysiące. Złotowa za kierownicą cuchnął petami i życiową frustracją. Pamiętał pewnie jeszcze złote czasy demokracji ludowej, kiedy każdy taksjusz był panem, w pękatej nerce zwisającej pod brzuchem trzymał musowo plik dolców.

Wsiadła z tyłu, ostrożnie oparła się o siedzenie z obawą, że przyklei się do tapicerki w podejrzanym kolorze. Z tych szarości, które zawsze wyglądają na brudne i doskonale maskują wszelki syf. Kierowca rozpoznał ją, trudno zachować anonimowość w Węgorzewie. Odwrócił się, wypełnił łbem przestrzeń między zagłówkami przednich foteli i zawiął do góry prawą część ust, między spierzchniętymi wargami błysnęła złota trójka.

– Co, rozkraczyła się nam toyotka? I tak bywa, nawet te najwierniejsze prędeje czy później się rozkraczą.

Pokiwał głową zadowolony z dowcipu. Jadźka doskonale wiedziała, do czego pije, po mieście kilka lat temu poszła fama, że mąż wykopał ją z domu, bo puszczała się na lewo i prawo. Co gorsza, kierowca wyraźnie do niej startował, poczuła jego lubieżne gały na swoim biuście. Oblech. Wzdrygnęła się na myśl, że



w jej przedziale wiekowym zostali już tylko tacy.

– Jedziesz pan wreszcie czy nie, spieszę się!

– A ja to nie? Licznik jest jak interes, kurczę pieczone, kręcić się musi!

Uruchomił taksometr, włączył silnik.

Jadźka przymknęła oczy. Nie wyspała się, zasnęła dopiero nad ranem, po tabletkę nasennej i całej butelce wina. W głowie czuła teraz szum, czaszka rysowała się drobnymi szramami, pękała niczym skorupka jajka. Ledwo żyła, powinna wziąć sobie dzień wolny. Odpocząć, przemyśleć parę spraw, ustalić jakiś sensowny plan. Praca była doskonałą ucieczką, pretekstem, ale odsuwała problemy na krótki dystans. A te piętrzyły się, w każdej chwili mogły runąć lawiną.

Przysnęła.

Przeniosła się do jadalni swego byłego domu. Krzyczała, Waldek też krzyczał. Walił pięścią w stół, z ust tryskały mu strużki śliny. Kilka metrów od nich stała młoda dziewczyna, skóra zdjeta z matki, kiedy ta była w jej wieku, kopia doskonała: ich córka. Jedyne dziecko, prawdziwa miłość jej życia. Prawą dłoń zaciskała na rączce walizki, dreptała w miejscu. Już pół godziny temu powinna wyjechać na lotnisko, żeby zdążyć na lot.

Nie chcieli jej odwieźć, nie zamierzali przyczynić się do tego nieszczęścia. Ich największa pociecha, najcenniejsza istota na świecie podjęła decyzję o wyjeździe. Planowała zniknąć im z oczu, nie wiadomo na jak długo. Nie zgodzili się, nie mogli na to pozwolić. Postanowili zatrzymać ją przy sobie za wszelką cenę, przy użyciu wszystkich dostępnych środków.

Jak samolubnie. Jak okrutnie. Jak mądrze.

Obraz rozmazał się, rozciągnął, przybrał czarno-białe barwy. Z niewiadomej przyczyny przeraził ją, odbiła się od niego rękami jak od dna, aby wypłynąć na powierzchnię.

Obudziła się.

Po plecach spływał jej zimny pot, drżała od dreszczy. Krajobraz za oknem zatrzymał się, taksówka stała w miejscu. Kawalek lasu, pas trawy, zakole jeziora. Widok z jej najgorszego koszmaru ponownie się o nią upomniał, znów starał się wciągnąć ją w swoją głębię, zatopić w czwartym wymiarze nieznanego.

– Czemu stoimy, co się stało?

– Spokojnie, kasuję za kilometry, nie minuty – znużonym tonem odpowiedział kierowca.

Wpatrzony w tył samochodu przed nim, na pamięć dłubał scyzorykiem w paznokciach.

– Mam gdzieś pańskie kilometry, ja nie chcę tu stać, nie mogę, nie w tym miejscu!

– Hola, hola, to moje stanowisko pracy, proszę się zachowywać. Nie widzi pani, dźwig zablokował pół jezdnii, coś wyciągają z jeziora.

Przyłożyła głowę do szyby, skupiła wzrok na kreskach przecinających niebo kilkadziesiąt metrów przed nimi. Wysięgnik dźwigu i zwisająca z niego stalowa lina, gigantyczna wędka z hakiem zamoczoną głęboko w wodzie. Między drzewami dostrzegła tylko prześwity, pojedyncze klatki filmu.

– Co oni tam robią?

– A skąd ja mam niby wiedzieć, niech pani wysiądzie i zapyta. O, łódka podpłynęła, pewnie coś wyciągają z wody.

Jadźka z jakiegoś powodu wstrzymała oddech. Rzeczywiście, po kilku sekundach tafla jeziora pękła, lina zakołysała się. Na haku wisiał nieruchomy przedmiot ociekający wodą i czarnym mułem.

– Boże święty, jedź! – wrzasnęła, zasłaniając oczy.

Mimo odległości i abstrakcyjnej formy wyłowionej rzeczy zdawała się ją rozpoznawać. Więcej, ta rzecz wypełniła ją lękiem.

– Cholera jasna! – jęknął taksówkarz, wyciągając głowę przez opuszczoną szybę.

– Odjedź stąd, prędzej, proszę! – błagała kobieta.

Tym razem posłuchał. Nacisnął na klakson, kaskaderskim sposobem wyskoczył z kolejki i popędził przeciwnym pasem ruchu, jakimś cudem mieszcząc się w lukę pomiędzy nadjeżdżającymi autami. Przyjrzał się zwisającemu z liny kształtowi z bliska, kiedy mijali dźwig.

– Kurczę pieczone! – Rzucił pasażerce spojrzenie przez ramię, jakby szukał potwierdzenia swoich domysłów. Jadźka obejmowała głowę ramionami, schowała się za oparciem przedniego fotela. – To kościotrup!

Do lasu wjechali w okolicach Karłowa, skierowali się w stronę Osikowa, ale w połowie drogi skręcili w zarośniętą, dawno nieużywaną ścieżkę prowadzącą donikąd. Przynajmniej dla przypadkowego spacerowicza lub turysty, oni doskonale wiedzieli, dokąd ich zaprowadzi.

Tam, gdzie żywe dusze zastępują upiory.

Warkot samochodu wypłoszył stado ptaków żerujących na zabagnionej łące w rozlewisku leniwie płynącego strumienia. Ciemnozielone mitsubishi pajero zagłębiło się w gęstych zaroślach, zapadło w leśnej ściółce pokrywającej koleiny rzadko wykorzystywanej ścieżki. Znikło, całkowicie połknięte przez gardziel lasu.

Ucichło.

Trzasnęły drzwi, z kabiny dżipa wyskoczyło trzech mężczyzn. Najniższy rozejrzał się, wsłuchał w głuchą ciszę przyrody zastygłej w oczekiwaniu. Dał umówiony znak kompanom, którzy zaczęli opróżniać bagażnik. Sam przeszedł się wokół polany, przystanął nad porośniętymi trawą kopcami, które przy odrobinie wyobraźni można było uznać za groby pomordowanych, odpiął rozporek i oddał mocz. Skończywszy, wskazał na powalony niedawnym huraganem pień młodej sosny koroną połączony z gałęziami rozłożystego buku, oparty niecałe trzy metry nad ziemią o gruby konar. Kora buku błyszczała w słońcu opalizującymi barwami z przewagą niebieskiego, jakby była pokryta metalicznym lakierem. Podobnie lśniły pancerze fruujących owadów, porozrzucane w powietrzu minerały.

Od strony auta dobiegło nagle wściekłe ujadanie psa, przerwane uderzeniem metalu o metal zamieniło się w cichy skowyt.

– Tarczę zawieście na sośnie, ścierwo przywiązać z drugiej strony – polecił Bruce.

Pozostali mężczyźni karnie wykonywali jego rozkazy.

Sapali z wysiłku, jęczeli, rzucali mięsem. Przywódca wyciągnął ze schowka w kabinie puszkę z piwem, oderwał zawleczkę jak z granatu, płyn eksplodował pianą. Tapir zachichotał.

– Psiakrew... – Bruce przyłożył usta do gejzeru, zassał pianę. – Jeszcze wyżej, przecież leży na ziemi!

Leon zawiesił się na linie całym ciężarem, obciążnik drgnął i zatrzymał się w odpowiedniej pozycji, sznur został obwiązany wokół pnia sąsiedniego drzewa. Mężczyźni stanęli obok siebie, podziwiali dzieło. Przytwierdzony do metalowej blachy plastikowy manekin był wystrojony w spodnie i kurtkę, na głowę włożono mu czapkę. Poruszał się wahadłowym ruchem zegara powoli odliczającego czas. Smuga światła omiatała go do połowy, przez co przy każdym ruchu zdawał się mrugać okiem skrytym pod daszkiem czapki.

Ożył.

– Czekajcie, jeszcze czegoś brakuje. – Bruce wyciągnął z kieszeni spodni

złożoną kartkę, podszedł do manekina i przyczepił mu ją do klatki piersiowej. Czarno-biała tarcza strzelecka.

– Na co czekacie, dawać sprzęt! Najpierw bagnety, pukawki później. Odwalamy trening i pomykamy do babci na śniadanie, robię się głodny.

Mężczyźni jak na komendę wyciągnęli z pochew noże wojskowe wielkości maczet, okrążyli wydumanego wroga. Bruce przyjął pozycję do ataku, zademonstrował serię ciosów, z dużą wprawą zatapiając ostrze w plastikowych trzewiach kukły, wygłosił krótki instruktaż, powtarzając najważniejsze ruchy. W następnej kolejności trenował Leon, nacierając na wyimaginowanego przeciwnika z lisim sprytem, żarłocznie kłapiąc przy tym zębami. Tapir był zbyt wielki i kwadratowy, jego ruchy były za silne i za wolne, mimo kilku prób nie zdołał wykonać odpowiedniej sekwencji ciosów.

– Bardziej pasuje do niego siekiera, Bruce, to kat, nie nożownik! – naśmiewał się Leon.

– Żeby ci nie odrąbał tego szczurzego łba! – odparował Tapir, ale twarz miał równie kamienną, jak podziobany ostrzami manekin.

Nie żartował.

– Spokój mi tam! Ruska macie rąbać, nie siebie nawzajem. – Przywódca rozdzielił swoich ludzi. – Spróbujemy czegoś innego.

Z pokrowca na strzelbę wyciągnął karabin, załadował magazynek, odbezpieczył. Stał na ugiętych nogach, przyłożył kolbę do barku, wycelował. Strzelił.

Seria z kałasznikowa przeszła tarczę z dołu do góry, huk poszybował w dal. Pies szarpnął łańcuch, zaskowytał. Gong metalowej płyty przez długie sekundy dźwięczał w uszach. Na manekinie pojawiły się ciemne zadziory porwanej tkaniny, nitki i plastikowe paprochy opadały na trawę. Z otworów po kulach ulotniły się strużki czarnego dymu.

– Specjalnie wycelowałem w korpus. – Bruce zademonstrował na sobie, przeciągając palcem od krocza do szyi. – Lufa odbija w górę, pociski masakrują organy wewnętrzne i roztrzaskują kręgosłup, natychmiast powalając przeciwnika na ziemię. Zamieniają go w ochłap mięsa. Jeśli jeszcze żyje, to tylko przez chwilę. Najczęściej umiera w ciągu kilku sekund.

– Chyba zdycha! – Lis Leon przejął broń, wymierzył i pociągnął za spust. Przeciął manekina w poprzek, z zadowolenia wyszczerzył ostre zęby. – Zdychaj, Iwanie!

Trenowali dalej, rozdzierając ciszę lasu hukiem i towarzyszącym mu biciem

dzwonu, śmiercią i odpowiadającą jej trwogą. Podobnie jak przy użyciu noża, Tapirowi nauka szła opornie. Drżał przy każdym strzale, zalewał go coraz bardziej obfity pot, koszulka kleiła mu się do ciała.

– Tylko nie zmocz se jeszcze porów! – zażartował Lis Leon.

Tapir odwrócił się w jego stronę, uniósł broń. Stali tak blisko siebie, że lufa karabinu niemal dotykała czoła. Szczur zamarł, wskazujący palec osiłka drżał na cynglu. Bruce błyskawicznym ruchem wyrwał mu broń z ręki, trzasnął w pysk.

– Debile! To nie jest, kurwa, zabawka, rozumiano? Takiś chojrak, Tapir? To proszę bardzo, zajeb psa. No co, peniasz? Wątpisz, kurwa?

Pies jakby wyczuł intencje ludzi, skulił się pod pniem drzewa, błagalnie łypnął bielkami oczu. Tapir zbliżył się na dwa kroki, wycelował broń z biodra, ale ramię trzęsło mu się tak silnie, że nie był w stanie utrzymać linii prostej, załamywało się w każdym stawie jak rozregulowana marionetka.

– No strzelaj, kurwa, na co czekasz!?! – wrzeszczał mu nad uchem Bruce. – Strzelaj, zabij go, jebnij Ruska!

Mężczyzna mrużył oczy zalewane strumieniami potu, zacisnął z wysiłku wargi, jakby spust nagle zardzewiał i nie dał się ruszyć. Na czole i szyi wyszły mu żyły, policzki przybrały kolor oparzeń, reszta twarzy trupiej sinizny. Lis Leon stał bez ruchu, sparaliżowany obserwowanym widowiskiem, mocą żywiołów toczących walkę we wnętrzu tego olbrzymiego mężczyzny, każdy z nich zdolny rozłupać go jak muszelkę.

– Strzelaj!

Strzelił. Pies zawył jak obdzierany ze skóry, z zadu wystrzeliła mu krew. Podniósł się na przednich łapach, zaczął czołgać wokół pnia drzewa, pozostawiając za sobą smugę czerwieni. Jego skowyt rył uszy, mózg, paraliżował myśli.

– Dobij go! Dokończ, kurwa, swoją robotę!

Tapir upuścił broń, cofnął się na sztywnych nogach, zacisnął powieki, uszy zatkał otwartymi dłońmi. Bruce podniósł karabin i podszedł do psa, z bliska dokonał egzekucji. Cisza zapadła niczym kotara, dusząca i ciężka. Z daleka odezwało się wycie, może wilków, w promieni kilometrów nie było ludzkiej osady. Na polanie roznosił się cichy stukot zębów, klekoczących o siebie szczęk Tapira. Z otworu po źle zszytej wardze wyciekła ślina.

Bruce doskoczył do niego, trzasnął go kolbą w głowę, podciął i powalił na ziemię. Przydusił kolanem, do skroni przystawił lufę, nachylił się.

– Jestem ruskim bandytą, którego nie dobiłeś – wycedził. – Tratatata! Jesteś

trupem.

Wszyscy wyglądali jak trupy.

Sztywni w lodówkach, skostniała komendant Chłopska, śnieżnobiała prokurator Skórka i białowłosa doktor o wargach w kolorze stali. Andrzej czuł, jak strużka potu na plecach tężeje w lód i wpełza w tyłek, odruch wymiotny przełykał na trzy razy, ale przełknął. W ustach miał posmak zgniłego mięsa, choć szkielet składał się z gołych kości, natychmiast przypomniało mu się, czemu od dłuższego czasu próbował przejść na dietę wegetariańską.

Zapiął marynarkę, krawat schował pod fartuchem lekarskim. Wyjął telefon i zrobił kilka zdjęć, obchodząc zwłoki. Starał się jak najszybciej ochłonać i popisać profesjonalizmem, wykpić skręczające się z obrzydzenia kobiety. Dziwnie ciężko i długo trawiły szczątki, przecież mieszkały w krainie jezior, topielcy byli tutaj tak samo powszechni, jak ofiary na drogach. Zwłaszcza w ostatnim czasie.

– Stary – skomentował, chociaż każdy to widział.

Nawet w wodzie człowiek potrzebuje tygodni, żeby zredukować się do samego szkieletu. Ten był dużo starszy, musiał spoczywać na dnie latami, kości odbarwiły się od mułu i zanieczyszczeń, niektóre były prawie czarne. Nadłamane, nadzarte, niekompletne.

– Może powiesz nam, Bondar, coś, czego nie wiemy? – odezwała się Hula-Chłop, ale nie patrzyła na podwładnego, a na białowłosą lekarkę.

Ta wzruszyła ramionami, zdawała się bardziej bezradna od pozostałych.

– Niewiele pomogę, nie mam czego pokroić, w co zajrzeć... – Rozłożyła rękę.

W tej chwili przypominała rzeźnika, od którego kochanka żąda: Rozbierz mnie! On rozgląda się spanikowany: Ale nie mam noża!

– Należy przesłać zwłoki antropologom – polecił Andrzej, próbując przejąć kontrolę. – Szczątki ubrań proszę wysłać do laboratorium. Łańcuch też, może coś na nim znajdą.

Oczy całej czwórki skierowały się na plastikowy worek, w którym zwijał się wąż rozpadających się ogniów. Dowód, że nie mieli do czynienia z wypadkiem. Ktoś zatopił ciało i przymocował tak, żeby nie wypłynęło na powierzchnię.

– Morderstwo prawie doskonałe – odezwała się prokurator. – Gdyby nie biały szkwał i nasze poszukiwania, pewnie nikt nigdy nie odnalazłby zwłok.

– Prawie – podkreśliła Chłopska. – Na szczęście mamy odpowiednie zasoby

kadrowe, żeby rozwiązać każdą zagadkę.

Wbiła wzrok w Andrzeja, tym razem z błyskiem, który wyrażał raczej nadzieję niż kpinę. Odwoływała się do jego gwiazdorskiej przeszłości, do dzisiaj przedstawiano wyniki jego niektórych śledztw jako wzorcowe. Prokurator Purchawa nadęła się, mimo swoich półtora metra na koturnach spojrzała na niego z góry.

– To może nadkomisarz pochwali się, jak mu idzie poszukiwanie właściciela zakrwawionego łańcuszka?

– Nie idzie – odparował zgodnie z prawdą. – Sprawdziliśmy zaginionych, ale panuje taki chaos w związku z huraganem, że trudno prowadzić efektywne postępowanie. Poza tym nie ma trupa, nie ma zabójstwa, o ile się nie mylę, prokuratura nie podjęła jeszcze oficjalnej decyzji.

Porcelanowa twarz Skórki zaszła różową mgiełką gniewu. W tej chwili skojarzyła mu się z miniaturową wersją Dzika, prokuratora ze Starogardu, który prześladował go w trakcie poszukiwań Skorpiona.

Komendant Chłopska uśmiechnęła się zadowolona, wyraźnie nie darzyła prokurator sympatią. Patolożki też nie, z niewiadomego powodu. W babskiej rywalizacji zawsze musiała być górą, nawet gdyby wymagało to użycia kłów i pazurów. Solidarność macic była takim samym mitem, jak solidarność plemników.

– Mamy coś jeszcze? – zapytał rutynowo Andrzej.

Jak na złość białowłosa doktor porozpinała zamki dwóch worków foliowych, które leżały na innych stołach. Ich oczom ukazały się gołe czaszki.

– Te szkielety zdają się młodsze, pewności nabierzemy po odpowiednich badaniach.

– Czyli nie są komunistyczne? – zapytała niepewnie Chłopska.

Prokurator Purchawka parsknęła śmiechem.

– Komunistyczne to mogą być bloki, pani inspektor.

– Już pani dobrze wie, o co mi chodzi!

– Tych nie przywiązano niczym do dna, przynajmniej nie znalazłam takich śladów – wtrąciła się patolożka.

Andrzej w tym czasie zrobił zdjęcia, przyjrzał się kościom z bliska. Rzeczywiście, miały jaśniejszą barwę i były mniej uszkodzone. Poza widocznymi brakami. Lekarka zdawała się czytać mu w myślach:

– Wszystkie te szczątki są mocno zdekompletowane. Robaki, ryby, prądy jeziora...

Nikt nie zaprzeczył, nikt nie miał nic więcej do dodania. Zamiast pożegnania kobiety popatrzyły na siebie, żadna nie chciała pierwsza skinąć głową, policjantka i prokurator zadarły nos, patolog objęła się ramionami i uciekła spojrzeniem w bok. Ukłonił się tylko Andrzej. Ze strachu przed kłótnią szybko wycofał się na korytarz, schował za rogiem. Wykafelkowana na zielono ściana odbijała kontur jego postaci, z jakiegoś powodu na czarno, choć ciągle miał na sobie biały kitel. Był tak blisko zmarłych, że sam zaczął straszyć, a miał duszę czarną jak sadza. W tej chwili prześwitywała przez ciało.

– Idziemy!

Hula-Chłop zakręciła biodrami. Czerwone paznokcie u nóg i rąk sypały iskry, które gasły na zimnych płytkach, wargi powoli odzyskiwały kolor, żeby za drzwiami wybuchnąć krwawym płomieniem.

– Nie wiem, jak to zrobisz, Bond – poinformowała w drodze do radiowozu – ale nie dam ci ani dodatkowych ludzi, ani środków. Masz sobie poradzić w ustalonym budżecie, jasne?

Wsiedli, komendant za kierownicą wbiła sztylet buta w pedał gazu, jakby celowała w ludzką tętnicę.

– Co nie znaczy, że masz coś spierdolić, ludzie patrzą.

Ludzie. Miała pewnie na myśli jakieś szychy, nigdy by tak nie nazwała szaraków z ulicy. Ci istnieli dla niej wyłącznie w formie kartotek, zgłoszeń, mandatów i interwencji. Targetów i statystyk. Budżetów. Prawdziwa bizneswoman w policyjnym mundurze.

Zaparkowali przed komendą, Andrzej przepuścił szefową w drzwiach. Stała przy recepcji, oparła łokieć o ladę. Uważnie zmierzyła go wzrokiem, po kolei zatrzymując się na wyglansowanych butach, czarnym garniturze, cienkim śledziu krawata i białej koszuli.

– Teraz to ja rozumiem. Jak myślisz, Kurowska? – zwróciła się do sierżant dyżurującej w recepcji. – Bond, ale ciągle bez Jamesa. I bez Daniela Craiga. Pół Bonda. Taki mały Bondzik!

Kurowska zachichotała, a Andrzej poczuł pulsowanie w skroni. Opuścił z czoła okulary przeciwsłoneczne, żeby nie patrzeć ogniem. Zawsze kumple robili mu głupie kawały, zawsze dostawał zjeby od zwierzchników. Ale nigdy jeszcze nikt z niego tak nie szydził. Nie wystawiał go na pośmiewisko. Chłopska znikła na



schodach, sierżant zdusiła śmiech na widok jego zaciętej miny. W końcu był starszy stopniem, dziwny.

Nieobliczalny.

Skierował się prosto do piwnicy, gdzie znajdowały się cele i sale przesłuchań. Wszedł do pomieszczenia wskazanego przez strażnika, bez słowa zajął miejsce obok spisującego zeznania Niańki. Gestem nakazał podwładnemu kontynuować przesłuchanie, sam przejrzał sporządzone notatki. Typ kłamał do tego stopnia, że trzy razy zmienił wersję wydarzeń. W każdej powtarzał się jednak motyw alibi, w noc popełnienia przestępstwa aresztowanego odwiedzili znajomi. Andrzej wskazał aspirantowi drzwi, a kiedy ten wyszedł, wstał i zawiesił na oparciu krzesła marynarkę, odpiął guziki i podwinął rękawy. Przedramiona miał chude jak patyki, a piąstki barwy i wielości porcelanowych filiżanek. Był jednak zły. Miał władzę i sumienie pełne ofiar i krzywdy ludzkiej.

Stanął pod ścianą za plecami Wiśniewskiego. Milczał. To była jego ulubiona metoda przesłuchań, nic nie mówić, traktować przesłuchiwanego jak powietrze. Chmurkę nieczystości, smród, który trzeba wywietrzyć.

Prędzej czy później pękają i zaczynają gadać sami, wystarczy słuchać. Jeśli to nie zadziała, próbował negocjacji, kupczył wyrokami, targował się, a na końcu i tak nie dotrzymywał słowa. Był jeszcze areszt wydobywczy, ale trwał długo, a często nie było czasu. W inne metody przestał wierzyć. Albo chcieli gadać i się im w tym pomagało, albo nie chcieli i szkoda było marnować zdrowie.

Tadzio chciał, tylko potrzebował pretekstu.

Denerwował się, wiercił, trząsł, jakby rozpadał się na cząsteczki. Andrzejowi to nie przeszkadzało, jeśli któraś zdecydowałaby się przyznać do winy. Wiśniewski spojrzał do tyłu, ale Bondar trzepnął go w łeb. Zatrzymany skulił się, oparł czoło o obgryziony ze zgryzoty przez innych aresztantów kant stołu, nie zmienił tej pozycji przez kilka minut.

Andrzej z zadowoleniem uznał, że typek pękł. Zajął miejsce przesłuchującego, Wiśniewski rzeczywiście przemówił.

– Jestem gejem – poinformował, pociągając nosem. – I, kurwa, co z tego? Nic nie zrobiłem, ile razy mam powtarzać?

Pieprzony łgarz musiał się czegoś bać. Może kogoś. Taka ściера wygadałaby się już dawno. Andrzej wyskoczył zza stołu, przycisnął mu głowę do blatu, nachylił się.

– To po coś uciekał?

– Wystraszyłem się, stara spanikowała. Bała się, że przyszliście mnie zgarnąć za stare dzieje. Za coś, czego nie zrobiłem. Miała rację...

– Wzięłeś własne dzieci na zakładników, grożąc im nożem. Na swoim komputerze przeglądałeś gejowską pornografię, linki do stron z dziećmi też znajdziemy.

– Tam nic nie ma! – bronił się Tadzio.

– Znajdziemy, znajdziemy, zaufaj mi. Pójdiesz siedzieć na pięć lat, nowi kumple rozerwą cię jak jutowy worek, będziesz sobie dupę korkował kubkiem, żeby nie srać w gacie. Rodzina nie będzie cię chciała znać, skończysz na sznurku albo na dnie jeziora, wpierdolą cię rybki.

Zrobił pauzę, dał podejrzanemu czas na przetrwanie tej wizji, którą podsunął mu widok szkieletów w prosektorium. Czuł, że coś próbuje wyrwać się z aresztowanego na wolność, może prawda, ale ciągle nie pękła tama strachu.

Zmienił temat:

– Skąd wzięła się ta blizna na twojej twarzy?

Aresztowany zasłonił dłonią kilkucentymetrową smugę niedaleko nosa. Ledwo widoczne pod zarostem znamię, które Bondar dostrzegł dopiero z bliska.

– Przewróciłem się podczas gry w kosza, stare dzieje.

Każde z tych słów brzmiało fałszem.

– I nie znajdę nic na ten temat w twojej kartotece?

– Nie wiem, wypisujecie różne bzdury. O ile któryś z was umie pisać.

Przesłuchiwany nabrał pewności siebie, największy stres minął. Zhardział.

– Dobra, twardzielu, jak uważasz. Sprawa wygląda następująco: przyznasz się do napadu, zakwalifikujemy czyn jako pobicie, odsiedzisz parę miesięcy i wyjdiesz na wolność. Zachowasz dupę i twarz, rodzinę może też. To twoja najlepsza opcja, moja jedyna oferta, innej nie będzie. Mamy deal?

Tadziu nabrał głęboko powietrza, jakby przygotowywał się do poważnego wyznania. Andrzej wyteńczył słuch.

– Ja nic nie zrobiłem! – ryknął Wiśniewski.

Skrzyżowali się wzrokiem, przy czym Andrzej musiał ustąpić. Dawno nie doświadczył tak intensywnego spojrzenia. Wiśniewski musiał ukrywać więcej, niż można było przypuszczać.

Samochód odstawili jej po południu. Bez przeprosin, bez dodatkowych wyjaśnień, młody posterunkowy oddał kluczyki i milczał jak grób, kiedy go strofowała. Na koniec uklonił się grzecznie i wyszedł, pozostawiając po sobie zapach zwietrzałego dezodorantu i domysłów bez odpowiedzi.

Krzyczała. Na policjantów, na pracowników, do siebie, kiedy już wszyscy się na nią obrazili. Żeby tylko wiedzieli, przez co w tej chwili przechodzi, co się z nią dzieje. Gdyby sama wiedziała, ale nie miała pojęcia. Lowelas z komendy nic na nią nie miał poza przypuszczeniami, była tego pewna. Gorzej ze szkieletem wyłowionym z jeziora. Wpadła w panikę, kaskada obrazów znokautowała ją, wcisnęła w podłogę taksówki, przelała się falą i wyszła. Przed oczami wciąż miała kilka fotografii wyrwanych z kontekstu, nie potrafiła dopasować ich do żadnych historii, w ogóle nie rozpoznawała niektórych twarzy.

Przestała rozpoznawać siebie samą.

Kim była? Co wydarzyło się w jej życiu? Dlaczego przeszłość zawsze powraca?

Trzasnęły zewnętrzne drzwi, z biura wyszedł ostatni pracownik. Cisza byłaby zupełna, gdyby z ulicy nie dobiegał szum samochodów. Sięgnęła po telefon, wybrała numer męża. Wcisnęła symbol połączenia, ale po sekundzie zrezygnowała z tego zamiaru. Rozmowy telefoniczne nie miały sensu, on zawsze znalazł jakiś pretekst, żeby ją spławić, był zbyt zajęty, coś nagle mu wypadało, z tą swoją pseudointeligencką galanterią mówił jej po prostu „spierdalaj”, ubierając to w zgrabne słówka. Zastrany hrabia z Bagnisk Dolnych, chodził na chaziel przez drogę, zanim go stamtąd wyciągnęła. Wskazała kierunek, prowadziła za rękę. Zostawiła, ale to nic nie zmieniało, razem podjęli decyzję o rozstaniu. Nie była niczemu winna, miała czyste sumienie.

Pojedzie tam. Postawi go przed faktem dokonanym. W końcu to też jej dom, razem go budowali, ona aranżowała wnętrza, wybierała dekoracje i meble. Sprzątała. Wypełniała ciepłem, miłością, podczas gdy on się coraz bardziej odsuwał, zamykał w sobie. Gdyby przeprowadził się do gabinetu w hurtowni, nawet by tego nie zauważyła, tak rzadko pod koniec małżeństwa bywał w domu. Okłamywała się, a sprawa była prosta jak dodawanie na palcach. To on ją zostawił, ona tylko odeszła. Była tą odważną, on stchórzył.

Wyszła z biura, zamknęła drzwi. Obejrzała dokładnie samochód, na zewnątrz i w środku. Zdawało jej się, że wychwytuje woń gnoju, pewnie któryś z gliniarzy miał gospodarstwo, przed służbą czyścił chlew i roznosił resztki obornika po świecie. Psiknęła perfumami, zanim włączyła silnik. Postanowiła zaraz po wizycie u męża oddać wóz do czyszczenia. Kompleksowo, łącznie z praniem tapicerki

i odkażaniem, jeśli w ogóle ktoś takie usługi wykonuje. Nieważne, to będzie dodatkowe zlecenie, zapłaci ekstra. Byleby tylko znikło to wrażenie czyjejs obecności. Zanieczyszczenie powietrza, brud butów i rąk, obcy pot w tapicerce foteli.

Po dziesięciu minutach była na miejscu. Wjechała na plac manewrowy przed hurtownią, dom znajdował się na tej samej posesji, tylko nieco wyżej, trzeba było przejść prawie czterdzieści metrów i wdrapać się po schodkach, które prowadziły do ogrodu. Klomby kwiatów zostały obsiane trawą, nie miał kto o nie zadbać. Postrzępione tuje rosły, jak chciały, a z betonowych płytek wyrastał perz.

Przynajmniej interes był w dobrym stanie, to Waldek umiał robić. Tir się rozładowywał, na dwie furgonetki pakowano kartony, ruch jak nigdy o tej porze. Mąż stał przy kabinie kierowcy i sprawdzał kwity, kiedy ją dostrzegł, natychmiast przywołał pracownika i przekazał robotę, podszedł. Bez przywitania ruszył w stronę domu. Jak zwykle próbował uniknąć publicznej kłótni, uciekał. Może i miał rację, bilans ich ostatnich spotkań nie wyglądał najkorzystniej, za każdym razem ponosiły ją nerwy. Nic dziwnego, odwykła od jego irytującej osobowości. Sama nie wierzyła, że wytrzymała z nim tyle lat. Że go kochała. Uprawiała z nim seks. Wmawiała sobie szczęście. Marnowała życie.

Zamknął za nimi drzwi, z wnętrza domu powiało syberyjskim chłodem, gułagiem. Odchodząc, zabrała ze sobą wszystko, co było w ich związku wartościowe – uczucia. Pozostał beton murów i ceramika dachu. Lodowy pałac.

Wskazał jej fotel, więc usiadła, ale prawie od razu wstała. Nie będzie jej mówił, co ma robić. Nigdy więcej.

– Posiedzieć mogę u siebie, Waldemar, w domu. Nie po to tu przyszłam.

– Więc co mogę dla ciebie zrobić?

Jego spokojny, zrównoważony ton wytrącał ją z równowagi, czuła wysuwające się z koniuszków palców kocie pazury.

– Z jeziora wyłowili dzisiaj trupa, szkielet.

– Co chwila kogoś wyławiają, był huragan.

– Tak, wyławiają. Waldek, ja mam jakieś przebłycki pamięci, ale nic z nich nie potrafię zrozumieć. Czy nam się coś przytrafiło? Coś złego?

– O czym ty mówisz, Jadźka? – Usiadł w fotelu, ręce złożył jakby w błagalnym geście. Jego dokładnie ogolona, przystojna twarz napięła się. – Co złego, jakie wydarzenia? Może masz jakieś koszmary?

– Nie! To nie są żadne koszmary, ja to widzę. Sceny, ludzi, jakieś... nie wiem,

ciężkie emocje. Ja je czuję, jakby były prawdziwe.

– Jadźka, to brzmi niepokojąco. Powinnaś udać się do lekarza...

– Zamknij się! Żadnych lekarzy! Po prostu powiedz mi, co się wydarzyło. Błagam cię, Waldek, ja muszę wiedzieć, ja...

Oparła się ramionami o stół, zwiesiła głowę. Zdawało się, że na wypolerowany blat kapną pierwsze łzy. Mąż wstał i podszedł do byłej żony, spróbował ją objąć.

– Nie dotykaj mnie! – warknęła, odpychając go. Pobieгла do jadalni, zatrzymała się na środku i posłała spojrzenie do miejsca, gdzie w jednej z projekcji pamięci stała córka, trzymając w dłoni teleskopową rączkę walizki. – Gdzie ona jest?! Coś zrobił z moim dzieckiem?!

Waldemar nie przekroczył progu jadalni, obserwował ją z korytarza. Cień zamazywał rysy jego twarzy, wygładzał zmarszczki, tuszował siwiznę i zakola łysiny. Scena wyłowiona z pamięci stała się tak rzeczywista, że Jadwiga o mało nie upadła, musiała przytrzymać się oparcia krzesła.

– Jadźka, przecież Sandra wyjechała dawno temu. Opuściła nas, mieszka w Ameryce. Jadźka, co się z tobą dzieje?

– Nie, nie, ona nie wyjechała, ona... – Zakrztusiła się powietrzem, zaniósła kaszlem. – Ja nie wiem, Waldek, ja już nic nie wiem. Myślałam... Ale te wspomnienia... Ja nic nie pamiętam, Waldek. Dlaczego ja nic nie pamiętam?

Zrobiło jej się niedobrze, wybiegła do łazienki, przewróciła się w progu. Objęła lodowatą muszlę, zwymiotowała. Waldemar wrósł w podłogę, nie był w stanie poruszyć palcem. On wiedział, doskonale pamiętał. Dwa metry od niego stała Sandra, oni przy stole, gdzie przed chwilą była Jadźka. Kłócili się, krzyczeli. Ona prosiła, ale nie chcieli słuchać. Nie potrafili słuchać. Później odwróciła się i weszła w cień korytarza. Ojciec rzucił się w pogoń, dopadł córkę w połowie drogi do wyjścia. Uderzył.

I wtedy życie się dla nich skończyło.

Wiech zatrzymał się po drugiej stronie jezdni, cofnął w boczną drogę prowadzącą do składu budowlanego. Częściowo schowany pod maskującą siatką niskich drzew miał doskonałą widoczność na posesję Koterskich, plac manewrowy z halą hurtowni i górującą nad resztą zabudowań willę. Z punktu obserwacyjnego widział jedynie dach, zestaw czerwonych piramid unoszących się kilka metrów nad ziemią. Reszta budynku kryła się za rzędem wysokich tui o postrzępionych, zaniedbanych koronach upadłego królestwa.

Podkomisarz odłożył aparat fotograficzny na przednie siedzenie, z reklamówki wyciągnął kanapkę i puszkę coli. Odsunął fotel, obniżył oparcie, lekko uchylił drzwi. Wyciągnął się, co nie było łatwe przy jego wzroście, ale w tej sytuacji musiało wystarczyć. Zmienił stację radiową, trafił na nowy przebój Depeche Mode, zanucił kilka zapamiętanych słów. Podobało mu się to zajęcie, na chwilę zamienił się w filmowego detektywa, mógł popuścić wodze fantazji. O tym właśnie marzył, wstępując w szeregi policji, o wyciąganiu na światło dzienne ludzkich sekretów, brudów zamiatanych pod dywan, krzywd zamykanych w ścianach mieszkań. Najczęściej ścigał jednak zapijaczonych złodziejasków i ogrów nabuzowanych testosteronem, którzy rozbijali mordy i łamali kości słabszym od siebie.

Tutaj miał zupełnie coś innego, zagadkę. Intuicja go nie zawiodła, zwykle pozornie potrącenie na drodze okazało się czubkiem góry lodowej, pod wodą kryły się tony skutych lodem tajemnic. Dzisiejszego poranka otrzymał informację z ZUS-u, listę podmiotów, które opłacały składki za Józefa Weinara. To mogło stanowić przełom, zagwarantować sukces. Dzięki niemu dostanie awans. Najpierw na komisarza, po kilku miesiącach zastąpi Bondara na stanowisku naczelnika wydziału. Chłopska obiecała mu to, zatrudniła przybłędę tylko na chwilę, po nim on przejmie rządy w tym mieście.

Zacisnął dłonie na kierownicy, napiął motyle, spojrzął w odbicie oczu we wstecznym lusterku. Tak, weźmie ich wszystkich w garść i zaciśnie, zmiażdży. To będą rządy twardej ręki.

Twardego łokcia.

Na parkingu hurtowni pojawiła się nagle Jadwiga, biegła. Raczej kuśtykała, jakby sobie skręciła nogę lub stłukła kolano. Chwycił aparat, przyłożył oko do wizjera, ustawił ostrość. Nie nosiła śladów pobicia, ale była w opłakanym stanie. Zapłakana, mokra twarz ze smugami rozmazanego makijażu, potargane włosy. Walczyli? Albo po prostu wpadła w histerię, niejednokrotnie widział kobiety w sytuacjach stresowych, tak właśnie wyglądały. Jakkolwiek przemoc domowa to nie jego działka. Jego interesowało wyłącznie zabójstwo.

Zrobił kilka fotografii, Jadwiga wsiadła do SUV-a i wyjechała na jezdnię, niezdarnie, ale na tyle wolno, że nie stanowiła zbytniego zagrożenia dla ruchu. Podkomisarz odprowadził ją wzrokiem i uruchomił silnik, przeciął szosę, minął bramę wjazdową i zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą parkowała toyota. Wysiadł i ruszył ścieżką do willi. Nie mógł trafić na lepszy moment do przeprowadzenia rozmowy, gospodarz musiał być roztrzęsiony i rozbity po wizycie byłej żony. Duże szanse, że pęknie i wszystko wyśpiewa.

Wojtał przedstawił się, polecił Waldkowi usiąść przy stole, wyciągnął notatnik.

– Czy mówi coś panu nazwisko Józefa Weinara? – przeszedł od razu do sedna sprawy.

Koterski chwilę szperał w pamięci.

– Tak, pracował tu kiedyś, parę lat temu. A o co chodzi?

– Przed czterema dniami zginął w wypadku samochodowym, w podejrzanych okolicznościach.

– Coś takiego! – Reakcja gospodarza była tak nieautentyczna, że nie dostałby nawet roli zwłok w *Klanie*.

– Przed śmiercią kontaktował się z pana żoną. Przepraszam, była żoną.

– Tak? – Tym razem zaskoczenie było prawdziwe, ale płytkie. Wyraźnie niewiele go to wszystko obchodziło.

– Sprawdzamy ewentualny związek pana byłej żony z ofiarą wypadku czy samym wypadkiem.

– Związek?

– Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć. Łączyło ich coś? Może, kiedy tu pracował, romans? Biorąc pod uwagę rozpad państwa małżeństwa i powtarzane plotki...

– Jak śmiesz?!

– Słucham?

– Jak pan śmie wplątywać w coś takiego Jadwigę? Ja nic nie wiem, nie mam zamiaru uczestniczyć w tych pomówieniach, nie mam panu nic do powiedzenia!

Pudło, Waldemarowi pękła tylko skorupa, jądro było twarde jak pestka. Ciągle ją kochał?

– Panie Koterski, chodzi nam tylko o ustalenie faktów.

– Dosyć, żegnam pana.

Wstał, wyszedł z za stołu, wskazał drzwi. Wiech spakował notes, w którym nie zapisał nawet jednej linijki. Przeklął w duchu, właśnie zamykał się przed nim rojujący wielkie nadzieje wątek śledztwa. Nie zamierzał tak łatwo rezygnować.

Zbliżył się do gospodarza na pół metra, pochylił się nad nim. Był wyższy niemal o głowę, z trzydziści kilogramów cięższy. Rozplątałby mu pysk jednym uderzeniem łokcia.

– Przed chwilą wyszła od ciebie Jadwiga, widziałem ją. Zrobiłem zdjęcia.

Potarmosiłeś ją trochę, co? Dałeś jej wycisk, Waldek? Nie przejmuj się, ja to rozumiem, jebnięte histeryczki mnie też doprowadzają do szału. Tylko wiesz, nienaruszalność cielesna i te sprawy, można za to trafić pod celę.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Koterski może i nie wyglądał na wojownika, ale miał w sobie pestkę brzoskwini. Może miał także jajca ze stali.

– Wynocha mi stąd!

Łokieć zakołysał się na pięcie, ale nie ustąpił. Gospodarz wycodził przez zaciśnięte zęby:

– Wy-pier-da-laj!

Policjant przegrał, zagrał za ostrą kartą, zbyt ryzykownie. Nie miał innego wyjścia, niż się wycofać. Przegrupować siły, zaatakować z innej strony. Tylko z której?

Wyszedł. Wsiadł do auta, ale długo nie uruchamiał silnika, analizował opcje. Powinien był się wcześniej skonsultować z Bondarem, zasięgnąć jego opinii. Nadkomisarz mógł być i pizdą, i wrakiem jednocześnie, ale w te klocki ciągle był wyjątkowo dobry.

Zabrzączał telefon, dzwonił Nowik.

– Jestem, Janusz, co się stało?

– Właśnie wychodzę z Dworu Prawdzica, działaliśmy tu trochę z chłopakami z SWW. Wiesz, rutynowa robota. Zarzucaliśmy haczyk to tu, to tam, przyciskaliśmy do ściany, normalka. I co się okazało?

– Że Antoni Macierewicz to uśpiony agent Putina?

– Nie. Nie wiem. Słuchasz mnie, do cholery, czy wiesz lepiej?

– Sorry, nawijaj.

– Nie zgadniesz, co mi się tam złapało na haczyk...

– Andrzej?

Nadkomisarz wepchnął się do domku Michała bez zaproszenia, nie zważając na jego nagi tors i biodra przewiązane ręcznikiem. Postawił na stole teczkę i zaczął w niej grzebać. Gospodarz zmierzył jego nowy ubiór rozbawionym spojrzeniem.

– Wracasz z pogrzebu? Kto umarł? Dobry gust.

– Siadaj na dupę i przestań paplać. Mam sprawę.

Chłopak posłusznie usiadł. Założył prawą nogę na lewą, by po kilku sekundach



zmienić układ, lewe udo odsłoniło się aż do tyłka. Zdawał się ćwiczyć do roli w *Nagim instynkcie*, tylko brakowało mu widza. Gliniarz był, ale nawet nie spojrział.

– Myślałem, żeś się na mnie obraził. Przeszło ci już?

– Nie, ciągle jestem wkurwiony.

– To po coś przyszedł? – Kokieteryjnie pomerdał palcami u lewej stopy.

Paznokcie tak mu błyszcząły, jakby nałożył lakier. Może nałożył.

– Jesteś przecież u mnie na służbie, jeszcze cię nie zwolniłem. Tutaj, proszę bardzo. – Położył przed Michałem kilka fotografii wydrukowanych na papierze A4.

– Znasz ją?

Michaśka z ociąganiem wziął kartki do ręki, przeglądał je, coraz wyżej unosząc kącik ust.

– Beze mnie ani rusz, prawda, nadkomisarzu? Ciekawe, co dla mnie kiedyś zrobi policja?

– Michał, psiakrew, to ważna sprawa. Wiesz, nie wiesz, mam ci dać w gębę?

Chłopak przyjął zadumaną pozę, opierając brodę na przedramieniu, usta wyduła w dziób.

– Ta ostatnia opcja jest wyjątkowo atrakcyjna, ale chyba wybiorę pierwszą. Chcę jednak dostać pięć stów. No co, informatorom się płaci, nie?

Andrzeja zaświerzbiała ręka. Wydał dzisiaj większość miesięcznej pensji na swoje nowe ciuchy. Z ociąganiem wyjął z portfela dwa banknoty z Władysławem Jagiełłą i rzucił je Michałowi na stół. Gdyby to była oficjalna sprawa, powłókłby typa do komendy, do sali przesłuchań, i tam wydusił z niego zeznanie. Gdyby to była zwykła policyjna sprawa, miałby to gdzieś.

– Reszta później.

Chłopak wstał z sofy, obszedł stół i schował pieniądze w puszcze po kawie niczym rasowa kurwa. Ciekawe, gdzie się tego nauczył.

– To Helka Szpak, chodziłem z nią do podstawówki. Dwa lata starsza, raz kiblowała. Tępa jak cep, ale śliczniutka. Pracuje po knajpach i hotelach w regionie. Czemu pytasz?

– Nieważne, jest poszukiwana przez policję. Wiesz, gdzie mieszka?

– Mogę wiedzieć, ale za pół godziny zaczynam zmianę w Kei...

– Nigdzie nie idziesz! Ubieraj się, jedziemy do Heli.

– A powiesz mi wreszcie, co ten napastnik robi z twarzami ofiar?

– Do roboty, Kłos, ale już!

Michał zrobił duże oczy, ale bez gadania naciągnął na siebie džinsy i T-shirt z twarzą Amy Winehouse i napisem: *Life has many ways*. Andrzej podejrzewałby go o kpinę, ale przecież nie mógł wiedzieć, że spośród wszystkich dróg została mu tylko jedna. Brutalne pobicia i okaleczenia, zakrwawiony łańcuszek, zupełnie przypadkowe zdarzenia lub łączące się w serię ataki. W tych okolicznościach martwi byli w stanie powiedzieć więcej niż żywi. Należało tylko dobrze posłuchać.

Posuwali się drogą okrężną na Kętrzyn, trzy kilometry za Węgorzewem zaczynał się Trygort, wieś rozrzucona przy dwóch ostrych zakrętach niczym groch z rozprutego worka. Andrzej zwolnił, żeby Michał mógł się w spokoju rozejrzeć i przywołać odpowiednią lokalizację w pamięci. Był w delegacji szkolnej na pogrzebie, kiedy Helence zmarł ojciec. Matkę pochowała całkiem niedawno, odziedziczyła po nich kurną chatę i pięćdz zachwaszczoną ziemi.

– Chyba tam. – Michaśka wskazał domek z piernika jakieś sto metrów od szosy, przy dukcie niezdarnie wyłożonym jumbami.

– Chyba czy na pewno, Michał?

– Jedź tam, nie wymyślaj. Jak nie, to zapytam, w mordę mi chyba nikt nie da.

– Ja ci dam, jak mnie wkręcasz!

Chłopak przewrócił oczami, ale nie skomentował. Stanęli przed chatką, Michał zapukał do drzwi, nikt nie odpowiadał. Andrzej wysiadł i obszedł dom dookoła. Podwórko składało się z podziurawionej przez korniki szopy, pustej drewnitni z połową dachu i płotu, z jakiegoś powodu okalającego gospodarstwo tylko z jednej strony. Chata od tyłu była idealną kopią chaty z przodu, tylko drzwi miały kolor sików, nie rdzy. Okna były starego typu, z podwójnymi ramami, popękany i napuchniętymi od wody. Zamki nigdy w nich nie trzymają, jak powinny, wystarczy odpowiednio podważyć łomem i uważać, żeby nie poszła szyba. Andrzejowi zajęło to dwie minuty, Michała postawił na czatach, żeby mu nie patrzył na ręce.

Założył gumowe rękawiczki i worki na buty. Wskoczył do środka. Objął go chłód, na skórze poczuł osiadającą wilgoć. Jak w grobowcu. Wnętrze składało się z trzech izb i kuchni, komórkę przerobiono na mikroskopijną łazienkę. Tylko jeden pokój był używany, reszta tonęła w kurzu i pajęczynach. Z każdego kąta wyzierała zastygła przeszłość, wspomnienia przedwcześnie zmarłych rodziców. Wspomnienia córki, jakby ściany wiedziały już, że nie wróci, że z domu dla

żywych zamieniły się w dom dla umarłych.

Dało się wyczuć coś jeszcze, czyjś wzrok, od którego Andrzeja przeszły ciarki. Ten sam, który prześladował go od paru dni, wrażenie czyjejś obecności. W mieszkaniu nie było nikogo, nie dostrzegł twarzy, która mignęła mu kilka razy, ale nie potrafił jej zidentyfikować.

Tak patrzy śmierć, która się zbliża.

Stary stacjonarny komputer, miniwieża z kilkoma płytami z muzyką dyskotekową, łóżko z rozkopaną pościelą, niedomykająca się szafa z wysypującymi się ciuchami. W kuchni brudne talerze, niedopita herbata na stole, w lodówce światło i smród psującego się sera. Nic, co mogłoby Andrzejowi pomóc. Przynajmniej zdołał ustalić, że dziewczyny nie ma w domu, że jej ciało zaginęło naprawdę. Nie żyła albo bardzo dobrze się schowała. Przed czym? Co miałyby do powiedzenia?

Wyrzął przez okno od strony drogi. Na skraju szosy stała srebrna astra, ale zaraz ruszyła i znikła za zakrętem. Wyszedł, zatrzaskał za sobą okno, wszedł do saaba. Pokręcił głową w odpowiedzi na nieme pytanie Michała. Zwrócił się w jego stronę, wyciągnął ramię i wbił palce w misternie ułożone włosy, szarpnął.

– Nigdy nas tutaj nie było, ani ciebie, ani mnie. Nigdy nie pokazywałem ci tych zdjęć, a Helka kompletnie wyparowała ci z pamięci. Zgoda?

Michał szybko pokiwał głową, nawet nie pisnął z bólu. Odsunął się, wtulił w drzwi, wzrok wbił w skrawek podłogi między siedzeniem a schowkiem. Andrzej już dawno nie wzbudził w nikim takiej reakcji, autentycznego strachu. Wracając do poprzedniej pozycji, zawadził wzrokiem o wsteczne lustro. Wtedy zrozumiał dlaczego: gałki oczne miał czarne jak kamienie onyksu.

Odżył w nim Skorpion.

Zatrzymał się na zakręcie, zajrzał w głąb drogi prowadzącej w pola. Betonowe płyty nawierzchni zapadały się i chygotały, rwały pod najdziwniejszymi kątami. Chatka na kurzej łapce otoczona wspomnieniem po lepszych czasach.

Wojtal znalazł adres podany mu przez Nowego. Trygort numer 33, dom, w którym mieszkała podobno Helena Szpak. Czerwona cegła pokryta szarym dachem, zapuszczone obejście, jakby nikt tam nie mieszkał. Ale ktoś odwiedzał, przed wejściem parkował wiekowy saab 900 z maską w kolorze gówna – paszczur Bondara.

Wojtal przyłożył wizjer aparatu do twarzy, pstryknął trzy szybkie zdjęcia. Nie

było wątpliwości, na zoomie dostrzegł warszawskie blachy, na bocznym fotelu siedział pedał z przystani, którego wzięli na informatora. Raczej na chłoptasia Andrzeja od kutasiej roboty, uznał Wojtal i wyszczerzył kły do samego siebie. Nie najlepiej mu poszło z Koterskimi, ale teraz miał coś dużo lepszego. Swego własnego szefa.

Włączył bieg i ruszył dalej, przejechał sto metrów i ukrył się między zabudowaniami, skąd miał dobry punkt obserwacyjny na szosę. Miał nadzieję, że nie został zauważony, to mogłoby skomplikować sprawę. Wiech zamierzał wziąć naczelnika z zaskoczenia, znokautować jednym precyzyjnym ciosem. Zacisnął pięść, przyjrzał się swojemu przedramieniu ułożonemu na kolanach. Znowu nie potrafił powstrzymać uśmiechu, przerznie Bondara swoim łokciem na wylot, rozharata. Stare skończy się szybciej, niż przewidywał. Nowe właśnie nadeszło.

Po pięciu minutach dostrzegł rubaszny pysk samochodu nadkomisarza, który włączył się do ruchu i pojechał w kierunku Węgorzewa. Nie spiesząc się, wybrał numer telefonu Nowika, ten odebrał prawie natychmiast, jakby czekał z aparatem przy uchu.

- To ja, znalazłem dom lambadziary. Masz jakieś zeznania jej koleżków?
- Coś dałoby się naciągnąć, ale chyba nie do końca kleję, o co chodzi.
- Nie musisz, na razie mnie słuchaj. Nie stracisz, Janusz. Nara!

Sam jeszcze do końca nie wiedział, jak to sensownie poskładać do kupy. Brakowało mu zakończenia, kropki, a najlepiej wykrzyknika. Na razie mieli kolaborację z Waniami, zatajoną sodomie i gierki na własną rękę. Chmurka podejrzeń, która wywoła burzę, podmuch czerwonego szkwału zmiecie Bondara do Warszawy czy skąd go tam do nich przywiało.

W rynsztok, z którego już nie wypełźnie.

Siedziała na swoim zwykłym miejscu, sama. Mdłe, szare światło z lampy palącej się nad drzwiami wejściowymi brudziło ją, próbując mlecznobiałą cerę zamienić w szorstki tynk. Bezskutecznie, jej wątpa sylwetka promieniała, jakby pochłonęła blask kosmosu, wszystkich punktów nocnego nieba, które tak nagle znikły.

Biała dziura zasysająca przestrzeń i czas.

Swoje dziwaczne białe puzzle układała niemal po omacku, koniuszkami palców badając zaokrąglone bulwy konturów przypominające prymitywne modele związków chemicznych. Trudno było w to Andrzejowi uwierzyć, ale mimo

półmroku i braku jakiegokolwiek logiki na niedokończonej planszy zaczynał rozpoznawać kształty, relief niepełnych postaci. Dziewczyna nie układała wcześniej wydrukowanego obrazu, ona go tworzyła, całkowicie nowy, autonomiczny świat, swoje własne uniwersum. Andrzej zapragnął nagle, żeby to była kraina dla nich, o jakiej Ala co noc opowiadała. Żeby znalazł się w niej, był jej częścią.

Wyciągnął z reklamówki dwa styropianowe pojemniki z żarciem na wynos. Jeden postawił przed Alą, przy drugim usiadł sam. Otworzył oba, wbił widelce w ryżową breję, w dwa palce chwycił prawie zimny wałek sajgonki, wegetariańskie wnętrzności obleczone półprzezroczystą skórą. Wykonał zachęcający gest, zanim włożył ją sobie do ust, ugryzł. Smakowała stęchłą piwnicą i zwietrzałymi przyprawami, samotnością, mimo że spożywali kolację we dwoje. W jedynym miejscu, które w tym momencie mogli uznać za swoje, w jedynej formie, na jaką mogli sobie w tej chwili pozwolić.

Nie powinien nic mówić, każde słowo łamało niepisaną umowę, destabilizowało kruchą równowagę. Ale nie potrafił się powstrzymać, tak dawno nie odczuwał autentycznej chęci podzielenia się z kimś swoim życiem, że głos sam z niego wypływał i układał się w mowę.

– Przyjdiesz dzisiaj?

Przez chwilę wsłuchiwał się w chrupanie sajgonki.

– Będę czekał, przyjdź.

Poprawiła włosy, obrzucając go szybkim spojrzeniem. Białka oczu błysnęły komunikatem: Zamknij się!

– Nie wytrzymam bez ciebie, musisz przyjść. Mam cię błagać?

Nerwowym ruchem odsunęła od siebie styropianowy pojemnik, przedramieniem zgarnęła ze stołu białe kartoniki, w ciągu sekundy niszcząc to, co budowała tyle czasu. Andrzej poczuł nieważkość, jakby stracił grunt po nogami, został strącony ze swojej planety i poszybował w kosmos. Przesadził, zbędnym gadaniem zabijał ich intymność. Ale wciąż mówił:

– Musisz przyjść, potrzebuję cię. Nie dam sobie bez ciebie rady.

Wstała, wsunęła pod pachę pudło z puzzlami, obeszła stół i wbiegła na schody.

– Bez ciebie pęknę z bólu! – krzyknął, ale jej już nie było.

Czuł pulsowanie w skroni, kręgi promieni emitowane przez ranę w głowie. Uzależnił się. Od niej lub od tego, co przynosiła mu nocą.

Zjadł, począpał do siebie na górę. Zagłębił się myślami w detale prowadzonych dochodzeń. Było ich za dużo, rosły, rozrastały się w gąszcz wątków, nad którymi nie był w stanie zapanować. Szkielety, topielce Rosjan, były KGB i SWW, ofiara wypadku, pokrzywdzeni w wyniku napaści i ich przypuszczalny sprawca. Helcia i jej złoty łańcuszek. Andrzej zgubił się, błędził po omacku, a w ciemności czyhała zastawiona na niego pułapka. Czuł na plecach świdrujące spojrzenia, na karku gorący oddech. Ścigali go, byli coraz bliżej.

Ból w skroni narastał, zaraz zabarwi pokój pulsującą krwawą poświatą. Andrzej potrzebował miłości. Potrzebował lekarstwa.

Zaparkowali w improwizowanej zatoczce pokrytej gołą ziemią ubitą ciężarem zjeżdżających z jezdni ciągników. Zgasili światła, noc wchłonęła ich w swoje trzewia, trawiła z bulgotem żab i sykiem świerszczy.

Silnik terenówki stygł, wydając sapnięcia i trzaski. Do kabiny przesiąkała ciecz mroku, rozpraszały ją tylko diody samochodowego radia, wydzierające z ciemności zarysy trzech sylwetek. Głośniki syczyły cichą melodię ulicznego hip-hopu, osoba zajmująca fotel pasażera ruchami warg powtarzała słowa rapera: „To gangsterskie opowieści, prawda czy kompleksy / Bez pretensji, świat i tak tonie w agresji / Gangsterskie opowieści, sam w nich uczestniczysz / Widzisz je co dnia, na każdej ulicy”[3]. Utwór się skończył, kierowca przełączył radio na nocną audycję historyczną, na co pasażer boleśnie westchnął.

– Idę zająrać – zakomunikował i posłał towarzyszom wyczekujące spojrzenie, ale żaden z nich nie drgnął.

Otworzył drzwi i cicho je zamknął, jakby każdy dźwięk mógł wypłoszyć zwierzynę, na którą polowali. Wsunął do ust papierosa, potarł zapałkę o draskę. Sypnęły iskry, płomień wystrzelił jednocześnie na końcu drzazgi i w oczach mężczyzny, twarz zapłonęła czerwienią. Palący podszedł do skraju szosy, popatrzył w czarny tunel, który powinien być jezdnią, ale już po kilku krokach wtapiał się w monolit mroku. Właśnie tak musiało wyglądać piekło.

Upuścił niedopałek, przydeptał go. Podszedł do terenówki, poskrobał paznokciem w szybę, którą kierowca prawie natychmiast opuścił.

– Nie przyjadą, mówiłem ci – skomentował palacz.

– Nie fandzol bzdur, tylko pilnuj drogi. Cynk jest wiarygodny, informacja z pewnego źródła. Dzisiaj dostają towar, a wtedy wożą go najczęściej. Najmniejszy ruch.

– Albo przez Srokowo, lepsza droga, szybsza trasa, krótszy stres.

– Albo przez Olsztyn, kurwa, i Warszawę. Właż do środka, jeszcze cię zobaczą i skrewią. Słyszysz?

Palacz nadstawił uszu, skierował spojrzenie w głąb szosy. Horyzont rozmył się, zafalował.

– Cicho, ktoś nadjeżdża!

Stanął za najbliższym drzewem. Celowo wybrali odcinek prostej drogi, żeby dokładnie widzieć nadjeżdżające wozy, mieć czas na podjęcie działania. Reflektory strzeliły w niebo i obniżyły się, rzucając na drogę krogulcze cienie przydrożnych drzew. W ciszę wrył się warkot silnika, przybierał na sile. Pojedyncze oko światła rozlało się na parę oczu, pojazd zbliżył się na odpowiednią odległość. Mężczyzna wyszedł na jezdnię, wydobył z kieszeni rękojeść, wcisnął przycisk. Lizak rozbłysnął ostrzem świetlnego miecza, biel reflektorów odbiła się od odblaskowej kamizelki z napisem „Służba Celna”. Mężczyzna machał lizakiem, ale samochód nie zwalniał, zdawał się wręcz przyspieszać. Głośny, coraz głośniejszy, oślepiający, gotowy zmieść z powierzchni drogi wszelkie życie.

Uskoczył. Auto przewaliło się szosą, zmieniając kolor z białego na czerwony. Uciekało.

Wpadł do kabiny terenówki, kiedy ta już startowała z miejsca.

– Ruskie blachy, a nie mówiłem?! – krzyknął podekscytowany kierowca.

– Patrz chuja, spieprza! Ma Iwan jaja! Dawaj, dopadniemy go na wertepach przed Gują.

Przytwierdzili do dachu niebieski kogut, ruszyli w pogoń. Dogonili uciekające auto szybko, znali drogę. Kierowca miał w tych okolicach babcię, więc pędził na pamięć, wchodząc w zakręty z piskiem opon, oślepiając uciekający samochód długimi światłami. Byli tuż za nim, kilkanaście metrów od tylnego zderzaka, zaglądali głęboko w źrenice czerwonych oczu.

– Teraz! – dopingował pasażer w mundurze i kamizelce, kiedy jezdnia zamieniła się w podziurawiony tor wyczynowego OS-u. Żużel strzelał spod kół, dżip zdawał się szybować nad jezdnią jak poduszkowiec.

Brakowało dwóch metrów do wyprzedzenia ściganego auta, metr, zrównali się i zaczęli wychodzić na prowadzenie. Plan przewidywał wyminięcie samochodu i zablokowanie mu drogi, zmuszenie w ten sposób do zatrzymania. Plan nie przewidywał tego, co miało się właśnie wydarzyć.

Manewr był prawie zakończony, gdy nagle pojazd na obcych blachach

zatańczył, otarł się o bok terenówki, odbił, wypadł z trasy i zniknął w mroku. Przez noc przetoczył się zgrzyt rozpruwanych blach, trzask szyb.

– Jebnął!

– Kurwa mać, zawracamy!

– No przecież widzę, stul pysk!

Wyhamowali. Zawrócili na poboczu i ostrożnie podjechali do miejsca wypadku. Przez chwilę w milczeniu obserwowali rozszarpany pniem drzewa przód czarnej mazdy. Pierwszy wyszedł kierowca, za nim reszta załogi. Zbliżali się powolnymi krokami, gotowi do natychmiastowej ucieczki, jeśli wrak miałby nagle wybuchnąć. Jakby to miało ich uratować przed eksplozją.

– Diesel – z wyraźną ulgą odczytał z symbolu modelu mężczyzna w kamizelce.

Cała trójka przyspieszyła, zatrzymali się w odległości trzech metrów. Ale tylko kierowca zajrzał do kabiny przez wytłuczoną szybę. Zaświecił latarką smartfona.

– Trupy – poinformował. – Dwa. Wyglądają jak zakapiory. Szmuglerzy, miałem rację.

– W osobówce? A co niby mieli przewozić?

Palacz nie doczekał się odpowiedzi. Podeszedł od tyłu i otworzył bagażnik.

– Pusto! Siatka z Biedry i zgrzewka rozjebanej wody w butelkach.

– Zwijamy się, to chyba nie oni! – po raz pierwszy odezwał się trzeci kompan.

Obaj popatrzyli na niego z zaskoczeniem, jakby był niemową i cudownie przemówił.

– Co nie oni? Tylko luknij, Iwany z mafii, jak malowane!

Niemowa zbliżył się na odległość kroku, zajrzał do środka. Odskoczył.

– Rusza się!

– Co?

– Ten za kierownicą się rusza, widziałem.

Kierowca wyciągnął pistolet, przeładował. Wycelował, jednocześnie przyświecając latarką.

– W piździe ci się rusza ze strachu, Tapir. Widzisz coś, Leon?

Odsunął się, a jego miejsce zajął mężczyzna w mundurze i kamizelce, wsunął w otwór po wytłuczonej szybie swój lisi pysk. Pociągnął nosem, napluł kierowcy mazdy w zalaną krwią twarz, trafił w dolną wargę.



– Ocharchał się kacap, widziałeś, Bruce? – zarechotał.

Tapir przełknął głośno ślinę, w zadrze uniesionej ze strachu króliczej wargi suszył się ząb. Bruce schował broń, stanął przed nim i lekko uderzył w roztrzęsiony policzek.

– To wojna, Tomek, a ty jesteś żołnierzem. Nie wolno się bać, ludzie umierają. A to tutaj nie są ludzie, tylko ruscy bandyci. Mafia, Tomek, zajebaliby cię gołymi rękami, gdyby tylko mieli okazję. Oni albo my, chłopie, trzeba się określić. Więc jak będzie, oni czy my? Hej!

Ponownie trzasnął go w policzek, tym razem mocniej. Tapir drgnął, skoncentrował na szefie rozbiegane spojrzenie.

– Oni, kurwa, czy my?!

– My.

– Dobrze, moja szkoła! – Uszczypnął Tapira w mięsisty policzek i potrząsnął. – Dobra, zjeżdżamy stąd. Leon, przestań się na nich gapić, bo ci stanie. No, jazda!

Zaklaskał w dłonie i pierwszy wskoczył do dżipa. Odjechali, zamieniając się w coraz mniejszą smugę światła, aż całkowicie znikli połknięci przez noc. Nastąpiła cisza, ale powietrze wciąż drżało niepokojąco. Coś się w nim poruszało.

Poruszył się.

Ludzkie głosy zniknęły. Dochodziły do niego jak zza szklanej kopuły, która zamknęła go w sobie w chwili wypadku. Przezroczyta bańka o niewidocznych ścianach, która zdawała się oddzielać go od reszty świata, chronić. Sztuczna macica, powrót do łona matki. Pierwsze i ostatnie momenty życia.

Nie rozpoznawał słów, języka ani barwy głosów. Brzmiały jak rozstrojone radio, mechanicznie, obco, jakby ludzką mowę próbowała naśladować maszyna. Było ich kilka, co do tego z jakiejś przyczyny nie miał wątpliwości. Podświadomie wiedział też, że rozmawiali Polacy. Mógł na to wskazywać ostatni zapamiętany obraz: oślepiający blask reflektorów w tylnym lusterku, rozlewisko światła w szybie, kołysanie na falach i lot koszący, kiedy koła oderwały się od nawierzchni, samochód szybował.

Zderzenie: trzask, huk, wrzask pasażera, ułamek sekundy rozciągający się w wieczność. Dziura w czasie, studnia bez dna wypełniona czarną materią, pętla pomiędzy wymiarami, która pozwala jednym spojrzeniem objąć całe życie, by z żalem zgasnąć. Żal – ostatnie uczucie konającego.

Znów spróbował się poruszyć.

Palce, dłoń, usta, powieki. Uniósł głowę, pokręcił nią w obie strony, w górę i w dół. Automatycznie sięgnął do klamry pasów, odbezpieczył je. Druga ręka macała tapicerkę w poszukiwaniu klamki, ale drzwi musiały się otworzyć w chwili wypadku, lekko pchnięte odskoczyły, zapraszając do wyjścia. Wytoczył się z kabiny, zawadził o próg i wypadł na ziemię. Zemdlał z nogami w środku, ramionami w trawie, tułowiem zwisającym bezwładnie na szarfie pasa. Ocknął się po minucie, jakby silniejszy. Wypełzył na zewnątrz, zaczepił się dłońmi o brzeg stłuczonego okna, dźwignął. Przez kilkanaście sekund kołysał się zawieszony na drzwiach, aż błędnik się w końcu ustabilizował, ciało utrzymało równowagę.

Stał. Rozglądał się, ale pierwsza myśl była fałszywa. Otaczająca go bańka nie miała przezroczystych ścianek, była jednolicie czarna. Albo oślepl, albo znajdował się głęboko pod ziemią. W kopalniach czyścica.

Niewidzialna ręka pchnęła go w plecy, kazała iść. Gdziekolwiek, byle dalej od tego miejsca. Szedł w niewiadomym kierunku, po omacku, zawieszony w stanie skupienia na pograniczu ciała stałego i cieczy, jakby ziemia rozpuściła się w powietrzu, tworząc zawieszinę z pyłu i organicznych cząstek. Był rozbity, rozproszony, potrzebował słowa stworzenia, by sformułować się na nowo. Odżyć.

Twarda nawierzchnia zmieniła się w miękką, suchość w wilgoć, powietrze w sieć liści i igieł. Pierwszy odcinek drogi pokonał popękany asfalem, zbczył w łąkę, która sąsiadowała z płachtą lasu. Po drugiej stronie natrafił na polną ścieżkę, która szerokim łukiem prowadziła od szosy do jedyne w zasięgu wzroku podświetlonego punktu.

Ku nadziei.

Dwa okna, para pomarańczowych oczu. Mężczyzna wbił w nie wzrok i nawet nie mrugnął, dopóki nie stały się zbyt duże i zbyt szeroko rozstawione, żeby patrzeć w oba jednocześnie. Ceglany dom otoczony płotem, wewnątrz tliły się słabe żarówki i skakał obraz telewizora, w szparze między płachtami zasłony widać było wycinek pokoju ze stołem nakrytym białym obrusem, dwoma krzesłami, dywanem w geometryczne wzory i połową obrazu w złotych ramach. Prawą stronę podobizny Jezusa, tę bez odsłoniętego serca.

Dom. Ludzie. Odchodzące życie, które wciąż można było zatrzymać.

Mężczyzna z dłońmi na ceglach przesuwiał się wzdłuż muru, za róg w stronę mrocznego podwórka. W stronę wejścia, które rozpoznał po ciepłej nawierzchni z pionowo zbitych ze sobą desek. Po schodzącym naskórku farby olejnej, która wlaźła pod paznokcie, kiedy zaczął w nie drapać i bębnić pięściami.

Drzwi ustąpiły, w promienistych wrotach ukazała się czarna postać. Brama namiastki rajy, jakiego można zaznać na mazurskiej prowincji, gdzie do tej pory nie spotkało go nic dobrego.

Bez pytania wtoczył się do środka, zatrzymał w połowie korytarza, utrzymując się w pionie dłońmi opartymi o ścianę. Czarna postać cofnęła się, w świetle sufitowej lampy zamieniła się w siwą staruszkę w kolorowym fartuchu, opierając się na drewnianej lasce z głownią góralskiej ciupagi. Wystraszona powędrowała wzrokiem w dół jego sylwetki, cofnęła się jeszcze bardziej. Zrobił to samo, nachylił głowę, z góry popatrzył na swoje brudne spodnie, ubłocone buty. Był cały, tylko twarz zalewała mu lepka krew z rany, której nie potrafił namierzyć palcami. Wyobrazził sobie siebie z perspektywy drugiej osoby, musiał wyglądać strasznie.

Pokręcił głową, żeby zaprzeczyć podejrzeniom. Szukał ratunku, nie ofiar. Sam był ofiarą.

– *Ja was proszu, babuszka* – wyjąkał, ledwo poruszając obolałą szczęką i opuchniętym językiem, który przy każdej sylabie pęczniał i wylewał się z ust. Dusił. – *Ja dołżen w bolnicu. Babuszka, ja proszu!*

Kobieta robiła coraz większe oczy, które zachodziły czarną poświatą, jakby cień wokół niej gęstniał. Bała się? Nie rozumiała?

Chciał złożyć ręce w uniwersalnym geście błagania, ale stracił równowagę, zachwiał się, runął w przód. Wyciągnął ramiona, by oprzeć się o staruszkę, objąć ją, poczuć stabilność, ciepło obcego ciała. Spanikowała, dostrzegając wymierzone w swoją krtań zakrwawione dłonie obcego mężczyzny. Odepchnęła go z siłą, której nikt nie spodziewałby się po staruszce.

– *Precz, sobaka!* – warknęła. – *Mnie już żaden z was w życiu nie ruszy. Nasilniki! Ubijcy! Tfu!*

Wpadł na ścianę, zjechał po niej na podłogę. Ukląkł, jednym ramieniem opierając się o podłogę, drugie wznosząc w górę z nadzieją, że górująca nad nim kobieta chwyci ją, wytarga go z otchłani, w którą się coraz szybciej zapadał. A po chwili w geście obronnym, kiedy zauważył unoszącą się laskę.

– *Nie bendziesz mnie tu napadał, mordował, kradł! Dosyc już żešta nakredli, kacapy, tfu!*

Zamierzyła się, ale cios nie padł. Wyciągnięta w obronnym geście dłoń spłynęła na podłogę. Mężczyzna upadł, stracił przytomność. Przebił pokryte farbą olejną płyty podłogi i poszybował w dół. Znowu było tylko czarno i cicho, ostatnia myśl gasła. Ostatnia resztką wiary w ludzi umarła.

– Psia mać! – zrzędziła półgłosem babka, obchodząc nieruchome ciało naokoło. Tarasował sobą cały korytarz, prawym policzkiem opierał się o drzwi do nieużywanej sypialni, białą olejną farbę skalala czerwona smuga. – Ruskie, złodziejskie nasienie, kacap...

Pokuśtykała do salonu, zmęczona zaległa na ulubionym fotelu. Zerknęła na telefon, który wnuczek sprawił jej parę lat temu na Gwiazdkę, czasami do niej dzwonił, żeby zapytać o zdrowie. Zapowiedzieć swój przyjazd. Wzięła aparat do ręki, powtarzając półgłosem wyuczone na pamięć czynności, wybrała numer. Odczekała siedem sygnałów, ale wnuk nie odbierał, przerwała połączenie. Może powinna zadzwonić gdzie indziej, wezwać pomoc? Lepiej nie, jeszcze zwali jej się na głowę policja. Zadzwoni jeszcze raz, kiedy nadejdzie rano.

Leżący w korytarzu Rosjanin nie dawał jej jednak spokoju. Wstała, otworzyła drzwi do drugiego pokoju, chwyciła mężczyznę za rękę i silnie zapała się o podłogę, szarpnęła. W PGR-ach przez czterdzieści lat zajmowała się bydłem, niejednokrotnie musiała wyciągać padnięte sztuki ze stajni na gnojowisko. Miała technikę, mięśnie jeszcze pamiętały ciężką harówkę. Ciało drgnęło, powoli zaczęło przesuwac się w zamierzonym kierunku, wreszcie spoczęło wewnątrz pokoju. Staruszka zamknęła drzwi, klucz schowała w kieszeni fartucha.

Odetchnęła z ulgą, problem zniknął z zasięgu wzroku.

Przystanął.

Zalewająca go noc była wszechogarniająca, gęsta. Nie dostrzegacł najmniejszego zarysu, nawet najbledszej plamy światła. Wracacł tędy do domu każdej nocy, ale nigdy nie było tak ciemno. Najpierw zgasły księżyc i gwiazdy, teraz dodatkowo latarnie. Awaria? Dywersja Rosjan?

Mimo panującego upału poczuł na sobie strużki zimnego potu. Szedł dalej, tkwienie w miejscu nie miało żadnego sensu. W pierwszym odruchu zamierzał włączyć latarkę w komórce, ale pamiętał o grasującym przestępcy, a on byłby idealną ofiarą. Widoczny z daleka strumień światła stanowiłby zaproszenie, cel, w który łatwo byłoby trafić. Skoro zwyrodnialec krył się w ciemności, należało czynić to samo.

Poruszał się po omacku. Staracł się oddychać jak najciszej, ale i tak miał wrażenie, że slychać go ze stu metrów. Był słoniem w składzie porcelany, nie bezszelestną rybą w wodzie. Po jaką cholere wybrał tę droge? Wciaż wybieracł, choć za każdym razem slyszacł ostrzeżenia Anioła Stróża. Z lenistwa, bo było

najbliżej. Z lekkomyślności, bo nigdy nie bierze się pod uwagę najgorszego scenariusza. Z pożądania emocji – może coś się wreszcie w tym szarym życiu wydarzy. Zachciało mu się ekstremalnych przygód. Idiota! Dureń! Beznadziejny przypadek.

Wyteżał wzrok, aż bolały go gałki oczne. Wyteżał pamięć, żeby przypomnieć sobie ukształtowanie terenu. Ciągłe pływał w smolistej zawieszynie z dnem, ale bez początku i końca. W nos gryzła go zgnilizna pobliskiego jeziora i rozpełzających się po lesie mgieł. Słyszał tylko swoje kroki i szmer oddechu, gdzieś daleko rozbrzmiewała przytłumiona muzyka, której trudno było przebić się przez ścianę lasu. Drzewa zdawały się rosnać coraz bliżej siebie, gęstnieć, zacieśniać szeregi, żeby zamknąć go w okrążeniu, uwięzić. Szedł od dziesięciu minut, powinien już dojść do piaszczystej drogi prowadzącej do ośrodka. Gdzie, do cholery, był? Zgubił się?

Trzask.

Gdzieś z boku pękła gałąź. Nagły podmuch wiatru zakołysał sosnami, gałęzie zaklekotały nad głową niczym stado wron, zaszeleściły skrzydłami. Miękkie kroki, a zaraz po nich młaśnięcie. Wilk? Słyszało się o nich coraz częściej, podchodziły do gospodarstw i mordowały zwierzęta, coraz mniej obawiały się ludzi.

Przestępca?

Namierzył go, wyniuchał w mroku. Obserwował, oblizywał się jęzorem, dłonie zaciskał w twarde pięści. Mrok był jak płachta ekranu, ze szczegółami odwzorowywał każdą myśl, każdą projekcję wyobraźni. Teraz pokazywał postać w pozycji do ataku. Ślepią, paszczą, sierścią, lśniące spojrzenie.

Polowała na niego bestia.

Rzucił się do ucieczki. Zasłonił ramionami twarz i biegł, nie zważając na chłostające go gałęzie, oplatające nogi krzaki, śliniące go wargi pajęczyn. Ten las musiał się zaraz skończyć, to tylko parę drzew otoczonych drogami i łąką, pas zieleni między jeziorem a betonowym miastem. Uda mu się, zdąży, nie pozwoli zrobić z siebie kolejnej ofiary. Zniszczyć. Rozszarpać swojej duszy na strzępy.

Jest! Wypadł na drogę, w nozdrzach poczuł swąd spalin samochodowych i węgla drzewnego. Pod nogami zazgrzytał żwir, światła ośrodka były w niebo pomarańczową łuną. Szum muzyki zamienił się w melodię i rytm. Znał ten kawałek, lubił go. *We're up all night to get some / We're up all night for good fun / We're up all night to get lucky*[4] – zanucił i natychmiast poczuł przypływ odwagi.

Miał szczęście, zawsze dopisywało mu szczęście. Może nie to największe, które

pozwoliłoby na wymarzoną karierę i romantyczny związek, ale nie mógł narzekać. Ślizgał się jakoś, wychodził z tarapatów, spadał na cztery łapy. Warzył piwo i chętnie je spijał. Wlewał je w siebie całymi litrami.

Przesadził płot, wsunął klucz w zamek drzwi, przekręcił. Ujął klamkę i znieruchomiał. Mylił się, niebezpieczeństwo nie pochodziło z lasu, lecz z siedzib ludzkich.

Stalowe ramię oplotło go w pół niczym obręcz, unieruchomiło. Dłoń przyciśnięta do ust odebrała mu tchnienie. Mięśnie nóg zwiotczały, kolana pękły i przełamały się. Pchnięty wpadł do wnętrza swojego domku twarzą na podłogę. Opierał się na kolanach i łokciach, nie czuł nic z wyjątkiem masy, która zaraz miała go przygnieść do ziemi, zniszczyć. Zaznaczyć znamieniem jak niewolnika, zwierzyne hodowlaną. Mózg rozpląnął się i zaczął przeciekać łzami, umysł zredukował się do jednej szarej komórki oszalałej z przerażenia. Chciał krzyczeć, ale tylko charczał. Błagał w myślach, wydalając ślinę i smarki.

– Co ci mówiłem, Michał?

Głos był tak blisko, że czuł gorąco ust na płatku prawego ucha.

– Przecież cię ostrzegałem, nie? Co, nie ostrzegałem?

Próbował odpowiedzieć, ale opluł się jeszcze bardziej.

– Żebym nie mówił, ale mówiłem. Prosiłem, pamiętasz? Kurwa, pamiętasz?!

Michał pokiwał głową, oparł ją na podłodze i przykrył dłońmi. Znał ten głos, dopiero teraz zaczęło do niego dochodzić znaczenie słów. Ciężar przygniatającego go cielska nabrał kształtów, rysów twarzy.

– Big, ty pojebany fiucie – wyjąkał, łapiąc oddech. – Złaż ze mnie, spieprzaj!

Ciężar przesunął się, rozpląnął, na nowo zmaterializował się na kanapie, która jęknęła sprężynami.

– To było ostatnie ostrzeżenie, Michał! – warknął. – Masz nie zadawać się z tym gliniarzem.

– A co, jesteś zazdrosny?

– Stul mordę, cioto!

Michał zbierał się, odszukiwał pogubione części ciała i uczył się posługiwać nimi na nowo. Po chwili stanął na chwiejnych nogach. Włączył światło, sięgnął po butelkę i szklanki. Nalał, swoją osuszył na dwa łyki, napełnił ponownie.

– Ja ciebie też ostatni raz ostrzegam, Big, jeszcze raz wywiniesz mi taki numer, to zobaczysz! Co, co się szczerzysz?

– Obleciał mnie strach, Michaś. Napuścisz na mnie tego wychudzonego gliniarza? To lamer, nawet na komendzie nazywają go pizdą.

– Mam lepsze sposoby!

– Jasne. – Mężczyzna wziął do ręki szklanę i przyjrzał się bursztynowemu płynowi. Nie popił. – Czego on od ciebie chce, zadaje pytania? Węszy?

– Węszy, szuka sprawcy napadów, wziął mnie na informatora.

– Chociaż ci za to płaci?

– A co, ja jestem kurwa, żeby mi każdy płacił?

Mężczyzna parsknął i wypił swoją porcję whisky jednym haustem. Wygodniej rozłożył się na kanapie, wyciągnął nogi na stole. Brodą wskazał na nieme radio.

– Włącz coś, Michał, pogadamy – poprosił łagodnym tonem. – No, nie daj się prosić. Wiesz, jak to jest, najpierw obowiązki, później przyjemność. No weź, nie bądź taki. Przecież ładnie do ciebie mówię.

Ostatnie zdanie było ostrzejsze, wybrzmiało w pomieszczeniu jak dźwięk noża wysuwanego z pochwy. Michał przybrał naburmuszoną minę, ale włączył radio. Po chwili usiadł na sofie, w miejscu przyklepanym dłonią swojego gościa. Masywne ramię objęło go, ale tym razem nie zacisnęło, było czułe.

– A teraz opowiedz mi, Michaś, co tam u ciebie się przez ten czas wydarzyło.

Whisky zaczęło działać, Michał się odprężył. Teraz miał pewność. Big naprawdę był o niego zazdrosny.

## ROZDZIAŁ 6

Węszą, zataczają coraz ciasniejsze kręgi, zbliżają się.

Dziwił się, że Żandarmeria Wojskowa w ogóle zaprzęta sobie głowę takim detalem. Mają teraz ważniejsze rzeczy do roboty, zagrożenie kielkuje w innym miejscu. Mnożą się wrogowie ojczyzny, niezadowolenie społeczne rozsadza fundament państwa. Zawsze jakaś tragedia narodowa, histeria, ten kraj nie potrafi funkcjonować spokojnie. Jak nie klęska żywiołowa, to powstanie. Jak nie przegrana wojna, to kryzys. Śmierć celebrytuje się tutaj bardziej niż życie. Pewnie dlatego tak doskonale wychodzi im ponoszenie porażek. Przegrali wszystko, co mieli, i jeszcze im mało, dalej będą prężyć muskuły.

Dążyć do kolejnej klęski choćby na kredyt.

Zmierzał na spotkanie, kiedy zagrodzili mu drogę. Zaprosili w odwiedzinach przyjaznym tonem, pofatygował się sam kapitan. Mógł ich ominąć i pójść dalej, ale nie zamierzał tchórzyć, demonstrować słabości. Wcześniej próbowali wypytywać jego podwładnych, wszyscy oczywiście odmówili składania zeznań. Sztuczki godne pospolitego amatora, bezskuteczne, ale zagęszczające atmosferę osaczenia. Próbuje zademonstrować swoją nieustępliwość, siłę. Są wszędzie, tropią, gdyby mogli, zajrzeliby do sypialni i kibla, pogrzebali w śmietniku. Musi ich trafiać szlag, że nie mogą, stąd ta ich desperacja.

Ten żarłoczny błysk w wygłodniałych oczach.

Przyjęli go kawą zaparzaną w szklance i solonymi paluszkami. Nawet żandarm z żółto-brązowymi zębami uśmiechał się przyjacielsko, pewnie otrzymał taki rozkaz. Kurtuazyjna konwersacja przedłużała się, kapitan z sytuacji w kraju przeskoczył na arenę międzynarodową, zwierzył się ze swych obaw, że wyścig zbrojeń doprowadzi do wojny światowej. Jego ciężki akcent ranił uszy.

– Na szczęście możemy liczyć na waszą pomoc – podsumował ze śmiechem, który brzmiał raczej szyderczo, choć oficerowi wydawał się dwuznaczny. Nie mylił się.



– Bardzo by się przydała wasza współpraca – podchwycił żandarm, płynnie zmieniając temat.

– Oczywiście, po to tu właśnie jesteśmy – stwierdził oficer.

– Znakomicie. To może rozpozna pan ten przedmiot. – Położył na stole srebrną papierośnicę z wygrawerowanym napisem w obcym języku. W jego języku.

Oficer poczuł we włosach krople potu, wewnętrzna gorączka rozpała policzki. Znał tę rzecz doskonale, widniały na niej jego odciski palców, w środku znajdowały się ulubione papierosy. Nie było sensu kłamać.

– Tak, to moja papierośnica. Zgubiłem ją w lesie kilka dni temu. Jak ją znaleźliście?

Funkcjonariusze żandarmerii wymienili się spojrzeniami.

– Nie nastąpiło to przypadkiem w nocy trzynastego lipca?

– Nie, wcześniej. Dlaczego?

– Widzi pan, tamtej nocy zaginęła dziewczyna. Przypuszczamy, że została zamordowana.

Oficer nawet nie drgnął, choć po plecach spływał mu pot. Mieli doskonałą poszlakę.

– Słyszałem, chyba nawet od pana. Ciągłe podejrzewacie kogoś z waszych?

– Z naszych nie – wycedził żandarm, wyraźnie sugerując winnych. – Bo widzi pan, znalezienie pana własności akurat w prawdopodobnym miejscu popełnienia przestępstwa to bardzo dziwny zbieg okoliczności.

– Niekoniecznie. Kilka razy w tygodniu jeżdżę do lasu zbierać grzyby. Dostarczam je do kantyny, można sprawdzić.

– Coś takiego, mamy podobne hobby! A wie pan, co jeszcze nas łączy?

Oficer pokręcił głową, nie wyobrażał sobie, żeby mieli ze sobą coś wspólnego. Ten obrzydliwy typ był gorszy pod każdym względem. Typowy, zawzięty Polak, swą wartość próbował podnieść, szkodząc innym.

– Obaj wiemy, kto i co zrobił tej dziewczynie.

– Znacznie przekroczył pan swoje kompetencje, kapitanie – zakomunikował oficer, pomijając prowadzącą rozmowę. Wstał z krzesła. – Jeśli nie zakończy pan tej farsy, złożę stosowną skargę, zażądam oficjalnych wyjaśnień.

W drzwiach zagroził mu drogę żandarm. Niemal dotykał go wystającym brzuchem. Z bliska cuchnęło mu z ust zepsutymi zębami.

- Nie mam czego kończyć, bo dopiero zaczynam.
  - Przypominam, że jestem oficerem obcego wywiadu.
  - Nie, ty jesteś zwykłym rzeźnikiem.
  - Z drogi! – syknął, trącając Polaka barkiem. Był wyższy i cięższy, dużo silniejszy, odepchnął go bez problemu.
  - Zawiśniesz, obiecuję ci to!
- Doganiające go słowa poczuł fizycznie, oplotły mu się na szyi pętlą. Zabrakło mu powietrza.

Czarna cienka wstęga jezdni ciągnęła się jak od linijki przez jakieś dwa kilometry i znikwała w lesie. Porwany i poszarpany kir żałobny po dawno minionej epoce świetności, która przyniosła tej zacofanej krainie kaganek oświaty. Żałoba po upadłej cywilizacji, wietrzejącej nadziei.

Wyryw w szosie były głębokie do kostek, odpadająca w wyniku mechanicznej gangreny tkanka odsłaniała organy z kamienia brukowego, w bajorkach smoły po nieudanym łataniu topiły się chrząszcze, z licznych spękanych garbów nocą na pewno wyłaniały się macki mięsożernych korzeni. Rzymskie dukty prezentowały się korzystniej po dwóch tysiącach lat niż polskie drogi po ćwierć wieku kompradorskiego kapitalizmu. Rozwój zmieniony w degradację. Symboliczna droga donikąd.

Andrzej zatrzymał saaba na poboczu, tuż za radiowozem, na którym bezdźwięcznie kręcił się kogut. Wyłączył silnik, ale spokojnie poczekał na pierwsze słowa utworu *Tear Smashing Pumpkins*, który popłynął z radia: *The lights came on fast / Lost in motor crash / Gone in a flash unreal*[5]. Z niechęcią zgasił radio i nakazał cierpliwie czekającemu Niańce, by szedł za nim. Trudno było o trafniejszy dobór muzyki do okoliczności, kilkanaście metrów od nich pień drzewa rozpruł przód samochodu. Pogięte, zmiażdżone i porozrywane żelastwo tak dalece odczłowieczało miejsce wypadku, że ofiara w ogóle nie wywoływała ludzkich odruchów, równie dobrze mogłaby stanowić wyposażenie wnętrza lub część eksploatacyjną silnika.

- Iwan – poinformował ich sierżant drogówki, kiedy pokazali legitymacje.

Widocznie ze względu na narodowość trupa powodów do żalu było jeszcze mniej.

- Strażacy pneumatycznymi szczypcami pruli blachy, żeby wyciągnąć ciało,

technicy mierzyli drogę hamowania i fotografowali wrak. Miejsce kierowcy było puste, flak poduszki powietrznej zwiślał załośnie, niektóre z rozsypanych wokół kryształków szkła miały czerwony kolor.

Sierżant wzruszył ramionami na pytanie rysujące się w oczach Andrzeja.

– Zwiął z miejsca wypadku, pewnie jechał na gazie. Jak to kacap – dodał z nieomylnym przekonaniem, że tylko Rosjanom trafia się jazda samochodem po pijaku.

Andrzej zerknął w kierunku, z którego musiało nadjechać auto, następnie w kierunku jazdy. Droga była prosta jak drut.

– Zapieprzał, wyrzuciło go na wertepach i jeb. – Funkcjonariusz drogówki rozwiął wątpliwości nadkomisarza co do przebiegu zdarzeń.

Andrzej kiwnął głową. Mimo to podszedł bliżej rozbitka i ukląkł przy drzwiach, palcem przejechał po wgnieceniu przeorany kilkanaście bruzdami, najdłuższe ciągnęło się do tylnego błotnika. Poprosił Niańkę o torebkę na dowody, zeszkrobał strzępki lakieru w zielonkawym kolorze.

– Wygląda na świeży. Oznaczyć jako dowód i dać do zbadania. Przesłać komunikat do wszystkich lakierni w okolicy, że mają nas informować o zgłaszających się klientach z podobnymi rysami. Słyszycie, sierżancie?

Funkcjonariusz drogówki poskubał dolną wargę, następnie lekceważąco machnął ręką.

– Tam, szkoda roboty! Jebnął, to jebnął, mało to takich cwaniaków kończy w worku?

Andrzej nie spuszczał wzroku tak długo, aż sierżant odebrał od niego foliową torebkę.

– I pilnie zidentyfikować tożsamość kierowcy, wszcząć poszukiwania.

– A z jakiej racji wydaje mi pan polecenia, co?

Zbyt głośno wypowiedziana kwestia zdawała się przeznaczona dla kogoś innego, przeleciała ponad ramieniem nadkomisarza, policjant wyprostował się i podejrzenie pewny siebie zadarł nosa.

– Bondzia! – Sierżant przygryzł wargę, żeby się nie roześmiać, Andrzej spojrzął za siebie. – Dzisiaj bez przyjaciółki? Jak jej tam, Zośka, Kaśka, Małgośka?

– Maryśka! – wypalił Andrzej.

W jego kierunku zmierzał podinspektor Zioło, pseudonim Marycha. Nie złapał ironii, ciągle szczyrzył zęby o krawędziach w kolorze brązu. Przyjrzał się

garniturowi Andrzeja.

– Dorabiasz w zakładzie pogrzebowym? Tutaj nie pohandlujesz skórą, Iwan jedzie prosto do Moskwy. – Zerknął na woreczek trzymany w dwóch palcach sierżanta jak padlina. – Więc jaki interes cię tutaj sprowadza?

– Pan nadkomisarz właśnie podał w wątpliwość okoliczności wypadku. Zbiera dowody – streścił funkcjonariusz drogówki z nutą skargi.

– Doprawdy? Bogu ducha winni Rosjanie nie zapylali jak dzicy, tylko parkowali grzecznie na poboczu, kiedy lokalni mieszkańcy napadli ich, ubili, a samochód wepchnęli na drzewo. Felek! – zawołał w kierunku technika z miarką. – Ile jechał?

– Stówa, może więcej!

– No, zwracam honor. Mogli przecież zapindalać dwie stówy.

Sierżant odprężył się, zadowolony z siebie podinspektor przyłożył do ust plastikową butelkę, w której zabulgotała woda. Andrzej jeszcze raz omiół miejsce zdarzenia wzrokiem, wyciągnął telefon i pstryknął fotki. Wsunął rękę przez drzwi i zwędził coś z wnętrza auta.

– Te, te! To mój cmentarz, ja się do twojego nie wpięrzam! Dupę w pysk aligatora i wypierdalać, raz!

Andrzej wykonał polecenie bez szemrania, wsiadł do krokodyla szos, włączył radio i wsłuchał się w dalszą część przerwane go utworu. Niańka niecierpliwie skubał wargę.

– Naprawdę, szefie, chce się panu? Mamy dosyć swojej roboty, a ten cymbał nam jeszcze nasra w kieszeń. Będzie smród, zobaczy pan.

– Jedyne, co mi się chce, Janek, to wydłubywać babole z nosa, kulać i wrzucać je Hula-Chłopowi w dekolt. Cała reszta to obowiązek.

– Ale Marycha ma rację, to ich sprawa, nie nasza. Dobrze mówię?

– Mam taką nadzieję, Janek.

*Do you know the way that I can? / Do you know the way that I can't lose?*[6] – w myślach zanucił refren piosenki. Nie chciał kolejnej sprawy, ledwo radzili sobie z obecnymi. Niekiedy jednak inna optyka porządkuje myśli, nowy impuls może przynieść alternatywne pomysły. Takie miejsciny są jak jeden wielki organizm, wszystko zazwyczaj jest ze sobą powiązane. Potrzebowali niestandardowych rozwiązań, każdego dostępnego punktu zaczepienia.

Kolejnego przestępstwa.

Na parking hotelu Węgorz wjeżdżało się stromą drogą wyłożoną granitową kostką, zza ostrego zakrętu wyłaniał się park wyrąbany w lesie. Kilka sterczących sosen otaczało piętrowy gmach z kolumnienkami na przodzie, do złudzenia przypominający rozrośnięty dom na przedmieściach. Niegdyś mogła się tutaj mieścić badylarska posiadłość, jedyną pozostałą szklarnię zamieniono na kryty basen, okładając ją z góry buraczkową dachówką. Znacznie niższy poziom od Dworu Prawdzica, ale wciąż ze szlacheckim sznytem.

Andrzej zatrzymał się tuż obok wejścia, na kopercie. Ciec wyrwał z miejsca, ale przełknął niewypowiedziane przekleństwo, widząc legitymację policji. Przy drzwiach nie było odźwiernego, więc dostanie się do recepcji nie stanowiło dla intruza problemu. Dalej też poszło łatwo, biuro administracji stało otworem, recepcjonistka nie rozpoznała w porę zagrożenia, zawodowy uśmiech nie zszedł jej z twarzy, nawet kiedy już biegła za Andrzejem do gabinetu szefa, krzykiem wszczynając alarm. Za późno, niemile widziany gość wlaź bez pukania.

Mężczyzna o jowialnej aparycji prezydenta Komorowskiego o mało nie zatkał się pochłanianym śniadaniem, jajko sadzone nie zmieściło się w całości do jamy gębowej i plaster ściętego białka chlupnął na talerz, po brodzie pociekła strużka żółtka.

– Spokojnie, bo się pan jeszcze zadławi, a nie potrzeba nam kolejnego trupa. Tak, proszę pana, przynoszę złe wieści. Andrzej Bondar, Komenda Powiatowa policji – przedstawił się.

Dyrektor w pośpiechu przełknął zawartość ust, kciukiem rozmazał na brodzie wyciek żółtka.

– Nie rozumiem...

Rzeczywiście nie potrafił wyjść z szoku. Ramię z widelcem zatrzymało się trzydzieści centymetrów nad talerzem, wąsy oklapły w dół jak u byłego prezydenta po przegranych wyborach.

– Niejaki Oleg Kokorin zginął wczorajszej nocy w wypadku samochodowym. Coś panu to mówi? Nie? To może zerkniesz pan z łaski swojej w listę gości?

Dyrektor wypił łyk kawy, mlasnął. Z jego prostodusznego oblicza sumiennego gajowego dało się dokładnie wyczytać każdą kombinację szarych komórek próbujących obmyślić jakiś sensowny plan. Na próżno, wizyta przedstawiciela prawa ostudziła w nim wszelką kreatywność w walce z władzą państwową. Nikczemnie zdradził staropolską tradycję warcholstwa i sobiepaństwa, magnacką pogardę wobec jakiegokolwiek zwierzchnictwa. Widocznie miał ludzi od oszustw podatkowych i kombinacji handlowych, sam był czysty.

– Obowiązuje mnie etyka zawodowa, jestem zmuszony zaprotestować – wymamrotał.

Przełknięte w pośpiechu jajko odbiło mu się czkawką. Andrzej nie spuszczał z niego surowego spojrzenia, pod którym dyrektor kurczył się jak balonik.

– Mogę załatwić nakaz prokuratorski, ale wtedy wszystko odbędzie się oficjalnie, z pompą, wpadniemy w gościnę na bogato, całym wydziałem. A wie pan, jaki smród zostaje w obiekcie po odwiedzinach gliniarzy? Na jak długo?

Gajowy popił kolejny łyk kawy, głośno przełknął.

– Gocha! – wrzasnął przez niedomknięte drzwi.

Recepcjonistka stanęła w progu w ciągu sekundy, najpewniej podsłuchiwała.

– Zobacz w rejestrze tego tam... jak mu było?

Andrzej powtórzył nazwisko Rosjanina. Dziewczyna wróciła, z ulgą pokręciła głową.

– No widzi pan, nadkomisarzu, nie było go u nas. To porządny przybytek!

– Był, był, dyrektorze. – Andrzej położył na stole serwetkę z emblematem hotelu, ukradzioną z miejsca wypadku. – Znaleźliśmy to w aucie. Coś tutaj musiał robić.

– Widocznie kradł, pewnie jeszcze pił.

No tak, co innego może robić Rusek.

– Proszę rozpytać, czy ktoś z personelu go pamięta. – Andrzej podał recepcjonistce zdjęcie martwego pasażera, które wydrukował w komendzie.

Nie liczył na wiele, ofiara z mazdy posłużyła mu jako pretekst, zamierzał przy okazji załatwić ważniejsze sprawy, dla których wypadek był idealną przykrywką. Michał przekazał mu informację, którą musiał zweryfikować. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyciągnął złożoną na cztery kartkę z wydrukiem innej fotografii, rozwinął ją przed dyrektorem. Obok talerza z zastygłymi strupami po jajkach sadzonych i jeziorkiem tłuszczu po zwyczajnej.

– Zna pan tę kobietę?

Gajowy poświęcił fotografii tylko jedno spojrzenie, oparł plecy na fotelu i założył na brzuchu ręce. Nagle poczuł się ważny.

– Skąd to pytanie, coś przeszkrobała?

– Zna ją pan czy nie, powtarzam!

– Helka Szpak, stoi u nas za barem. Stała, nie przyłazi od paru dni, jak tylko

pokaże mi tu tę swoją gębę niewiniątka, włożę jej w nią wypowiedzenie i na pożegnanie kopnę w wychudzoną dupę. Tutaj pracy się nie porzuca, stąd można tylko wylecieć!

Nastroszył się jak piórko w myśliwskiej czapce, w ostatnim zdaniu prawie zapał. Andrzej nie był zaskoczony, dokładnie w ten sposób szlachta przez wieki traktowała swoich poddanych. A najlepszymi poganiaczami niewolników byli oczywiście lokaje w dyrektorskich fotelach.

– Czy coś wiadomo w sprawie jej zniknięcia? Pokłóciła się z kimś, planowała coś, może wyjazd?

– Helcia? Nawijała jak potłuczona, podróżowała palcem po mapie. Chwaliła się wielką przyszłością, a ledwo radziła sobie za barem, nie potrafiłaby zliczyć do pięciu, gdyby nie miała palców. Wiejski tłuk, taki, wie pan, tępy cep.

– To po co ją pan trzymał za barem, skoro taki nierób?

– Tego nie powiedziałem, swoje robiła, nawet nieźle jej szło jakimś cudem. Typ małej cwaniary. Nie tylko u mnie zresztą, ciągnęła zmiany w innych hotelach.

– Gdzie?

– Nie wiem, to tu, to tam, głównie na lewiznie, dorywczo. Mnie się przynajmniej nie zwierzała.

– Utrzymywała z kimś bliższe stosunki?

Dyrektor podejrzliwie zmrużył oczy, zastukał palcem w oparcie fotela. Odchrząknął porozumiewawczo.

– Co nieco słyszałem, ale nieoficjalnie. Rozumie pan, reputacja. – Spojrzał za siebie, na ścianę ozdobioną landszaftem z jeleniem na rykowisku, bo czymże by innym. Nachylił się nad biurkiem, wyszeptał konfidencjonalnie: – Puszczala się za pieniądze!

Z ust dyrektora zalatywało fałszem. Kurewstwo najbardziej bulwersuje mężczyzn o zachwianej wierze we własną męskość.

– Tego już się zdążyłem dowiedzieć. Kiedy ostatnio widziano ją w pracy?

Gajowy zerknął na ekran komputera, pogmerał myszką.

– Miała przyjść na zmianę piętnastego, ale się nie pojawiła. Czyli dwunastego, przed huraganem. Tak sobie pomyślałem, że pipę zwiąło do jeziora, drobna była.

– Może i zwiąło... – mruknął Andrzej.

– Słucham?

– Nic, głośno myślę.

W tej chwili w progu gabinetu pojawiła się recepcjonistka. Na nieme pytanie obu mężczyzn wzruszyła ramionami. Andrzej dźwignął się z krzesła, zapisał na samoprzylepnej kartce numer swojej komórki. Nie miał więcej pytań. Resztę dopowiedział sobie sam.

Na parkingu zaczepił go cieć, cuchnął tanimi fajkami i drogą wódką, pewnie zajmowaną z hotelu.

– Helki sukacie? – zasunął przepiękną dawkę legendarnego mazurzenia.

– No. Coś pan o niej wie?

– Może i wiem, panie władzo, może i nie wiem. Ludzie gadają, ja słucham, taka robota.

Wyszczrzył zęby z czarną otchłanią w miejscu górnej dwójki, przez którą tak świzzczało powietrze. Andrzej poczuł się rozczarowany.

– To ja zaraz każę ci dmuchnąć w balonik i może ci wpierdolę mandat, a może nie.

– No jus, jus, co tak nerwowo, sefie. Dla psykładu, że kurwa.

– To akurat żadna nowina, coś jeszcze?

– I ze dorwał ją mściciel.

– Kto?

– Mściciel, ten co cioty w mieście kasuje.

Andrzej spojrzał na bezzębego z niedowierzaniem.

– No co, tak ludzie gadają!

– A za co ten mściciel niby się mści?

– No jak za co, za ksywdy jakieś. Za gzechy ludzkie!

Andrzej zachnął się, odwrócił na pięcie. Wskoczył do saaba, wyjechał z parkingu z piskiem opon na ostrym wirażu. Zabobony wsiurów doprowadzały go do szału. Każdy bezzębny ma jednak jakiś ząb, każdy głupi swój rozum. Może właśnie tego im brakowało w tej sprawie, motywu.

Zemsta pasowałaby idealnie.

– No, no, masz tutaj niezły materiał – komentował półgłosem Łokieć, przeglądając papiery przedstawione mu przez Nowego. Szczególne wrażenie



zrobiły na nim zdjęcia, na widok ostatniego błysnęły mu gałki oczne. – Patrz, Janusz, jaka gwiazda filmowa!

Aspirant sztabowy zachichotał, ale Wojtał zachowywał powagę, intensywnie analizował tekst. Siedzieli w kabinie służbowej meganki prawie nad samym brzegiem. Słońce odbijało się od tafli jeziora, wylewając na przednią maskę świetlne fale, oślepiało. Pachniało sitowiem, z pobliskiej plaży dolatywał pisk dzieci przygotowujących się do przedpołudniowej kąpieli. Opiekunki ciągle pozostawały w zwiewnych sukienkach, skąpiąc widoku swoich ciał w bikini.

– Więc Heli nie widziano w Prawdzicu czternastego lipca – podsumował i wrzucił teczkę pasażerowi na kolana. – Jebał to pies!

– Spokojnie, Wiech, to jeszcze nic nie znaczy. Rozmawiałem z czterema członkami personelu i każdy z nich stwierdził, że Helcia często pokazywała się w hotelu prywatnie. Niezła z niej dupa, towarzyska, potrafiła się zakręcić, gdzie należało, to goście często zapraszali ją na imprezy.

– Czyli dawała za kasę?

– Nie wiem, czy za kapustę, czy dla przyjemności, w każdym razie nie rzucała się w oczy. To jak do niej dopiąć Bondara?

– Pinezką.

– Pytam poważnie, Janusz!

Nowik wzruszył ramionami, Łokieć poirytowany pokręcił głową. Pytanie bez odpowiedzi, za dużo ich ostatnio sobie zadawał. Mózg aż go bolał z wysiłku, miał problemy ze snem, zbyt często czuł w końcach palców świerzbiecie tłumionego szau. To była jedna z tych spraw, w których siła i złość w niczym nie pomogą. Prawdziwe dochodzenie stanowiące bramę do dalszej kariery. Szarpał ją, ale zamek nie chciał ustąpić, musiał odnaleźć klucz. Albo co najmniej wytrych.

– Ciągle za mało, Janusz, tym nie utopimy Bondara. Szukaj dalej.

Aspirant sztabowy przyznał mu rację. W pozbyciu się nadkomisarza miał taki sam interes jak Wojtał – awans i stały przydział do wydziału kryminalnego. Stanowili zgrany zespół, sprawowaliby w okolicy zgodne rządy.

Wiech wysadził kolegę na parkingu przed Lidlem i ruszył w kierunku centrum. Ciągle borykał się z drugim śledztwem, które wysysało z niego potencjał intelektualny i energię, czuł się jak kondom zdjęty z fiuta. Stracił nawet ochotę na seks, co w jego przypadku zdawało się niemożliwe, wręcz niebezpieczne. Widok ponętnej lali nie wywoływał w nim prawie żadnej reakcji, choć normalnie koń kopałby go w udo. Obawiał się, że z tego powodu stracił instynkt, który go do tej

pory nie zawodził. Gdyby kilka dni temu wiedział, że trafi mu się lepszy kasek, nawet nie zaczynałby z tym wypadkiem. To była szarada dobra do filmu kryminalnego, nie gra dla niego. Trudno, sam się o te kłopoty prosił.

Postawił samochód na zakazie, większość parkingu zajmował dźwig ustawiający tablicę reklamową wielkości dwóch billboardów, którą powalił szkwał. Grupka turystów z zaciekawieniem przyglądała się operacji, jakby wreszcie znaleźli w Węgorzewie odpowiednią atrakcję. Gdyby tylko wiedzieli, co ta miejscina skrywa w trzewiach, omijaliby ją z daleka. Albo przeciwnie, waliłyby do niej tłumy, ludzie uwielbiają makabrę i przemoc. Dobry świat to marzenie świętych, przeciętny obywatel pragnie zła. Stosownie przygotowanego i zaserwowanego, ale ciągle zła.

Do biura rachunkowego wszedł jak jeden z klientów, poprosił o rozmowę z szefową. Spanikowane pracownice wymieniły spojrzenia i przeprowadziły błyskawiczne, nieme negocjacje, która tym razem ma zapukać do gabinetu. Podkomisarz wyręczył obie, osobiście fatygując się do drzwi z tabliczką „Właściciel”.

– Dzień dobry, chciałbym okantować skarbówkę na Vacie, dobrze trafiłem? – palnął na przywitanie z głupia frant.

Jadwiga Koterska posłała mu nienawistne spojrzenie znad stosu zeznań podatkowych, które przysyłaniały jej biust. Jedyne walor, który przyciągnąłby Wiecha do tego przybytku prywatnie.

– Sugeruję udać się na Tadeusza Kościuszki w Giżycku, trzecie piętro, pokój trzysta piętnaście. Taka pani z widocznym wąsem i pasemkami siwizny. Ale bez dwóch tysięcy w kopercie nie rozpoczyna rozmowy.

Przybrała kpiącą minę i miała rację. Dwa tysiące w gotówce Wojtał ostatnio widział w portfelu przemysłowca, którego zwinęli przed rokiem.

– He, he, humorek, widzę, dopisuje. To może zdradzi mi pani również, co panią łączyło z Józkiem Weinarem.

– Nie bardzo rozumiem. Wszystko już wyjaśniłam, nie mam nic do dodania.

– Nic? A nie było między wami przypadkiem, wie pani, miłości, jak to się ładnie mówi? Może po prostu bara-bara na boku, przecież królowa nie zakochałaby się w takim łachmycie, mam rację?

Jadźka zadrżała, nabrała do płuc tyle powietrza, że mogłaby się unieść. Wiecho żałował, że sterta papierów zasłania mu widok, biust musiał jej urosnąć co najmniej o jeden rozmiar. Bawił go sposób, w jaki kobieta próbowała się opanować.

Normalnie już by atakowała pazurami, eksponowała krtań w dzikim krzyku. Wiedziałyby, jak temu zaradzić. Miał doświadczenie ze złościami, każda z nich lubi na ostro.

– To są wierutne kłamstwa, podkomisarzu. Między mną a Weinarem nic nie było, nigdy.

– Nawet ty-ci-tyci? – Pokazał kilkucentymetrową przestrzeń między palcami. – Bo mi się to ładnie składa. Józek pracuje w waszej hurtowni, jeszcze jak byliście z Waldkiem małżeństwem. Nagle odchodzi, krótko po tym odchodzi pani, w mieście aż huczy od plotek. Separacja, rozwód, podział majątku, lądujecie każde na swoim. Józek jednak ciągle pamięta, zjawia się po paru latach i... No właśnie, czego chce? Ciągle kocha? A może chce czegoś innego? Pieniądzy za zatajenie szczegółów romansu? Królowa odbudowała swoje królestwo, znowu rządzi, cieszy się powszechnym szacunkiem, ludzie pozapominali o starych karabinach. Ciężko pracowała, żeby naprawić reputację, nie pozwoli łajzie jej znowu zniszczyć. Żądał za dużo? Coś poszło nie tak?

Oddech kobiety stał się krótki i płytki, poczerwieniała. Chwyciła się podłokietników, żeby nie spaść z fotela, mięśnie zaczęły wiotczeć i spływać na ziemię. W zaciśniętych zębach odezwały się stare plomby. Jeśli teraz otworzy usta, zaleje gnoja pomyjami, narobi sobie jeszcze większych kłopotów.

– Won! – wycedziła, inwektywy miotając rozpalonymi oczami.

– Naprawdę nie ma mi pani nic do powiedzenia? – Wojtal czuł, że trzyma ją w garści, zaraz złamie. Czuł twardniejący łokieć. – Pani mąż twierdzi co innego. Mam tyle, żeby wsadzić panią za kratki już teraz, ale ja chcę prawdy. Interesuje mnie tylko prawda. Powiedz mi, do cholery, prawdę!

Kłamał, ale słowo „prawda” było w dochodzeniach kluczowe. Ludzie pożądamy spowiedzi.

Słowa kłębiły się w niej, całe zdania, historia, którą mogłaby z siebie wydalić, wypróżnić się, zrzucić ten ciężar. To przecież nie była jej wina, ona tego nie chciała. Policjant miał rację, to był wypadek. Powie to, oni ją zrozumieją, na świecie musi być przecież jakaś sprawiedliwość. Dobro musi w końcu przeważyć nad złem.

Otworzyła usta, ale w tej chwili zagrał telefon. Pierwsze takty *Eine Kleine Nachtmusik* w ohydnej, gryzącej w uszy interpretacji elektronicznego dzwonka. Bariera obronna dźwięku, dzięki której Jadźka wróciła na poprzednią pozycję, okopała się. Mierzyli się wzrokiem, a dzwonek nie ustawał, po dziesiątym sygnale do gabinetu wpadła jedna z pracownic.

– Przepraszam panią, ale to ważne!

Napięcie ulotniło się przez otwarte drzwi, podejrzana zamieniła się we właścicielkę firmy. Podniosła słuchawkę, mikrofon zasłoniła otwartą dłonią.

– Dziękuję za odwiedzinę, podkomisarzu. W razie dodatkowych pytań jestem do usług.

Odłożyła telefon, trafiając na stojak dopiero za trzecim razem. Nie pamiętała, z kim rozmawiała ani o czym. Wciąż drżała, lewą dłoń kurczowo zaciskała na podłokietniku, biel kłykci silnie kontrastowała z czerwienią paznokci. Mimo oparcia zsuwała się z siedzenia, opadała po równi pochyłej, była bliska upadku. Już potrafiła sobie wyobrazić siłę, z którą uderzy o dno, słyszała trzask łamanych kości, huk pękającego życia. Podłoga była zimna i szara, chropowata.

Była posadzką więziennej celi.

Policjant znikł, ale postawione zarzuty zostały. Romans. Bzdura, nigdy nie miała żadnego romansu. Błef mający ją nakłonić do zeznań. A jeśli podkomisarz nie kłamał i Waldek rzeczywiście potwierdził tę wersję? Dlaczego miałyby to jednak zrobić? Ona nigdy nie puściłaby się z tym wstrętnym typem, nigdy!

Ona nie. A jeśli była kimś innym, niż jej się teraz zdawało? Pamięć, ta cholerna ciemna masa bez początku i końca. Zrobiła minę jak po obaleniu szklanki czystej, na języku poczuła żółć. Musi się tego dowiedzieć, bo inaczej zwariuje.

Wybrała numer telefonu Waldka, ale nie odbierał. Po minucie spróbowała ponownie, tym razem odczekała dziesięć sygnałów, bezskutecznie. Obraził się? Zdecydowanie przesadziła ostatnim razem, miał prawo. Jej mąż nie był złym człowiekiem, wręcz przeciwnie, był najlepszym z ludzi, jakich kiedykolwiek знаła. To ona była tą gorszą połówką, ona doprowadziła ich związek do ruiny, cokolwiek innego próbowałyby sobie wmówić. Jak? Tego też musi się dowiedzieć. Życie w świecie domysłów i kłamstw nie jest życiem. Przez ostatnie lata wegetowała w ignorancji, ale dalej tak nie umiała. Nie mogła.

Pojedzie tam. Wstała, zarzuciła na ramię torebkę, podeszła do drzwi. Kiedy chwyciła klamkę, przeszła ją wiązka prądu. Zachwiała się, cofnęła, oparła o biurko.

Nie mogła tam wrócić, ona tam była. Widziała ją, córka stała w progu, z dłonią na wysuniętej rączce walizki. Z nieruchomą twarzą, po której dwoma przezroczytymi zygzakami płynęły łzy. Jadwiga przenikała wzrokiem kilometry przestrzeni, lasy, betonowe mury, materię i czas. Waldemar mówił o życiu

prowadzonym daleko stąd, ale ona wyraźnie czuła w pobliżu śmierć.

W domu czekał na nią upiór własnego dziecka.

Telefon nie przestawał dzwonić. Żaden z pięciu mężczyzn nawet nie spojrzał w stronę aparatu, wzrok wszystkich krzyżował się pośrodku biura hurtowni, pół metra poniżej lampy w kształcie latawca o zaokrąglonych kształtach.

Telefon był jak szósta osoba, która akurat wypowiadała ważną kwestię, nikt nie śmiał jej przerwać. Dopiero gdy dzwonek umilkł, padły słowa:

– Dałem ci czas do wczoraj, a dzisiaj rano znowu stał na parkingu tir z ruskim towarem. Ruchasz mnie, Waldek? Pytam się, czy mnie ruchasz?!

Koterski przełknął ślinę, ale nie spuszczał wzroku. Starał się nie okazać strachu, który i tak był widoczny. Nerwowo targał palcami nogawki spodni, co kilka sekund kurczył się mięsień na jego lewym policzku.

– Posłuchaj, Bruce, tak się nie da. To nie jest, do cholery, film gangsterski, lata dziewięćdziesiąte minęły. Ludzie, przyłazicie tu w biały dzień, zastraszcacie mnie przy pracownikach. Odbiło wam?

– Patrz, jaki elokwentny – skomentował Lis Leon, strosząc pysk. – Chyba trenował przez ten tydzień, jak nas u niego nie było. Co, Waldek, przyznaj się, zamówiłeś sobie płyty z lekcjami cwaniactwa? Wkuwasz wieczorami?

– Jakby wkuwał, toby mu coś może w bańce zostało. A zobacz, pusto w środku, że aż dudni. Weź się rozejrzyj, Tapir, może trochę rozumu pochował przed nami po szafach, może w biurku.

Potężny troll posłusznie podszedł do tylnej ścianki biura i zaczął opróżniać półki, po kolei wyrzucając ich zawartość na podłogę. Gdy posypały się papiery, Koterski krzyknął:

– Psiakrew, stój! Kto będzie to porządkował!? Co to za dziecinada jest, co za kretynizm!?

Tapir przerwał swą czynność w połowie ruchu, ale na znak herszta kontynuował. Bruce zbliżył się do Koterskiego na odległość oddechu, niemal zetknęli się nosami.

– Będziesz robił, co mówię! – wycodził. – Mogę się zająć twoją żoną, matką, siostrą i jej ślicznymi bliźniaczkami. Nie, nie w ten sposób, my szanujemy życie, nie zabijamy. To nie te czasy, masz rację. My przygotowujemy wypadki, po których trudno im się odnaleźć. Kulawa nóżka, przetrącona rączka, szkaradna blizna na

buźce, puste oczko. To teraz dla babek gorsze niż śmierć.

– Jezu Chryste! – Koterski próbował odepchnąć bandytę, ale sam odbił się od masywnego cielska, odskoczył do tyłu. – To jakiś obłęd! Kim wam się wydaje, że jesteście? Chcecie krzywdzić niewinnych, wy? Wy powinniście nas bronić przed wrogiem, nie robić z nas swojego wroga, straszyć, okradać...

– Ależ bronimy was, Waldek, bronimy. Przed wami samymi. Zszedłeś na złą drogę, znalazłeś się w ślepych zaułku. Rozumiem twoje rozczarowanie, też czuję się zawiedziony światem. Dlatego panie zostawię sobie na deser, na pierwszą linię pójdzie ktoś mniej wartościowy.

Odsunął się i błyskawicznie wyprowadził cios w brzuch stojącego na baczność kierownika hurtowni. Mężczyzna wydał dźwięk odkorkowywanej butelki, złamał się wpół i ukląkł na ziemi. Leon obszedł zaatakowanego z drugiej strony, wycelował i czubkiem buta precyzyjnie kopnął go w żebra, z dużą pewnością siebie kiwając głową.

– Złamane! Widzisz, przyjacielu, jakie wypadki chodzą po ludziach? – Nachylił się i trzasnął go dłonią w policzek, pogroził palcem. – A wara mnie tylko L-cztery przynieść! Ta firma ma prosperować, zarabiać pieniądze. Płacić podatki na utrzymanie policji i wojska, Służby Celnej.

Zarechotał, Tapir uniósł głowę nad biurko i naciągnął zajęczą wargę. Akurat kończył swoje dzieło zniszczenia, wyrzucał na środek pokoju ostatnią szufladę. Bruce wyciągnął z kieszeni kartkę, podał ją właścicielowi hurtowni.

– Lista przedsiębiorców, z którymi masz handlować. I pamiętaj, termin minął, jutro widzę tutaj tiry z naszym towarem, jasne? Kurwa, jasne?!

Koterski przytaknął dopiero za drugim razem, bez przekonania. Opadł na fotel dla klientów, kiedy mężczyźni bez pożegnania wyszli z biura. Beznamiętnie wpatrywał się w pozostawiony przez nich bałagan, kiedy kierownik hurtowni gramolił się z podłogi. Prawym ramieniem obejmował się wpół, grymas bólu wywinął do góry lewy kącik ust. Stał, wbił wzrok w swojego szefa, głośno oddychał, a z nosa wydobywał mu się cichy świst.

– Powtarzałem ci to już parę razy, Waldemar, ale nie słuchałeś. Nie popuszczą, mówiłem ci. Czego żeś się tak uparł, co? Z kim chcesz wojować, co wygrać?

Cisza. Koterski nie odrywał oczu od sterty porzucanych papierów, stosu próbek towarowych i ozdób ustawionych na regałach jeszcze przez jego żonę. Z nikim nie zamierzał wojować, nic wygrać, po prostu chciał w spokoju pracować, prowadzić firmę. Oprócz niej niczego innego w życiu nie miał, całą resztę stracił.

Jeśli ugnie się przed żądaniami zbirów, straci i ją. Będzie skończony.

– Nic się nie przejmuj, Rysiek, załatwię to. Jedź do lekarza, ale szybko wracaj. Słyszałeś panów.

– To nie są jaja, Waldemar. Rób, jak uważasz, ale ja nie mam zamiaru nadstawiać dupy, tak dobrze to mi znowu nie płacisz. Możesz ich posłać w pizdu, ale ja też wtedy odchodzę. Słyszysz?

Chwilę czekał na odpowiedź szefa, ale ten nie przestawał wpatrywać się w zdemolowane biuro. W końcu fuknął poirytowany i wyszedł, trzaśnięcie drzwi stłumiło wykrzyknięte przekleństwo. Powiew powietrza poderwał kilka kartek, które zanurkowały w kąty pokoju.

Waldemar w końcu dźwignął się z fotela, podszedł do przeszklonej ściany, która odgradzała go od wnętrza hurtowni. Rozsunął panele żaluzji, przyjrzał się pracownikom w roboczych spodniach i białych T-shirtach z logo firmy, którzy konspiracyjnie schowali się między regałami i komentowali niedawne zajście. Zastanowił się, ile wiedzieli, a ile mogli się tylko domyślać. Nie zdziwiłby się, gdyby zbóje i ich bandycki proceder znani byli każdemu, tylko nikt nigdy o tym głośno nie mówił. Psie gówna, których nikt nie zauważa na chodniku, dopóki w jakieś nie wlezie. Przeżarci księża, zakłamani politycy, skorumpowani gliniarze...

Okrzyknął bałagan i wszedł w drzwi prowadzące do jego gabinetu, niewielkiej kanciapy bez okien, w której ucinął sobie czasem drzemkę lub czytał książki, kiedy wszystko szło swoim rytmem. Z leżącej na biurku paczki marlboro wyciągnął papierosa, przypalił go benzynową zapalniczką wielkości kostki Rubika. Ściągnął ze ściany reprodukcję Picassa, za którą schowano sejf. Wklepał kombinację, otworzył drzwiczki, wsunął rękę do środka. Wyciągnął metalicznie połyskujący rewolwer Smith & Wesson. Otworzył bęben, zajrzał w siedem pustych otworów. Usiadł za biurkiem, załadował broń cylindrami naboju. Odciągnął kurek, wycelował.

Zdawał sobie sprawę, że ludzkości nie zbawi. Ale może przynajmniej wyświadczyć światu dobry uczynek.

W biurach komendy panował żar. Pot spływał ze wszystkich niczym deszcz, parował i unosił się w powietrzu niemal widoczną mgłą, która osiadała na szklanych i metalowych ozdobach, skraplała się. Cuchnęło napięciem i zmęczeniem, czyjeś przesadzone perfumy szczypały w oczy.

Andrzej czuł do tej atmosfery takie samo obrzydzenie, jak do wody z jeziora,

najchętniej w ogóle by do niej nie wchodził. Musiał jednak skontrolować podwładnych, był to dla niego brudny, nieprzyjemny obowiązek.

Na Wiśniewskiego nic nie mieli, on za to miał całkiem przekonujące alibi. Historię z nożem trudno było sensownie wykorzystać, w końcu był to kawał tępego żelastwa do smarowania masła, po prostu trzymał go w dłoni, kiedy do domu wtargnęła policja. Popaprana przeszłość tym razem nie wystarczyła, żeby przedłużyć areszt, prokurator Purchawka nakazała uwolnić podejrzanego. Na ewentualne zarzuty mógł odpowiadać z wolnej stopy. Inni przesłuchiwanym też potrafili się wybronić, śledztwo utkwilo w martwym punkcie.

Wojtal radził sobie dużo lepiej, choć jego teorie zdawały się naciągane. Romans Jadźki Koterskiej, przemytnicza działalność Waldemara, tajemnicze konszachty z ruską mafią, w wyniku których zginął Weiner. Może porachunki, może początek wojny gangów, scenariusz Łokcia bardziej nadawał się na film kryminalny niż na sprawę zwykłego potrącenia. Jeśli nawet brakowało mu szarych komórek, to przynajmniej miał fantazję, to trzeba mu było przyznać. Skądinąd fakty nie kłamały: rewelacje Wiecha idealnie łączyłyby się ze sprawą Rosjan z jachtu i wypadku samochodowego.

Akurat gdy Niańka referował brak postępów w postępowaniu związanym ze znalezionym łańcuszkiem, do biura wpadła sekretarka z nowym zgłoszeniem.

– Mężczyzna bez pleców – poinformował Chmiel, który przejął kartkę.

– Że niby co, obdarty ze skóry?

– Raczej oszlifowany – uznał Bondar, czytając szpitalny raport. – Sugerują użycie elektrycznej szlifierki.

– Coś na ten temat wiemy, jakieś ślady?

– Żadnych, facet jest nieprzytomny, świadkowie widzieli go tylko w barze, pojawił się nagle znikąd. W kieszeni spodni miał pustą paczkę po gumach do żucia. Ruskich.

– Iwan! – wyrzucił z siebie Wojtal z wyrazem ulgi.

– Zbój, pewnie porachunki gangsterskie – zawyrokował Nowy. – No co, *Sons of Anarchy*, nie znacie? Serial o motocyklistach, w ten sposób karali zdrajców. Zdrapywali im na żywca z pleców tatuaże z symbolem gangu.

Andrzej zasępił się nad raportem. Tego mu właśnie brakowało do kolekcji, wojny lokalnych band. A może właśnie o to chodziło, wszystko ograniczało się do prozaicznej rywalizacji o wpływy?

– Zbadaj to, Paweł, popytaj o typa, niech cię powiadomią, kiedy odzyska



przytomność.

– Chwileczkę! – krzyknął Chmiel, grzebiąc w kartkach wysypujących się z plastikowych kuwet. Wyciągnął jedną, podał szefowi. – Wczoraj przyszła informacja z Giżycka, odpowiedź na nasze zapytanie.

Andrzej przebiegł po raporcie wzrokiem.

– Samookaleczenie?

– Dokładnie, gówniarz oheblował sobie żyłką skórę z twarzy, prawy policzek. Nosił także ślady brutalnego pobicia.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?!

– Nie pytał pan...

– Zaraza! Panowie, chyba mamy kolejną ofiarę napastnika.

Wyszedł z biura, na korytarzu wpadł na Wiecha i Nowego, rozmawiali przyciszonymi głosami. Kiedy ich mijają, przeszli go świdrującym, kpiącym wzrokiem. Albo byli po prostu wyjątkowo bezczelni, albo ukrywali przed nim ważne informacje. Knuli coś? Możliwe, jeśli Michaśka się wygadał...

Nie mógł ufać kelnerowi, to było oczywiste. Łatwo było go przecież przelicytować, obiecać więcej lub bardziej postraszyć, przebić jego skąpą ofertę. Andrzej musiał to sprawdzić.

Dom kultury znajdował się niedaleko, niecałe dwieście metrów od szpitalnego mieszkania. Mijając je, tęsknie zajrzał w swoje okno. Świat oglądany z wnętrza, filtrowany przez szybę, był zdecydowanie spokojniejszy, piękniejszy. I nie chodziło mu o widok baraków jednostki wojskowej z ciągle obdartym po huraganie dachem, ale o dwuwymiarowość świata, którą dawało się zamknąć na kartce. Nadać jej dowolny kształt.

Tymczasem rzeczywistość nie dawała się pomalować, pozostawała szpetna. Dom kultury był tego idealnym przykładem, koszmarny gmach pełen brzydkich, niezgrabnych typów o wygolonych kanciastych czaszkach i nieprzyjaznych spojrzaniach. Uczciwych w swojej prostocie, bogobożnych obywateli, którzy posiadli dar bezbłędneho przypisywania homo sapiens do dwóch podstawowych grup: obcych i nas. Andrzej należał do obcych, co wyniuchali od razu.

Na domiar złego zapytał o Michała, jeden z młodzieńców w odpowiedzi splunął na podłogę, drugi po chwili namysłu wskazał brodą drzwi do świetlicy. Nie mylił się, informator stał w kącie i przysłuchiwał się kazaniu, jakie mężczyzna po

czterdzieści prawili grupce napakowanych młokosów oderwanych od letnich zajęć w domu kultury. Ich mózdzek przejął funkcję mózgu właściwego, więc potrafili tylko reagować na silne bodźce, kiwali lub kręcili głową, wydawali nieartykułowane pomruki. Pewnie dlatego co drugie słowo było przekleństwem, a zdania proste łomotały równomiernie jak kafar.

Siedzący bokiem facet nie wyglądał ani na księdza, ani na instruktora z domu kultury. Zresztą, kto wie, było zapotrzebowanie, to mogli przyjąć na etat i wychowawcę od narodowej młodzieży. Trep z zawodu lub upodobania, miał na sobie militarne glany w kolorze piasku i bojówki moro, do tego zielonkawą koszulkę. Mordę wykrzywioną patriotycznym zacięciem, które upodabniało go do Mariana Kowalskiego. Palcem wskazującym grubości lufy rewolweru celował na zmianę w każdego z musztrowanych wyrostków. Podobał im się ten ton, uwielbiali znajdować się pod czyimś butem. Dzięki temu łatwiej im było brać pod but innych.

Andrzej syknął na Michała wpatzonego w Mariana jak w obrazek. Na widok policjanta zrobił wielkie oczy, z zaciętą miną niechętnie wyszedł na stronę. Kończyna górna jednego z samców ujęła oparty o ścianę drag, dźgnęła chłopaka w tyłek. Horda wybuchnęła rutynowym śmiechem, to musiał być kolejny z serii kawałów, które zaserwowali odrzuconemu koledze.

– Musimy pogadać – zaczął Andrzej.

– Teraz? Teraz nie mogę. – Spojrzał przez ramię na chłopców wsłuchanych w swojego guru. – Mam robotę.

– Robotę? A co robisz, wkurwiasz ogry, żeby przyspieszyć im pracę mózgu?

– Daj mi spokój, Andrzej, pogadamy później. Potrzebują mnie tutaj.

– Potrzebują? Chyba za model do listy ofiar. Spójrz! – Wskazał mu rozwinięty transparent, który sechł oparty drzewcami o ścianę. Obok cytatu „Homo? – wiadomo!” dymiły piece krematorium. – Popatrz, Michaś, to o tobie!

– Odwal się! – Chłopak próbował odepchnąć funkcjonariusza policji, ale ten ścisnął go za ramię, pociągnął za sobą.

– To nie są twoi ziomale, idioto, po cholere się tutaj w ogóle pałętasz!

– Nie twoja sprawa, widocznie mam interes. Puszczaj!

Andrzej wypchnął go przez drzwi, co wzbudziło leniwy aplauz wśród uczestników zajęć praktycznych, którzy nie zmieścili się w świetlicy i wylegli z robótkami do holu. Cofnął się i przyjrzał banerowi, na którym dzieciak bez koszulki na klęczkach smarował szerokim pędzlem napis „Uchodźcy do moza!”.

– Jak się pisze „morze”?

– Co? – Chłopiec podniósł głowę z miną żółwia, z lewego kącika ust sterczał mu jęzor.

– Morze, głąbie, przez jakie „rz” się pisze?

Dzieciak wstał, przyjrzał się swojemu dziełu z dystansu.

– Noż kurwa mać, zem się znowu jebnął!

– A „kurwa” i „zem”?

Chłopiec zmieszał się, wybałuszył oczy jak przed nauczycielką polskiego. Andrzej odwrócił się na pięcie i wyszedł. Michał grzecznie stał za drzwiami i czekał. Chyba tylko po to, żeby zademonstrować swojego hiperfocha, od którego naprężył się jak wykrzyknik. Nie pomogło, śledczy zaciągnął go za róg i pchnął na ścianę. Najchętniej nastrzelałby cymbałowi po pysku, może wtedy by coś zrozumiał. To współistnienie półgłówka i filozofa w jednym organizmie było niepojęte.

– Wygadałeś się komuś?

– Ja? Nie!

– Z kim jeszcze pracujesz, komu kablujesz?

– Nikomu! Bondy, co cię napadło?

Michaśka struchlał pod czarnym spojrzeniem gałek ocznych zamieniających się w kamień. Andrzej przysłonił je okularami.

– Gadałeś z kimś z komendy? Z Łokciem?

– Nie, z nikim. O co ci chodzi, Bondy?

Michaśka był ostatnią osobą świata, której można było zawierzyć jakikolwiek sekret, mimo to zdawał się mówić prawdę. Aż tak dobrze kłamać nie umiał.

– I lepiej, żeby tak zostało. Zrobisz dla mnie coś jeszcze.

Chłopak szybko pokiwał głową.

– Masz się wypytać o Helkę. Tak po prostu, jakbyś za nią nagle zatęsknił, wiesz, za starą koleżanką ze szkoły. Chcę wiedzieć, czy ma kogoś na stałe, w sensie komu daje, co planowała, dlaczego zniknęła, gdzie mogła się zabunkrować. Właściwie wszystko, czego ci się uda dowiedzieć, jasne?

– Co ona cię tak interesuje, to tylko wstrętna, puszczańska zdzira! Myślałem, że masz lepszy gust.

Bondar pokręcił głową, nie miał. Kiedyś wybierał tylko łatwe panienki, później wszystkie były dla niego za trudne, a ostatnio specjalizował się w beznadziejnych

przypadkach. Kobietach kłopotach, które same znajdowały sobie jego.

W chłopakach nie gustował nigdy.

– Dobra. Jeśli zdradzisz mi w końcu tajemnicę twarzy napadniętych.

Nadkomisarz wbił w niego swoje stalowe spojrzenie.

– Masz czas do wieczora, Michał, to robi się bardzo pilne. Rozumiesz?

Nie rozumiał, ale wionął strachem. I jakimś rodzajem oddania, a to stanowiło dobrą mieszankę. Andrzej po raz pierwszy odniósł wrażenie, że może na tego dzieciaka liczyć.

Jeden z chłopaków podrzucił go na skrzyżowanie Armii Krajowej z Targową, wysiadł przy Pepco. Resztę drogi przebył pieszo, nie było daleko. Słońce świeciło zza pleców, przestało palić, cień wydłużył się i ciągnął na parę metrów do przodu. O chłodzie nie było co marzyć, późny wieczór zapowiadał się ciepły, noc duszna. Idealna pora na ogniska i grille, party na jachtach i w lasach, tajemne schadzki.

Też chętnie wyruszyłyby na jakiś ubaw, balety organizowane na dziko, przy blasku ognia i muzyce z magnetofonu. Ecstasy popijana piwem, szuwaks wciągany z nadgarstków, zioło jarane z lufek i rozlatujących się blantów. Jeszcze parę lat temu taka była norma, teraz zdarzało się coraz rzadziej. Prawie w ogóle, w tym sezonie dopiero raz. Nie miał z kim się bawić, brakowało także powodów. Więzi ze starymi znajomymi spruły się, nic poszła w kłębek. Aktualni przyjaciele z uczelni rozjechali się po kraju, zobaczy ich dopiero w październiku. Chłopaki z klubu ciągle utrzymywały duży dystans, kiedy za bardzo się zbliżał, warczeli ostrzegawczo jak psy. Zdziczali i nieokrzesani, ale jemu to nie przeszkadzało.

Bondar mógł się z nich wyśmiewać do woli, ale nigdy nie będzie miał tego, co w nich imponowało. Głębokiej wiary, czystej nadziei, a przede wszystkim miłości, która wypełniała im serca. Do ojczyzny, do swojego narodu, do siebie nawzajem. Tworzyli rodzinę, której Michał od dawna już nie miał. Chciał być jej częścią, potrzebował jej.

Zatrzymał się przy rozklekotanej furtce prowadzącej do mikroskopijnego ogródka z klombem kwiatów. Wahał się, w końcu spłoszyły go głosy kłótni u sąsiadów, wszedł na teren posesji. Zapukał do drzwi, ale nikt nie otwierał. Zdawało mu się, że w oknie poruszyła się firanka. Nacisnął klamkę, zamek ustąpił. Zajrzał do środka.

– Halo, jest tu kto? Halo!

Wkroczył do korytarza, z głębi domu dochodził dźwięk telewizora. Pachniało zupą i stęchlizną zbutwiałych ścian, starością. Zaskrzypiała podłoga, zabręczało lustro trącone łokciem. Coś poruszyło się w progu kuchni.

– Ach, to ty! – W korytarzu pojawiła się starsza kobieta z upiętymi z tyłu głowy włosami, w długim wełnianym swetrze mimo upału. Jakby w tych ścianach przez cały rok panowała zima. – Coś się stało, Michał?

– A co miało się stać, mamó? Wpadłem z wizytą.

– Tak, tak. Zrobię herbatę. – Podreptała do kuchni.

Michał wszedł za nią, usiadł na krześle. Wodził palcem po kratkach ceraty, przyklepał odstający kiel niedawnego zadarcia. Rozejrzał się, ale nie znalazł nic nowego, te same rozklekotane meble, na ścianach wyblakłe hafty. Milczenie przedłużało się, przerwało je wycie czajnika. Matka wsypała do kubka wielkości miski sieczkę listków i zalała je wrzątkiem.

– Ojciec u siebie?

Kobieta przytaknęła.

– Śpi?

Wzruszyła ramionami i podała mu napój. Wsunął palce w masywne ucho i wstał, bez słowa udał się w głąb domu. Drzwi do pokoju ojca były przymknięte, pchnął je. Zanim wszedł do środka, przypatrywał się ekranowi starego telewizora, który wyświetlał teleturniej *Jeden z dziesięciu*. Kształty były tak rozmazane, a barwy przygasłe, jakby obraz transmitowano nie w przestrzeni, a w czasie. Michał zaglądał w przeszłość, w lata swojej wczesnej młodości. Wtedy jeszcze miał prawdziwą rodzinę, był częścią czegoś większego.

– Tato, śpisz? – Odstawił herbatę na stolik i zbliżył się do fotela na kółkach.

Ojciec wyglądał w nim jak sparciały worek owinięty wokół konaru drzewa. Chudy i pokrzywiony, suchy, z obwisłą twarzą i czołem przepołowionym grubą blizną. Michał dotknął jego ramienia, starszy mężczyzna natychmiast drgnął. Jego matowe oczy ożyły, zaświeciły gorączką. Zaraz za źrenicami skrywał się strach.

– To ja, Michał. Wpadłem pogadać. Dobrze się czujesz?

Ojciec nie odezwał się. Chłopak przystawił krzesło i usiadł przed telewizorem, żeby mogli oglądać razem. Popił herbatę, ale oparzył usta, była tak samo gorąca jak popołudniowe powietrze, smakowała popiołem.

– Albert Camus – odpowiedział na pytanie o autora *Obcego*. Następną zagadkę też zgadł. – Chyba miałbym szansę, tato, jak myślisz?

Ojciec odwrócił głowę do ściany. Michał podmuchał i pociągnął łyk z kubka, od popiołu wyschły mu całe usta.

– Będiesz ze mną rozmawiał, tato – zakomunikował oschle. – Słyszysz, masz ze mną porozmawiać! – wrzasnął.

Mężczyzna zadrżał, ale nie odwrócił wzroku od ściany.

Michał skoncentrował się na programie. Uśmiechnął się w reakcji na głupi błąd jednego z zawodników, po czym nagle roześmiał się na głos. Śmiech przeszedł w szloch, chłopak zgiął się wpół z płaczu i oparł głowę na kolanach, twarz schował w dłoniach.

– Będziecie mnie kochać, ty i ona – mamrotał przez łyzy. – Musicie mnie kochać. Ja nikogo innego na świecie nie mam.

Objął ojca, wtulając się w jego szyję, ale ten odtrącił go z nadszpodziewaną siłą. Chłopak zerwał się z krzesła, stanął na środku pokoju. Telewizor chłodną poświatą omiatał mu połowę twarzy, która zdawała się lodowata, druga połowa tonęła w cieniu. Mimo to żarzyła się żywym ogniem.

– Zmuszę cię, żebyś mnie kochał! Oboje was zmuszę!

Matka wpadła do środka, przyczesła dłonią rozwiane włosy męża. Rozdzieliła ich swoją sylwetką.

– Na ciebie już czas, Michał. Odwiedziłeś nas, a teraz odejdz. Proszę...

Wierzchem dłoni otarł łyzy, pociągnął nosem. Szczęka mu drżała, kąciki ust unosiły się i opadały. Był bliski szału, nic bardziej nie doprowadzało go do ataków furii niż atmosfera w domu. Nienawidził ich. Kochał ich. Przez nich w jego duszy zagnieździła się pustka.

Ruszył do wyjścia, wyszedł, na chodniku puścił się biegiem. Zatrzymał się dopiero przy murze cmentarnym. Ten mur wcale nie chronił żywych przed umarłymi, ale na odwrót. Człowiek groźny jest tylko za życia. Nad umarłymi łatwo zapanować, posiąść ich pamięć na własność. Śmierć jest ostatecznym pojednaniem.

Gdyby rodzice umarli, znowu staliby się jego rodziną.

Gdyby obaj umarli, odnaleźliby dwa ciała, a na miejscu wypadku znajdowało się tylko jedno. Andrzej starał się nie szatkować ludzkości w poprzek i wzdłuż, nie dzielić na narody, religie, rasy i klasy społeczne. Ofiara ludzka była dla niego ofiarą bez względu na pochodzenie. W tym przypadku musiał jednak zmienić optykę, poszkodowani byli Rosjanami, co zbyt wyraźnie pasowało do szerokiego

kontekstu. Być może sam stał się pionkiem w jakiejś wielkiej grze, której nie rozumiał.

Myśli nachodziły go kaskadami. Lewą ręką grzebał w talerzu, drugą operował na klawiaturze laptopa. Wstępne czynności operacyjne nie przyniosły efektu, nie znaleziono świadków wypadku ani kierowcy, do okolicznych warsztatów nie dostarczono samochodu z rozdartym bokiem, który odpowiadałby śladom z rozbitej mazdy. Andrzej chętnie przyznałby podinspektorowi Marysi rację, wydarzyła się zwykła kraksa, kierowca prowadził na gazie, więc zwiął. Może był w szoku. Może uciekł z jakiegoś innego powodu.

Z jakiego?

Andrzej odstawił niedokończoną porcję, nie był głodny. Żołądek zaczynał piec, a rana na głowie krwawić do wewnątrz, organizm domagał się swojego lekarstwa. Jeszcze nie teraz, uspokajał duszę, za wcześniej, miał jeszcze kilka spraw do załatwienia. Musiał zająć się ciemną stroną tego świata, ale też postanowił wykonać kilka kroków w stronę światła.

Planował oficjalnie zaproponować Ali wspólną przyszłość. Na jej warunkach, na jakichkolwiek warunkach, byle tylko pozwoliła mu być częścią swojego życia. Miał pieniądze, miał lokum, na emeryturze będzie miał czas, żeby się nią zaopiekować, choć raz poświęcić się słusznej i rozwojowej sprawie. Żadna złota klatka, nawet z diamentami, otworzy dla niej wszystkie drzwi, niech wchodzi i wychodzi, kiedy zechce. Byle tylko wracała do niego na noc. Zasypiała wtulona i budziła się od pocałunku w twarz.

Otrząsnął się, wyobraźnia wybiegała za daleko do przodu, tracił w niej orientację. Musiał wracać, jego służba wciąż trwała.

Uruchomił Google Earth i dokładnie przyjrzał się okolicy miejsca wypadku. Nie takie znowu kompletne pustkowia, jak informowali go policjanci z drogówki. W promieniu trzech kilometrów znajdowały się dwie wsie, między nimi porzrucane były pojedyncze chałupy i gospodarstwa. Teren był tylko w części zalesiony, zdatny do marszu, również poobijany człowiek mógł bez trudu pokonać dystans kilkuset metrów, by dotrzeć do najbliższego domu. Zakładając czas między wypadkiem a zgłoszeniem wypadku, mógłby się nawet czołgać, przysypiając po drodze, a i tak zdołałby się schować w porę.

Automatycznie wybrał numer aspiranta Gryczaka. Po piątym sygnale zorientował się, że minęła ósma, normalni ludzie prowadzą normalny tryb życia, zajmują się rodzinami i dziećmi. Miał rację, w słuchawce najpierw usłyszał ryk niemowlaka i krzyk żony, dopiero po chwili stłumiony głos funkcjonariusza,

niemal szept. Nic dziwnego, że nazywają go Niańką.

– Sorry, Jaś, zapomniałem – przeprosił Andrzej, ale nie zamierzał rezygnować z pytania. – Jedna mała sprawa i uciekam. Nie wiesz, czy krawężniki z drogówki przeprowadziły wywiad pośród miejscowej ludności?

– Wywiad?

Jego dezorientacja była pełna, jakby odebrał telefon przez przypadek. Bystry chłopak, ale nie zajdzie daleko. Za bardzo pochłaniała go rodzina, wręcz pożerała, a policja była zachłanną, zazdrosną damą

– Wypadek, Jaś, Rosjanie, kojarzysz?

– No, jasne, szefie – zaskoczył. Wrzaski w tle nabierały decybeli, jakby matka prowadziła z dziećmi rywalizację, kto umie wyć głośniej. Andrzeja przeszły ciarki, nie wytrzymałby tam jednego dnia. Nie wytrzymałby minuty. – Z tego, co wiem, nie. W raporcie były tylko informacje o poszukiwaniach świadków we wsiach przy szosie. Nic o lasach i polach. Przyszła za to analiza próbki lakieru. Mamy producenta i informację, że najczęściej stosowany jest dla wojska i samochodów specjalnych.

– Okay, Jasiu, dzięki!

Dobre i to. Rozłączył się, schował telefon. Wsunął do torby komputer, podziękował za żarcie i wyszedł przed knajpę. Samochód stał i czekał na niego, wciąż ciepły od słońca niczym kochanka, która przed chwilą wyszła z łóżka. Piękne myśli w okropnym świecie, tylko to niektórych utrzymywało przy życiu.

Wyjechał z miasta wylotówką w kierunku granicy z obwodem, po ośmiu kilometrach skręcił w lewo. Łuna nad horyzontem zanikała, spływała po powierzchni ziemi, by rozświetlić czyjeś inne niebo. Pozostała jaśniejsza linia, która miała za chwilę zniknąć, pozostawiając tę część świata samej sobie. Mrok ostatnich kilku nocy był apokaliptyczny, jakby ktoś opuszczał na planetę grubą zasłonę. Niektórzy mówili, że z chmur i nie ma w tym nic niezwykłego. Inni doszukiwali się w tym zjawisk nadprzyrodzonych, znaków. W ten sposób mógł karać Bóg albo wręcz odwrotnie, wynagradzać szatan.

Dotarł do miejsca zdarzenia, wrak zniknął. Obłupane z kory drzewo majestatycznie opuszczało nad drogą swoje gałęzie, w trawie błyszcząły na czerwono kryształki pokrwawionego szkła, gwiazdki rubinu. Ruszył dalej, minął płacę lasu i wolno wtoczył się na piaszczystą drogę, która zgodnie z Google Earth ciągnęła się półkolem przez pola, przecinała kanał i po kilku kilometrach krzyżowała z szosą niedaleko Karłowa. Doskonała nazwa, idealnie ilustrująca



krajobraz, który ukazywał się w świetle reflektorów. Wszystko zdawało się zmniejszać, karłowacieć. Rachityczne drzewa pokręcone od reumatyzmu, krzywe słupy wysokiego napięcia, przypominające zapałki. Przebiegające przez drogę lisy wielkości szczurów, myszy nie większe niż gnojne żuki.

Domki dla lalek obudowane szopami o gabarytach budy dla psa.

Pierwsze gospodarstwo było wymarłe, ale ciągle w niezłym stanie, ktoś musiał je opuścić niedawno. Drugie popadło w ruinę lata temu, zawałiła się połowa dachu, stodoła oparła się szczytem o drzewo, żeby nie runąć w dół. W obu miejscach drzwi i okna były zabite dechami, nikt nie mógł tam wejść ani wydostać się z nich na zewnątrz bez użycia ciężkiego sprzętu. Brakowało śladów włamania.

Za trzecim razem miał szczęście, w oknach tliło się światło. Zapukał do drzwi, w korytarzu zapaliła się lampa.

– Kto tam?! – usłyszał ze środka wiedźmi skrzek.

– Policja! Szukamy kogoś, chcę zadać parę pytań!

Cisza. Szmery, może ciche głosy, podejrzane zgrzyty. Stukot czegoś ostrego o podłogę. Pies z pazurami długości palców? Andrzej na wszelki wypadek odsunął się na kilka kroków, zajął strategiczną pozycję. Gdyby ze środka wytoczyła się bestia, i tak nie zdążyłby dobiec do samochodu. Nie było jednak słychać szczekania, warknięć. Może czaiło się tam coś innego.

Bies?

Drzwi skrzypnęły, ze szpary wychynęła głowa starej kobiety, niewiele większa od wełnianego gałganu.

– Kto zginął, kiedy? – zapytała ze śpiwnym akcentem.

– Rano, a raczej wczoraj w nocy. Niedaleko wydarzył się wypadek, do tej pory nie odnaleźliśmy kierowcy. Nie widziała pani nikogo, niczego nie słyszała?

Znowu jakiś podejrzany dźwięk ze środka. Szelest ubrania? Andrzej poczuł przyspieszone bicie serca.

– Czy w domu ktoś jeszcze jest oprócz pani?

– Nieee, ni ma nikogo, pudło chodzi. Czemu?

– Coś usłyszałem. Mógłbym wejść?

– Wejść? Po co?

– Albo mnie pani wpuści, albo wezwę posiłki i dokonamy rewizji! – zagroził niezgodnie z procedurą.

Kobieta niemo poruszyła szczęką, policzki zapadły się do bezzębnych ust. Otworzyła szeroko drzwi, wpuściła go. Pokuśtykała o lasce z głownią w kształcie ciupagi i stanęła na końcu korytarza. Mała, pokurczona, skarłowaciała jak wszystko inne w tej znikającej krainie. Andrzej ostrożnie stawiał kroki, jakby spodziewał się zasadzki. Zajrzał do kuchni, salonu i sypialni, drzwi po prawej stronie były zamknięte. Nacisnął klamkę, nie ustąpiła. Szarpnął. Drzwi były zamknięte na klucz.

– Co tam jest?

– Izba. Wnuk graty tam trzyma.

– Mogę zobaczyć?

– Nie. Nic tam ni ma ciekawego, a i tak klucz wzion ze sobo.

– A jeśli zadzwonię...

– Ja też mam telefon! ZOMO już ni ma, SB ni ma, Ruskich ni ma, tera je prawo. A pan ni ma takiego prawa!

Nie miał. Przyłożył ucho do zimnych i śliskich od farby olejnej drzwi, usłyszał tylko szelest oddechu, który mógł równie dobrze należeć do niego samego. Skinął starej kobiecie głową. Wycofał się.

– Jutro może się pani spodziewać kolejnej wizyty. Dobranoc.

Wyszedł z chaty, po drodze do samochodu poczuł przeszywające go dreszcze. Był obserwowany, czyjś wzrok ściekał mu po plecach lodowatymi kroplami. Prześladowający go na Mazurach wzrok ciemnych mocy.

Przyspieszył. Wskoczył do auta, uruchomił silnik, posłał ponuremu domowi ostatnie spojrzenie. Objeżdżanie ludzi po nocy było najgorszym pomysłem, na jaki mógł wpaść. Spróbuje przekonać podinspektora Marychę, żeby wysłał tu patrol policjantów w mundurach, niech popytają. On nie ma tu czego szukać. Wrzucił bieg i włączył światła. Odjechał.

– Odjechał!

Drzwi otworzyły się z cichym zgrzytem nienaoliwionych zawiasów. Wpadający z korytarza klin światła omiółł podłogę, wydobył z ciemności zarys łydek i butów leżącego człowieka. W progu ukazała się postać zwalistego oprycha. Nazywanie go wnuczkiem było niezłym żartem z języka polskiego.

– Dobrze się spisaliście, babcia.

– A co z nim? – Wskazała czubkiem łagi fragment leżącego człowieka.

– Nie bój nic, babcia, zajmę się nim.

– Zajmę, zajmę, już żem to wczoraj słyszała! Psiakrew, żebym parę lat mni miała, tobym sama dała radę tego Iwana zakopać. Krowy żem w gnoju grzebała za oboro, o, tymi renkami!

– Nie przesadzajcie, babcia, bo też nie mam nerwów ze stali. Nie trzeba było go wpuszczać do domu.

– Sam wlez, tylko żem dżwi uchylila. Diabelski kacap, już do mnie łapska wyciongał. Łoni tu znowu wracajo, ja ci to mówię, chłopcze! Kiedyś tak samo było, ty tego nie pamnientasz. Wystarczyło co w polu zostawić, już wzieni. Do chałupy wpuścić, wywlekli, co dali radę uwlec. Dupę do szczania za oboro wystawić, to zara który z siebie buksy zwał.

– Babcia, do jasnej cholery!

– Co, co? Tak było, kłamać mam? A tera mnie go stond zabieraj, jak żeś obiecał. Wiency żadnych zomowców tu nie chcę widzieć, wszarzy. Co łoni tak łażo po nocy? W łapę chciał, do flaszki mu brakowało? Mówię ci, wnuczku, jeden złodziej, za komunisty czy za demokracji. Tyle że tera trochy ładni pachno.

Wnuczek o aparycji draba machnął ręką na gderającą babcie, wyszedł na zewnątrz. Stał na drodze, przez chwilę patrzył w kierunku, z którego nadjechał policjant. Musiał przyznać, że ci z kryminalnego mają coraz lepszego nosa. Nie miał pojęcia, jak ten rosyjski kierowca dokuśtykał tak daleko od miejsca wypadku, ale taki pech dawno mu się nie przydarzył. Szczęście w nieszczęściu, jedyną żywą duszą w okolicy jest jego babcia, między innymi dlatego wybrał ten teren na akcję. W razie czego mieliby się gdzie zaszyć, zadekować. On też miał nosa, też umiał kierować się węchem. Planował, analizował, przewidywał. Starł się być zawsze o te parę kroków do przodu.

Był. Dlatego nigdy go nie dopadną.

Wyciągnął telefon, wybrał numer Lisa Leona.

– Mitsubishi odebrałeś z naprawy?

– Nie, jutro będzie. Musieli uważać, mendi wypytywały o wypadek.

– Dobrze. Bierz w takim razie kaczkę od szwagra, zwijaj Tapira i zaiwanaj do babci, czekam.

Skończył. Stara miała rację, należało jak najszybciej pozbyć się ciała.

Wojtal obserwował wejście do starej części szpitala przerobionej kilka lat temu

na apartamenty dla turystów. Klatkę schodową oświetlała słaba żółta żarówka, której poświatę przecinały smugi przelatujących owadów. Co jakiś czas ktoś wchodził lub wychodził, najczęściej pary w średnim wieku lub pielęgniarce w białych kitlach, które wymykały się na papierosa podziemnym przejściem. Bondar jeszcze nie wrócił.

Śledzenie go nie było łatwe, co chwila nerwowo rozglądał się na boki i rzucał przez ramię ukradkowe spojrzenia. Nie mógł wiedzieć, że nieopodal czai się kolega z pracy, zachowywał się tak z innego powodu. Paranoja, Wiech określiłby to w ten sposób. Często przypadłość wśród ludzi, którzy mają nieczyste sumienie.

Wojtal śledził go od momentu wyjścia z knajpy, zrezygnował, kiedy saab zбочzył z głównej trasy. Boczne drogi były zbyt puste, łatwo dałoby się namierzyć ogon. Wiechowi wystarczył jednak sam cel podróży nadkomisarza, jechał w tereny nadgraniczne, gdzie tradycyjnie załatwiano się lewe interesy z Ruskimi. Przeszły go ciarki podniecenia. Robiło się coraz ciekawiej, coraz lepiej.

Nie jadł kolacji i zaczynało go mdlić z głodu, na dodatek dopadała go złość. Nie był stworzony do roboty na tyłach wroga, preferował akcję, w ruchu czuł się najlepiej. Gdyby nie ryzyko szybkiej śmierci i świadomość jej bezsensowności, zgłosiłby się do wojska, może nawet do oddziałów specjalnych. Miał warunki, tylko nie miał nerwów. Poza tym miał po co żyć. Uśmiechnął się i poprawił spodnie w kroku.

Zdecydowanie, miał całkiem duży powód do życia.

Nagle omiotły go reflektory skręcającego auta. Jest! Pokraka Andrzeja wtoczyła się na parking szpitala, po chwili pojawił się nadkomisarz. Mignął w świetle lampy i zniknął w środku, w swoim czarnym garniaku wyglądał jak jedna z ciem, którą przyciągnęła żarówka. Mikry i wąły jak smuga cienia.

Wojtal odczekał parę minut, po czym wysiadł z auta, ruszył w ślad za Bondarem. Po cichu wdrapał się po schodach, przystanął przed drzwiami do apartamentu. Na wyższym piętrze odezwały się głosy, ktoś włączył lampę. Wiech uskoczył, wcisnął się w ślepy zaułek, który prowadził do okna. Kiedyś tamtędy można było dostać się na oddział szpitala, ale zamurowano drzwi.

Wstrzymał oddech, kiedy usłyszał kroki. Dwie osoby minęły go, skierowały się w dół, do wyjścia. Światło zgasło.

Wyłonił się zza rogu, przytulił do ściany. Przyłożył ucho do płyty drzwi, znieruchomiał. Wewnątrz panowała kompletna cisza, lecz nagle padło pytanie. Niskim, zachrypłym głosem, w ogóle niepodobnym do głosu nadkomisarza. Ktoś jeszcze tam był? Mieszkał z facetem? Pytanie powtórzyło się, tym razem na tyle

głośno i wyraźnie, że je zrozumiał.

– Wyjedziesz ze mną?

– Dokąd?

Drugi głos był wysoki, piskliwy. Kobięcy, a raczej stylizowany na kobięcy.

– Do mnie, do Warszawy. Dokąd tylko zechcesz, już ci to mówiłem.

– Nie wiem.

– Wyjedź, nie masz się czego bać. Będziemy szczęśliwi, obiecuję ci to.

Chwila milczenia, w trakcie której słycać było warkot przejeżdżającego ulicą auta.

– Dobrze, pojedę z tobą. Kocham cię, Andrzej!

Wiechowi stanęły na plecach włosy, zakrztusił się, zakaszlał. Odskoczył, kiedy do drzwi zbliżyły się kroki, wcisnął się w swoją kryjówkę. Klatka schodowa zabarwiła się trupim światłem, czarna postać wyszła z pokoju, zajrzała w górę i w dół schodów.

– Jest tu kto? To ty? Wiem, że to ty, czego chcesz, po co za mną łazisz? Uważaj, bo następnym razem cię dopadnę! Słyszysz, skurwysynu?! Dopadnę cię!

Drzwi trzasnęły, wróciła ciemność. Wojtal stoczył się schodami w dół, oparł o ścianę budynku i zaczął kaszleć. Posiniał, o mało nie udusił się tam, na górze, od wstrzymywanego oddechu. Zakręciło mu się w głowie, w płucach paliło go, jakby wciągnął kometę z lufki, a ta ciągle się tliła. Wtoczył się do samochodu, wyjechał na drogę i ruszył w prawo, w stronę Sobina. Stanął przy nocnym, kupił butelkę wody i wypił ją duszkiem. Odkaszlnął, wypluł flegmę, gromadka nastolatek w letnich sukienkach posłała mu zde gustowane spojrzenia.

Wrócił do auta, ruszył. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Dwa głosy należące do tego samego człowieka. Dialog dwóch części tego samego człowieka.

Andrzej miał rozdwojenie jaźni.

– Co?

– Bondar gadał sam do siebie, Ula, słyszałem!

Komendant mocniej związała szlafrok, poprawiła włosy i westchnęła z bezsilności. Wpuściła podkomisarza do domu, zaprowadziła do salonu.

– I po to mi dupę trujesz po nocy? Wiesz, która jest godzina?

– A od kiedy ci późna godzina przeszkadza? Jeszcze jakiś czas temu nie robiło ci to różnicy.

– Ty! – Wycelowała w niego szponiasty palec. – Nie pozwalaj sobie za dużo. Czasy się zmieniają.

– Zmieniają się, i to na gorsze. Po co żeś nam tutaj tego Bondara sprowadziła, nie było innego durnia?

– Większego od ciebie nigdzie nie ma.

– Wal się!

Podszedł do barku i wyciągnął butelkę szkockiej, nalał sobie pół szklanki, część z tego opróżnił jednym haustem.

– Chcesz trochę?

Odmówiła. Zapadł się w skórzanym fotelu, odchylił głowę, przymknął oczy.

– Nie przyzwyczajaj się tylko, zaraz wracasz do siebie. Jeszcze ktoś, cholera jasna, zobaczy, będą gadać.

Wojtal prychnął pod nosem, pociągnął ze szklanki.

– I tak gadają. Nie tym bym się na twoim miejscu przejmował.

– A niby czym? Daj spokój, chyba nie masz znowu na myśli Bondara? Za pół roku zniknie, do tego czasu będę go trzymała na smyczy. Widziałeś ten garniak, szleję pod brodą? Już chodzi jak zegarek.

– Tylko wskazuje nie tę godzinę, co należy.

– O co ci chodzi, Wiech?

Wojtal wstał, napełnił szklankę i wrócił na swoje miejsce. Gospodyni wskazał fotel po drugiej stronie kawowego stolika.

– No siadaj, kuźwa, jak cię proszę, Ula! Bo od tego, co ci zaraz powiem, usiądziesz dupą na podłodze.

– Bo zaraz cię stąd wykopię, Wiechu!

– Siadaj!

Wykonała polecenie. Nerwowym gestem odrzuciła włosy do tyłu, zadarła nos. Założyła nogę na nogę, rąbek szlafroka zsunął się, odsłaniając kolano. Łokieć nawet nie drgnął, przyłapaną w kapciach i bez makijażu pani komendant wyglądała okropnie. Pięćdziesiątka wyłaziła z niej każdą zmarszczką, szczególnie z pooranej twarzy i zwisającej szyi. Co on w niej kiedyś widział? Wziąłby ją tylko wtedy, gdyby się wyjątkowo postarała. I to co najwyżej od tyłu.

– Mam go na oku od jakiegoś czasu – zaczął. – Pamiętasz naszą, znaczy się moją i jego, wizytę w Dworze Prawdzica w związku z topielcami? Dostaliśmy wtedy zaproszenie na party. Ja nie poszedłem, on poszedł.

– Nie gadaj! Chyba nie sugerujesz...

– Jeszcze nie skończyłem, Ula. Zauważyłaś, jak ciągle staję w obronie Rusków? No właśnie, a dzisiaj nocą jechał w okolice Oświna.

– Prowadzimy tam jakieś działania operacyjne?

– Nie! Ale Iwany prowadzą.

– Przemyt?

– Więcej. Ma kontakty, dostęp do tajnych informacji, możliwości. Gdybym planował w przyszłości działania operacyjne, właśnie o takich ludzi by mi chodziło.

– Daj spokój, Wiech, to jakaś bzdura?

– Czyżby? Zaryzykujesz? Wiesz, jaki smród pójdzie, jeśli odkryją u ciebie kreta?

– Jezu! Nalej mi, Wiesiek.

Wojtal postawił na stoliku drugą szklanę, rozlał. Oboje nachylili się nisko nad szkłem, zapatrzyli się w przezroczysty płyn, jakby próbowali z niego odczytać wróżbę.

– Chłopaki ze Służby Celnej robią w tej chwili porządek z Ruskimi, cisną handlarzy, żeby przestali zadawać się z podejrzanymi firmami z obwodu, ograniczają przemysł. Daj im cynk, żeby powęszyli i przy tym.

– Jasne, pogadam z nimi, ale moim zdaniem to większe, Ula. Bondar to trup w stanie rozkładu, łatwo na niego znaleźć haka. Znaleźli i mają go teraz w garści. Nie chodzi u ciebie na smyczy, tylko na ich sznurku.

– Co radzisz?

Podkomisarz zamyślił się. Kiedy wreszcie znalazł odpowiedź, wychylił zawartość szklanki jednym haustem, wierzchem dłoni otarł usta. Chuchnął.

– Najpierw spróbujemy to zrobić drogą służbową, po katolicku.

– Bez dowodów zleje się nam na buty.

– Wiem. Wtedy zadziałamy inaczej.

Przez przymrużone oczy posłała mu pytające spojrzenie. Zamiast odpowiedzi splótł wielkie dłonie, naprężył przedramiona, aż trzasnęły kostki. Wykorzysta swój

łokieć, pierwszą i ostatnią metodę rozstrzygania wszelkich sporów. Sztylet skrytobójcy.

– A co będę z tego miał?

– Połowę królestwa i królową – wypaliła bez zastanowienia.

W takiej sytuacji będzie musiał się zastanowić. Posłał szefowej ukradkowe spojrzenie. Na odsłoniętym ramieniu dostrzegł czarny olbrzymi pieprzyk wielkości trzeciego sutka. Zastygły wyciek oleju z przechodzonego silnika. Wzdrygnął się. Chyba wolałby już smoka.

– Dobrze, bo to jeszcze nie wszystko. Mam na Bondara więcej.

Woda niosła echo dalekich dźwięków.

Łódź z cichym szelestem wbiła się w brzeg najeżony trzciniami. Mężczyzna wyskoczył na suchy ląd, linkę przymocował do mocnej gałęzi. Wszedł między drzewa, skrajem lasu przedostał się do najbliższej zatoczki. Przyjął wygodną pozycję pod pniem pochylonej olszy, rozpoczął obserwację. Nie obawiał się, że zostanie odkryty, noc stawała się mniej przejrzysta, opadała na ziemię atramentowym niebem.

Był niewidzialny.

Wędkarza dostrzegł przypadkiem, polował na zagubionych turystów. W ciemności zamigotał ledowy spławik, po chwili zdublowany żarem peta. Były jak lśniący wabik przy odwłoku świetlika. On był nocnym drapieżnikiem i wyruszył na łów.

Rozbłysła latarnia ogrodowa. Wędkarz otworzył puszkę i zaczął jeść, popił parującym płynem z emaliowanego termosu. Zapalniczką przypalił papierosa i wstał ze składanego krzesła, wyprostował się, przeciągnął. Zasięg ramion miał imponujący, sylwetkę również. Wielki, masywny chłop w butach gumowych i kufajce, pień mazurskiego dębu. Krzepki siłą dziedziczną po harujących na roli przodkach. Bogobojny i wierny tradycji, dumny. Tacy jak on pluli na niego, bo był od nich niższy, gorszy. Szczuli jak psem, wyszydiali.

Cel idealny.

Nie będzie łatwo. Myśliwy przygotował się do ataku. Wykorzysta element zaskoczenia, to była jego największa szansa. Prawdopodobieństwo przegranej wydawało się jednak wyjątkowo wysokie. Wilk nie ryzykowałby, tygrys również. Ale jemu nie chodziło o zwykły żer, potrzebował wyzwania.



Wyłonił się z ukrycia. Podszedł, stanął w odległości dwóch kroków od swojej ofiary. Zaskoczony wędkarz uśmiechnął się dobrotliwie, z wyższością. Wyciągnął na przywitanie ramię. Myśliwy ujął dłoń, jednocześnie wymierzył potężny kopniak w brzuch, wywinął piruet i wykonał próbę przerzutu przez plecy. Nieudaną, potężna masa wędkarza przygniatała do ziemi. Rozpoczęła się szamotanina, śmigły wyprowadzane z bliska ciosy, bębniły pięści. Obrona słabła, po precyzyjnym podbródkowym wielkolud zakołysał się i upadł na twarz. Błazany czub buta wbił się w leżący korpus, z jednej i drugiej strony. Otumaniona ofiara pojękiwała, próbowała wydusić słowo, ale głoski rozsypały się w ustach jak zęby, kiedy podkuta pięta zagłębiła się w twarz.

Myśliwy mógł oporządzić zwierzynę.

Kolejny poległy na froncie życia. Mężczyzna walczył przez całe życie, od małego. Pólsierota, zawsze inny, odpychany przez rówieśników. Wyśmiewany przez dorosłych. Nie mógł się czuć bezpiecznie nawet w domu. Wszędzie wokół gorsi służyli lepszym, biedni bogatym, słabi silniejszym. Prawie każdy był wrogiem, łowca musiał atakować i zwyciężać, żeby samemu nie polec. Doskonale nauczył się czaić w cieniu, chować i napadać z ukrycia. Wykorzystywał słabość przeciwnika. Był dla nich nikim, dlatego pokonanych zamieniał w rzeczy.

Znaczył ich jak bydło.

# ROZDZIAŁ 7

Ludzie się boją. On się boi. Od tak dawna nie doświadczył uczucia strachu, że niemal zapomniał o jego istnieniu. Zawsze to on był nadawcą lęku, nigdy jego adresatem. W cywilnym ubraniu wyslizgnął się z terenu bazy wojskowej do miasta, zamierzał wmieszać się w tłum. W masie struktura myśli układa się zupełnie inaczej, jednostka staje się częścią świadomości zbiorowej. Nie to jednak wyгнаło go na polowanie, a głód działania. Musiał wziąć sprawy w swoje ręce, zanim potoczą się za daleko.

Potrzebował informacji i wiedział, jak ją zdobyć. To w końcu ciągle robił, obserwował, słuchał, kradł tajemnice. Lęk przed przyszłością był uniwersalny, udzielał się całym narodom. Coś musi wybuchnąć, tylko jeszcze nie wiadomo, gdzie ani kiedy. Wkrótce, takie opinie słyszało się na ulicach. Dwa przeciwstawne pragnienia, Polacy łakną pokoju i jednocześnie pożądają wojny. Mają świadomość swoich słabości, lecz uparcie wierzą w swoje zwycięstwo. Ponieważ potrafią przekuć porażkę w sukces, każda sprawa jest dla nich z góry wygrana.

Swój cel oficer wypatrzył w taniej knajpie, pił piwo. Młody, dwudziestoparoletni gnojek, którego słabością byli zniewieściali mężczyźni. Niewielu o tym wiedziało, ale on wiedział. I potrafił to wykorzystać.

Począł, aż skończy kufel i wyjdzie na ulicę, z raportów znał jego zwyczaj: pokręci się w centrum miasta, próbując poznać kogoś o podobnych skłonnościach, po czym pójdzie spacerować nad rzeką. Śledził go z odpowiedniego dystansu, co w masie ludzi nie przysparzało kłopotu. Trudniej było na deptaku, który przechodził w leśną ścieżkę. Zrobiło się ciemniej, ale i ciszej, słychać było każdy oddech.

– Dasz zapalić? – Oficer zagrał swoją rolę skutecznie, przyciągnął cel. Wyciągnął paczkę papierosów, poczęstował żołnierza. Między nimi rozbłysł płomień zapałki, oświetlił twarze.

– Ty...

– Tak, zgadza się, to ja.

– Ale...

– Nie, nie jestem zainteresowany twoim tyłkiem, tylko twoją gębą. Zadam ci parę pytań, a ty mi na nie grzecznie odpowiesz.

Żar trzymanego w ustach papierosa poruszył się w lewo i w prawo, oznajmiając odmowę współpracy. Zaraz potem upadł na ziemię, kiedy potężny cios w brzuch złamał żołnierza wpół.

– Mam zdjęcia oraz zeznania świadków. Jeśli puszcę to w świat, będziesz skończony. Zrozumiano? – Oficer nawet nie musiał widzieć twarzy, żeby domyślić się odpowiedzi. – Dobre dziecko. A teraz powiedz, jak mają się sprawy w waszym śledztwie.

Chłopak był funkcjonariuszem żandarmerii, najmłodszym stopniem, ale trochę wiedział. Wystarczyło, żeby zaniepokoić oficera, skłonić go do dalszego działania.

Postraszyl młodego żandarma, jednocześnie obiecując korzyści, jeśli pozostanie potulny i skory do współpracy. Wyszedł z lasu i skierował się do osiedla bloków zamieszkanym głównie przez miejscowych żołnierzy. Przez rozklekotane drzwi dostał się do klatki schodowej, świeciła się tylko lampa na drugim piętrze, więc część drogi pokonał w półmroku. Z przestudiowanych wcześniej raportów wynikało, że porucznik spędza większość wieczorów samotnie, najczęściej przebywa w domu.

Tak było i teraz. Oficer zapukał, odsunął się od judasza i kiedy opadła klamka, z całych sił kopnął drzwi, wtargnął do środka. Zdezorientowany mężczyzna nie zdołał nawet w odruchu obronnym zewrzeć szczęk, napastnik wetknął mu w usta pistolet, gestem nakazał milczeć. Posadził go na fotelu, pogłośnił grający telewizor. Broń położył na lakierowanej ławie, obok niej sztangę oryginalnych amerykańskich papierosów, którymi często płacił za drobne przysługi.

Porucznik skrzywił się, wytarł język w rękaw koszuli.

– Po co to było?

– Żebyś nie zapomniał, co mi wolno.

Oficer mógł rzeczywiście dużo, od kiedy przechwycił donos o kradzieży paliwa, którą porucznik zatuszował, wykorzystując swoją pozycję w sztabie. Miał go w garści.

– Czego chcesz?

– Żandarmeria za bardzo niucha koło pewnej sprawy. Nie mam z tym nic wspólnego, ale mogą mi zaszkodzić.

– A co ja mam wspólnego z żandarmami?

– Ty nic, ale twój pułkownik już tak. Jeśli pogada, z kim trzeba, ukróci niezdrowe zapędy paru karierowiczów.

– Od dawna ci się, kurwa, należy.

Porucznik też wyraźnie nie pałał sympatią do swoich sojuszników. Ze wschodu nigdy nie czekało Polski nic dobrego, a wywiad tylko zaostrzał sytuację, prowokował. Jeden z niewielu trzeźwo myślących Polaków, jakich spotkał.

– Nawet jeśli, ty nic na to nie poradzisz. Możesz trochę zyskać albo dużo stracić. Wybieraj.

Gospodarz przeklął pod nosem, sięgnął po przyniesione przez oficera papierosy. Zapalił, nie częstując gościa, zaciągnął się głęboko, ze smakiem.

– Wyjdź tak, żeby cię nikt nie widział.

Udało się. Teraz pozostało cierpliwie czekać, aż problem rozwiąże się sam. Przemykając pod oknami bloku, usłyszał dźwięk znanej melodii. Nie rozumiał wszystkich słów, ale akurat te znał. Powtarzając je za piosenkarzem, pomyślał o żółtobrazowym uśmiechu funkcjonariusza żandarmerii: „Poczekaj, poczekaj no / Już ja cię urządzę” [7].

Urządzili mu niezłe przedstawienie, ale Andrzej stanowił kiepską widownię, nie docenił tych wyjątkowych starań.

– Szpiegostwo na rzecz wroga, zdrada stanu, dochodzenie na własną rękę i zatajenie dowodów w śledztwie – podsumowała rozmowę Chłopska. – Jakiś komentarz?

Wpatrywała się w niego wyczekująco. Miała na sobie nowy mundur o kantach ostrych jak żyłki, w oczach ogień. Wzięła do towarzystwa Łokcia, giermka o minie selekcyjona z klubu go-go, uśmiechu żigolaka, któremu wciśnięto w gacie hojny napiwek.

Spodziewał się tego, ale nie tak szybko. Sam jeszcze nie zdążył połapać się w sprawie i nie miał pojęcia, jak zdołał ją rozgryźć ten półgłówek. Nie docenił ich ani oni jego. Nawet nie drgnął, wysłuchując oskarżeń. Nie mieli żadnych dowodów, nawet nie musiał się tłumaczyć. Mimo tego przyznał się do niektórych detali, łgarstwo też musi zawierać ziarno prawdy.

– Jestem niewinny.

– Aleś się wysilił, Bondar. Słuchamy więc, co masz na uzasadnienie

niewinności.

– Odmawiam składania dalszych zeznań.

– Imponujące, Bond, niczym rasowy bandzior. Czyli jednak wybierasz wydział wewnętrzny?

Nie zmienił wyrazu twarzy. Ciężar dowodowy spoczywał na nich. Sięgnął po kartkę i długopis, komendant posłała Wojtalowi ukradkowe spojrzenie i wstrzymała w napięciu oddech. Podpisał dokument, oddał go szefowej, wstał i wyszedł. Krzyk dopadł go na korytarzu.

Złożył oficjalną skargę na podkomisarza Wojtala. Niesubordynacja, zatajenie informacji, obchodzenie drogi służbowej.

Klincz.

Odparł atak i przeszedł do kontrnatarcia. Potrafił trzymać szyk przez co najwyżej kwadrans, a właśnie mijała dwudziesta minuta, od kiedy przekroczył próg gabinetu komendant. Ledwo wtoczył się do swojego biura, spocony i obolały zwał się na fotel na kółkach. Wyjrzał przez okno, obłoki na niebie zbiły się w gęsty kłęb bez określonego kształtu, przypominały kamień. Andrzej mrugnął i połknął go powiekami, teraz zalegał twardą bryłą w żołądku, obracał się. Będzie od tego chory, już był.

Na biurku zadzwonił telefon, numer wewnętrzny. Odebrał.

– No, Bondzia, masz nosa! – W słuchawce zabrzmiał wkurwiony głos podinspektora Zioly. – Łajno wyczuwasz na odległość, szkoda, żeś sam w nie nie wlaź, tylko wepchnąłeś moich chłopaków na minę. Tyle właśnie znaleźli na zadupiu u tej staruszki – smród, bo akurat rolnik pole nawoził obornikiem, waliło gnojem aż do Bajorów Wielkich. Wiesz, gdzie to? Nie? Szkoda, bo może byś się tam utopił i nie zawracał mi więcej dupy. Straciłem przez ciebie cztery roboczogodziny, jakieś dwadzieścia cztery mandaty, kurwa jego mać!

Marycha pieprznał słuchawką z takim hukiem, że słyhać było przez ściany komendy. Do pełni pecha brakowało Andrzejowi już tylko, żeby oszczał go pies. Zagrała komórka. Wpatrywał się w niezapisany numer, który z każdym sygnałem robił się coraz bardziej znajomy. Rozpoznał go po ósmym sygnale.

Szpital.

– Bondar – rzucił w słuchawkę niepewnie.

Telefony z policji miał na co dzień, więc obawiał się tylko tych ze szpitala i skarbówki. Nie odprowadzał podatku za wynajem warszawskiego mieszkania.

– Dzień dobry, mówi doktor Małyk. Pamięta mnie pan?

– Oczywiście. – Takiej złościcy nie spotkał od ostatniego odcinka *Muminków* za demokracji ludowej. – Coś się stało?

– Stało się, stało. Oczywiście, że się stało, z taką policją inaczej być nie może, coś zawsze się dzieje. Gdybym ja miała tak pracować, ludzie umieraliby nawet na hipochondrię. Czy wy tam się zajmujecie czymkolwiek innym niż bujanie w obłokach?

– Już nie, właśnie połknąłem ostatnią chmurę.

– Co? Kpiny pan sobie ze mnie urządza?

Andrzej głośno jęknął, przełożył telefon z ucha do ucha.

– Nie, przepraszam. Czym mogę pani służyć.

– Niczym, sama sobie poradzę. Ale dla pana wiadomości, właśnie wypisałam tego mężczyznę, ofiarę ataku. To jest chodzący trup, nadkomisarzu. Dzwonię, żeby pan wiedział. Do widzenia.

Pozarty obłok zaczął rozpychać się i przewracać w żołądku, Andrzej zerwał się i wyskoczył z biura, wybiegł z budynku. Zdążył, na wymioty zebrało mu się dopiero przy śmietniku na końcu parkingu. Zwrócił chmurę i pozostałość śniadania, choć miał ochotę wydalić wszystkie flaki. Cały środek, duszę czy cokolwiek zastępowało ją w ciele ateisty. Niech pozostałaby tylko skóra.

Drżał, łzawiły mu oczy. Oparł się o dach saaba i odpoczywał, kiedy usłyszał za sobą głośne sapanie. Odwrócił się, obserwowała go chorobliwie otyła kobieta z trzema kołami zapasowymi na brzuchu i bobem zwisającym na uda, o siedemnastu tłustych pęczkach włosów związanych w cienki jak pędzelek koński ogon, Andrzej zdołał je policzyć. Trzymała za rękę dziesięcioletniego dryblasa o napuchniętych policzkach.

– Mówiłam ci, synku, że największe ochlajtusy pracują w policji, nie mówiłam?! Tatuś to przynajmniej kulturalnie w kibel rzyga. W domu!

Drzwi celi otwały się i zatrasnęły, na podłodze wyłożonej kaflami zastukały obcasy. Zmierzali w odwrotnym kierunku, choć widok był identyczny. Zmieniła się tylko jego rola w świecie. Tadeusz był podejrzanym, sam fakt wypuszczenia go z aresztu z braku dowodów niczego nie naprawiał. Wobec mieszkańców tego miasteczka pozostawał winny.

Strażnik dał mu do podpisania kwity i życzył, żeby więcej do tego miejsca nie

wracał. Tadeusz też sobie tego życzył. To samo obiecał sobie dawno temu, po pierwszym aresztowaniu. Głupia historia, nie potrafił jeszcze wtedy zapanować nad emocjami, odruchami. A ciota kusiła go, mamiała tyłkiem, rozwierała w uśmiechu lubieżne usta. Tego się nie robi dorosłemu mężczyźnie, który próbuje rozszyfrować swoją seksualną tożsamość. Poniosło go, zgrzeszył, będzie dźwigać to brzemię przez całe życie.

Koniec, nigdy więcej. Ten świat nie był miejscem dla ludzi podobnych do niego. Może gdyby urodził się gdzie indziej, w innej, bardziej atrakcyjnej skórce. Ale wyglądał, jak wyglądał, żył, gdzie żył. Mógł wybrać jedną z dwóch opcji: dogorywać na marginesie społeczeństwa, w wiecznym cieniu lub wkomponować się w środowisko, zaszyć się w tłumie. Prowadzić normalne, nudne życie, opiekować się rodziną, pracować. Nie było to znowu takie tragiczne rozwiązanie, większość ludzi męczy się w niedopasowanych związkach. Niewielu jest tak naprawdę szczęśliwych. Udają wszyscy.

Na parkingu komendy nabrał głęboko powietrza, ale nie odetchnął. Słońce kłuło w oczy, czuł się w jego promieniach jak w świetle reflektorów scenicznych, widoczny z każdego zakamarka widowni. Obserwowany i osądzany przez wszystkich. Skazany, mimo że niczego mu nie udowodniono. Ludzie nie oczekują faktów, wystarczą im własne domysły.

Powoli ruszył w kierunku miasta. Mijając przechodniów, wbijał wzrok w chodnik z nadzieją, że nie zostanie rozpoznany. Może nie wszyscy jeszcze o nim usłyszeli, nie każdy znał jego twarz. Tadeusz pamiętał doniesienia prasowe po swoim pierwszym aresztowaniu, czarny pasek na oczach niczego nie przysłaniał, nikt nie miał wątpliwości, kogo przedstawiały zdjęcia. A technika poszła do przodu. Prywatność stała się czystą fikcją.

Minął jednostkę wojskową i stację benzynową za parkiem, wszedł do Biedronki. Tłok, mieszkańcy i turyści przepychali się w walce o dostęp do sklepowych regałów. Tu przynajmniej był anonimowy, nikt nie zwracał na nikogo uwagi. Wrzucił do koszyka kanapkę, ciastko z wiśnią i butelkę wody mineralnej. Wziął olbrzymie okulary przeciwsłoneczne i czapkę z daszkiem. Założył je zaraz po wyjściu, przejrzał się w lustrzanej witrynie. Dobrze – z zadowoleniem kiwnął głową do swojego odbicia – wyglądał jak biedaturysta z białostockich blokowisk. Znowu był jednym z nich, jak każdy odmieniec chował się za plecami innych.

Za Urzędem Miejskim skręcił w deptak ciągnący się brzegiem Węgorapy w kierunku Mamr. Zapatrzył się w białe mury zamku przedłużone symetrycznym odbiciem odmalowanym na tafli rzeki. Przyzwyczał się do tego miasta, do

intensywnego, głośnego sezonu letniego i cichej, leniwej reszty roku. Po odsiadce uciekł z Olsztyna, teraz czekała go kolejna ucieczka. Może i lepiej, życie wymagało zmian, nadmierna stabilizacja była zwykłym pozorem, ruchomymi piaskami, które wciągały, jeśli próbowało się wykonywać silne ruchy. Topiły wolniej niż woda, ale tak samo skutecznie.

Tadeusz poprawił daszek, okulary wcisnął głębiej na oczy. Wbił wzrok w bruk ścieżki, pomaszerował w kierunku plaży. Zje nad kanałem, postanowił, zna tam kilka ustronnych miejsc, gdzie nie musi obawiać się spojrzeń obcych. Zaszycie się w lesie do końca dnia, poczeka na zapadnięcie ciemności. Mrok był jego sprzymierzeńcem, jednym z ostatnich przyjaciół.

Nocą będzie bezkarny. Przez parę godzin znów będzie mógł działać jak przedtem.

Zwolnił, kurzawa z koszonego pola rzepaku na moment ograniczyła mu pole widzenia. Włączył kierunkowskaz, skręcił w prawo.

Pył. Słońce. Migotanie lasu. Blask przedniej szyby wyjeżdżającego pomiędzy drzew aut oślepił go. Hamulec. Klakson. Odbił kierownicą w ostatnim momencie, zbyt ostro. Zarzuciło mu tył, przód zsunął się z nasypu, zarył o burtę, podwozie zabębniło o krawędź jezdni.

Andrzej spojrzał w prawo. Tył ciemnozielonej terenówki zniknął w śnieżycy plew. Rozpoznał mitsubishi pajero, stary model. Co nie miało w tej sytuacji żadnego znaczenia, to on ściał zakręt, władował się innemu kierowcy pod koła. Zamyślił się, odpłynął jak na haju.

Zatrzymał saaba, wysiadł, obszedł go naokoło na miękkich nogach, zajrzał pod spód, czy nie wycieka olej. Miska była cała, on nie był. Brakowało w nim tylu elementów, ilu w układance dochodzeń. Jeśli nie doprowadzi tych spraw do końca, nie poskłada sam siebie w całość.

Ruszył dalej. Niedaleko znajdował się teren poligonu, trochę w lewo miejsce, gdzie znaleźli ślady przemocy. Nie było ciała, ale był duch, emitował silną energię. Andrzej otworzył prawą dłoń, ciągle wyczuwał na niej dotyk chłodnej stali, którą próbował wydusić życie z obcego ciała. Wiech się mylił. On sam się mylił, próbując tuszować sprawę.

Nie był zabójcą.

Gospodarstwo Dobrego ciągle chowało się za drzewami, ale odór suszonych ryb oznajmiał już jego bliskość. Gęstniał, tężał, unosił się nad polaną kłębam i ściętego,



galaretowatego powietrza, atmosfera w tym miejscu zamieniała się w płynną folię. Andrzej wysiadł z auta, poszedł prosto do furtki, śmiało sięgnął po skobel utrzymujący sztabę żelaza.

Odskoczył.

Pies wziął się nie wiadomo skąd, zmaterializował się tuż przed nim i bez jakiegokolwiek ostrzeżenia rzucił się na furtkę. Kłapnięcie pyska minęło dłoń o dwa milimetry, Andrzej czuł na skórze piekący śluz jadowitej śliny. Dopiero teraz z paszczy wydobył się grom warknięcia, przeszedł w ujadanie. Człowiek pojawił się w ten sam sposób, teleportowany z innego miejsca. Pryszczaty wszarz o nigdy niemytych włosach, zawsze uzbrojony w ten sam grymas uradowanego sadysty.

– Policja! – syknął Andrzej. – Uwiąż tego pchlarza i wpuść mnie do środka.

– To teren prywatny, glino. Tata nie ma, nie kazał mi nikomu otwierać. Ale jak chcesz, możesz włązić.

Chłopak odwrócił się i ruszył w stronę zabudowań. Bydlę rozszczękało się, pluło pianą. Andrzej żałował, że nie woził ze sobą broni służbowej, niczego w tej chwili bardziej nie pragnął, niż strzelić temu typowi w plecy. Zwierzęciu w rozwartą jamę gębową, z której zajeżdżało padliną. Hula-Chłopu między zmijowate oczy, Wiechowi w łokieć, w taki okazały cel na pewno by nie spudłował.

– Ee! – wrzasnął.

W tej chwili zza winkła stajni wyłonił się stary. Andrzej pomachał mu jak dawno niewidzianemu kumplowi. Wybawcy.

– Dobry! Hej, wpuście mnie, musimy pogadać!

Dziad się nie spieszył, doczłapał do frontu domu, usiadł na ławce i załadował fajkę, wystrzelił z niej dymem jak z moździerza. Wściekłość przelała się przez Andrzeja najpierw ciepłym, później zimnym potem, znikła i pojawiła się znowu. W wyobraźni zwiększał zasoby i środki, które zaraz sprowadzi do spacyfikowania tego siedliska bandytyzmu i ludzkiej pleśni. Kiedy rozstawił już baterię dział, stary wykonał znak ręką. Syn niechętnie odwołał psa i zniknął z nim na podwórku. Andrzej wpadł na teren posesji, doskoczył do gospodarza.

– Jednym telefonem mogę ci tu sprowadzić agentów służb, o jakich nawet nie słyszałeś, przeorają ci ten grajdoł do góry nogami! – Wymierzył palec. – A twojego synalka downa mogę zapuszkować w pięć minut, nie wyjdzie z pierdła przez dziesięć lat!

Stary wolno kiwnął głową, ale zaraz zmienił wektor ruchu, pokręcił nią przecząco. Pyknął fajką.

– Nieładnie, nieładnie, panie władzo.

– Co?

– Nieładnie tak postempować z kalekom.

Szach-mat. Szczwany lis wiedział, jak sobie radzić w każdych okolicznościach.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z moralnością, Dobry. Co Arek robił w nocy od trzynastego do szesnastego lipca? Ma alibi?

– Nie wiem, co on tam wyprawia po nocach. Dorosły je.

– No to go tutaj zawołaj, niech sam mi na te pytania odpowie, skoro taki dorosły.

Gospodarz pyknął fajką i podrapał się czarnymi pazurami po siwym zaroście. Zapatrzył się w jakiś odległy punkt na polanie. Andrzej musiał pochylić czoło nad taktyką starego, w zależności od potrzeb umiał udawać kretyna, strugać mądrą albo zamieniać się w głuchoniemego dziada, któremu z dupy wystaje trumna.

– Arek! Arek! – Krzyk Bondara poniosło daleko po tafli jeziora, jakby wyrzucił kamieniem dwanaście żabek.

O dziwo, chory mężczyzna wyszedł zza szopy, zbliżył się swoim koślawym kaczym chodem. Na przywitanie zabalgotał borsuczym śmiechem.

– Arek, pamiętasz mnie? Jestem policjantem. – Brak reakcji. – Chciałbym ci zadać parę pytań, mogę?

Czyngis splótł dłonie, zakołysał się na piętach. Posłał ojcu pytające spojrzenie, na które dostał odpowiedź w formie mruknięcia. Pokiwał głową.

– Gdzie byłeś w nocy od trzynastego do szesnastego lipca? Wychodziłeś z domu?

Cisza. Andrzej nie był pewien, czy Arkadiusz rozumie koncepcję czasu, upływu dni. Przeklął w duchu, nie wiedział o tego typu chorobach zupełnie nic.

– Noc je od spania – padła niespodziewana odpowiedź.

Stary z zadowoleniem zademonstrował wszystkie trzy zęby, młody mężczyzna zarechotał ze szczęścia. Andrzej przełknął ślinę nagany, która zbierała się w ustach. Z jednej strony nie mógł wykluczyć podejrzanego przez sam fakt jego upośledzenia, skoro sam doświadczył jego agresji. Z drugiej sam cień podejrzenia wobec kogoś chorego i bezbronnego wywoływał w nim palące wyrzuty sumienia.

– Skąd masz te tatuaże na rękach? – Wskazał koślawe dziary nieprzypominające niczego. – Kto ci je zrobił?

– Sam! – oznajmił syn Dobrego z dumą.

Nie miał się z czego cieszyć, były szkaradne. Andrzej wyciągnął fotografię policzka Witka Józwiaka.

– Wiesz, co tutaj jest napisane?

– Cy-we... – niezdarnie składał sylaby. Nagle zaskoczył: – Cwel!

– Starczy, koniec tego! – wtrącił się stary. – Czyngis do roboty, oficer do siebie, bo jeszcze raz spuszczę psa.

– W takim razie to wszystko. Następnym razem przyjadę z psychologiem sądowym – zagroził.

Oczywiście nie zrobiło to ani na ojcu, ani na synu żadnego wrażenia. Na Andrzeju też nie, blefował. Miał tylko kiepskie poszlaki, prasa rozszarpałaby policję na strzępy, resztki rozdrapałaby opieka społeczna.

Słaba bryza z jeziora dmuchnęła mu w twarz fetorem ryb, odór obleciał go stadem niewidocznych much, oblażł. Uciekł przed nimi do samochodu, trzasnął drzwiami. Zanim odjechał, jeszcze raz przyjrzał się fotografii.

Tatuaż na policzku Józwiaka do złudzenia przypominał bohomazy Czyngisa.

Arek sam przypominał swoje bohomazy, tak samo pokraczny i zarysowany grubą kreską. Dobry dźwignął się z ławki, stuknięciem cybucha o deskę wykruszył popiół, resztkę wydlubał ostrzem paznokcia małego palca. Fajkę schował do kieszeni flanelowej koszuli i wyciągnął ramię w kierunku syna. Ten natychmiast się uchylił, skulił.

– No chodźże tu, przecie nic ci nie zrobię!

Młody mężczyzna ostrożnie zbliżył się o dwa kroki. Ojciec wymierzył mu policzek, poprawił z drugiej strony.

– Następnym razem nie otwierasz pyska, zrozumiano? A tera nazad do roboty, jeszcze nie skończyli. Dzie poszed twój zgniły brat? Wongier! Wongier!

Blondyn wyszedł zza szopy, dokładnie z tego samego miejsca, gdzie przedtem przebywali ojciec i brat. W rękę dźwignął dubeltówkę o przełamanych lufach. Z ładownic wystawały krążki naboju.

– Na kogo żeś to, ośle, wyciong? Chyba nie na tego mendziarza!

– No... – Wojtek wzruszył ramionami, ale odważnie przyjął spojrzenie ojca. – Jakby tu przylez, co zobaczył, toby my go mogli...

– Dureń! Dawaj mie to! – warknął Dobry, wyrywając broń z ręki chłopca. Wyciągnął i schował naboje, strzelbę zawiesił na kołku pod dachem. – Do mendy sie nie strzela, mendzie trza dać połowę tego, co od was żonda, to nie wróci. Słyszycy? Nie całość, bo was zgarnie, jak już wszystko dostanie, nie nic, bo bendzie dalej mendził. Zawsze coś musi dostać, taki charakter. Zawsze połowę. Wróci po resztę, ale bendzie już wasz, bendzie spokój.

Blondyn przytaknął ojcu, ale z oczu nie patrzyło mu nic mądrzej niż upośledzonemu bratu, który na wszelki wypadek wbił wzrok w czubki butów. Dobry pokręcił głową, odchrząknął i splunął w trawę. Zemsta żony nie opuści go nigdy, będzie męczył się z tymi kretynami do samej śmierci. Później nawet niech się potopią w jeziorze albo powystrzelają z flinty, nic go to nie będzie obchodzić. Na razie potrzebował pomocy, a innej nie miał.

Dół wykopali na skraju polany, gdzie nie sięgały korzenie drzew, a ziemia była wystarczająco miękka. Głęboki na metr, za płytki na grób, ale na czekające ich zadanie w sam raz. Dobry nie eksperymentował, wiedział to z doświadczenia. Do tej pory nie popełnił żadnego błędu, teraz też nie miał takiego zamiaru.

– No już, chłopaki, wrzucajta to ścierwo – polecił.

Baczenie obserwował, czy wszystkie resztki poćwiartowanego ciała znalazły się w środku. Osobiście nabrał na łopatę kilka ostatnich kawałków, zaczepiony o burtę wózka zadziór skóry, wrzucił je do wykopanego dołu. Dał znak blondynowi, żeby zaczynał ceremonię. Czyngis zarechotał, jak tylko w dziurę popłynęły pierwsze strugi benzyny z kanistra trzymanego przez Wągra. Cieszył się na widowisko, które miało zaraz nastąpić. Uwielbiał je.

– Ja kce, ja kce! – Wyciągnął rękę po paczkę zapalek.

Ojciec wyraził zgodę skinieniem głowy, Wojtek bez dyskusji oddał pudełko bratu.

Zapałka rozpałała się i wpadła do środka, ziemia wypluła gejzer ognia, który zamienił się w czarny dym. Chłopcy patrzyli w żywioł jak zahipnotyzowani, praludzie, którym udało się rozpałcić swoje pierwsze ognisko. Wągiar wznosił ręce, jakby błogosławił bóstwu, Czyngis klaskał w dłonie, podskakiwał z radości. Zawołał:

– Jebać go, skurwysyna! Jebać pedała!

Keja była tak zapakowana turystami, że odepchnęło go w progę. Śwąd smażonego żarcia i piekącej się ludzkiej skóry stanowił barierę nie do przebycia. Jazgot muzyki zespołu Zakopower zmieszany z szumem rozmów, śmiechów i pogłosem mlaskania ogłuszał. Nie pozostało nic po kilkudniowej żałobie, o katastrofie zapomniano, żeby jak najlepiej wykorzystać pozostałe dni krótkich urlopów. Zginęli tylko ci, którzy mieli pecha. Słabi – stwierdził w internetowym wystąpieniu któryś z polskich darwinistów społecznych. Silni przetrwali.

Andrzej wycofał się i stanął na krawędzi nabrzeża. Jachty kołysały się na leniwych falach, woda klaskała o burty, proporczyki łopotały. Gdyby odfiltrować hałas cywilizacji, byłoby sielsko, spokojnie. Po niemal roku spędzonym na prowincji zaczynał się przyzwyczajać, zgiełk miasta nie był mu już potrzebny do życia. W ciszy ciągle znajdował demony, ale nie były tak przerażające jak wcześniej. Trzymały dystans.

– Ahoj człowiekowi z amfibii! – usłyszał nawoływania.

Zajął mu dobrą chwilę, zanim skojarzył amfibię z krokodylem szos, a siebie z człowiekiem. Rozejrzał się, przy końcu nabrzeża stał ponton z ekipą nurków gotowych do wypłynięcia w rejs. Podszedł bliżej, rozpoznał ich. Był to jeden z zespołów do poszukiwania ciał.

– Ledwo pana poznałem w tym eleganckim wdzianku, nadkomisarzu. Próba generalna przed ślubem?

– Przed rozwodem.

– No to łączę się w szczęściu!

– Z pracą, wkrótce odchodzę.

– Jeszcze lepiej!

Kierownik ekipy miał co najmniej sześćdziesiąt lat, spieczoną na brąz skórę, wianuszek śnieżnobiałych włosów na głowie i uśmiech bosmana. Andrzej dałby mu co najwyżej pięć lat więcej niż sobie, nie dwadzieścia. Za cholerę nie pamiętał, jak ma na imię. Jakies klasyczne na „A”, jak w *Quo vadis?* – Aureliusz, Apoloniusz, Augustyn?

– Jakby się pan nudził, zapraszam na pokład. Właśnie dostaliśmy informację o nowych zwłokach, płyniemy sprawdzić.

– Potwierdzona?

– Gdzie tam, ludzie dostali kota, widzą topielca nawet w kawie. Ale trzeba sprawdzić, za to nam płacą. To co, płyniemy?

Andrzej nie miał czasu na takie rozrywki, ale też niczego pilnego do roboty, żadnego nowego śladu. Poza tym zwłoki były domeną policji, miał znakomity pretekst dla chwili relaksu. Marynarkę i trzewiki zostawił w aucie, koszulę zamienił na T-shirt Smashing Pumpkins z Billym Corganem w roli latającego diabła.

Wyłynęli. Rzekę i kanał pokonali powoli, ale jak tylko dotarli na wody Mamr, kapitan nakazał całą naprzód. Dziób pontonu uniosło wysoko w górę, potężny silnik toyoty zawył, woda szatkowana na strugi i krople otoczyła ich tęcząwą aureolą, była wszędzie. Wystarczyło przymknąć oczy i odbierać świat pozostałymi zmysłami, wyobrazić sobie przygodę. Bondar nawet nie przypuszczał, że bicze wodne są takie przyjemne, pęd wilgotnego wiatru we włosach tak egzotyczny. Przez te dziesięć minut podróży do celu znajdował się w innym miejscu, na Karaibach, w krainie wiecznego szczęścia. Szybko jednak wrócił na ziemię, czyli do Polski. Do Węgorzewa. Do ciasnej cuchnącej zatoczki wżartej w stały łąd ukryty od strony jeziora wyspą Upały.

Do bezsensownej roboty bez początku i końca.

– Zgłoszenie przyszło od lokalnego wędkarza, który złowił coś dużego na wędkę, próbował wytargać, ale poszła żyłka. Pod powierzchnią wody dostrzegł sine cielsko – poinformował kapitan.

Jakby na potwierdzenie jego słów z krótkiego, pochylonego w prawo pomostu machał im starszy gość w kapeluszu wędkarskim, krótkich spodenkach i koszulce na ramiączkach. Coś opowiadał, ale nikt nie poświęcił mu najmniejszej uwagi. Cel wyprawy był jeden – udowodnić, że dziadek się myli, i wrócić jak najszybciej do bazy.

Andrzej zapatrzył się w zielonkawą toń, przypominał mu się mętny kompot jeziora tuż po białym szkwale, kiedy liczyli straty. W Bieszczadach strachem napawały go góry, w Borach Tucholskich las, tutaj woda. Dużo bardziej niedostępna niż tamte oba razem, tajemnicza, jednocześnie odpychająca i magnetyczna. Coś go ze środka zapraszało, słyszał to. Szepty, głosy, syreni śpiew.

– Chcesz spróbować, nadkomisarzu? – Kapitan wskazał na jeden z zestawów do nurkowania. – Szybciej nam pójdzie. No dalej, to nic trudnego, szkolenie trwa dwie minuty. Co jest, boi się pan?

Andrzej nie odpowiedział. Bojaźń to zdecydowanie za małe słowo, odczuwał lęk połączony z żądzą.

– Obwiąże się pan liną, w razie czego można po prostu szarpnąć, wyciągnę w dwadzieścia sekund. – Kapitan zmrużonymi oczami przyglądał się policjantowi,

w jakiś sposób domyślił się, że ten ledwo co umie pływać. W akademii basen zaliczył warunkowo, po znajomości, musiał zdać szkołę celująco, taki był układ z policyjnymi szczytami.

– Włożysz płetwy, a tutaj nie jest głęboko, będzie ze cztery metry – bosman namawiał dalej.

Andrzej zerknął na młodych, wysportowanych chłopaków w kąpielówkach, którzy mocowali do pleców butle tlenowe.

– Mam tylko gacie – powiedział, jakby to miało go w jakiś sposób usprawiedliwić. – I nie ściągnę koszulki.

Kapitan wzruszył ramionami i zaczął przygotowywać trzeci zestaw do nurkowania. Andrzej ściągnął spodnie i złożył je w kostkę, koszulkę wpuścił w zielone bokserki z motywem rombów, jak w niemieckich skarpetkach z katalogu Neckermanna. Nie obciskały się na pośladkach nawet w połowie tak, jak kąpielówki u nurków. Z przodu wcale, jakby w miejscu fiuta naprawdę zdążyła wyrosnąć pipka.

W takich momentach ciało krępowało go. Poharatane ranami, poryte tatuażami, które odrzucały, szokowały. Większości z nich sam nie znosił, chętnie zdarłby je z siebie razem ze skórą, ale stanowiły historię, opowieść jego życia. Pamięć i ostrzeżenie. Tylko lekarze i pielęgniarki w szpitalach znały je całe.

I dwie kobiety, z których żyła tylko Alina.

Wskoczył do wody ostatni, poczuł uderzenie o miękką taflę i chłód zamykającego się nad nim sklepienia. Do przebadania wyznaczono mu prawą część zatoczki, ponton miał asekuracyjnie krążyć w pobliżu. Widział jego dno rzucające cień, który przysłańiał smugi promieni słonecznych szatkujące wodę świetlistymi pryzmami.

Zapadał się, świat wokół niego gęstniał i ciemniał, po kilku sekundach kontury rozmazały się i zamieniły w nieprzeniknioną, mętną galaretę w kolorze brudu. Pod sobą miał grząskie dno, sypiący się w górę muł, ramionami rozgarniał rozrzedzone błoto. Wyobrazil sobie odór bagna, podobny do tego w Borach Tucholskich, gdy poszukiwał Skorpiona. Wtedy był skazany tylko na siebie, prawie wciągnęły go Czarcie Błota. Teraz miał do dyspozycji ludzi i sprzęt, nie powinien się bać.

Zatrzepotał płetwami, poruszył się. Kierunek sprawdził kompasem, w żaden inny sposób nie potrafiłby odnaleźć stron świata. Góra i dół, dwie pewne rzeczy, jedyny dowód na to, że ciągle przebywa na ziemi, nie przekroczył granicy innego świata.

Skręcił, płynął teraz na zachód. Zatoka zdawała się coraz głębsza, czarniejsza, przestał odróżniać muł dna od światła powierzchni wody. Coś unosiło się w tej bagnistej substancji, pływało, cząstki jakiejś większej całości, poodrywane z czegoś kawałki. Był zanurzony w zupie, pod którą ktoś rozpałił ogień. Poczował żar, pot, o ile w wodzie w ogóle można się pocić. A zaraz potem lodowate dreszcze, jakby temperatura ciała w sekundę spadła poniżej zera. Słuch wypełniło pulsowanie w skroniach, szelest przyspieszającego oddechu. Zupa jeziora wrzała, pęcherzyki powietrza przypominały deszcz padający do góry, organiczne ochłapy mnożyły się, może roślin, może porwanego zębami mięsa. Gałązki albo odłamki kości.

Szept. Głosy. Śpiew syren.

Andrzej odwrócił się, wykonał kilka gwałtownych ruchów. Spojrzał na kompas, ale nie dostrzegł własnej ręki. Sięgnął do głowy i uruchomił czołową lampę. Bezskutecznie, ciemność gęstniała. Pociągnął za linę, ale ta była sflaczała jak jakaś podwodna łądyga.

Urwała się?

Spokojnie, tylko bez paniki. Zamknął oczy i powoli policzył do dziesięciu. Oddech lekko się uspokoił. Zatrzymał się, kiedy Andrzej uniósł powieki. Były tam, tuż obok. Pływały niczym meduzy, fluorescencyjne powłoki zdarte z ciał ofiar, które powiewały jak peleryny. Z żywymi twarzami o martwym wzroku wbitym wprost w niego. Wiesia Rezmer, Kastet, Andzia Hołdysz, Okowita. W dalszych rzędach inni, których zabił lub którzy zginęli przez niego. Mężczyzna o zniekształconej, asymetrycznej twarzy. Ich duchy czaiły się na niego od dawna, czuł je tuż za plecami, oddechy z innego świata. Zwabiły go na swój teren, żeby dokonać zemsty na swoich warunkach.

Chciał krzyknąć, odpędzić je wrzaskiem, wytłumaczyć się, ale był niemy, głos należał wyłącznie do nich. Panicznie szarpnął za linę, ciągnął, ale zdawała się nie mieć końca. Zatrzymał się, gdy na ramieniu poczuł czyjś dotyk. Odszukali go pozostali nurkowie.

Był uratowany.

Odwrócił się, w pierwszej sekundzie dostrzegł tylko ciemność. Sina sylwetka trupa wyłoniła się z niej tak nagle, że nie zdążył nawet wyciągnąć ramion w obronnym geście. Wpadła na niego, objęła, w szamotaninie zerwała maskę z tlenem. Wyślizgnął się, ale opięła mu nogi, trzymała mocno. Zagarniał wodę rękami, lecz pozostawał w miejscu, zakotwiczony do mulistego dna jeziora. Zaczął bić topielca, odpychać, kopać nogami. Brakowało powietrza, brakowało siły, mózg zalewała czerń. Spojrzał w dół, w twarz wciągającego go w toń ducha. Rozpoznał



krwawą obrozę wokół szyi. To była ona, brakujący punkt na upiornej liście śmierci.

Helka Szpak.

Tony niemożliwego do udźwignięcia ciężaru zaczęły dusić, szum w uszach eksplodował. Rozejrzał się, ale wokół nie dostrzegał niczego, żadnej pomocy. Zakrztusił się wodą, płuca zaczęły pęcznieć i palić.

Opadł na dno.

Dzwonek do drzwi.

Zatrzymała się w połowie ruchu i nadstawiła uszu. Mijały sekundy, Jadźka spędziła je na modlitwie do Boga, żeby dzwonek się nie powtórzył. Niech intruz, kimkolwiek jest, odejdzie w swoją stronę, zniknie. Zostawi ją samej sobie, w spokoju.

Kolejny dźwięk dzwonka zazgrzytał w zębach. Nie odpuszczał, podobnie jak przez paroma minutami atakował przez telefon. Gliniarz, to musiał być on. Powiedziała mu wszystko, co mogła, nic konkretnego na nią nie mieli. Dlaczego nie zakończą tego bzdurnego śledztwa, nie zajmą się czymś ważniejszym? Bandyci, złodzieje, ruska mafia, była taka kolejka kandydatów do pudła, a oni uwzięli się właśnie na nią. Dobrze, popełniła błąd, ale to nie była jej wina. Broniła się, to ten drugi był przestępcą, nie ona.

Cisza. Może wreszcie zrezygnował, poszedł w diabły.

Jadźka ponownie opuściła głowę, pochyliła się nad zdjęciami porozkładanymi na łóżku. Fotografie córki, od niemowlaka po obiecującą studentkę. Ta, którą trzymała w dłoniach przyciśniętych do brzucha, spływała strużkami łez. Jadwiga płakała, nie potrafiła się uspokoić. Miała nadzieję, że wypłynie z niej cały smutek. Tak bardzo pragnęła pamiętać, lecz nie przewidziała, że wspomnienia będą powracać z takim bólem. Waldemar twierdził, że Sandra wyjechała, nie odzywa się w wyniku tej jednej kłótni. Nie wierzyła mu, to nie mogła być prawda. Nie milczałyby przecież tak długo, dałyby chociaż mały znak życia.

Pukanie do drzwi.

Jadźka zerwała się z miejsca, stanęła na środku sypialni, niezdecydowana, co robić dalej. Nie mogła sobie przypomnieć, czy przekręciła klucz. Był środek dnia, nie spodziewała się, że komuś przyjdzie do głowy przeskoczyć płot. Że ktoś może być tak natarczywy, taki bezczelny. Niewiele miała do tej pory wspólnego z policją, skąd niby mogła wiedzieć?

– Halo, pani Koterska – usłyszała głos podkomisarza. – Jest tu kto?

Czego on chce? Po co przylazł? Jak w ogóle śmie pakować się do obcego domu?

A jeśli przyszedł ją aresztować? Spanikowała. Nie pozwoli im na to, nie ona. Takie rzeczy nie zdarzają się przecież zamożnym, szanowanym ludziom. Nie była gotowa na takie upodlenie, taki wstyd.

Rzuciła się na łóżko. Zagarnęła zdjęcia, w trzech długich susach dopadła drzwi garderoby, wskoczyła do środka. Ukucnęła, opierając się plecami o półki na tylnej ścianie, kolanami niemal dotykała ażurowych szczebelków. Jeśli zajrzy do środka, znajdzie ją. Nie ośmieli się, policjanci nie mogli być aż takimi chamami.

Trzasnęły wejściowe drzwi.

Słyszała ciche, ostrożne kroki, jakby skradał się złodziej. A może o to mu właśnie chodziło, od samego początku dybał na jej pieniądze? Nie on pierwszy i nie ostatni, w ogóle by się nie zdziwiła. Przecież wiadomo, że biorą w łapę, podobno okradają przemytników, jeśli ci nie oddadzą im działą. Mógł tak powiedzieć od razu, załatwiliby to w trakcie pierwszego spotkania i pożegnali się w zgodzie. Miała przygotowaną gotówkę jeszcze dla tamtego oszusta, pięćdziesiąt tysięcy powinno w zupełności wystarczyć. Dużo w kategoriach zwykłych ludzi. Niewiele, jeśli chodzi o spokój ducha, życie bez ciężaru ciągłego strachu.

Kroki w progu sypialni, zaskrzypiała deska parkietu. Oddech, dokładnie słyszała świst wdychanego i wypuszczanego powietrza. Przełykanie śliny. Jego czy jej? Trzęsa się, otaczające ją ubrania szeleściły, żeby tylko jej nie usłyszał!

Słyszysz ją! Widzi!

Z całej siły zacisnęła powieki, podkurczyła nogi, zamieniła się w parę skarpetek zwiniętych w kłębek. Stanął przed garderobą, ale zaraz poszedł dalej. Otworzyła oczy, przez łzy dostrzegła cień, paski szarawych trampek i nogawek niebieskich džinsów. Poczła woń zwietrzałego dezodorantu i potu. Uniósł coś z toaletki, odłożył na miejsce. Zaszurała szuflada komody z bielizną, mężczyzna sięgnął po majtki. Usłyszała świst głębokiego oddechu, obwąchiwał je. To samo uczynił ze stanikiem. Odłożył go na miejsce, ale majtki wsunął do tylnej kieszeni. Potarł się dłonią w kroczu, zmienił pozycję rysującego się przez materiał spodni penisa.

Tylko nie tu! – wrzasnęła w myślach. Proszę, nie rób tego tutaj, proszę!

Obszedł łóżko. Nachylił się i podniósł z podłogi zdjęcie. Musiało jej wypaść, kiedy uciekała do szafy. Przyjrzał się mu, skopiował za pomocą smartfona. Jeszcze raz podszedł do garderoby, sięgnął do drzwi.

Jadźka wstrzymała oddech. Już nie bała się aresztowania, przewidywała coś dużo gorszego. Zgwałci ją albo zmusi do uległości szantażem. Jeszcze do niczego nie doszło, a już czuła obrzydzenie do samej siebie, brud, który na niej zostawi. Tryskającą w jej wnętrzu spermę, której nie wydrapie nawet ostrą krawędzią łyżki.

Nie! – zdawało jej się, że krzyknęła na głos. Ale w domu wciąż panowała cisza.

Otworzył drzwi obok, szperał w jej butach. Odwróciła głowę o kilka centymetrów w prawo i zobaczyła jego dłonie, palce obmacujące czółenka i obcasy. Zdjął z półki czerwone szpilki i wetknął w nie nos, głęboko się zaciągnął. Zebrało jej się na wymioty, przełknęła ślinę. Wytrzyma, jeszcze chwila i sobie pójdzie, ona zostanie sama.

Poszedł. Kroki oddaliły się, ale zatrzymały w łazience. Usłyszała odpinany rozprek, głośne sapnięcie. Nie, proszę, nie rób tam tego! – błagała. Plusnęła woda, do toalety popłynął mocz. Plusk ucichł, kroki skierowały się do wyjścia, trzasnęły drzwi. Zawarczał i ucichł silnik samochodu.

Jadźka wyskoczyła z kryjówki. Potknęła się w progu, przytrzymała ściany. Biegła do łazienki, zawartość żołądka kipiała, podchodziła do gardła. Wbiegła do środka, upadła na kolana przed sedesem, podniosła deskę. Wytrzeszczyła oczy, odepchnęła się, w ostatniej chwili trafiła wymiocinami do brodzika prysznic.

Toaleta pełna była cuchnącego, gęstego moczu obcego mężczyzny.

Był dla niej nie tylko obcym mężczyzną, był policjantem. A kolejny raz złamał sztywne reguły zawodu, powinien pilnować przestrzegania porządku, nie ten porządek naruszać.

Nie powinien był tego robić. Był pewny, że Jadwiga Koterska jest w domu, tylko nie chce go wpuścić. SUV stał na podjeździe, okna były uchylone. Nie odbierała telefonu, nie odzywała się w domofonie, ale on miał przecucie. Skrywała coś przed nim i tym razem mogła się trafić okazja, że zdemaskuje jej kłamstwa, nakryje ją na czymś ważnym dla sprawy. Przeskoczył ogrodzenie, zapukał do drzwi. Zajrzał przez okno, ale kuchnia zdawała się pusta. Zapukał ponownie, nacisnął klamkę. Nikt nie reagował na jego wołanie, więc wszedł do środka. Czuć było atmosferą tajemnicy i aromatem kobiety, nie był do końca pewien, co bardziej go przyciągnęło. Znalazł zdjęcie młodej dziewczyny i podniecenie, którego do tej pory nie potrafił się pozbyć.

Nie powinien był brać ze sobą tych stringów, mocno przesadził. Czuł je teraz w tylnej kieszeni spodni, gniotły go w tyłek, parzyły jak grudka żaru, siedział na

rozżarzonych węglach. Mieszanka podniecenia i skrępowania była tak silna, że jak najszybciej musiał się pozbyć jednego i drugiego. Zajechać na małą chwilę do domu, wytrzepać kapucyna, majtki schować w szufladzie na trofea. Składował tam pamiątki po najciekawszych dokonaniach, partnerach, którzy nie oddawali mu się zbyt chętnie, musiał się starać. Nakłonić ich do uległości. Ich.

Zarówno kobiety, jak i mężczyźni.

Nie był pedałem, wręcz przeciwnie, gardził ciotami. Ale je brał, jeśli trzeba było pokazać władzę. Kiedy próbowali bawić się z nim w kotka i myszkę, nakręcać spirale pożądania, a później z zadartym nosem informować, że jednak nie odczuwają chemii, brakuje iskry. Już on umiał w nich ją wykrzesać, rozpalić im w dupach taki ogień, żeby zapłonęli jak pożar. Nie liczyła się płęć, najważniejsze były doznania. W końcu Stwórca wyposażył go w tę śmiercionośną broń w jakimś celu, przecież nie od parady. Istniał nawet bardziej po to, by dawać, niż żeby brać.

Melodię telefonu usłyszał dopiero po kilku sekundach, instynkt łokcia zawładnął nim do takiego stopnia, że z trudem reagował na bodźce. Na wyświetlaczu pojawił się numer szefowej. Uśmiechnął się, oblizał suche wargi. Jakby wiedziała, że to odpowiedni moment. Tak mu się chciało, że wzięłby i królową, i smoka.

Odebrał.

– Komenda, Wiechu, daję ci pięć minut! – poleciła, nawet się nie witając.

– Jak chcesz, może być nawet komenda – zamruczał seksownie do mikrofonu.

– Co? Klekoczesz, jakbyś lizał się z małolatą i połknął aparat na zęby. Nie wiesz, gdzie się podziewa Bondar?

– A co ja jestem, jego niańka?

– Niańkę też pytałam, nie wie.

– Może się wreszcie utopił.

– Marzenia obciętego żołędzia! Zapierdalaj, Wiech, właśnie przysłali ważne kwity.

Na Bondara, był tego pewien. Pewnie obiecany komisarz z Wojewódzkiej przybył na miejsce, uruchamiają dochodzenie. Najpierw więc danie główne, deser będzie wieczorem. Albo lepiej nocą, wyjdzie na polowanie. Ustrzeli jakiegoś jelenia lub łanię.

Skręcił w lewo, z piskiem opon zatrzymał służbową megankę na policyjnym parkingu. Wbiegł na piętro, bez pukania wpadł do gabinetu komendant, sekretarka tylko coś burknęła pod nosem. Wciąż nie wyzbył się wizji Chłopskiej na biurku,

z rozwalonymi nogami i gołą cipą, w którą mógłby się wbić z biegu. Dlatego rozczarowały go jej zaciśnięte złością usta, wokół których rysowały się bruzdy głębokich zmarszczek.

– Dokumenty z antropologii. – Przesunęła w jego stronę otwartą teczkę. – A to rentgen od dentysty w Giżycku, pół godziny temu przyniósł go Jar Mieczyk.

– Tobie?

– A komu, Wiech, jak się włóczęcie po terenie, jeden i drugi, ciągle was nie ma! Czyli rozczarowanie numer dwa, nie chodziło o Bondzię.

Wojtal przejrzał teczkę z wynikami analiz antropologicznych wyłowionych szkieletów. Popękane kości, brakujące zęby, urazy czaszek. Jeden szkielet najwyżej czteroletni, dwa pozostałe młodsze, dwuletnie, może roczne. Myślał powoli, ale z białego szumu w mózgu zaczęły wyłaniać się schematy i kształty. Zakreślane na tablicy w sali konferencyjnej grafy powiązań. Splatające się ze sobą wątki prowadzonych dochodzeń.

– Poszukiwany napastnik?

Szefowa nie odezwała się.

– Typ z parku miał szczęście, mógł skończyć w Mamrach.

– I z czego się cieszysz, Wiech, mamy morderstwa. Czytaj dalej.

Łokieć pod światło przyjrzał się prześwietlonym zębom. Przeczytał kartę pacjenta, udało się dopasować tylko jedną.

– Cholera, myślałem, że te kości pamiętają Iwana – podsumował. – Byłem przekonany, że ofiary komuny.

– Kretyn! Wiesz, kto to jest?

Podkomisarz z poirytowaniem zmarszczył czoło, maniera, z jaką Chłopska rzucała inwektywami jak popadło, drażniła go coraz bardziej. Jeszcze raz spojrzął na kartę pacjenta, przeczytał na głos nazwisko.

– Nie wiem, kurwa, może mnie oświecisz?

– Jezu, Wiech! – komendant jęknęła. – Jak ty masz niby kierować kryminalnym, jak ty takich rzeczy nie kojarzysz? Pięć lat temu, rodzina Koterskich, marnotrawna córka, puszczalska żona? Dalej nic?

Wojtal poczuł skaczącą mu po głowie piłeczkę genialnego pomysłu, jak w kreskówce *Pomysłowy Dobromir*, którą za małolata uwielbiał. Ledwo powstrzymał się, żeby nie krzyknąć: Uhu!

– Chyba żartujesz!

Chłopska pokręciła głową.

Odbił się od dna. Płynął.

Nogi zdrętwiały mu od wysiłku, przez ramiona przebiegło zimne mrowienie. Woda zalewała oczy, ale dostrzegał już zarys brzegu rozmazany nachodzącymi na siebie falami. Wzbijane w powietrze strugi przypominały zbite szkło. Brnął w nim, ostre krawędzie zdawały się kaleczyć obolałe ciało.

Jeszcze dziesięć metrów. Jeszcze pięć. Jeszcze jedno machnięcie ramion.

Uchwycił się liści sitowia jak ostatniej deski ratunku. Mogłyby być brzytwą, ich krawędzie ciąć skórę dłoni jak skalpel, ale i tak ująłby je z tą samą pasją. Pod nogami poczuł maź mułu, stanął. Łapczywie łykał powietrze, odpoczywał. Ociekał wodą z jeziora i łzami. Z radości, że zdołał się uratować. Z rozczarowania, że nie potrafił utonąć. Byłoby przynajmniej po wszystkim, nie musiałyby znosić męki, palącego wstydu. Nie wykorzystał okazji. Wola przetrwania była za silna, on za słaby.

Krwawił. Czuł swoje wnętrze napelniające się krwią z dziesiątek małych ranek, które sam sobie zadał. Może jeśli umrze w środku, umrze również na zewnątrz, odejdzie z tego świata zupełnie, tym razem na zawsze. Chciał tego i jednocześnie nie chciał, ciągle prowadził walkę z samym sobą.

Klincz.

Poczłapał po zapadającym się dnie w stronę głosów. Potrzebował kawałka odkrytego brzegu, żeby wyjść z wody. Głosy zbliżały się, rosły, zamieniały się z jednostajnego pogłosu w jazgot wielu gardeł. Dorośli, mężczyźni i kobiety, ale głównie dzieci. Krzyki i piski, płacz, śmiech. Plaża, najgorsze z możliwych miejsce na wyłonienie się z jeziora. Przystanął, kiedy dostrzegł pierwsze sylwetki. Rozejrzał się, ale nie miał wyjścia, dalej nie da rady popłynąć, nie zdoła też przedrzeć się przez sitowie.

Zanurkował, licząc, że uda mu się dotrzeć pod wodą aż na samą płyciznę, później wypełźnie w pobliżu trzciny. Nikt nie zwróci na niego uwagi. Plan był dobry, ale on kiepski, nie starczyło mu sił. Wynurzył się w połowie basenu, akurat w miejscu zabaw dzieci. Poobijany, posiniaczony, podrapany. O skórze przypominającej barwę dwudniowego topielca. Ociekający mułem, oklejony łodygami zdrojka i liśćmi rzęsy. Potwór z głębin Mamr.

Najpierw krzyknęła mała dziewczynka, za nią matka. Wrzask narastał powoli,

żeby nagle wybuchnąć chórem. Ludzie uciekali przed nim, kiedy sunął do brzegu, zbijali się w gromady, zbroili w kije i telefony komórkowe, nagrywali. Przepędzali i wygrażali. Nikt nie pomyślał o pogotowiu, za to kilkanaście połączeń otrzymała lokalna policja.

Krew gromadząca się w nim z wewnętrznych przecieków wypełniała go coraz bardziej, doskonale czuł gorącą linię jej podnoszącego się stanu. Ciągłe tonął.

Umierał.

– Umierał w męczarniach – stwierdziła patolog o włosach białych jak księżyc, z czym kontrastowała gładka twarz bez jakiegokolwiek zmarszczki. – Długo.

– Jasne, że długo, przecież tonął! – irytował się Łokieć.

Komendant ściągnęła go do prosektorium w ostatniej chwili, już zbierał się do wyjazdu na akcję. Ekipa ciągle czekała w blokach startowych, klamki zdążyły się nagrzać w słońcu i zaczynały palić skórę. Jego broń zdawała się zachodzić szronem, mroziła.

Doktor posłała podkomisarzowi profesorskie spojrzenie pełne wyrozumiałości i politowania.

– Śmierć nie nastąpiła w wyniku utonięcia.

Wojtal i Hula-Chłop wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Słuchali wykładu patolożki z niedowierzaniem. Tylko Morowczyk co kilka chwil kiwał głową, ponury komisarz z Komendy Wojewódzkiej o skórze opinającej się na czaszce jak w podobiznie śmierci. Wiech jednocześnie cieszył się, że Bondar ma do czynienia z takim upiorem, i odczuwał współczucie. Żaden gliniarz na to nie zasługiwał, żaden człowiek.

Komisarz zrobił dla swojej prywatnej kolekcji kilka fotografii smartfonem i podziękował patolożce skinieniem głowy. Trup znikł pod materiałem białego całunu, przemieniając się w oderwaną z dna morza starożytną rzeźbę o konturach i rysach rozmazanych przez wodę. Wyszli przed szpital, komisarz Śmierć zaciągnął się chciwie papierosem, zasysając skórę policzków aż do gardła, co niemal obnażyło mu szczęki.

Przybył kwadrans temu na prośbę, a raczej donos Chłopskiej, który złożyła na Andrzeja Bondara. Odmówiono jej wglądu do jego akt, więc postanowiła uruchomić drogę służbową. Wydział wewnętrzny stanowił siedlisko hien, które uwielbiały dostawać do żarcia padlinę, ale nie gardził też osobnikami niedomagającymi i starymi. Wystarczał niekiedy cień podejrzenia o chorobę

toczącą dobrą opinię policjanta, a wkraczał do akcji. Nadkomisarz był łakomym kąskiem, trudna przeszłość dawała dużą szansę na łatwą przyszłość, szybkie zakończenie postępowania i perspektywę awansu. Był też nie byle kim, powalić go to jak znokautować dawnego mistrza. Udowodnić, że nie ma stałych wartości ani trwałych osiągnięć. O wszystkim decyduje biurokratyczna machina.

Milczeli, pierwsza odezwała się Chłopska.

– Co dalej?

– Dalej? – Morowczyk zdziwił się, jakby zapytano go o drogę w zaświaty.

Nic dziwnego, dla ciała z prosektorium dalej niczego nie było. Skończyło się.

– No, z dochodzeniem. Jakie następne kroki?

– Żartuje sobie pani teraz, nie? – Zakaszłał, coś najpierw zadudniło w płucach, później zabulgotało. Cokolwiek to było, musiało smakować okropnie, chudzielec skrzywił się zniesmaczony na śmierć. – Raportuję swojemu szefowi, pani nie ma prawa zadawać mi jakichkolwiek pytań. Chyba że w grę wchodzi mataczenie. Wchodzi?

Tak, chuj ci w dupę! – mówiły oczy Chłopskiej, ale zacisnęła usta, żeby nawet nie pisnąć. Wywinęła zgrabny piruet, oddaliła się ze stukotem obcasów. Szyła nimi płyty parkingu jak igła overlocka.

Łokieć przyjął spojrzenie komisarza, dopóki nie uświadomił sobie, z czym mu się ono kojarzy. Tak wpatrywał się w swoje ofiary Charles Bronson przed pociągnięciem za spust magnum. Również ustąpił, ta konfrontacja nie miała sensu. Już wygrał, musiał tylko powiązać luźne końce.

Wsiadł do radiowozu, włączył silnik, ale nie ruszył.

– Co radzisz?

Chłopska wzruszyła ramionami, była teraz tak wściekła na cały świat, że przy rozwarciu ust wyskoczyłyby węże.

– Musisz przyznać, że miałem rację. A nie chciałaś uwierzyć.

Przytaknęła po chwili wahania. Nerwowo obciągnęła spódnicę, jakby nie miała co zrobić z dłońmi. Lub miała, ale nie chciała tego robić. Łokieć znał ten stan. Albo strzeli go w pysk, albo włoży mu rękę w gacie. Tym razem nie uczyniła jednak nic. Przejęła się?

W końcu rzadko mieli do czynienia z takim zakończeniem kariery znajomego gliniarza.



Warkot silnika ciężarówki zadudnił w ścianach magazynu hurtowni, zadrżały szyby. Wdzierał się w niego ludzki wrzask, głos męskich strun głosowych porozdzieranych wściekłością. Waldemar doskonale znał ten dźwięk, każdą połkniętą powietrza, która nie ma którędy ujść z organizmu, atak choroby zwanej białą gorączką.

Wyjrzał przez szpary w żaluzjach do magazynu, nie mylił się. Naczepa wpychała się do środka, podczas gdy Rysiek próbował zatarasować jej drogę, nie wpuścić tira. Walił łapami w plandekę, kopał w koła, zapierał się nogami o posadzkę i z całej siły pchał, ale maszyna nie chciała słuchać, zatrzymała się dopiero w wyznaczonym czerwoną linią miejscu rozładunku. Reszta pracowników stała z założonymi rękami i przyglądała się kierownikowi, który ciężko dyszał, trzymając się za złamane zebro. Po chwili silnik ciężarówki zgasł, trzasnęły drzwi, Rysiek zniknął za rogiem naczepy.

Waldek wyszedł z biura, stanął przy pracownikach i wsłuchał się w krzyki kierownika hurtowni, który wyrwał rosyjskiemu kierowcy papierosa z ust, zdeptał go, wymachiwał ramionami jak wariat. Obcokrajowiec coś tam tłumaczył po cichu, gestem ręki zaczął prosić właściciela firmy o pomoc.

– Co jest, Rysiek, o co chodzi? – Waldek zachowywał jak zwykle spokój. Pod tym względem w niczym nie przypominał polskiego przedsiębiorcy, szanował ludzi, nie tylko siebie.

– Jak o co, Waldek, jak o co? Nie miało być więcej Rusków, niech wypierdala do siebie! *Czto, tiepier' nie ponimajesz po polski?*

Kierowca machnął ręką, wyciągnął z kabiny dokumenty, pokazał listę przewozową i zamówienie.

– *Ja nie znaju, ja tolko woditiel.*

Rysiek rzucił okiem na zamówienie, wbił w Koterskiego wściekłe spojrzenie.

– Tyś to zlecił, Waldek? Pozamieniałeś się z chujem na rozum, przecież ci łeb odstrzelą!

– Mój łeb, nie twój, ja się zastraszyć nie dam, już ci to raz powiedziałem. To moja firma, ja ją założyłem, ja tutaj ustalam zasady.

– Ale to ja zbieram za ciebie cięgi, jak coś nie pasuje! – Przyłożył dłoń do obolałego boku, przybrał płaczliwą minę. – Przecież oni mnie też zajebią, Waldek, bój się Boga. Toż to nie chodzi tylko o ciebie, my tutaj też pracujemy. Musimy utrzymywać rodziny, wychować dzieci. Chłopaki się boją, moja stara się boi, ja się boję. Jasna cholera, Waldek!

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Kierownik miał swoje na sumieniu, był winny szefowi więcej niż zwykłą pracę. Już kilka razy wpadał w długi, z których Koterski ratował go pożyczkami, mimo że pieniądze szły na libacje z dziewczynkami. Nawet lojalność psa ma jednak swoje granice, jeśli z lasu wyleżą wilki. Widocznie za cicho jeszcze warczały, bo Rysiek opuścił głowę, poddał się. Właściciel hurtowni dał znak chłopakom, żeby zaczęli rozładunek, a kierowcę zawołał do siebie. Przed drzwiami do biura Rosjanin roześmiał się.

– *Triasitsia kak sraka, a my wsie tolko biznesmieny, nie wory!*

Drepczący za nimi kierownik wpadł w szal, doskoczył do Rosjanina, pchnął go na drzwi, wbił dłonie w szyję.

– Zostaw! – warknął Waldemar. W jego dłoni błysnęła stal rewolweru.

Rysiek puścił Rosjanina, cofnął się o dwa kroki i znieruchomiał, wpatrzony w zadarty pysk metalowej lufy. Pozostali mężczyźni zatrzymali się w połowie ruchu, jedynym dźwiękiem w hali magazynowej było oddalone terkotanie silnika uruchomionej sztaplarki.

– Do roboty, wszyscy! Nie tolerowałem i nie będę tolerował tu awanturnictwa. Zrozumiano?

Rysiek nie skinął głową jak inni pracownicy, nie wydusił z siebie nawet jednej sylaby. Poczzerwieniał, oddychał z głośnym świstem. Każde powietrze zgromadzone uprzednio w płucach zapłonęło, w każdej chwili mogła wybuchnąć.

– Ty, ty... – próbował powiedzieć coś wycelowanemu w siebie rewolwerowi. – Ja, ty... tyle lat...

Powoli zaczął podnosić wzrok, który wspinał się po piersi szefa, pełzył wyczuwalnym dotykiem. Waldemar uświadomił sobie, że kiedy ich spojrzenia się spotkają, iskra lontu dojdzie do prochu, mechanizm zapłonu uruchomi eksplozję. Któryś z nich nie wytrzyma. On trzymał w ręku broń, na szczęście.

Trzymał w ręku broń na nieszczęście.

Ich spojrzenia spotkały się, świat naokoło zamarł i nagle eksplodował rykiem silników. Obaj spojrzeli w stronę zasłoniętego cielskiem tira parkingu. Obaj ze strachem przed tym samym.

Byli tam. Bandyci przyjechali, aby spełnić groźbę.

Waldemar rzucił się w stronę biura, wpadł do środka. Ominął zestaw foteli i stolik, szarpnął za klamkę, wślizgnął się do swojego gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi, przekręcił klucz. Oparł się plecami o tylną ścianę, ukucnął w rogu. Skulił się, skurczył, zapragnął być mały jak piłka, cel, do którego trudno trafić.

Wymierzył w drzwi. Mimo że ręce ściskające broń trzęsły się jak na mrozie, a muszka nie chciała się zmieścić w szczerbince, był siebie pewien. Nie spuścił, nie z odległości trzech metrów. Nie do człowieka niewiele ustępującego wymiarami futrynie. Zacisnął palec na spuście, zmrużył oczy. Nie podda się.

Oni albo on. Będzie szybszy, zabije.

Wpadli na plac manewrowy na pełnej prędkości, wyhamowali z piskiem opon.

Wysypali się z radiowozów, czterech policjantów z dodającymi mocy pistoletami gotowymi do strzału, zwiększającymi objętość kamizelkami kuloodpornymi, z zaciętymi minami dodającymi autorytetu władzy. Zgrana ekipa pod przewodnictwem podkomisarza Wojtala, który z całej siły starał się być lepszy od Bondara, pewniejszy, lepiej zorganizowany.

Brutalniejszy.

Niańka pobiegł za róg, miał zabezpieczyć tyły. Luj z Chmielem do hali magazynowej, wysokie sklepienie odbiło stukot ich butów, krzyk wydawanych poleceń. Sztaaplarka przycichła i zgasła, z zakamarków hurtowni wyłonili się pracownicy w obwisłych ogrodniczkach i T-shirtach z symbolem firmy. Zbili się w grupkę przy prawej ścianie, przyglądając się lufom pistoletów. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, ale białe ruloniki rozsypały się po posadzce, kiedy spróbował wyciągnąć jednego, w roztrzęsionych rękach została pusta paczka. Najstarszy z mężczyzn poblądł, choć na policzkach pozostały mu brunatne wypieki, ślad po niedawnym gniewie. Drugi, stojący najbliżej biura, uniósł ręce, w których trzymał plik kartek. W przeciągu powiewały jak chorągiewka.

Wiech wkroczył do akcji ostatni, spokojnie stawiając kroki na zakurzonej podłodze niczym szeryf westernowego miasteczka. Stał na środku, tuż za tyłem naczepy tira, przebiegł wzrokiem po sponiewieranych pracownikach, ciężko dychającym kierowniku i kierowcy ruskiego tira, który przypadkowo znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiedniej chwili.

– Gdzie stary?

Nikt nie odpowiedział, ale ruch gałek ocznych kierownika był wystarczająco wymowny.

– Dobra, chłopaki, chuj do pochw. Sprawdźcie na wrywki papiery, czy nie kombinują nam tu za bardzo z lewizną. – Podszedł do Rosjanina, wyrwał mu z ręki papiery i podał je Mieczykowi. – Ty wypierdalaj do tira, a ty prowadź na salony!

Kierowca zniknął w niecałą sekundę, ale drugi mężczyzna się ociągał. Zagryzł wargi, bojaźliwie łąpał na drzwi do przestrzeni biurowej.

– Co jest, ogłuchłeś? Rysiek, tak? Nie dziw się, znamy tu wszystkich, na każdego z was mamy kwity na komendzie. Jak już odzyskałeś słuch, to zapraszam przodem. No otwórz wreszcie te pieprzone drzwi!

Ryk Łokcia zawirował pod dachem i powrócił z podwójną siłą. Przeładowany pistolet zazgrzytał, wycelowana w kierownika lufa była dużo masywniejsza niż krótki pysk rewolweru szefa. Przez pięćdziesiąt lat życia nikt w Ryszarda nie celował, nawet w wojsku, nawet w latach dziewięćdziesiątych, kiedy giwery można było kupić na rynku. A teraz dwa razy w ciągu paru minut. Czuł, że otwiera się w nim zawór bezpieczeństwa. Jeszcze chwila, a tama pęknie i puści, dostanie wylewu albo zeszczą się w gacie. Gdyby mógł wybrać, preferowałby to pierwsze. Wstyd zabiłby go na miejscu.

Na miękkich nogach zbliżył się do oszklonej ściany, chwycił klamkę. Chyba Koterski nie był aż tak głupi, żeby świecić tą swoją babską pukawką? A jeśli ze strachu wystrzelił?

Silnie pociągnął za drzwi, rozwarł je od razu na całą szerokość. Przymknął oczy. Czekał, ale strzał nie padł. Nie mógł paść, w biurze nikogo nie było.

– No dalej, włącz do środka! – poganiał go gliniarz. – Coś, kurwa, taki strachliwy? Szefuńcio was trzaska po pysku? Coś na takiego nie wygląda.

Weszli do biura. W kącie walały się jeszcze papiery porzucane niedawno przez zbirów, nie było komu ich sprzątnąć. Podkomisarz przespacerował się między fotelami i stanął przy drugich drzwiach, tych do gabinetu Waldka. Wydał polecenie ruchem głowy. Ciekawe, w jakiej komitywie żyją ze sobą ten drańgal z łysym oprychem, zastanawiał się Rysiek. Byli tylko kolegami czy zdążyli się zaprzyjaźnić? Wspólne grille, popijawy, przepuszczanie haraczy i łapówek na ruskie kurwy?

Wiedział, że Waldek zaszył się w swojej kanciapie, zawsze tam zwiewał, kiedy robiło się gorąco. Przed problemami, przed żoną, przed kłótniami. Jego kryjówka, pustelnicza cela. Tym razem otworzył drzwi z marszu, bez strachu, przecież właściciel musiał ich już usłyszeć, domyślać się, że to oficjalna operacja policji. Najpierw dotarła do niego tylko ciemność, w środku nie było światła. Później zarys siedzącego człowieka. Na końcu błysk stali i płomień ognia.

Ból w brzuchu był przeszywający. Pękł, rozlał się gorącą cieczą, kierownik upadł.

– Jezu, chłopie, co z tobą się dzieje? – usłyszał nad sobą głos policjanta. – Odstaw wóde, bo będziesz szczał nawet na filmach. Wyłaź, Koterski! – rzucił podkomisarz w głąb ciemnego gabinetu. – Co ty tym ludziom robisz, że leją na twój widok w pory?

Kierownik gramolił się z podłogi, ukląkł, garścią papierów próbował wytrzeć plamę moczu, która rozlewała się lśniąca taflą. W końcu dał za wygraną, wstał i uciekł z biura, pokuśtykał do latryn.

Waldek wyłonił się ze swojej jaskini, w ustach trzymał papierosa, w dłoni metalową zapalniczkę wielkości kostki Rubika. Też wyglądał na wystraszonego, nie potrafił skoncentrować na podkomisarzu rozbieganego wzroku. Chętnie usiadł w fotelu, który wskazał mu Wojtal. Stężenie lęku w pomieszczeniu gryzło w oczy jak odór szczyn.

– Nie wiem, co między sobą kombinujecie, i mnie to nie obchodzi. Interesuje mnie co innego, Koterski. Jakiś czas temu wyłowiliśmy szczątki ludzkie z jeziora Święcajty. I wyobraź sobie, że udało nam się je zidentyfikować. Kobieta po dwudziestce, przeleżała w wodzie jakieś pięć lat. Nie brzmi znajomo, Waldek?

W oczach właściciela hurtowni coś błysnęło, ale zaraz zgasło, jakby nagła reminiscencja pamięci, która nie mogła być prawdziwa. Pokręcił głową.

– Czyżby? My tak naprawdę wszystko wiemy, pamiętamy, to nie było znowu tak dawno. Dla pewności zleciłem ponowną analizę sprawy, prześwietlamy dokumenty, pytamy świadków, sprawdzamy fakty. Zaraz spotykam się z prokuratorem, będzie powtórka postępowania. Bo widzisz, to nie te czasy, że ludzie znikają ot, tak sobie, jak za Iwana. Zbrodnie się nie przedawniają, złe uczynki będą podlegać karze prędzej czy później.

– Nie wiem, o czym pan mówi, podinspektorze.

– Na pewno? Zastanów się dobrze, bo ja wolałbym, wiesz, po dobroci, bez zbędnych bijatyk. Ale nie chcesz się przyznać, pójdziemy okrężną drogą. Jest taka teoria, że należysz do delegatury ruskiej mafii. Co robisz takie oczy? Stoi u ciebie w hurtowni ruski tir czy nie stoi? Kontaktowała się żonka z tym całym szemranym Weinarem czy nie?

– Jadźki w to nie mieszajcie!

– Pacz, kurwa, Romeo jeden! Nawet nie wiesz, jak to wszystko pasuje nam do szerokiego kontekstu, Koterski, jak się podoba moim zwierzchnikom.

– A co wy tam możecie wiedzieć!

– Pewnie niewiele, ale na ciebie wystarczy. Zrobimy w razie czego zrzutę

z chłopakami ze Służby Celnej. Mają tam na ciebie więcej niż my, nie wykaraskasz się.

– Tacy sami bandyci, jedni i drudzy!

– Nie, nie, oni są od nas gorsi, mają większe pole do popisu, my tylko ścigamy ludzi, nie pieniądze. Pod celę wysyłamy jednak tak samo. Zastanów się więc, dobrze ci radzę. Dogadamy się, ułożymy po ludzku, w kulturalny sposób. Sprawiedliwości stanie się zadość, a ty będziesz miał do czego wracać po latach. Postawiłeś tu kawał majątku, szkoda, żeby się poszedł jebać, nie?

Wstał. Poklepał Koterskiego dłonią po policzku i wymierzył mu wskazujący palec dokładnie między oczy, pogroził nim. Z obrzydzeniem skrzywił się na plamę moczu pod drzwiami i wyszedł na zewnątrz. Luj zdał mu krótki raport z rewizji, pracownicy wlekli właśnie dwie skrzynki wódki i kilka kartonów ruskiej spożywki do radiowozów na parkingu.

– Nieprawidłowo założona banderola. – Paweł mrugnął porozumiewawczo.

Łokieć z zadowoleniem skinął głową. Odwrócił się i upewnił, że właściciel firmy to widzi. Próbkę tego, co czeka dorobek jego życia, jeśli dalej będzie się uchylał przed ramieniem sprawiedliwości.

Sprawiedliwość zbliżała się. Nadchodził koniec.

Kiedy był już na wyciągnięcie ręki, przybrał postać mgły utkanej z cząsteczek bieli. Popłuczyny mleka, w które zanurzył dłoń i obserwował wapienny cień, półprzezroczystą kartkę. A mówiło się, że będzie ciemno jak pod powierzchnią ziemi. Więc albo przez dziwny przypadek wylądował w raju, albo Kościół się mylił, piekło jest białe.

Krzyk. Trzaśnięcie drzwiami. Pęd, ktoś obok niego biegł, ktoś klepał litanie beznamiętnych poleceń. Biel zaczęła nabierać konturów i kształtów, zapadać się w wiele odcieni, w czwarty wymiar. Sufit. Kraty lamp jarzeniowych. Żółte zacieki wody, sadza zalegająca w kątach. Kremowe lamperie, drzwi z oszklonymi świetlikami, czarne włosy i piękne oczy nachylającej się nad nim kobiety w kitlu. Złość bijąca z twarzy doktora, któremu na szyi bimbał stetoskop niczym symbol zakazanej religii.

– Proszę się nie podnosić! Proszę zachować spokój!

To było do niego. Próbował wstać, ale ręka doktora przygniotła go do noszy.

– Hej! Nie szarpiemy się, zaraz będziemy na miejscu!

Andrzej przekrzywił głowę, popatrzył w kierunku jazdy. Zmierzali do drzwi z napisem „Intensywna terapia”.

– Ale ja nie chcę, nic mi nie jest!

Zdziwił się brzmieniem swojego głosu nie mniej niż czarnowłosa pielęgniarka. Dochodził z głębokości, jakby nie wyłowiono ich z jeziora w tym samym czasie, najpierw ciało, reszta jeszcze zalegała na dnie.

– Ożył, panie doktorze, on żyje!

– No żyje, żyje, cholera jasna! A już łóżko zarezerwowałem, zespół czeka!

Zwolnili, wyhamowali przed drzwiami. Andrzej uniósł się, usiadł, tym razem nikt nie oponował. Opuścił nogi na podłogę, prześledził wzrokiem rurkę kroplówki łączącą nadgarstek z workiem na wieszaku. Napotkał wbity w siebie wzrok doktora. Był nie tyle wściekły, ile rozczarowany. Tyle wysiłku na nic, chory wrócił do zdrowia o własnych siłach.

– Bez badań się nie obędzie, niech pan sobie nie myśli – zagroził. – Boli pana coś, czuje pan mdłości?

Andrzej pokręcił głową, mimo że korytarz wirował nad nim jak śmigła helikoptera, zasysając z żołądka wodę i rybie gówna z dna Mamrów. Rana na ramieniu piekła, a trzecie oko na czole krwawiło do środka.

– No przecież widzę, żeś pan chodzący trup.

– Siedzący – sprostował Andrzej.

– Cwaniak, psiakrew, widziałś go, Hania? Myślą, że nie mamy co robić, tylko wysłuchiwać ich mądrości.

Doktor przedyktował pielęgniarce zlecenie, w którym brakowało tylko rentgena. Pewnie miał RTG w oczach, na takiego wyglądał. Kobieta zabrała się do roboty z rutyną, która zamienia pacjentów w tusze mięsa. Pomylił się, na anioła wyglądała tylko na pierwszy rzut oka. Była nieślubnym dzieckiem szatana, a on jednak znalazł się w piekle.

Kroplówka postawiła go na nogi, mógł chodzić. Absolutnego zakazu opuszczania terenu szpitala nie złamał tylko dlatego, że nie chciało mu się wracać do pracy. W drodze wyjątku ktoś się o niego zatroszczył, uporządkował mu czas, wyznaczył realistyczne, proste cele. Pigule dość szybko przeszła złość, nawet się uśmiechnęła, kiedy nieudolnie próbował zasłonić tatuaże na plecach. Niepotrzebnie zaryzykował więc prośbę o morfinę, chmura gradowa natychmiast wróciła. Na szczęście poszła wzniecić burzę gdzie indziej.

Z błógiego nieróbstwa wyrwał Andrzeja telefon od Chmiela. Pędzili gdzieś, ale nawet nie zapytał, gdzie się pali. W tej chwili mogłaby spłonąć cała ziemia.

– Ten typ z Rosji, ten bez pleców – terkotał Chmiel jak katarynka, spieszył się, jakby przed akcją zamierzał jeszcze zrobić na złość swojemu szefowi. – Zidentyfikowała go młoda babka, jego dziewczyna. Wypadło mi z głowy nazwisko, ale chodzi mi o coś innego. Miała zdjęcia w telefonie, byczek pręży muskuły na plaży i pomoście, najczęściej plecy, motyle ma niezłe, to trzeba przyznać. Halo, słucha mnie pan?

– Litości, Paweł, jestem w szpitalu.

– Jasne, wiem, już płynę do brzegu. Wie pan, co on na tych plecach miał?

Andrzej nawet nie próbował zgadywać, obchodziło go to w tym momencie tyle, co wyjarana przed rokiem gandzia.

– Sierp i młot! I co się dziwić, że kacap wkurwił któregoś z naszych.

Któregoś z naszych...

Andrzej przerwał rozmowę, odłożył telefon na stolik. Niewiele mu brakowało do czterdziestki, przez całe życie mieszkał tylko w Polsce, a ciągle go ten kraj przerażał. Z roku na rok coraz bardziej.

Ubrał się. Wstał i podreptał na korytarz, zamierzał przeprowadzić poważną rozmowę z lekarzem. Źle rozpoczęli znajomość, ale może ją lepiej zakończą. Miał nadzieję, że wyniki z badania krwi nie trafią na komendę, wystarczało mu już kłopotów. Nawet jeśli doktor nie miał serca, to na pewno miał którąś kieszeń pustą. Nie będzie świnią, weźmie.

Wdrapał się na trzecie piętro, na oddział damski, sunął korytarzem, ukradkiem zerkając do sal. Zatrzymał się dwa kroki za dwuosobowym pokojem, w oczy wpadła mu znajoma twarz. Cofnął się, wszedł do środka, przystanął przy łóżku ustawionym pod oknem. W ostrych promieniach słońca wpadających przez szyby skóra młodej kobiety prawie zlewała się z tłem pościeli, odznaczały się tylko zacienione oczy i krwawe usta. Spała z jedną ręką wysuniętą spod kołdry, na przedramieniu widać było stare sznyty i blade krążki blizn po przypaleniach szlugami, nastoletnie wyglupy. Znał je wszystkie, szczebelki drabiny, po których wspinał się palcami. Lubił badać językiem ich szerokość i długość.

Ala. Dziewczyna tak do niego podobna, że mogłaby być jego siostrą bliźniaczką. Córką. Bratnia dusza, tak samo poraniona i poturbowana. Spała w dzień, żeby dokazywać w nocy. Ciągle nie wiedział, jak udawało jej się wymykać z sali, kraść leki. Zbywała go tajemniczym uśmiechem, kiedy pytał.



A każdy jej uśmiech wystarczał za tysiąc słów.

Sięgnął po kartę pacjenta, ale niewiele z niej zrozumiał, nie zdołał doczytać do końca.

– Co pan tutaj robi? – Pielęgniarka była stara jak sam szpital, musiała pamiętać Niemca. Ale pogodna, zdawała się pozytywnie zdziwiona. – Jest pan z rodziny?

– Tak, jestem kuzynem ciotecznym – skłamał, chowając za siebie nadgarstek z wenflonem i opaską szpitalną. – Akurat przejeżdżałem i...

– Jak dobrze! – Piguła aż złożyła dłonie w dziękczynnym geście. – Jej tutaj nikt nie odwiedza, nikt! Nie wie pan, co się dzieje z jej rodziną? Co to za ludzie?

– Nie wiem, nie utrzymujemy bliskich kontaktów.

– I dobrze. Przepraszam, nie powinnam się wtrącać, ale to biedactwo... – Pokręciła głową, przez chwilę oboje wpatrywali się w senne oblicze Ali. – Ona nie chce wracać do domu, już tydzień temu miała być wypisana. Nie chce i koniec, nie wiem, boi się czegoś? Nie ma dokąd wracać? Zrobiła taką awanturę, że musieliśmy dać zastrzyk, groziła, że się zabije, jeśli każemy jej odejść. Doktor rozkłada ręce, bo co niby ma zrobić? Nikogo nie można tutaj tak długo trzymać.

– A co się stało?

Pielęgniarka popatrzyła z niedowierzaniem.

– To pan nic nie wie? Miesiąc temu połknęła tabletki, biedaczka, cudem ją odratowali. Nie jak te histeryczki, co usiłują zwrócić na siebie uwagę. To była prawdziwa, mocna dawka, jeszcze pół godziny i byłoby po niej. Zepsuty żołądek, zepsuta wątroba, i po co to, z jakiego powodu?

Andrzej pokręcił głową, chociaż znał kilka odpowiedzi. Ze smutku, z bólu życia, z braku sił do kontynuowania walki. Wszystkie powody pasowały do Ali.

– Taka mądra dziewczyna, taka ładna. Co my z nią teraz zrobimy? A pan to nie może pomóc? Przecież trzeba ratować dziecko!

– Ja... – Zająknął się. Jak daleko miał zabrnąć w tych kłamstwach? – Ja jestem naprawdę daleką rodziną, prawie się nie znamy, nie widujemy. Przejeżdżałem tylko i...

Rozłożył ramiona, ukłonił się pielęgniarce o dobrotliwym obliczu. Minął ją i wyszedł z sali, zbiegł po schodach na swoje piętro, usiadł na swoim łóżku. Nie wiedział, Alina opowiedziała mu historyjkę o zatruciu. Kupił ją, choć była podejrzenie tania, nie chciał znać jej prawdziwej ceny. Dostał miłość w promocji, z wyprzedaży, miłość z wadą ukrytą. Oboje byli poharatani, niebezpieczni. Andrzej

nie chciał zostać ponownie skrzywdzony, a jeszcze bardziej nie chciał krzywdzić innych. Ten związek donikąd nie prowadził, był ślepą uliczką. Ślepą kiszka, którą trzeba usunąć przy użyciu skalpela. Nawet jeśli będzie musiał tego dokonać na żywca.

Wpatrywał się w okno z poczuciem popełnionego przestępstwa. Przypomniały mu się słowa starego utworu *The Cure: Kiss your eyes and finish your life / Kiss your eyes / Finish your life // I stop and kneel beside you / Knowing I'll murder you again tonight / Knowing I'll murder you again / Knowing I'll murder you again / Tonight*[8]. Zbyt często kobiety przez niego umierały. Tej nie pozwoli umrzeć, nawet jeśli będzie musiał zamordować ich związek.

Pozbierał swoje rzeczy, opuścił salę odprowadzany pełnymi zazdrości spojrzeniami innych pacjentów. Doszedł do połowy holu, gdy z tyłu rozległ się głośny wrzask. Zatrzymał się, odwrócił. Z przeciwnego kierunku sunął powolnym krokiem mężczyzna w szpitalnej koszuli nocnej. Siny niczym topielec wyłowiony z jeziora po trzech dniach poszukiwań, sztywny, kulejący na prawą nogę. Krztusił się, charczał, z ust wypływała mu rzeka ciemnej krwi, która pozostawiała na podłodze krwawą wstęgę. Wrzask powtórzył się z kilku ust jednocześnie, z pomieszczenia socjalnego wybiegły pielęgniarki, z pokoju lekarzy Mała Mi, która zaczęła podskakiwać wokół chorego niczym pchła. Mężczyzna nie reagował na polecenia, był zbyt duży i ciężki, by zatrzymały go pociągnięcia za ramię. Po kilku metrach jednak przystanął, zachwiał się, zatoczył, runął do przodu, najpierw na kolana. Po kilku sekundach na twarz.

Andrzej podszedł bliżej, zaczepił najbliższą pielęgniarkę.

– Nie wiem, nagle zaczął pluć krwią! Przywieźli go parę godzin temu z plaży, podobno wyłonił się z wody...

Pobiegła dalej, a Andrzej poczuł na sobie pogardliwe spojrzenie doktor Złośnicy, bardzo wymowne, nie można mu było odmówić prawdy. Ona prowadziła walkę ze śmiercią, podczas gdy on tylko stał i się tej śmierci bezradnie przyglądał.

Na prawym policzku mężczyzny dojrzał nieudolny tatuaż.

Wyjechał krokodylem szos na ulicę Generała Bema, zatankował na Orlenie, zatrzymał się niepewny, który kierunek powinien obrać. Zbłądził już dawno, teraz chodziło tylko o to, żeby przestać kręcić się w kółko. Jedyne wybory były między wizją końca: albo on skończy robotę, albo robota wykończy jego. Nie było realnego wyboru.

Gryps, tak w prasie nazwali napastnika. Facet ze szpitala był jego kolejną ofiarą, rzygał krwią, ponieważ połknął garść haczyków na ryby. Zatopił je w cieście, połykał kulkami, z premedytacją. W jakim szoku trzeba być, żeby zdecydować się na coś tak drastycznego? Jaką odrazę trzeba odczuwać do samego siebie? Nie potrafił umrzeć, żyć też nie potrafił. Może będzie umiał zapomnieć.

Za dużo cierpienia, za dużo śmierci. Alina jeszcze spała, kiedy zostawił jej na stoliku nocnym list. Porządny, napisany ręcznie, w zaklejonej kopercie. Pierwszy raz postanowił zerwać związek po ludzku, bez unikania odpowiedzialności, chowania głowy w piasek. Kochał ją, mógł to powiedzieć z czystym sumieniem. Nie chodziło jednak o niego, a o nią. Potrzebowała kogoś innego, lepszego, normalnego. Zwykłego chłopca bez bagażu doświadczeń wielkości kontenera na śmieci. Nie daliby rady, nie przetrwaliby ze sobą długo. Słabsze pękłoby i odeszło z tego świata na zawsze. I to nie byłby on.

Dlatego musiał odejść, zwrócić jej wolność.

Ciemnozielone mitsubishi pajero przemknęło ulicą Bema i zatrzymało się na najbliższych światłach, reszta słońca odbijała się w tylnej szybie niczym lampy stopu. Andrzej naszło przeczucie – to mógł być ten samochód, który spowodował wypadek. Który prawie staranował go na skrzyżowaniu w drodze do gospodarstwa Dobrych. Barwa lakieru pasowała, typ auta również.

Punkt zaczepienia, którego mu brakowało. Cel.

Ruszył w ślad za terenówką. Ostrożnie, zgodnie z dawno opanowaną sztuką, którą prawie całkowicie zapomniał. Trzymał dystans, a to powinno wystarczyć, w końcu Węgorzewo to nie Warszawa, na czterech ulicach na krzyż nie sposób nie najeżdzać sobie nawzajem na zderzak. Minęli mostek na Węgorapie, zamek krzyżacki i pocztę, młodzież dekorującą plac Wolności przed nadchodzącym festynem. Dalej jechali Zamkową, na rondzie Andrzej wywinął dwa kółka dla zachowania pozorów. Za mostem przez kanał mitsubishi skręciło w lewo, kierowca ostro przygazował na zapiaszczonej drodze, znikł w zasłonie dymnej z szarego kurzu.

Zauważyli go? Nieważne, musiał zaryzykować. Przyspieszył, ale po niespełna minucie już hamował, wtoczył się na pobocze, schował za kępą krzaków. Wyłączył światła.

Jakieś sto metrów przed nim, na skraju Ruskiej Wsi, majaczyła kanciasta bryła mitsubishi pajero o konturach złowrogo podkreślonych czerwoną poświatą tylnych lamp. Cień ludzki odkleił się od przydrożnej kapliczki, ukląkł na jednym kolanie i zamarkował znak krzyża, wskoczył do auta, które natychmiast ruszyło dalej.

Rozmyło się w poświęceniu zabudowań osady, ale Andrzej nie gnał już na złamanie karku, zaciekała go stojąca na uboczu figura Maryi Matki. Nie z religijności bynajmniej. Nie bardzo wierzył też w dobre intencje typu z terenówki, który nagle postanowił złożyć hołd Pani.

Ciepło – był blisko czegoś ważnego.

Kapliczkę wymurowano z czerwonej cegły, otoczono niziutkim płotkiem z ostrych sztachet. W przeszklonej kabinie stała figurka Matki w niebieskiej sukni. Jej twarz zdawała się poruszać w skaczącym płomieniu chudej świeczki, otwierać usta w niemym przekazie. Nic dziwnego, że nawiedzone babki doznawały w takich miejscach objawień, Andrzejowi też w pierwszej chwili przeszły ciarki po plecach.

Obszedł kapliczkę dokoła, ale niczego nie znalazł. Upewnił się, że nikt nie patrzy, i otworzył okienko. Powoli wsunął rękę, uważając, żeby Maryjka nie nastrzelała mu po łapach, jej uniesione ramię czekało w pełnej gotowości. Nic z tego, drgnęła cała, gdy ją potrącił, jak każdy inny zlepek nieożywionej materii.

Ciepłej – cokolwiek przesunął się, pod nim znajdowała się wyżłobiona przestrzeń. Skrytka. Andrzej miał nosa, Święta Panienka wysiadywała złote jajko. Ciężkie zawiniątko zabezpieczone czarną folią.

Gorąco – znalazł skarb.

Wrócił do auta, naciągnął lateksowe rękawiczki. Scyzorykiem rozpruł folię, pod spodem znajdowały się szmaty, czuć było technicznym olejem. Materiał rozłożył na przednim siedzeniu, przez długą chwilę wpatrywał się w odsłonięty przedmiot. Ujął go najpierw w dwie dłonie, dokładnie obejrzał. Dopiero wtedy zacisnął palce na kolbie, testowo wycelował w nieruchomą Maryjkę.

Przeładował, wyciągnął magazynek – był pełen. Zbliżył lufę do nosa, wydobywał się z niej swąd prochu, broń musiała być niedawno użyta. Nie żadne kolekcjonerskie żelastwo udające pistolet, ale prawdziwa giwera na ostrą amunicję. Stary, zawodny, sowiecki makarow, rozstawiony niedawno przez samego Jo Nesbø.

Parzy – wreszcie trafił mu się prawdziwy ślad. Nie miał jeszcze pojęcia, która to część układanki, ale białe puzzle zaczęły łączyć się w całość, tworzyć obraz.

Obraz zaszedł czernią, w lesie panowała już noc.

W pryzmach reflektorów migwały skrzydełka i skorupy owadów, lśniły ślepia zwierząt. Stanęli przed bramą wjazdową, Lis Leon zamrugnął długimi światłami i sięgnął po paczkę fajek. Poczestował siedzącego z tyłu Tapira, sam wyciągnął

swojego zębami za filtr. Przypalił, zaciągnął się i wypuścił chmurę srebrnego dymu. Bruce zareagował z opóźnieniem.

– Mówiłem ci, żebyś nie jarał w aucie! Mówiłem?

Tapir asekuracyjnie wysiadł, ale Leon tylko przewrócił oczami, opuścił szybę. Kolejnego macha wydmuchał na zewnątrz.

– Czy ty robisz to, kurwa, celowo? Taki sposób, żeby podważyć mój autorytet, co? Małymi króliczymi bobkami srasz mi do kieszeni, aż się uzbiera krowie gówno, tak?!

– Jezu, Bruce, co ci odbiło, chłopie? – Leon wyrzucił prawie całego papierosa za okno, powachlował powietrze dłonią. – Jesteś duży boss, największy, nikt ci tu nie podskoczy, ja też nie. Zadowolony?

– Pierdol się, Lis! Węszą gliniarze, wojskowi, Iwany robią się coraz bardziej nerwowe, a u nas dyscyplina jak w burdelu.

– W burdelu to akurat porządek, kurwy chodzą na krótkiej smyczy i w kagańcach. Nawet minuty więcej nie dadzą niż zapłacona godzina, chyba że za dopłatą.

– Dureń!

Bruce też wysiadł, trzasnął drzwiami. Po chwili do płotu zbliżył się przyszczaty blondyn, wyciągnął rękę na przywitanie, ale obaj mężczyźni zignorowali ten gest. Skrzydła bramy rozwarły się z przeraźliwym zgrzytem, który zdawał się sunąć po wodzie jeziora jak po przewodach wzmacniacza. Gdyby ktoś dobrze wyteńczył słuch, usłyszałby ich nawet na drugim brzegu. Bruce zaklął pod nosem, tyle z konspiracji, którą tak bardzo starał się wdrożyć. Nie byli żołnierzami i nigdy nimi nie będą.

Terenówka wtoczyła się na podwórko, zza domu dobiegło gardłowe ujadanie psiej bestii. Wągier wskazywał Lisowi Leonowi kierunek, otworzył wrota garażu i gestem nakazał cofnąć do środka. Zasygnalizował stop i przywołał przyczajonego w ciemności brata, który przemknął przy ścianie mocno wystraszony. Zapamiętał cięgi zebrane od Bruce'a parę dni temu, nie chciał ryzykować powtórki. Kierowca wyskoczył z kabiny, otworzył pakę i wskazał ładunek, sam zapalił papierosa i oparł się o belę robiącą za framugę wrót.

Z domu wyległ stary, obserwował operację z daleka. Z dystansu przypominał wiązanek szmat zawieszonych na krokwi, żeby wywietrzyły się z zimowego zaduchu.

– Co tam je? – zapytał Bruce'a, który podszedł sfinalizować formalności.

– Nic.

– Czyli jak zwykle. Żebym ja, stary cap, się dał takim chłystkom robić w balona.  
– Nowe czasy, dziadku. Nowe lwy przychodzą i przeganiają stare, prawa natury.  
– Jakby na świecie rzondziła przyroda, kobiety by nie rodziły takich wszarzy. –  
Wskazał fajką czterech chłopaków rozładujących SUV-a.

Bruce musiał przyznać mu rację. Gdyby z taką hałastrą miał iść w bój, pierwsze kule poświęciłby na nich, sam poradziłby sobie lepiej. Oni potrafili tylko przeszkadzać. W tej chwili jednak lepszych nie miał.

Wręczył Lechowi Dobremu zwitek banknotów, które ten bez patrzenia schował w spodniach. Wszedł do garażu, sprawdził towar, kazał zamykać drzwi i odjeżdżać. Wskoczył do kabiny, na pożegnanie machnął ręką. Wągierek podreptał za nimi, żeby zamknąć bramę. Ojciec przykuśtykał do wózka, przyglądał się przywiezionemu przedmiotowi.

– Cieńskie! – poinformował Czyngis, z zadowoleniem szczerząc zęby.

Stary przywołał go ruchem ręki do siebie, uwięził głowę w zgięciu ramienia, przyciągnął do piersi.

– Ty żeś je tak gupi, chłopcze, że nawet się do roboty nie nadajesz – powiedział mu na ucho. Puścił, poklepał po tyłku. – Tera do dom, wyszoruj się porzondnie, żebyś był czysty, jak wróce. A jak jeszcze raz bende cie musiał szukać po nocy, zatłukę jak psa!

Syn pobiegł do domu, a ojciec postukał dłonią w dostarczony przez bandę przedmiot. Blaszana skrzynia szczelnie zawinięta na zewnątrz folią. Trumna. Ciekawe, co tym razem kazali mu w niej pochować.

W drodze na komendę wysłał SMS do Niańki, chciał dowiedzieć się czegoś więcej o typach z mitsubishi pajero. Baza danych informowała, że pojazd zarejestrowany był na niejaką Marię Bruską, osiemdziesięcioletnią emerytkę, zapewne pasjonatkę motoryzacji. Nic, co wprowadzałoby tok myślenia na prawidłowe tory, Andrzej potrzebował informacji z terenu, a sam był w Węgorzewie za krótko, by wiedzieć cokolwiek o tutejszym półświatku. Potrzebował wsparcia, a w zmieniających się okolicznościach mógł liczyć tylko na Jasia. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast: „Grill u Szefowej. Czemu Pana jeszcze tu nie ma, są wszyscy!”.

Wszyscy. Już dwa razy dostał zaproszenie na te legendarne imprezy, zawsze

znajdował pretekst, żeby nie przyjść. Wszyscy, czyli nikt, z kim miałyby najmniejszą ochotę utrzymywać jakiegokolwiek stosunki poza komendą. Pajęczyna układów i zależności, po której nie potrafił się poruszać i nie miał zamiaru się tego uczyć. Choć doskonale znał konsekwencje pozostawania poza grupą, doświadczył ich niejednokrotnie. Jeśli nie było się pająkiem, stawało się muchą, wpadało się w tę sieć prędzej czy później. Oczekiwało na pożarcie.

Skręcił w osiedle, saaba zatrzymał przy chodniku, za roziskrzoną audicą podinspektora Marychy, która kłuła w oczy refleksami wypolerowanego na lustro lakieru i chromowanych akcentów. Przypominały platynowe zęby w uśmiechu brooklińskiego pimpa, z tą różnicą, że alfons obracał żywym towarem, gliniarz z drogowki tylko żywą gotówką. Zawsze jakieś wytłumaczenie, jeśli chodzi o rachunek sumienia, w końcu ma na koncie dobre uczynki: odstępując od czynności służbowych, pomaga uciskany przez państwo bliźnim w potrzebie. Katolik jak się patrzy, pozwala żyć innym, to też sobie trochę pożyje.

Zza parterowego domku z kolumnami buchała poświata ognia i lamp ogrodowych o ciężkim, tłustawym świetle. Rąbanekę disco polo tłumili głośne rozmowy i śmiechy. Śwąd przypalanego mięsa snuł się między kilkumetrowymi choinami jak mgła, w jego oparach próbował schować się wysoki cywil, którego Andrzej nie znał, pewnie ktoś ważny z magistratu, bo szczał bez zażenowania, jakby miasto było dla niego kloaką. Może było, a on kierował wydziałem nieczystości i ścieków? Pan smrodu, śmieci, gnojówki i gówna.

Żar tłących się grilli rozpalał zbite w niewielkie grupki postacie do czerwoności, połówki, pozostałe części chowały się w cieniu. Widać więc było tylko fragmenty twarzy i głów jak na obrazach Rembrandta, mozaika dwulicowości i fałszu. Esencja wszystkich prowincjonalnych małych środowisk, od pokoleń hodowanych na zasadach chowu wsobnego, mutacje bohaterskich genów ojców założycieli, niepokalanych matek Polek, szlacheckiego warcholstwa i wojowników wyklętych.

Na stołach królowały ślaska z resztek poddzielanych mechanicznie, kaszanka z ludzkiej krwawicy i karkówka z tuczników karmionych przetworzoną padliną. Rуска wódka, ruskie słodczyce i ruskie chipsy, pewnie z przemytu.

– Bondar! Nie spodziewałam się ciebie! – Gospodyni przywitała Andrzeja niczym hiszpańską inkwizycję z Monty’ego Pythona, z różowym drinkiem w obscenicznie długim longu, który obejmowała jak fiuta.

– Jeśli szukasz swojej Maryśki, to masz pecha. W ostatniej chwili odmówiła, dostała cioty! – ryknął rubasznym śmiechem Zioło.

Najgłośniej zawtórowały mu kobiety.

– Chodź, chodź, kumplu, częstuj się! – Opasły naczelnik prewencji zwany Plebanem zaprosił go ruchem łopatki do grilla. Wskazał plasterki cukinii i pomarszczone papryczki. – No nie bój się, nie dam ci mięcha, specjalnie dla ciebie trzymam pipki!

– Nie pozwalaj se, Benek, z nadkomisarzem rozmawiasz. – Chłopska stanęła w obronie Andrzeja. – Szanowni państwo, kto jeszcze nie zna, to przedstawiam: nowy naczelnik wydziału kryminalnego, nadkomisarz Bondar, pośród polskich śledczych prawdziwa legenda. Tyle skuteczny, ile elegancki, proszę, jaki szyk, jakie poświęcenie policji, nawet nocą na służbie. Wiem, wiem, może nie agent Bond, ale prawie. Podwójne zero bez siódemki.

– Bondzia! – krzyknął ktoś z tłumu.

Andrzej poczuł się jak freak w przedwojennym cyrku. Jeszcze chwila, a zaczną go szturchać nożami i widelcami, sprawdzać, czy jest tylko plastikową makietą, czy toto naprawdę żyje. Cudak. Kretyn, że w ogóle zjawił się na tej imprezie, mógł się takiego przywitania spodziewać. Nawet nie miał z kim i o co walczyć, jego wrogiem były opinia i wizerunek.

Uśmiechnął się i uklonił, jak na dyżurnego klauna przystało. Z godnością przyjął od Plebana papierową tackę z górą warzyw, z których najbardziej rzucały się w oczy pomarszczone pipki papryczek, jak Pleban obiecał. Andrzej cofnął się w cień i zjadł trochę, nie zważając na to, że mogą mu stanąć w gardle, był głodny.

Okrzyżył gości od strony ogrodu i podszedł do Niańki przyspawanego do boku drobniutkiej pani w żółtej sukience, z nosem spiczastym jak żądło osy. Żony. Na jego widok Gryczak zrobił tak przerażoną minę, że Andrzej natychmiast zrezygnował ze służbowego pytania, w kilku słowach polecił mu zebrać na przedpołudnie informacje o załodze zielonego pajero i życzył miłego wieczoru pięknej, kłującej pani. Nie tylko ona miała wobec niego uprzedzenia, posyłane mu spojrzenia bodły i popychały, szczególnie silnie ze strony jego własnych podwładnych. Postawili na silniejszego konia, zapominając, że to on ciągle jest ich zwierzchnikiem i da im ostro popalić, jeśli tylko nadarzy się odpowiednia okazja.

Dołączył do grupki, w której główną atrakcją była gospodyni we własnej, stosownie odpicowanej osobie.

– Niezłe przedstawienie, Chłopska – pochwalił. – Minęłaś się z powołaniem.

– Pani komendant, jak dla ciebie – warknęła od niechcienia, wyraźnie połączona komplementem. – Ale dziękuję, zawsze chciałam zostać aktorką.

– Miałem raczej na myśli trupę uliczną. Wiesz, kuglarze, błazny, połykacze



ognia, kobieta z brodą.

Mężczyźni zarechotali pod nosem, a purpura na twarzy Chłopskiej przebiła nawet maskę tapety. Przeprosiła znajomych, wepchnęła Andrzeja do salonu i zatrzasnęła drzwi.

– Czego chcesz, po coś tu przylazł, ktoś cię prosił?

– Niańka.

– Jak Niańka, co Niańka? – Oboje wyjrzeni przez okno na Jasia napiętego jak struna na stelażu swojej małżonki. – Gadaj, czego chcesz, goście czekają!

Andrzej pomyślał o pistolecie w schowku saaba i swoich domysłach, ale postanowił zachować informacje dla siebie. Został sam. Jeśli chciał jeszcze cokolwiek osiągnąć, musiał działać solo.

– Właściwie nic. Tak przyszło mi do głowy, że wpadnę, pogadam z przyjaciółmi, spiję piwko.

Inspektor prychnęła, podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Już ci wierzę!

– Pewnie. W każdym razie dziękuję za gościnę, widzimy się jutro.

– Poczekaj! – Andrzej zatrzymał się z ręką na klamce drzwi balkonowych. – Zleciłam w prewencji akcję przeciwko homosiom, przetrząśniemy miasto i ośrodki wczasowe, przyciśniemy ich. Prasie wyraźnie znudził się biały szkwał, podłapali temat Grypsa i poszkodowanych mężczyzn. Robi się głośno, nieprzyjemnie, trzeba działać.

Andrzej pokiwał głową.

– Gratulacje, świetna decyzja! Wystarczy odpowiednio silnie wyżyć szmatę, a zawsze skapnie z niej jakaś kropelka, strzelić na ślepo pałą w tłum, a ktoś piśnie. Pleban będzie szukał sprawców przemocy, wow, to jakby politycy mieli wytępić kłamców. Wrzuć czarownice do jeziora, a na pewno któraś nie utonie, okaże się wiedźmą. Media was za to pokochają, mocodawcy pochwalą, będą uściski rąk, awanse i medale!

– Za to twoje działania przynoszą same sukcesy, Bond!

Nie przynosiły. Miała rację. On przynajmniej nie strzelał z grubej rury na oślep, ewentualnie z malutkiego kalibru. Wyraźnie brakowało mu gestu.

– Jeszcze raz miłej zabawy – pożegnał się.

– Nie tędy, Bondar, wyjdź frontowymi drzwiami.

Wyrzucała go więc oficjalnie, publicznie. Głównym wyjściem.

Wyrzucili go dwa lata temu, kiedy się wreszcie przyznał. Nie potrafił żyć w kłamstwie, a wierzył, że prawda i szczerłość to wartości powszechne, doceniane przez wszystkich. Matka zaczęła rwać włosy z głowy, ojciec jakoś przełknął rozpacz, ale nie wstyd, wykopał go z domu na ulicę, żeby widzieli sąsiedzi. Trafiło mu się nieszczęście, zdarza się, trzeba je jednak umieć naprawić. Lepiej żaden syn niż sfatygowany, więc wyrzekł się go głośno, żeby wieść poszła w miasto. Miłosiernie, bo jeszcze jakieś sto lat wstecz zatłukłby go na śmierć i dostał za to rozgrzeszenie od księdza. Zmazałby plamę na honorze zupełnie, a tak ciągle było ją widać.

Marnotrawny syn nie potrafił odpuścić, ciągle zjawiał się w domu. Po cichu, pod osłoną ciemności, tylnym wejściem, żeby nikt go nie widział. Matce szybciej miękło serce, przyjmowała go w kuchni przy szczelnie zasuniętych zasłonach, te parę koniecznych zdań wymieniali półgłosem. Ojciec zatrzaskiwał się na ten czas w warowni salonu, rozpamiętując rodzinną tragedię w samotności. Bezradny, bo cóż jeszcze mógł począć. Córka to nie to samo, nazwiska dalej nie przekaze. Kobiecie stuknęła sześćdziesiątka, nic więcej mu nie urodzi. Może gdyby się więcej modlił, uczciwie chodził do kościoła, dramat wydarzyłby się gdzie indziej, nie u niego. Nie kradł z roboty, nie wędkował bez karty, nie głosował na komunistów. Gdyby tak gnojka nie rozpieszczał, regularnie lał pasem, po bożemu, od małego gnał do fizycznej roboty...

Nie rozumieli, on też nie rozumiał. Ojciec raz wytłumaczył, że to tak samo, jakby codziennie żarł zgniłe mięso, a mięsne robaki cały czas by w nim żyły. Więc Michał był robaczywy. Zepsuty w sposób nie do naprawienia. Wybrukowany. Z czasem zaczął rozumieć, ale nie do końca. Był inny i co z tego? Nie kochał ich? Nie starał się być dobrym synem?

Nie potrafił tak po prostu zniknąć, próbował. Zabić też się chciał, parę razy, żeby wyręczyć ojca i zmazać z ich rodziny ten wstyd. Za bardzo kochał jednak życie, nie jego wina. Przepraszał za to, tłumaczył, klękał i całował ich w stopy, ale ojciec kopał, matka w końcu też odtrącała. Nie miał nikogo. Nie miał nawet siebie, bo nie potrafił się odnaleźć. Zupełnie jak podczas próby samobójczej, był zanurzony w wodzie, lecz nie opadał na dno.

Wisiał.

Teraz pukał już trzeci raz, nikt nie otwierał. Nie spali jeszcze, wiedział o tym. Znowu nie chcieli go wpuścić, usiłowali go zatrzymać jak najdalej od domu. Nie

uda im się to, on nie pozwoli. Zabrania!

Obszedł budynek i spróbował od podwórka, walił pięściami, aż dudniło, kołatał źle osadzony zamek. Dwie chałupy dalej obudził się pies, zaczął szczekać. W oknie sąsiada poruszyła się firanka, ciemna postać przyłożyła głowę do szyby. Obserwowała, wietrząc sensację. Kolejne plotki, żeby jeszcze bardziej dobić rodzinę Kłosów. Zgodnie z zasadą sąsiedzkiego miłosierdzia napluć leżącemu w twarz.

– Cicho bądź, Michał! – usłyszał głos matki ze środka. – Śpimy, idź do siebie!

– Wpuść albo zacznę krzyczeć!

Zazgrzytał przekręcany klucz, zaskrzypiały nienaoliwione zawiasy. Z mieszkania buchnął zapach starych ludzi i niewietrzonych izb, zapach rodziny. Zapach miłości.

– Jesteś pijany! – syknęła matka.

W wielkiej niebieskiej koszuli nocnej wyglądała jak brudna pościel przewieszona przez krzesło.

– Jestem! Narkotyki też brałem, a co, nie wolno mi?! – odparował, ale zaraz pożałował tego tonu. Przychodził z tęsknoty, w pokoju. – Nie usiądziemy?

– Nie. Ojca już położyłam spać, sama też się kładę. Nie zaśnie beze mnie. Proszę cię, Michał, idź do siebie, nie rób awantur. Mało to mamy biedy przez ciebie?

– Przeze mnie! Jasne, że przeze mnie, matko. A kto niby mnie urodził, nie ty? Kto spłodził, nie twój mąż? Twoja Bozia nie spartoliła roboty? Ale nie, wszystko oczywiście przeze mnie!

Nie wytrzymawał, czuł w żyłach pęd krwi, złość, od której pęczniała głowa. Pragnął przekonać ich, nawet jeśli miałyby użyć całej siły. Włać im tę wiedzę do głów, wbić młotkiem.

– Ja ciebie proszę, Michaś, nie po nocy. – Matka przeszła w błagalny, płaczliwy ton. – Ty chyba chcesz nas wykończyć, wpędzić do grobu.

– Po nocy nie. W dzień nie. Często nie. Długo nie. Co ja jestem, telewizor, żeby mnie sobie włączać i wyłączać? Powtórka filmu?

Zakrztusił się, zakaszłał. Usiadł na stołku, przy którym ojciec kiedyś wkładał i zdejmował buty. Oparł się plecami o jego kurtki na wieszaku, nosiły woń pracy, lasu, odświeżonych dni. Prawie tak, jakby go w siebie wtulały.

– Michał, jak ty w ogóle możesz? Jak śmiesz tu po tym wszystkim przychodzić?

– Po tym, jak mnie wyrzuciliście z domu, bo kocham inaczej. Bo pozwalam się różnić w dupę?

– Jesteś obrzydliwy, ja... ja nie mogę cię słuchać. Nie mogę na ciebie patrzeć...

Schowała twarz w dłoniach, pokręciła głową, między palcami zamigotały krople łez. Michał zerwał się z krzesła, objął matkę, przycisnął do piersi. Starsza kobieta po kilku sekundach zaczęła się szamotać, uwalniać, w końcu odepchnęła syna. Bojowo zacisnęła pięści, wykrzywiła twarz w okrutnym grymasie.

– Nie dotykaj mnie! Ty... To ty nasłałeś na tatusia tych drabów. Przetnęli mu nogi, krzyż, przetnęli życie. Ty wiesz, co to znaczy dla chłopca jeździć na wózku? Ty masz jeszcze jakieś sumienie?

Miał i bolało go każdego dnia tego małego życia, które musiał przed sobą pchać. Zamierzał po raz kolejny błagać o przebaczenie, ale kwitnące w nim poczucie niesprawiedliwości miało inne plany. Roześmiał się złym, histerycznym śmiechem.

– A może to wasza kara za grzechy, nie wpadłaś na to? Teraz masz w domu dwie kaleki, która większa, co? No, który jest mniej mężczyzną, pedał czy inwalida?

Uderzyła go w twarz. Policzek zapłonął poza miejscem, gdzie trafiła go złota obrączka, tam urósł sopel lodu. Michał cofał się, aż drogę zagroziły mu drzwi. Szarpnął za klamkę, wypadł z domu. Przeskoczył przez płot na ulicę, biegł środkiem w kierunku rozświetlonego lampą muru cmentarza. Łzy zamazywały widok, który rozpływał się w rzekę smutku. Gdyby była prawdziwa, rzuciłby się w nią, spróbował utopić jeszcze raz. Ból duszy był nie do zniesienia. Zgromadził w sobie cierpienie ojca, matki, jego własne, ból większy niż powierzchnia jeziora.

Będzie silny. Nie wymaże ze świata siebie, niczemu nie zawinił. Pozbędzie się wszystkich innych, po kolei, co do jednego. Jeśli już ma być sam, będzie sam. Niech oni wszyscy idą do piekła!

Dudnienie w drzwi.

Tapir ocknął się z drzemki. Zmrużył oczy oślepienie agresywnym światłem olbrzymiej plazmy, która zdawała się pochłaniać całe wnętrze pokoju, tryskać sokami żołądkowymi, trawić i zasysać jak gigantyczna mucha.

– Co to było? – Z fotela dobiegł wystraszony głos matki. – Tomeczku, słyszałeś, ktoś chyba puka do drzwi?

– U nas? – Tapir nadstawił uszu. – Nie, to u sąsiadów.

Dudnienie powtórzyło się. Oboje jednocześnie posłali wzrok w kierunku wyjścia, odwrócili się i skrzyżowali spojrzenia. Jego – zaniepokojone, jej – pełne wyrzutu. Więc doczekali się, zdawała się mówić. A ostrzegła, że z włóczenia się z tymi bandytami niczego dobrego nie będzie, tyle razy przepowiadała nieszczęście. Stało się, policja upomniała się o jej jedyne syna.

– Dzie! – warknęła, gdy Tomek wstał z sofy i zrobił krok w stronę okna. – Otwórz im drzwi, bo nam jeszcze większy biedy napytasz. No, jazda, na co czekasz?!

Zawahał się, ale wzrok matki kierował nim niczym wiązką lasera. Obok strachu drgnęła w nim żyłka złości. Wciąż ktoś mówił mu, co ma robić. Rozkazywał, przestawiał z kąta w kąt, strofował. A on też swoje wiedział, miał coś do powiedzenia. I powie to wreszcie, nawet jeśli miałby to zrobić na policji. Nikt nie będzie nim pomiatać, nikt!

– Kto tam?

– Harcerze.

– Kto?

– Nikt, durniu, otwieraj!

Ulga. To nie gliniarze.

– Kto? – dopytywała się matka z pokoju.

– Słyszałaś, nikt! – rzucił przez ramię poirytowany syn.

Odryglował drzwi, gość z impetem wpadł do środka, odepchnął go.

– Gdzie klamka!

– Co?

– Brałeś ją?

– Robert? – Matka wyłoniła się z pokoju, stanęła za plecami syna rozjaśniona nienaturalnym blaskiem telewizora. Niedoprany, szary duch z pomarszczonego prześcieradła. – Co tu się dzieje, o co chodzi?

Tapir opuścił głowę, pozwalając matce stanąć w swojej obronie. Jak zawsze, kiedy coś zbroił w młodości.

– Ja nie chcę tu, Tomek, żadnych awantur, ile razy mam mówić! Cholera jasna, dziecko śpi, a te mi tu... Wynocha na dwór!

Jak na komendę Tapir podniósł głowę, niespodziewanym ruchem wypchnął szefa za próg. Wyszedł, zatrzasnął za sobą drzwi. Stali teraz w półmroku podwórka

oświetlonego żarówką ledwo przebijającą się przez brudny klosz nad bramą wjazdową. Bruce wykonał krok do przodu i wyprowadził błyskawiczny cios. Trafił w tors powyżej serca, ostrzegawczo, ale także zaczepnie. Zamierzał w ten sposób odzyskać swoją hegemonię i zakomunikować, że w razie czego jest gotów do walki.

Uderzenie było silne, zderzające się tkanki głośno plasnęły, ale podwładny nawet nie drgnął. Był wielki, ciężki, wrosnięty w ziemię jak mur. Silny, silniejszy od herszta, który zaskoczony cofnął się, wołał nie ryzykować starcia. Uniesiona warga i wyszczerzone zęby Tapira nie zwiastowały niczego dobrego. I tak mieli dość kłopotów, nie było miejsca na konflikty wewnętrzne.

– Pod Maryjką nie ma giwery – wycedził półgłosem. – Wiesz coś na ten temat?

Królicza warga pokręcił głową.

– Nikt nie widział, jak ją tam chowaliśmy? Wczoraj? Nikt nie szczał w krzakach, nie orał pola, nie przejeżdżał w pobliżu?

Ta sama reakcja.

– Lis Leon?

– Co, kurwa, Lis Leon? Przecież go nie ma od wczoraj, rucha w Kętrzynie. Zresztą dzwoniłem do niego, nic nie wie.

Bruce nabrał głęboko powietrza, powoli je wypuścił, jakby wykonywał ćwiczenia na opanowanie emocji. Założył ręce za głowę, podreptał na kilku metrach kwadratowych, z trzaskiem wyłamał stawy palców.

– Gliniarz.

– Kto?

– Gliniarz – Tapir powtórzył niepewnie. Nie był już tym samym monolitem co przed minutą. Popękał. – Ten nowy, z kryminalnego, co wygląda jak mysia pizda. Tłukł się za nami swoim sraczkowatym klaprem, mignął mi wtedy ze dwa razy.

– Kurwa mać, miałeś pilnować drogi! To cała twoja robota, masz obserwować moje jebane plecy!

– Myślałem, że gdzieś tylko jedzie, w tej zapiżdżonej dziurze...

– Chuj, a nie dziura! Ja pierdolę...

Przez chwilę głośno sapał. Tapir przełknął ślinę, napięta złością struna sflaczała, gryzła w gardle. Znowu spartaczył, nie było wątpliwości.

– Sorry, Bruce, jakbym wiedział...

– Morda! Myślę teraz, nie widzisz?

Herszt dla zobrazowania tej czynności przespacerował się po podwórku jak Bonaparte. Poskutkowało.

– Ten pies ma podobno i tak przejebane, zakładają mu kaganiec i łańcuch, nikt po nim nie zapłacze. – Jego głos zabrzmiał jak wyrok. – Co się tak gapisz? Wiesz, co się stanie, jeśli powiążą kolano z nami?

– Myślisz, że jeszcze nie wiedzą?

– Dostałbym cynk. Z tym pipowatym gliniarzem nikt nie gada, spuścili go w kanał. Mają zawiesić, może nawet wrzucić na dołek. Więc mamy jeden ruch po naszej stronie. Musisz działać szybko, Tapir.

– Ja?

– A kto zjebał sprawę? Przy okazji wykażesz się, udowodnisz swoją przydatność. Wystarczająco długo byłeś zuchem, czas awansować na harcerza.

– Co... co mam zrobić?

– To co zawsze, co ci ostatnio tak dobrze wychodzi. – Bruce wykrzywił twarz w obleśnym uśmiechu, wsunął między zęby koniuszek języka. – Tylko bez przyjemności, to ma być czysta robota. I tym razem do końca, nie chcę o tym pedale więcej słyszeć, jasne?

Tapir nieznacznie kiwnął głową. Przeszyła go wiązka prądu. Strachu i podniecenia.

Tej nocy księżyc był jeszcze bardziej nieobecny.

Niebo przypominało górę o tak stromym zboczu, że nie widziało się szczytu. Andrzej zapragnął znaleźć się na pustkowiu i krzyczeć, wyrazić kotłujące się w nim emocje bez użycia znaków i słów, samym wrzaskiem. Wywołać lawinę, która zdusiłaby wszelkie życie. Zgasiła światło.

Zamiast tego otworzył oczy i spojrzał w lusterko wsteczne. Mrok, który pożarł księżyc, pochłaniał i jego. Oczy były coraz czarniejsze. Zimne stalowe jądra.

Wyciągnął komórkę. Długo wpatrywał się w swoje odbicie w uśpionej tafli wyświetlacza. Kilka niepełnych rysów, szare smagnięcia pędzla na tle mrocznej czeluści. Uruchomił ekran, wybrał numer telefonu do mamy. Dopiero po piątym sygnale uświadomił sobie, jak jest późno. Nie zdążył przerwać połączenia, w słuchawce pojawił się zaspany głos starszej kobiety.

– Co się stało?

Żadnego przywitania, żadnej radości, od razu niepokój, negatywne napięcie.

– Nie, nic, mam, chciałem pogadać.

– Jezu, Andrzej, dochodzi północ. Nie możemy tego odłożyć na jutro?

Możemy, nie możemy, możemy, nie możemy. Licytacja trwałaby bez końca, a on i tak nie potrafiłby zdecydować. Tak dawno nie obarczał matki swoimi problemami, że poczuł dojmujący wstyd.

– No dobra, mów, jak już mnie obudziłeś. – Matka na szczęście zadecydowała za niego. – Coś w pracy?

– Tak jak zawsze, ale nie, nie o to chodzi. Ta dziewczyna, o której ci wspominałem...

Głębokie westchnienie dobiegające z dna studni. Zniecierpliwienie i rezygnacja.

– Co tym razem wysmarowałeś?

– Nic, nie pasowaliśmy do siebie. Byliśmy dla siebie zagrożeniem. Ona... – Co ona? To była jego decyzja, jego odpowiedzialność, jego wina. – Nie mogłem inaczej postąpić.

– A ja już planowałam wyprawę do kawalerki babci. Zastanawiałam się, który pokój najbardziej pasowałby dla dziecka.

– Mam!

Poczuł wilgoć w oczach. Miał szansę sprawić tej kobiecie radość, na którą czekała całe życie. Nikogo innego poza nią nie miała, on nie miał nikogo poza nią. Nagle odniósł wrażenie, że rozmawiają po raz ostatni, więcej jej nie zobaczy. I to wcale nie z powodu jej śmierci.

– Mam, gdyby coś się wydarzyło, pamiętaj, że byłaś moim jedynym szczęściem. Tylko przy tobie rozumiałem, co to słowo w ogóle znaczy.

– Andrzej, co ty wygadujesz? Ty jesteś pijany? Ćpałeś!

Biedna, stara, styrana matka. Zawsze potrafi znaleźć powód psychicznego kalectwa syna. Całe zło pochodziło z zewnątrz, nie mogło przecież załęgnać się w ciele jej jedyne dziecko.

– Nie martw się, mam, będzie dobrze. Dobranoc.

Zakończył połączenie. Wyłączył telefon, nie chciał kontynuować tej rozmowy. Poczuł ciężar kolejnego wyrzutu sumienia, nie powinien jej infekować swoim nastrojem. Musiał się z tym uporać sam. Musiał odreagować, zresetować dysk twardy, żeby nie oszaleć.



Wszedł do lokalu. Wszystko wokół niego mnożyło się, mrowiło, rosło, a on pozostawał w swojej stałej formie, coraz mniejszy i mniejszy. Potrzebował jakiegoś bodźca, obcej ingerencji, bez znaczenia – piekielnej czy boskiej. Wbił się w kolejkę do baru, w oczekiwaniu na zamówienie wchłaniał żar bijący od innych ciał, zapach perfum i potu, wsłuchiwał się w muzykę i słowa, wypatrywał gestów zachęty. DJ siedział na antresoli, parkiet poniżej kipiał kształtami i kolorami, stoliki zarywały się pod ciężarem butelek, łokci i głów, ściany stękały pod naporem zlizujących się par.

Zamówił od razu dwie kolejki, pierwszą setkę wypił przy barze. Z drugą szklanką w dłoni przepchnął się dalej, w pobliże parkietu. Otoczenie wirowało i pulsowało, wciągało go, stał się częścią większej całości, częścią skomplikowanego wzoru. Przynależność dawała siłę i cel, wiedział o tym. Karmiła, każdą przegraną przekuwała w obietnicę ostatecznego zwycięstwa. Też w tej chwili to czuł, wszystko wciąż było możliwe, mógł wygrać, choćby z naprzeciwna nadchodziły oddziały wrogów. Był niezniszczalny. Miał moc.

Po drugiej setce wypatrzył w tłumie znanego z akt policyjnych dilera. Ten wyczuł gliniarza na odległość, ale nie zdążył uciec. Samara z pięcioma getami koksu wsunięta w wyciągniętą łapę wystarczyła za łapówkę, rozstali się w zgodzie. Andrzej wciągnął w kabinie kibla, poczęstował małolatę, która zapukała nie do tych drzwi. Wrócili do sali razem, zaprowadziła go na parkiet, lepiła się do niego w tańcu jak popołudniowe słońce, ocierała, pachniała i smakowała owocowym cukierkiem. Zapomniał o złym świecie czekającym na niego za ścianą, rozpalił się pożądaniem, zapragnął wgryźć się w jej młodość i wyssać jej jak najwięcej. Nasycić się niczym wampir krwią.

Wtem znowu powiało chłodem, poczuł na plecach lodowate mrowienie. Rozejrzał się. Kątem oka wyłapał kilka znajomych rysów twarzy, owal głowy. Człowiek z połową twarzy, który od paru dni pojawiał się na granicy widzenia. Śledził go. Obserwował.

Bondar odepchnął uwieszoną na sobie dziewczynę i zszedł z parkietu. Wzmocnione narkotykiem spojrzenie prześwietlało ludzi i rzeczy, wyłapywało najdrobniejsze detale. Gdzieś tam był upiór, czaił się, coś planował. Co? Do głowy przychodziły Andrzejowi tylko te najgorsze pomysły. Stał się celem polowania, zwierzyną łowną. Już dawno musiał wpaść na jakiś poważny ślad, czego nie był świadomy. Ale oni byli, nie spuszczaali go z oka.

Jest! Twarz mignęła w tłumie i schowała się za filarem. Dogoni go, dorwie i zmusi do gadania.

Przedzierał się do wyjścia, w tę samą stronę zmierzał mężczyzna. Teraz widział tył jego łysej głowy. Odwrócił się, na ułamek sekundy skrzyżowali spojrzenia, to wystarczyło. Andrzej zatrzymał się, był pewien. Obrazy nałożyły się na siebie, pasowały. Miał przed sobą oblicze, które dostrzegł pod wodą, kiedy tonął we śnie. Zniekształcona, asymetryczna twarz, pół człowieka i pół zjawy. Coś jeszcze, czego nie zanotował do tej pory – rozłupana warga, zza której wyzierały kawałki zębów. Prześladowająca go postać wypełzła za nim z jeziora, płynnie przenikała świat jawy i świat snów. Dręczył go jeszcze jeden, nieznan demon.

Radził sobie z innymi, jemu też się nie podda.

Ruszył w pościg, walczył z prądem i naporem ciał, szarpał i pchał, był gotów drapać i gryźć. Wyrwał się z uścisku tłumu, wypadł na zewnątrz. Stał na środku parkingu, lustrował teren. Demon gdzieś był, chował się, wsiąkł w mrok i stamtąd go obserwował. Andrzej wyteżył wyostrzone dragami zmysły, obrał kierunek. Znajdzie go, chociażby miał przeorać ziemię, zedrzeć ciemność. Zasnąć i przenieść się w koszmar, ojczyznę zła.

Wszedł na deptak prowadzący na przystań, po dwustu metrach przekroczył rzekę. Otoczyły go monolity kamiennych bloków, niskie, ale przysadziste i nachylające się nisko nad ziemią. Uciekł im, przeszły w karłowatą zabudowę garaży i magazynków na rupiecie, domków zamieszkanym przez martwe rzeczy. Więc skąd ciągle padał na niego ten wzrok, kto ciągle go obserwował? Wcisnął się w kąt, wysypał kopczyk kokainy, wciągnął z kciuka. Gdzieś blisko strzelił piorun, świat eksplodował, jaskrawe światło na kilka długich sekund prześwieciło noc. Przez chwilę narkotyk pozwalał Andrzejowi widzieć w ciemności.

Nie było tam tego, którego ścigał, obrał złą drogę. Wokół otaczały go przerażające postacie, które zeszły ze ściennych murali, umundurowani mężczyźni i białe ptaki nienaturalnej wielkości, ociekające czernią i krwią, którym bliżej było do hitlerowskich gap niż do polskich orłów. Bury, Łupaszka, Ogień, armia umarłych, wyklętych żołnierzy, w których próbowano tchnąć życie w trakcie mistycznych, na poły religijnych, na poły nacjonalistycznych obrzędów. Zbrodniarze dla swoich ofiar, bohaterowie dla zagubionych następców.

Zniknęli, na ziemię wróciła noc. Andrzej szedł dalej, minął ostatnie zabudowania, umykających przed nocą przechodniów. Zboczył w lewo, w ścieżkę prowadzącą w mrok. Nagle zrobiło się cicho, wręcz głucho, umilkły nawet pluski szczurów wodnych i świerszcze. Nie było nic, Andrzeja otaczała ściana skondensowanej nocy, twarda i nieprzenikniona jak mur. W dziurę, którą pozostawił w przestrzeni księżyc, wlało się całe światło, nie pozostała nawet iskra.

Strach. Coś było w pobliżu, może nawet na wyciągnięcie ręki, coś pozbawione zapachu i kształtu. Pulsująca w tętnicach krew rozbrzmiała dźwiękiem utworu *The Cure: At night / I hear the darkness breathe / I sense the quiet despair / Listen to the silence / At night / Someone has to be there*[9].

Andrzej pomylił się, nie zdołał się przed tym obronić, na obcym terenie nie miał najmniejszych szans. Dał się wciągnąć w zasadzkę. Nie wiedział, w którą stronę biegła dalej ścieżka. Nie wiedział, w którą stronę powinien się wycofać. Za którymś kolejnym krokiem otworzy się przed nim ziemia, pochłonie go. Jeśli przestanie się ruszać, przygniecie go mrok. Włączyłby latarkę w smartfonie, ale wtedy zamieniłby się w świetlika. Upoluje go ptak.

Szmer. Nie, szept!

Jakieś nieznanne słowo. Padło z boku, po prawej stronie. Ostrożnie przesunął stopę, drugą, powietrze macał wyciągniętą przed siebie dłonią. Trafił na coś, ciało! Nie, drzewo, konar jakiegoś krzewu. Sypka ziemia, krzywizna, buty zaczynały ześlizgiwać się w dół. Stał i nasłuchiwał.

Szept powtórzył się tuż za nim. Na karku poczuł czyjś oddech. Na chwilę stracił przyczepność, ziemia zakręciła się w odwrotną stronę. Zaraz zderzy się z czymś wyjątkowo twardym. Coś czyhającego w ciemności przygniecie go.

Spadał.

Upadł twarzą na ziemię. Zanim uniósł się na ramionach, przez kilkanaście sekund pozostawał zupełnie nieruchomy, znikł w mroku.

Myśliwy operował węchem i słuchem, dotykiem, jeśli ofiara była wystarczająco blisko. Woń ludzka ulatniała się, przechodziła smrodem mokradeł. Kiedy brakowało też dźwięków, łowca stawał się ślepy potrójnie, tracił trop. Dlatego starał się trzymać zdobycz na wyciągnięcie ręki, w polu rażenia. Ucieczka była dużo trudniejsza niż pogoń, ofiarę paraliżował lęk, drapieżnikowi adrenalina dodawała szybkości, sprytu.

Zdobycz poruszyła się, zaszeleściło ubranie. Cichy, ledwo uchwytny dźwięk, bliźniaczo podobny do szelestu trzciny. To wystarczyło. Mężczyzna namierzył położenie obiektu, błyskawicznie wyliczył odległość i siłę potrzebną na wyprowadzenie ciosu.

Skoczył.

Trafił w pustkę. Warknął z wściekłości, jednocześnie jego wybrakowaną twarz przeciął grymas uśmiechu. Zachichotał. Kolejny raz trafił na przeciwnika, który

stawiał warunki. Nie spodziewał się tego, typ był pijany, wyglądał na skończonego mięczaka. Myśliwy spodziewał się łatwego łupu, a dostał nagrodę.

Prezent, który wymagał rozpakowania siłą.

Wciągnął w nozdrza powietrze, wyniuchał pot. Ponowił atak, tym razem trafił, ale tylko raz, i to nieczysto, w czoło, nie w twarz, jak celował. Co gorsza, poczuł kopnięcie w tył kolana, przed nosem śmignęła mu pięść. Zdobycz nie tylko broniła się, ale i kontratakowała. Kombinacja ciosów była wytrenowana, miała w sobie niewiele z przypadku. Więc dwa metry od niego stał przygotowany do walki zawodnik. Musiał wygrywać więcej niż raz, zaznał smaku przewagi nad drugim człowiekiem, wódka dodatkowo odebrała mu zdolność myślenia. Naładował się prądem męstwa, impulsem reagował na impuls.

Tym lepiej.

Im bardziej czuli się silni, ważni, tym więcej można im było wyrwać godności, wysać honoru. Tym mniejsze prawdopodobieństwo, że swoje nieszczęście zgłoszą do organów ścigania. Przedsiębiorcy, prawnicy, politycy, żołnierze. Policjanci. Panowie tego świata, superfaceci w swoich grubych, pancernych skórach, twardzi jak stal. Niezłomni i nietykalni. Napadnięci, lizali rany w samotności jak psy. Bardziej niż przeżytego ataku bali się ujawnienia. Myśliwy ich tylko uszkadzał, środowisko zniszczyłoby ich całkowicie.

Dlatego on mógł polować bezkarnie.

– Wybrałeś nie tego człowieka – wysyczała w ciemności ofiara. Zamieniła się w głos.

Wręcz przeciwnie, odpowiedział w duchu męczyzna, przygotowując następny wypad.

– Słyszysz? Pomyliłeś się, nie pójdzie ci ze mną łatwo.

Seria uderzeń, znowu tylko jedno dosięgło celu. I jedno z przeciwnego kierunku, myśliwy tym razem poczuł kopniaka w żebrach, pięść dwa centymetry poniżej ucha.

– Widzisz, chłopie, lepiej se odpuść. Czego chcesz? Pomyliłeś mnie z kimś!

Nie, o pomyłce nie mogło być mowy, ofiara zaraz się o tym przekona. Słabła, dyszała coraz szybciej i ciężiej, roztaczała wokół siebie odór strachu. Pertraktacje zawsze stanowiły oznakę słabości.

– Nie wiesz, kim jestem, co mogę ci zrobić. Znajdę cię nawet pod ziemią, a wtedy będziesz skończony na zawsze, wylądujesz...

Nie dokończył. Pięta wbita w splot słoneczny utworzyła mu w płucach próżnię. Nic więcej nie trzeba było robić, zwierzyzna przestała się bronić, walczyła teraz o haust powietrza, żeby się nie udusić. Wszelki opór został złamany.

Łowca mógł zabrać się do rozpakowywania prezentu.

Furtka do ogrodu była zamknięta na klucz. Podeszedł do końca płotu, do granicy posesji. Gęste gałęzie krzaków zwisały jak pędy lian, tworzyły naturalną osłonę. Uchwycił się narożnego słupka i przesadził siatkę, która metalicznie zagrała. Wbijające się w suchy trawnik buty stuknęły, ale dźwięki te nie zdołały zburzyć ciszy nocnego osiedla. Rozejrzał się, w żadnym z okien nie dojrzał ruchu firanki, zarysu głowy. Wszyscy zajmowali się własnymi sprawami, nikogo nie obchodziło nieszczęście innych.

I dobrze. Tadeusz nie potrzebował żadnej widowni.

Obszedł dom, żeby uniknąć fotokomórki lampy. W oknach wychodzących na tył również nie paliły się światła. Spali. W skrytce za krokwią altany znalazł zapasowy klucz, otworzył drzwi. Zdjął ubłocone buty, ściągnął kurtkę, czapkę rzucił w kąt przedpokoju. Skradał się w samych skarpetkach, po cichu, każdy hałas mógłby wywołać panikę, a jemu zależało na ciszy. To, co zamierzał zrobić, nie powiedzie się w krzyku i szamotaninie. To wymagało spokojnych gestów, cichych słów.

Zimnej krwi.

Mrok w korytarzu rozpraszało światło latarni ulicznej wpadające przez okna. Nie potrzebował go, układ tego domu znał na pamięć. Wspiął się na schody, unikając piątego stopnia, który najbardziej skrzypiał. Na piętrze skręcił w prawo, ostrożnie otworzył drzwi do dziecięcego pokoju. Nienaoliwione zawiasy zazgrzytały o kilka tonów za głośno. Stał w progu, próbując wyłowić w ciemności zarysy nakrytych kołdrą dzieci. Bezskutecznie, powierzchnia łóżka była pofałdowana jak woda, ale płaska. Włączył światło. Pokój był pusty.

– Więcej ich nie zobaczysz – usłyszał za sobą głos żony. Suchy i ostry niczym żwir.

Odwrócił się, wszedł głębiej do pokoju. Z trudem rozpoznał kobietę, z którą spędził ostatnie dziewięć lat. Wyglądała, jakby przez pomyłkę zamknięto ją w trumnie i pochowano. I przez pomyłkę wykopano z powrotem.

– Krysia, kochanie, jeszcze nie śpisz?

Pytanie godne idealnego męża, który późno wraca z pracy do domu. Kobieta parsknęła śmiechem.

– Ty mnie tu teraz będziesz udawał niewiniątko? Słodził? Strzelał niewinne gadki?

– Bo ja naprawdę, Krysiu... Wypuścili mnie, nic nie mają, ja naprawdę jestem niewinny!

– Oj, Tadziu, Tadziu. Ileś ty mnie przez te lata nakłamał? Wierzyłam, Bóg mi świadkiem, chciałam wierzyć. Nawet przedwczoraj, jak cię brali, byłam wierna jak suka. Walczyłam, mogłabym rozdrapać im pyski, przegryźć gardła. Ale ty...

– Nie, nie, Krystyna, ja nic nie zrobiłem!

– Nic... – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Ja żem ci tamto wybaczyła, co było kiedyś. Błędy młodości, mówiłeś. Wrabiali cię w to, mówiłeś. Ale żeś łgał, później przez dziewięć lat żeś łgał, a teraz... Tadeusz, ty sprowadziłeś mnie do chałupy policję, wstyd! Wstyd na całą ulicę, miasto! Sąsiedzi przychodzą, żeby charkać na tabliczkę z numerem domu, musiałam rano wodą spłukać. Twój szef dzwonił z roboty, że nie masz co się pokazywać z powrotem, dla takich nie ma u niego w firmie miejsca. Ty wiesz, jak baby na mnie patrzyły w sklepie? Wiesz, jak ja się czuję? Do jasnej cholery, Tadeusz, jak ty masz w ogóle czelność tu jeszcze przychodzić?!

Jej wrzask ożywił kolekcję porcelanowych figurek na szklanym regale. Zadygotały szyby w drzwiach. Wiśniewskiego zatkało, spodziewał się zdrady ze strony wszystkich, tylko nie jej.

– Wyprowadzimy się, Krysia. Sprzedamy dom i kupimy coś innego, gdzie indziej. Starczy na mieszkanie w mieście, może nawet w Warszawie. Tam nikt nie będzie nas znał, zaczniemy życie od nowa. Lepsze, nie będziemy się marnowali w tej dziurze, dostanę lepszą robotę, ty też, dzieci...

– Dzieci? – Krystyna roześmiała się tonem Królowej Śniegu. – Są u rodziców, więcej ich nie zobaczysz. Ty już nie masz dzieci, Tadeusz. Tobie nie wolno ich mieć, ty jesteś niebezpieczny. Ty jesteś homoseksualistą, zboczeńcem. Jesteś chory!

Szczerłość w jej oczach zmroziła go bardziej od śmiechu. Ona w to naprawdę wierzyła.

– Ja zboczony, chory? Krystyna, co ty mówisz? Miałem mały epizod, ale... Daj spokój, tyle razem przeżyliśmy, dobrze mnie znasz. No, popatrz na mnie, wyglądam na jakiegoś pedała, zboka?

Rozłożył ramiona, żeby zaprezentować się jej w pełnej okazałości. Brudny, odrapany, posiniaczony, z niedopiętą koszulą wyciągniętą na zwisające spodnie.

Z potarganą i nastroszoną łysiną, nosem z kartofla, blisko osadzonymi świńskimi oczkami. Z żółtymi, pokrzywionymi zębami, brakiem czwórki. Lśniącym od potu czołem, larwami siwego zarostu na policzkach, oślinionymi wargami. Podręcznikowy pedofil po dokonanym gwałcie.

– Jesteś obleśny, odpychający, ja się brzydzę... – Zadrzała, jakby przeszły ją zimne dreszcze. – Wynoś mi się stąd i nigdy nie wracaj! Wynocho, bo sprowadzę policję! Powiem im, że dotykałeś dzieci, zamkną cię w pierdlu na sto lat!

Zacisnął pięści. Zaczął puchnąć, robić się coraz większy, rosnąć. Dotarł głową sufitu, przebił dach, patrzył na miasto z pułapu wieżowca. Mógłby jednym machnięciem zmieść całą dzielnicę, w minutę zrównać to miasto z ziemią.

Wysyczał:

– Nie zabierzesz mi dzieci! Nie odbierzesz mi życia!

– Won!

Uderzył. Szyba drzwi pękła, pazury i zęby szkła rozsypały się po podłodze. Żona cofnęła się w głąb korytarza, uciekła w półmrok. Minął ją, zszedł na dół. Włożył czystą lekką kurtkę, sportowe buty. Wyszedł tylnymi drzwiami. Droge znał z paciorek krwi, jak gdyby chciał jeszcze raz trafić w to samo miejsce.

Znać drogę wyjścia z labiryntu, do którego wyruszał.

Doszedł.

Trzykilometrowa droga z parkingu dyskoteki do hotelu skurczyła się do jednego nieprzerwanego obrazu, mgnienia oka. Obraz zmienił się z czarnego w czerwony, teraz pulsował jaskrawą stroboskopową bielą. To świat bił w przyspieszonym tempie, nie serce. Drgało powietrze, nie dłonie. Nie piekło okaleczone ciało, tylko stygnący po dziennym ukropie asfalt.

Przemykał się najciszej, jak potrafił. Klatka schodowa zdawała się pusta, na wszelki wypadek pokonywał stopnie na palcach. Spieszył się mimo bólu promieniującego na uda i w górę, na lędźwie i po kręgosłupie do karku. Postrzelone ramię zdrętwiało, na poręczy podciągał się drugim. Nie włączył światła, skradał się na swoje piętro na pamięć. Trzy piętra, czterdzieści dwa schody, głośny oddech, nad którym trudno mu było zapanować.

Byleby go nikt teraz nie zobaczył.

Dotarł, wbił klucz w zamek u drzwi. Nasłuchiwał. Zawsze miał to samo wrażenie, że coś przypatruje mu się z mroku wnęki ślepego korytarza. Miał rację,

ciągle ktoś za nim stał, śledził go. Towarzyszył mu w każdym momencie życia. Upiór stróż, któraś z jego najgorszych zmór. Teraz też tam była, wyczuł w powietrzu kobiecy zapach. Andzia? Wieśka? Joanna? Spanikowany naparł na drzwi, drugiego koszmaru tej nocy nie przeżyje.

– Andrzej!

Znieruchomiał. Drzwi otwały się na dziesięć centymetrów, w wąskiej szparze czuł znajomy odór kawalerskiego mieszkania, bezpieczeństwa więziennej celi.

– Andrzej, coś się stało? Ty jesteś mokry, drżysz...

Odskoczył od dotykającej go ręki. Odwrócił się. Alina była eteryczną poświatą, kilkoma jaśniejszymi plamami na tle lekko rozproszonej ciemności.

– Zostawiłem ci list, Ala. Nie czytałaś? Proszę cię, to się nie może udać.

– List? List... Ładnie piszesz, Andrzej, chyba naprawdę zostaniesz kiedyś pisarzem. Ja będę ci sprawdzała błędy, robisz byki jak smok.

– Jezu, Ala, ty mnie w ogóle nie słuchasz! Ja nie jestem dla ciebie, ja krzywdzę ludzi, ludzie wokół mnie umierają. A ty... ty...

– Nie, Andrzej, nie bój się. Ja nie umrę. Będę tak długo żyć, że zdążę ci się sto razy znudzić. To groźba!

Nie widział jej twarzy, ale wyobraził sobie jej wielkie, wodniste oczy pełne wiary i naiwności. Nastoletni uśmiech, wścibski nos, nierozczesane włosy. Serce zaczęło mu podchodzić do gardła, doskonale czuł jego krwawą miękkość w przełyku. Nie wiedział, czy powinien je przełknąć na powrót, czy wypluć na ziemię. Nie było pozytywnych rozwiązań, dobrych opcji na przyszłość.

– Nie kocham cię – wysyczał resztką powietrza z płuc. – Nie chcę cię, pragnąłem tylko twojego ciała. Znudziłaś mi się nie sto, tylko tysiąc razy. Nie chcę cię więcej widzieć, Alina, wynoś się stąd!

Wolał zadać jej ból teraz, niż zabić za parę lat.

Znikła tak nagle, jak się pojawiła. Poświata rozplynęła się, zapach się utlenił. Odeszła.

Andrzej wtoczył się do łazienki, ukląkł przed konfesjonałem kibla i wyrzygał mu całe serce. Zrzucił z siebie podarty, brudny garnitur, pierwszy w życiu, pewnie ostatni. Z myślą, że nie będą go mieli w czym pochować, nawet biała koszula była do niczego. Stał przed lustrem przezroczysty niczym obraz rentgena, podrapany, posiniaczony. Krew wypływała z porwanej skóry i dużymi kroplami spadała na podłogę. Tatuaze były koszarne jak sen, brzydotą ustępowały tylko duszy. Oczy



były czarnymi otworami na wylot, blizna na głowie otworzyła się mięsną źrenicą. Widziała terror każdego dnia, który mu jeszcze został do końca życia.

Wszedł pod prysznic, usiadł pod strumieniem gorącej wody. Parowała, on mimo to dygotał z zimna. Objął się ramionami, ale zapomniał o lewej nodze, której pięta konwulsyjnie stukała o powierzchnię brodzika. Brzydził się siebie. Jego miejsce było w rurze kanalizacyjnej, na dnie szamba.

Nie zmyje z siebie tego brudu, próbował. Jedynym lekarstwem był wyłącznik prądu – pstryk i stawała się nicość. Wygramolił się spod prysznic, położył na łóżku. Zdrowym ramieniem sięgnął do stolika nocnego po tabletki oxycontin 80, które trzymał na czarną godzinę. Dwie, zamienią godzinę w wieczność. Połknął je bez popijania, poczuł, jak klinują się w miejscu, gdzie jeszcze chwilę temu tłoczyło się serce. Rozluźnił się, przymknął oczy. Uspokoił oddech. Włączył muzykę, z głośników popłynęły słowa kołysanki Roberta Smitha: *Leave me to die / You won't remember my voice / I walked away and grew old / You never talk / We never smile / I scream / You're nothing / I don't need you anymore / You're nothing*[10].

Zaraz lekarstwo zacznie działać, w połączeniu z alkoholem i kokainą zatopi go. Nadejdzie nicość.

Andrzej nie mówił prawdy, to ona nosiła w sobie śmierć.

Schowała się, przez długie minuty stała bez ruchu wtopiona w powierzchnię ściany. Nie było jej, w ten sposób stawała się niewidoczna, potrafiła zniknąć. Myśli zgmiotła i udeptała, ulepiła z nich grudę ciężką jak kulka ołowiu. Tak bardzo skupiona w sobie w ogóle przestawała myśleć, wypracowała ten mechanizm obronny przez lata piekła, które zgotowali jej własni rodzice. Nie bili jej wyjątkowo często czy mocno, ojciec nie gwałcił, jak w opowieściach innych nieszczęśliwych dziewczynek. Nienawidzili jej, była niechcianym, zbędnym dzieckiem.

Kłótnie. Krzyk, który targał jej psychikę niczym rozczapierzone palce włosy. Śmiech wywołujący wstyd, od jakiego można wsiąknąć w podłogę. Milczenie, największa tortura emocjonalna, jaką wynalazł człowiek. Brak słów, brak komunikacji, cisza rozsadzająca bębunki uszne. Ignorowane życie ludzkie zamiera niczym kwiat w zaciemnionym pokoju. Zamyka się w sobie, połyka tyle przemilczanych zdań, że zaczyna się nimi zachłystywać, krztusić.

Wybucha.

Życie wypełnione pragnieniem krzywdy jest butelką z uwięzionym powietrzem,

które udaje zawartość. Alina kaleczyła się, żeby je z siebie wypuścić, bezskutecznie. Nie potrafiła ranić na tyle mocno, żeby sama poczuć się mniej raniona. Nieumiejętnie pocięte ramię wywołało w matce tylko gest zirytowania, musiała prosić sąsiada o podwózkę do szpitala, a później sama sprzątać łazienkę z krwi. Tabletki niszczyły organizm, choć były za słabe, żeby zabić. I dobrze, pragnęła cierpieć, męka dawała jej kontakt ze światem, czuła się dzięki temu prawdziwa, żywa. Bo chciała żyć, lecz nie w sposób, który dla niej wybrano. Nie z ludźmi, którzy nigdy nie powinni jej przynieść na świat.

Chciała wyłącznie jego.

Wróciła pod drzwi do pokoju Andrzeja. Ze środka nie wydobywał się najdrobniejszy szmer poza pogłosem cichej muzyki. Znała ten utwór, niejednokrotnie słuchali go razem, słowa wokalisty namawiały do grzechu: *Other voices / Pounding in my broken head / Commit the sin / Commit yourself / And all the other voices said / Change your mind / You're always wrong / Always wrong*[11].

Spał.

Kilka razy zrobiła mu niespodziankę, wybudzając go ze snu pocałunkiem. Zmyślała, że zapominał zamknąć drzwi na klucz, oczywiście wierzył. Tak naprawdę ukradła mu kiedyś klucze i podrobiła, miała swoje. Dlaczego miałyby nie mieć, w końcu ten jego ciasny pokój z łazienką i kuchnią stał się ich wspólnym domem, spędzili tam wiele cudownych nocy.

Najpiękniejszych chwil jej beznadziejnego życia.

Zamek odskoczył z cichym zgrzytem, weszła do środka na palcach. Przez szparę między roletą a parapetem wpadał prostokąt światła, barwił fragment podłogi i łóżka na pomarańczowo. Kiedy jeszcze na niebie świecił księżyc, uwielbiali kąpać się w jego srebrnej poświacie. Wyglądali w niej niczym przybysze z obcej planety lub zjawy z jezior. Wampiry. Cybernetyczne hologramy. Rysował ją, a ona mu pozowała. Z każdym rysunkiem przybywało jej w ich wyimaginowanym świecie, a im było jej więcej, tym bardziej zdawała się go kochać. Tym bardziej czuła się kochana przez niego. Odkryli dla siebie obcy ląd i na nim zamieszkali. Mieli siebie. Miała wszystko.

Teraz nie miała nic.

Po jego liście rozpadła się na dwie części, obie kuliły się na szpitalnym łóżku z bólu. Ta lepsza przyszła poprosić o drugą szansę. Byłaby niewolnicą, kurwą doskonałą, szmatą do podłogi, ludzkim towarem sprzedawanym na wagę, gdyby tylko zgodził się ją zatrzymać przy sobie. Psa, przedmiot, ozdobę do powieszenia

na ścianie.

Ta druga, gorsza, stała teraz obok łóżka i wpatrywała się w nieruchome ciało byłego kochanka. Leżał na wznak z ramionami rozrzuconymi na krzyż, nagi. Białe ciało z plamami szkaradnych tatuaży wyglądało na brudne, w zapadłej twarzy błyszczał tylko ząb w rozchylonych ustach.

Nie żyje? Dotknęła go palcem, skórę miał chłodną, martwą jak plastik. Coś zapłonęło w niej i natychmiast zgasło. Rozpacz, ulga, złość, że nie zostawił nic dla niej. A po to przecież tu przyszła, po niego. Zamierzała go sobie wziąć na zawsze. Ukraść, jeśli nie dałoby się po dobroci.

Rozebrała się, usiadła na Andrzeju okrakiem. Położyła się, ale temperatura jego ciała wywołała w niej dreszcze, przyjęła pozycję jeźdźca. Nachyliła się nad podłogą, z kupki rzeczy wygrzebała metalowy przedmiot przypominający pióro, długą rączkę zakończoną ostrą stalówką. Pogładziła Andrzeja po klatce piersiowej palcem, zakreślając trudny do rozpoznania znak. Ostrze metalu przyłożyła do skóry, zaczęła pisać. Wyprostowała się, jej dzieło było niemal niewidoczne w ciemności, ale nie potrzebowała widoku, doskonale znała jego znaczenie i kształt.

Naznaczyła go.

Ścisnęła rączkę wiecznego pióra z całej siły, zamierzyła się. Jęknęła, dźgając. Po kilku oddechach powtórzyła, wbijała broń w ciało raz po raz, coraz szybciej i silniej. Przerwała tylko po to, żeby przełożyć przedmiot do drugiej ręki, powtórzyła serię z dziką zawziętością, rozpruwając, dziurawiąc i strzępiąc żywą tkankę niczym materiał sukna. Metal upadł z brzękiem na podłogę. Krew rozlała się po prześcieradle, raziała czerwienią mimo panującego półmroku. Alina opadła z jękiem na pierś Andrzeja. Zaszlochała, ze świstem wciągnęła powietrze, pocałowała go w zeszywniałe wargi. Zbliżyła usta do jego ucha.

– Żegnaj, kochany. Teraz pozostaniesz mój już na zawsze.

Były jego na zawsze.

Ofiary i pamiątki po nich: medale, trofea, artefakty, które kolekcjonował od lat. Dowody jego odwagi i męstwa, namacalny znak wiary, że światem rządzi siła, nie ludzkie słabości. Przetrwać mogą tylko najlepiej przystosowani, po reszcie nie ma sensu rozpaczać.

On przetrwał, choć otaczali go wrogowie. Najpierw młodość, kiedy wszyscy poniewierali nim, bo nie miał ojca. Był mały, ale bronił się, jak tylko mógł. Wojsko

uczyniło z niego mężczyznę, ale dopiero wojna pozwoliła pokazać, na co go stać. Misja pokojowa była tylko pretekstem, kazali mu strzelać do nieprzyjaciół, a on robił to doskonale. Za dobrze.

Uznali, że pomylił bojownika z cywilem, choć każdy kozojebca wygląda przecież tak samo. Politycy zafundowali mu odsiadkę w więzieniu. Tam też było pełno nieprzyjaciół, tak samo łamał ich i przejmował na własność. Wypuścili go, zwolnili z wojska, ale nikt nigdy nie odwołał rozkazu. Misja prawdziwego żołnierza trwa wiecznie. Zawsze znajdzie się jakiś wróg, tylko trzeba umieć szukać. Będzie prowadził walkę, dopóki go ktoś nie powstrzyma.

Nie pokona w starciu.

Ukląkł na podłodze koło łóżka, barkiem przesunął jego masywne nogi z litego dębu. Mebel odziedziczył po dziadku, wojownikowi jak on. Zwinął końcówkę dywanu, nożem podważył deski parkietu, którego fragment uniósł się, odsłaniając sekretny schowek. Wyciągnął z niego metalową kasetkę przypominającą przenośne kasy z pieniędzmi, tylko dużo starszą. Postawił kasetkę na biurku, usiadł na krześle, które zaskrzypiało pod nim swoim wieloletnim zmęczeniem. Otworzył zamek, uniósł pokrywkę.

Jego skarby: pamiątki i odznaczenia, zdobycze wojenne. Wyciągnął je, rozłożył na blacie biurka. Trzy najnowsze egzemplarze wymagały obróbki. Zmienił miejsce, usiadł przy zaimprovizowanym warsztacie składającym się ze stolarskiego stolika przyniesionego z garażu i starej wiertarki na kolbę na stojaku z wygrawerowaną nazwą niemieckiej marki. Zapalił lampkę na długim trzonku, ustawił ją tuż nad miejscem roboczym. Jej silne żółtawe światło podkreśliło patynę czasu, matowy blask długiej tradycji. Zamocował obrabiany przedmiot w małym imadle z kutego żelaza, odpowiednio ustawił, unieruchomił. Powoli obniżył ramię stojaka, korbą napędził cieniutkie wiertło do stali, ząb, który z apetytem zagłębił się w dostarczony pokarm. Otwór był gotowy po kilkunastu sekundach, nastąpiła zmiana obiektu i powtórka identycznych czynności. To samo z trzecim, ostatnim egzemplarzem.

Światło zgasło, mężczyzna przeniósł się na powrót do biurka. Z dużą wprawą przewlókł przez wywiercone otwory mocną nić, nowe elementy przymocował do pozostałych, z zadowoleniem przyjrzał się całości dzieła. Wstał i przymierzył je, przyjrzał się sobie w niewielkim poczeriałym lustrze w złoczonej ramie. Wyglądało tak, jak powinno, prezentowało się idealnie.

Ozdoba wielkiego wojownika, nieustraszonego żołnierza, wzbudzająca w kolegach zawiść, u podwładnych szacunek, we wrogach paniczny lęk.

Zbliżył się do wiszącego na drzwiach szafy wojskowego munduru. Sięgnął po szciotkę ze starą rękojeścią, na której łuszczył się lakier. Dokładnie wyczyścił materiał, wilgotną szmatką przetrął niewidoczne plamy, ręcznie zebrał pozostałe drobiny kurzu i włosów. Wygładził zagięcia i zmarszczki, poprawił kołnierz. Zawiesił przygotowaną ozdobę z kolekcją medali zdobytych w walce. Dziwaczna, samorobna baretka zaklekotała, wyszczerzyła się do niego klawiaturą uśmiechu. Jako część oficerskiego munduru prezentowała się idealnie. W jutrzejsze święto będzie się czuł w niej jak bohater.

Mężczyzna wierzył w Boga, w naród, w sprawiedliwość dziejową. Dzięki niej pamięć po dziadku i jego walce z czerwonym okupantem odżyła. Teraz należało ją kontynuować, pomścić poległych w zdradzieckich mordach. Oni obserwują kolejne pokolenia z nieba, oceniają.

Dziadek jest teraz z niego dumny.

# ROZDZIAŁ 8

Sala przesłuchań.

Oficer wszedł do środka, usiadł na krześle. Zajmujący miejsca po drugiej stronie stołu agenci w wyjściowych mundurach skinęli głowami na przywitanie. Dwaj, jeden krótko ostrzyżony, niemal łysy, drugi z wypięgnowaną bródką. Terminatorzy, ludzie wyszkoleni do zadań specjalnych.

Wszyscy trzej w tym samym momencie spojrzeli na podwieszoną w rogu kamerę, której dioda sygnalizowała nagrywanie. Oni z obowiązku, on z przyzwyczajenia. Do tej pory zawsze był oprawcą, nigdy ofiarą. Przedtem łamał ludzi sam, teraz głównie szkolił innych, jak się to robi. Pokazywał nagrania ze sobą w roli głównej, uczył prowadzić przesłuchania i torturować. Czy też kiedyś stanie się przykładem dla studentów?

Łysy otworzył teczkę, wyciągnął z niej kilka zdjęć i położył je przed oficerem.

– Czy zna pan tę kobietę?

Skinął głową.

– Proszę odpowiadać na pytania, przecież nie będę pana uczył procedury.

– Tak, znam ją.

– W jakim celu się spotykaliście?

*Déjà vu.* Ileż razy w karierze przerabiał taką scenę? Jakkolwiek by się starał, był przewidywalny jak wszyscy inni.

– Uprawialiśmy seks.

– W nocy trzynastego lipca też?

– Nie, nie widziałem jej wtedy. Pojechałem na grzyby, później nad jezioro. Ledwo zdążyłem wrócić do bazy przed wichurą.

– Wtedy zgubił pan papierosnicę?

– Nie, nie wtedy. Dokładnie trzy dni wcześniej.

- Niech zgadnę, również na grzybach?
- Właśnie, to dla mnie duży relaks. Jak wiecie, mam tutaj stresujące zajęcia.

Chwila ciszy. Na placu manewrowym zaryczały maszyny, słyhać je było nawet przez ścianę. Trwały przygotowania do zaplanowanego wyjazdu na poligon. Będą walić haubice, nacierać czołgi, strzelanie dzienne rozciągnie się na godziny nocne. Symulacja natarcia na zachodnią flankę nieprzyjaciela, pełnej inwazji. Wszystkiemu towarzyszyć będzie cywilna feta, w mieście odbędą się koncerty i demonstracje. Bawić się będą wszyscy.

Dwudziesty drugi lipca – dzień wyzwolenia. Dzień zniewolenia. Którą okazję zamierzają świętować?

- Czy przekazywał jej pan jakieś informacje?
- Nie.
- Jakie informacje pan jej przekazywał?
- Żadnych.
- Co dostawał pan w zamian za informacje?
- Nic, już powiedziałem...
- Płaciła panu seksem za sprzedawane tajemnice?
- Nie!

Podniósł ton, ale nie krzyknął. Znał wszystkie techniki przesłuchań, ale i tak z trudem powstrzymywał się przed wybuchem. A o to im właśnie chodziło, miał pęknąć, żeby łatwiej go było złamać.

Na stole pojawiło się kolejne zdjęcie, karta z talii trzymanej przez agenta.

- Gdzie ukrył pan zwłoki?
- Jakie zwłoki?
- Zamordował ją pan z zazdrości?
- Nie, nic jej nie...
- Zrobiła coś nie tak, wkurzyła pana?
- Nie.
- Nie z pana winy, to był przypadek.
- Nie, ja...
- Proszę więc zdradzić miejsce ukrycia zwłok!

Uderzenie w stół poczuł niczym cios w twarz, wstrząsnęło nim. Starał się nie

pogubić w krzyżowym ogniu pytań, nie było to łatwe. Przełknął głośno ślinę, język tarł o wyschnięte podniebienie. Dobrzy byli, może nawet lepsi od niego. Nic dziwnego, wytypowano ich do prześladowania własnych kolegów, musieli być twardsi od nich. Byli.

– Nikogo nie zabiłem.

Agenci wpatrywali się w niego, jakby próbowali wymusić inne zeznanie. Milczenie przedłużało się, zza ściany znowu dobiegły odgłosy przejeżdżających maszyn. Atmosfera zrobiła się tak gęsta i ciężka, że przygniatała do ziemi. Napięcie osiągnęło punkt krytyczny, kiedy brodaty spojrzął w stronę kamery. Oficer doskonale znał ten gest, do sali przesłuchań zaraz wejdą strażnicy i zamkną go w celi. A później wyślą w jedno z tych miejsc, z których się nie wraca. On postąpiłby właśnie w ten sposób.

Drzwi otworzyły się, strażnik wskazał mu wyjście. Wyprowadził z baraku, życzył miłego dnia. Agenci pojawili się zaraz za nim, z rozluźnionymi minami zapalili papierosy, poczęstowali go. Opowiedzieli najnowszy dowcip.

Wierzyli mu. Był bezpieczny.

Wiech nie spał już, kiedy zadzwonił telefon. Nie odbierał, usiłował skupić się, by przywołać z pamięci detale wczorajszej nocy.

Zamierzał przelecieć Ulę, ale ta próbowała zaciągnąć do łóżka szychę ze Służby Celnej, którego na grilla przyprowadził Zenek. Może planowała przenosiny do konkurencji, może chciała po prostu zaliczyć typa, dodać jeszcze jedno nazwisko do kilometrowej listy mężczyzn, którzy krewnili jej jakąś przysługę. Pani komendant nigdy nie operowała dupą za darmo.

Ustami też nie, spijała samą towarzyską śmietankę.

Poszedł więc w długą, w miasto. Ostatnie, co pamiętał, to dyskoteka w porcie, ciągle miał przed oczami pulsary stroboskopów i wiry efektów świetlnych. Bity muzyki. Błyski spojrzeń, zapachy kobiecych ramion i szyi, gorąco ciała. A później chłód nocy, chyba z kimś wyszedł. Za kimś?

W pamięci była czerń dziury sięgająca do jądra ziemi. Nic.

Siedział na brzegu obcego łóżka, było puste. Z niedomkniętych drzwi do toalety wystawała naga stopa, kobieca. W salonie kimał goły małolat, z sofy zwisało mu ramię z wytatuowanymi kolcami. Które z nich pieprzył, oboje? Z kim był nad rzeką, z nimi? Sam, zabłądził w ciemności?



Wstał. Głowa bolała go od tych pytań bardziej niż od wypitej wódki. Kac zakołysał nim, podłoga lekko zafalowała. Wszedł do łazienki, stanął nad zwłokami nieprzytomnej dziewczyny, która tuliła się do zarzyganego sedesu. Nie widział jej twarzy, ale była młoda. Zgrabna. Spod pachy wylewał się całkiem okazały cycek. Wojtał wysikał się do umywalki, przy okazji opłukał twarz i przeczesał mokrymi dłońmi włosy. Pozbierał swoje rzeczy w salonie, ubrał się. Wypił z plastikowej butelki resztkę wody mineralnej, smakowała jak miedź.

Dzwonek powtórzył się. Odebrał zachrypłym głosem.

– Gdzie? Dzwon do Bondara, to jego działka. Co? Dobra, zaraz tam będę.

– Kurwa! – mruknął pod nosem i wyszedł z mieszkania.

Wyciągnął telefon i wybrał numer, zadzwonił. Po pięciu minutach pod hotel podjechała służbowa meganka, Luj wysunął głowę przez szybę i pokiwał z uznaniem.

– Tu ciebie jeszcze nie było, Wiech. Naprawdę, kurwiarz z ciebie nieprzeciętny.

– Skrzywił nos, kiedy kolega usiadł z boku. – Czym ty tak jedziesz, zawsze myślałem, że młode cipeczki pachną.

Łokieć rozsiadł się na siedzeniu, poprawił spodnie w kroku.

– Ogierem!

Na miejsce dojechali po dziesięciu minutach. Zostawili radiowóz na poboczu, resztę drogi przebyli pieszo. Brzeg Mamr w tej części Węgorzewka był niedostępny, ekipa nurków z trudem precyzyjnie się przez morze sitowa. Ciało ułożono na ziemi, worek był niezapięty, szpara odsłaniała tylko część zwłok. Niestety, odór emitowała cała.

Łokieć osłonił twarz ręką koszuli, mimo to nie dał rady zbliżyć się do denata na więcej niż cztery kroki. Aspirant czuł się trochę lepiej, mniej wypił i dłużej spał, ale i tak udało mu się tylko zerknąć do środka, zrobić jedną fotografię.

– Da się coś dojrzeć?

Wiech wyrwał podwładnemu telefon, powiększył zdjęcie. Topielec nie był w najgorszym stanie, twarz wciąż pozostawała rozpoznawalna. Znali ją obaj, wisiała na ścianie w komendzie w miejscu osób poszukiwanych przez policję. W piersi miał cztery otwory postrzałowe, sine pierścienie z różowym galaretowatym jądrem.

– To ten Rusek z wypadku? – upewnił się Luj. – Co on tu robił?

– Pływał na plecach i podziobały go ptaki. Dzwon po Andrzeja, niech on się tym

zajmie. My zajmujemy się nim.

– Od pół godziny dzwonią z sekretariatu, ma wyłączony telefon. Zastępujesz go.

Łokieć spiorunował Mieczyka wzrokiem, wrócił do auta. Usiadł w otwartych drzwiach, wyciągnął ze schowka mapę powiatu. Luj zawisł nad nim, opierając się ramionami o dach.

– Wypadek zdarzył się tutaj. – Podkomisarz wskazał miejsce na mapie. – Nie dałby rady tak daleko uciec. Nie załatwili go na miejscu, nie było śladów. Chociaż nie jestem pewien, czy badali, Marycha pogonił stamtąd Bondara. Trzeba będzie jeszcze raz sprawdzić.

– Jak dla mnie, to najpierw przywieźli go tutaj, dopiero wtedy stuknęli. Najłatwiej, ja bym tak zrobił. Mniej krwi, nie zapaskudzi tapicerki w wozie.

– Możliwe. Sprowadź patrol, niech zabezpieczą teren. I technicznych, najpierw tutaj, później na miejsce wypadku pod Gują. Cholera jasna, jeszcze nam tego brakowało. Stuknięty Iwan, znowu będzie afera dyplomatyczna.

– Zbój, kto się przejmie? Miałeś rację, Wiech, to wojna gangów, znowu zaczęli się tłuć.

– Nieważne, dzwoń. Ja idę pogadać z nurkami. I niech wreszcie zlokalizują Bondara.

Odczekał, aż zapakują trupa do karawanu, po czym podszedł do mężczyzn wylegających się w słońcu.

– Jak żeście go znaleźli, było zgłoszenie?

– Nie, rutynowo. Ciągłe przeczesujemy jezioro, nie odwołali nas – odpowiedział najstarszy, przypominający karaibskiego żeglarza.

– Głęboko był?

– Z pół metra pod powierzchnią, było go widać. Kotwa dobra, ciężka, ale za długi łańcuch, ktoś musiał spartolić robotę. Gdyby nie to, pływałyby tam do końca świata.

– Moim zdaniem zatopili go z łódki – wtrącił inny nurek, z zadziwiająco dużym brzuchem jak na tę robotę. – Od strony otwartej wody, tutaj trudno się przebić przez sitowie.

Wrócił do radiowozu. Rozłożył na dachu mapę i objął wzrokiem cały brzeg Mamr trzydzieści cztery kilometry długości, dziesiątki przystani. Setki jachtów i łodzi. Równie dobrze mogliby szukać w jeziorze wczorajszego splunięcia.

– I co, jesteś mądrzejszy? – zapytał Jara, kiedy ten skończył rozmawiać

z Jankiem.

– Nie bardzo, Niańka pieprzy coś w kółko o ciemnozielonej terenówce. Pogadam z nim na komendzie.

– Dobrze. Załatw gdzieś dźwig wodny, trup był zakotwiczony jakimś żelastwem, trzeba to będzie wyłować. Jeśli technicy znajdą odciski palców, bierzemy dochodzenie. Jeśli nie, prosimy o pomoc wojewódzkich, niech się sami z tym męczą.

– A co dalej?

– Nie wiem. Trzeba zlokalizować Bondara.

Niańka zatrzymał się przed gabinetem Chłopskiej. Dotknął klamki, ale od razu cofnął dłoń, nie znosił tam wchodzić. Czuł wbite w siebie spojrzenie sekretarki, zniecierpliwione i kpiarskie, starzejąca się raszpla czerpała niemałą satysfakcję z lęku młodych funkcjonariuszy przed panią komendant, też kobietą. Współudział w babskich rządach na komendzie wyraźnie napawał sekretarkę dumą.

– Co, młodszy aspirancie, czekacie na odźwiernego? – zaskrzeczała zza ekranu monitora. – Zadzwoń na dół po ciecia, może przyjdzie na żądanie hrabiego.

Kwoka! Pchnięty do przodu siłą szyderstwa, nacisnął klamkę i wsunął głowę w ciasną szparę, na wszelki wypadek odchylił drzwi na szerokość twarzy.

– No wreszcie! – przywitała go szefowa. – Już myślałam, że bawisz dzieci. Właż! Boicie się mnie czy co?

Z zadowoleniem obciągnęła mankiety śnieżnobiałej koszuli wystające spod rękawów nieskazitelnego munduru. Musiał przyznać, że wyglądała w nim znakomicie. Prawie jak Elza, Wilczyca z SS.

– Nie, ja tylko... – Usiadł na rożku krzesła, zawsze w tym gabinecie czuł się jak w szkole u dyrektora. Automatycznie wyszukiwał lokalizacji dębowego wskaźnika, którym tamten łoił mu skórę. – Nadkomisarza nigdzie nie ma. Telefon ciągle nie odpowiada, drzwi do mieszkania zamknięte, dobijałem się.

– Rupieć jest na parkingu?

– Nie ma.

Chłopska opadła na fotel, głośno westchnęła. Podejrzliwie zmrużyła oczy.

– I ty na pewno, Jaś, nie wiesz, gdzie zginął?

Pokręcił głową.

– To nie jesteście waflami, nie zwierza ci się?

– Mnie? Niby czemu, my tylko, wie pani, rozmawiamy służbowo...

– Wiem, wiem. Zachlał, zaćpał, zabarłoczył gdzieś w krzakach? – Wysupłała z rękawa zegarek, błysnęło refleksami diamentów. Prawdziwe? Niańka nie miał pojęcia, nigdy nie widział prawdziwego brylantu. – Dziesiąta, późno nawet jak na niego. Zazwyczaj się nie spóźnia, nie?

Przygryzła wargę, jakby ją coś nagle tknęło.

– Ty wiesz, Janek, że wydział wewnętrzny planuje wszcząć wobec niego dochodzenie?

– Coś tam niby słyszałem, ale nic konkretnego.

– Nagłe zniknięcie w takich okolicznościach... – Nachyliła się nad biurkiem, zastukała pazurami o blat. – Daj komunikat do wszystkich jednostek, niech go szukają, to priorytet. Dostań się do mieszkania. Chyba skurwysyn nie zwiął, co?

Pytanie komendant brzmiało w uszach Niańki jeszcze w radiowozie, kiedy parkował przed szpitalem. Zarządca obiektu już czekał, młody cwaniaczek w lnianym garniturze o barwie nieba i białym T-shircie z czerwonym orłem, który krwawił z dzioba, w pazurach trzymał trupie czaszki.

– Mamy dziś festyn narodowy, nie słyszał pan? Jakoś trzeba w końcu demonstrować nasz patriotyzm, źle mówię?

– Nie wiem – mruknął młodszy aspirant, przyjmując kartonik wizytówki, która miała pewnie zastąpić uścisk ręki.

Jednak o festynie wiedział, miały być koncerty i zadymy, jak zwykle przy takich okazjach. Uczucia narodowe patriotycznej młodzieży były takie gorące, że zawsze zajmowało się od nich miasto. Zagony prewencji ściągano z okolicznych powiatów, dzieciaki znowu będą tłuc swoich krajan i demolować ojczyznę. Z patriotyzmu i miłości.

– Otwieraj – polecił zarządcy przed drzwiami do mieszkania Bondara.

– Hola, hola, o tym nie było mowy. – Cwaniak podparł się bojowo pod boki. – Miałem się zjawić, jestem. Klucz udostępnię, jeśli dostanę nakaz. Sorry, przyjacielu, państwo prawa.

Jan poczuł przelewającą się przez niego falę irytacji. Opanował się, bez słowa usiadł na schodach i wyciągnął telefon. Wybrał numer komendy.

– Mówi młodszy aspirant Gryczak. Proszę przygotować wniosek o nakaz rewizji w obiekcie przy ulicy Józefa Bema dwadzieścia cztery oraz w biurze zarządu

nieruchomościami Węgorzewo Properties, Kraszewska dziewięć. Podejrzenie o przechowywanie nielegalnego alkoholu z przemytu. Co? – zwrócił się do zarządcy histerycznie wymachującego ramionami.

– Co to ma znaczyć? Nie wolno panu tego robić!

Janek wzruszył ramionami i kontynuował.

– Proszę też zawiadomić inspekcję budowlaną, sanepid, straż pożarną i kontrolę skarbową. Nie dość, że w tym budynku jest syf, to jeszcze istnieje podejrzenie o unikanie podatków.

– Dobra, dobra, już szukam! – Cwaniaczek zaczął grzebać w teczce, zabrzęczało metalem. Orzełek na T-shircie zgarbił się, skurczył, upodobił do wrony. – Jezu, co za typ! Gorsze z was gnidy od ZUS-u.

– No właśnie, pani Heleno, zapomniałem o ZUS-ie.

– Nie, nie! – Zarządca dobył klucz i roztrzęsioną ręką próbował wcisnąć go w dziurkę. – Poddaję się, człowieku, wygrałeś!

– Proszę na razie anulować te wnioski, przepraszam za kłopot, pani Heleno. Do widzenia. – Wyłączył telefon i wsunął go do kieszeni, wstał ze schodów. – I nie trzeba było tak od razu, grzecznie, po ludzku? Swoją drogą, taki z ciebie pewnie patriota, jak katolik. Kantujesz bliźniego i państwo ile wlezie, a później zakładasz na siebie orzełka i krzyżyk? Otwieraj!

Odbezpieczony zamek zazgrzytał i stuknął, pchnięte drzwi otwały się bezszelestnie. W środku panował półmrok, w nozdrza uderzył ciężki zaduch zmieszany z wonią psującego się zarcia. Mdły, miedziany zapach świeżego mięsa. Janek wszedł, stanął za progiem. Najpierw zauważył czarną, tłustą muchę, która oderwała się od powierzchni łóżka i z głośnym bzyczeniem zaczęła tłuc w ścianę. Później łóżko, zrzuconą kołdrę i białą istotę o ośmiu odnóżach i dwóch głowach. Wszedł głębiej, włączył światło.

Odskokzył.

Ciała były dwa, oba zalane krwią, która wyciekła na prześcieradło i podłogę, dwie gigantyczne plamy, jeziora ściętej brązowej magmy. Z wodopoju uniosło się jeszcze kilka much, dołączyły do orkiestry skrzydeł i bębnow ściany i mebli. Przy łóżku leżał skalpel o jednolicie czerwonym ostrzu i umazanej od krwi rękojeści. Andrzej leżał na wznak, częściowo przykrywała go naga kobieta. Od obojga bił chłód śmierci.

Janek przyłożył do ucha telefon.

– Poproszę z panią komendant. Natychmiast, kurwa, nie mam czasu! Mówi

młodszy aspirant Gryczak. Znalazłem go, jest u siebie w mieszkaniu. Martwy.

– Śniadanie zjadłeś? – krzyknęła matka z łazienki.

Nie miał pojęcia, skąd wiedziała, że zdążył już wstać od stołu i przygotować się do wyjścia. I że tylko poskubał jajka. Pięć żółtych ok o białych obwódkach, stygnących na talerzu wielkości połowy kuchennego stołu. Zjadł jedno, dwa razy ugryzł bułkę i popił mlekiem. Nie był głodny, żołądek zbił się w gliniastą grudę i ciążył, jakby chciał zapaść się w zwoje jelit i jeszcze niżej, przez udo i łydki do samej ziemi. Tapir podjął trudną decyzję i wcale mu nie ulżyło. Ulży, kiedy będzie po wszystkim. Tak sobie to wyobrażał.

– Zjadłeś czy nie? Mam sprawdzić?

– Sprawdź!

– Co?

Matka potrafiła go doprowadzić do szału. Żadna dyskusja nie miała sensu, ona zawsze musiała postawić na swoim. Rządziła ścianami, meblami, ciałami i duszami dzieci. Rządziła innymi, bo nie potrafiła poradzić sobie sama ze sobą. Owdowiała, schorowana, styrana życiem, mimo że nie skończyła pięćdziesiątki, wyglądała już na staruszkę.

– Paluszek! – Z dziecięcego pokoju wybiegła siostra Tomasza z twarzą wymalowaną w kocie wąsy. Wyciągnęła w kierunku brata swoją drobniutką piąstkę. – Żółwik! Już wychodzisz? Dokąd idziesz?

Tapir zawahał się, poczuł bolesne ukłucie w piersi.

– Do pracy.

– Tak szybko? O której wrócisz?

W ustach zrobiło mu się nagle sucho, z trudem przełknął galaretowatą ślinę.

– Nie wiem, późno, będziesz spała.

– A kupisz mi coś?

– Kupię. Co chcesz?

– Kocie uszka, taką opaskę, co noszą dziewczyny w telewizji. Widziałeś?

– Tak, widziałem – skłamał. – Kupię, jak gdzieś dostanę.

– Hura! Mama, słyszałaś? Tomcio Paluszek kupi mi kocie uszka!

– Co? Nie chcę tu widzieć żadnych kotów!

Tomek porwał siostrę na ręce i przytulił, pocałowała go w prawy policzek. Postawił dziewczynkę na podłodze i wyszedł, prawie wybiegł na zewnątrz. Galareta śliny zalepiła mu przelyk, długo nie mógł przełknąć tej łzawej guli. Ugryzł się w dolną wargę, ból przeszył mózg i z miejsca osuszył szklane oczy, serce przestało tak głupekowo trzepotać. Zlizał językiem krew wypełniającą usta.

Siostra była jedyną istotą na świecie, która akceptowała go w pełni, bezwarunkowo. I nie zrzędziła jak matka. Kochał ją z taką siłą, że czasami brakowało mu tchu. Zrobiłby dla niej wszystko, w zasadzie robił. Kradł, bił, wymuszał haracze. Zabiłby, gdyby ktokolwiek wyrządził jej krzywdę. Ale tylko w takim przypadku, inaczej nie potrafił. Z zimną krwią nie dałby rady.

Zadzwonił telefon, na wyświetlaczu pokazał się numer Bruce'a. Odebrał.

– Czemu nie dzwonisz, miałeś się zameldować. Jak poszło?

– Źle. Wcale nie poszło.

– Jak to, coś znowu spierdolił?

– Nic. Znalazłem go w nocnym klubie, ale mnie zauważył. Chyba rozpoznał, nie wiem, tak dziwnie na mnie patrzył.

– No to tym bardziej powinieneś się nim zająć! Ty masz trochę mózgu w bańce, myślisz? Halo, jesteś tam?

Tapir nie odzywał się. Miał ochotę rzucić telefonem o ścianę, roztrzaskać go w drobny mak. Roztrzaskać ścianę.

– Zdawało mi się, żeś go stuknął, podobno nie mogą go znaleźć, objeżdżają miasto, zniknął. Nie podoba mi się ta amatorka, Tomasz, musimy poważnie pogadać. Czekam na ciebie.

– Dobra. Zara bende – odpowiedział.

Tomasz. Brzmienie tego słowa spływało po plecach lodowatym potem. Bruce wymawiał to imię, jakby walił młotem w kowadło, strzelał z broni. Akcentował je w taki sposób, że stawało się obce, wulgarne niczym obelga. Będzie chciał go ukarać, zmusić do posłuszeństwa. Tapir nie pozwoli mu na to, nie tym razem. Był większy, silniejszy, ale nie aż taki zły. Ich szef okaleczał ludzi, robił im rzeczy, które ogląda się tylko w filmach. Tych najgorszych, po których pozostają koszmary.

Ruszył w kierunku centrum. Pozdrowiał znajomych, całe miasto szykowało się do wieczornej zabawy. Z placu Wolności dobiegała muzyka, próby zespołów. Słupy i budynki dekorowano w biało-czerwone flagi, kierowcy powtykali miniaturowe proporczyki w szyby aut, dzieciaki biegały ze sztandarami na

drzewcach. Turyści i mieszkańcy ciągnęli w górę ulicy Bema, niedługo miała wyjechać kolumna wojska, bateria krabów kierująca się na poligon. Będą strzelać, symulować wojnę. Niszczyć rosyjską armię. Aż radowało się serce.

Jazgot muzyki przy placu Wolności ogłuszał, kolorowe światła ledwo migały pod ciężkim drewnianym dachem miejskiej sceny. Wszędzie tłoczyły się grupki dziewczyn w krótkich spodenkach i chłopaków w koszulkach z podobiznami wyklętych, kotwicami Polski Walczącej, godłami, biało-czerwonymi opaskami na wytrenowanych bicepsach. Pospolite ruszenie przeciw narodowemu wrogowi. Demonstracja narodowej potęgi.

Tapir schylił się i podniósł z trawnika kamień. Podszedł do pierwszego z brzegu posterunku prewencji, dziesięciu funkcjonariuszy w plastikowych pancerzach, którzy ustawili tarcze w piramidę i wylegiwali się na ławkach w cieniu lip.

– Te, pedał, wyglądasz jak ciota Batmana! – krzyknął.

Kilku przechodzących chłopaków w brudnych mundurkach zatrzymało się, z zainteresowaniem oczekiwali na rozwój wydarzeń. O to Tapirowi chodziło, potrzebował świadków.

– Tak, ty, cwelu, do ciebie mówię! Myślisz, że możesz wyzywać moją matkę! Masz, kurwo jebana!

Jeden z funkcjonariuszy podniósł się z ławki. Tapir zamachnął się i rzucił w niego kamieniem. Chłopcy zawyli z radości, policjanci skoczyli w kierunku chuligana. Powalili go uderzeniami pałek, kolanami przydusili do ziemi. Skuli.

– Chcę rozmawiać z detektywami śledczymi – wyszczał Tapir. – Mam ważne informacje, musicie mnie zawieźć na komendę.

– Już my ci, patafianie, damy pedała, cwela! – Poczul ogień szturmówki wbijającej się w nerki. – Zrobimy ci drugą dziurę w tym twoim świńskim ryju!

Kopniak w twarz zabębnił mu w czaszce, przygryziona warga pękła na pół, dolna. Spodziewał się tego, zawsze bili. Był przyzwyczajony. Przez całe życie tłukł sam albo tłukli go inni. To jednak nie to samo, co zabijać. To zrobiłby tylko dla swojej siostry, nie dla Bruce'a. Dłużej nie dałby rady chodzić na jego smyczy, spełniać coraz brutalniejszych rozkazów. Musiał się od tego wyzwolić.

– Muszę rozmawiać z detektywami – powtarzał, a oni nie przestawali go bić.

Na trawniku prewencja biła jakiegoś chuligana, ale nie to było powodem korka. Problem musiał być poważniejszy, bo przez pięć minut Jadźka nie ujechała nawet



metra. Kierowcy wyciągali głowy przez okna, rozglądali się poirytowani, rzucali przekleństwa pod adresem policji, innych uczestników ruchu, świętujących mieszkańców i turystów. Burmistrza i prezydenta, bo cała Polska jest winna, kiedy Polakowi się spieszy.

W końcu na pobocze zepchnięto peugeota na białoruskich blachach, z karoserią pofałdowaną i wygniecioną jak po wypadku, z wybitymi szybami. To on tarasował przejazd. Przebiegająca obok gromada szalikowców uzbrojona w pałki bejsbolowe wznosiła tryumfalne okrzyki. Radowali się z gościnnego przyjęcia sąsiadów zza wschodniej granicy.

Jadźka ruszyła z miejsca, przyspieszyła. Zwolniła przed tablicą z nazwą hurtowni byłego męża, wjechała na parking. Wysiadła, pewnym krokiem skierowała się do hali hurtowni. Miała rację, drzwi były otwarte, Waldemar jak zwykle przesiadywał w pracy. Szczególnie w wolne dni, jakby się bał zostawić towary bez opieki. Firma – dziecko, które zapłacze się pod nieobecność opiekuna. Zbankrutuje z tęsknoty.

Weszła do biura.

– Waldek?

Siedział na sofie wpatrzony w szklankę trzymaną między kolanami. Na stole stała do połowy opróżniona butelka czystej. Zląkł się, jakby zobaczył ducha, zaraz potem się speszył. Odstawił szklankę, wstał.

– Ty pijesz?

– Piję, co mam nie pić. Chcesz jednego?

Odmówiła, a mąż wzruszył ramionami i usiadł. Pociągnął ze szklanki duży łyk.

– Zdrowja!

– Coś się stało?

– Stało się, stało. Zawsze coś się dzieje, nie wiedziałaś? To teraz wiesz.

Był inny, zupełnie nie ten człowiek. Zmienił się nawet fizycznie, postarzał, schudł, a widziała go przecież przed dwoma dniami. Rozwiązane buty, spodnie z otwartym rozporkiem, brudna, rozchełstana koszula. Nerwowe ruchy, rozbiegane spojrzenie. Nieprzyjemny ton głosu.

– Chciałam pogadać.

Przycupnęła na rożku fotela po drugiej stronie stołu. Na blacie położyła zdjęcie.

– Gadaj!

– Nie, nie gadaj, to bardzo poważna sprawa, Waldek.

Uśmiechnął się z politowaniem. Poważne sprawy były jego wyłączną własnością, niczyją inną.

– Popatrz na to zdjęcie, znasz tę dziewczynę?

– Nie znam – odpowiedział bez patrzenia. – I nie chcę znać. Ty nie masz co robić w domu, Jadźka? Nudzi ci się? Bo ja ci mogę robotę znaleźć, ha! przydałoby się pozamiatać, gnoju tu ostatnio jak w oborze.

– Burak! Ale nie przyjechałam się kłócić, nie sprowokujesz mnie. Ta dziewczyna, Waldek, przyjrzyj się jej. Coś pamiętam... Przyjaciółka Sandry?

Koterski sapnął, podniósł się i dolał wódki do szklanki. Od niechcienia zerknął na zdjęcie, jego ruchy nagle stały się szybsze. Podniósł fotkę, zbliżył ją do twarzy. Jego wzrok wyostrzył się, mięśnie policzków się napięły.

– Skąd to masz?

– Znalazłam, gdy przeglądałam album. Znasz ją?

– Nie.

– Nie kłam, widzę, żeś ją rozpoznał. Kto to jest?

– Nikt. Po cholere ty właściwie szperasz w tych kłamotach? Co chcesz znaleźć, chcesz sobie coś udowodnić? Co?

– Prawdę, Waldemar, chcę znać prawdę! Kim jest ta dziewczyna, gdzie jest Sandra?!

– Nie żyje!

Niespodziewanym ruchem strącił ze stołu szklankę, która roztrzaskała się o ścianę gabinetu, drobiny szkła posypały się na podłogę. Denko wyszczerzyło kły. Waldemar posłał żonie spłoszone spojrzenie, obszedł stół i spróbował ją objąć, naprawić błąd. Odepchnęła go.

– Coś ty powiedział? Waldek, czy to prawda, nasza córka nie żyje? Mów! – Szarpnęła go za poły koszuli. Trzasnęła w twarz. – Mów!

– Przedawkowała. Pięć lat temu, w Nowym Jorku. Przynajmniej tak twierdzi policja. Heroina, nałogowcy często tak kończą. Nie było listu.

– To... to niemożliwe. Wiedziałybym, tego nie byłabym w stanie zapomnieć.

Waldek pokręcił głową. Zdawała sobie sprawę, że w tamtym okresie było z nią bardzo źle. Ale żeby aż tak bardzo? Nie potrafiła się z tym pogodzić.

– A grób? Przecież byłby pomnik!

– Nie ma. Jej mąż, Darren, czy jak mu tam, nie wyraził zgody na transport

zwłok, ciało skremowano, prochy rozsypał w jakimś parku. Nie wiem...

– Mąż? Nie, to nie może się dziać, to nieprawda... A ta dziewczyna, może ona wie coś więcej, pytałeś ją? Trzeba ją zapytać, kim ona jest?

– Nie wiem, psiakrew, nie wiem! Przez tyle lat był spokój, musiałaś to odgrzebywać? Po co ci to, mało masz problemów?

Twarz Jadźki nagle przeszło przerażenie, oczy zaszyły kurzem przeszłości.

– Te zwłoki, które wyłowili z jeziora... To nie była Sandra, to był ktoś inny... – Znowu zaczęła szarpać męża, bić po twarzy. – Coś ty zrobił, Waldemar, coś ty najlepszego uczynił!

– Nic, ja nic! Chcesz wiedzieć kto, chcesz znać prawdę? – Bronił się, próbował ją obezwładnić. W oczach rozbłysło mu szaleństwo, jego ruchy przybierały na sile. – To ty, tyś ją zabiła!

– Nie, łiesz! Jak śmiesz tak kłamać!

– Zamordowałaś ją, a ja cię przez te wszystkie lata kryłem! Wariatka! Morderczyni!

Zawyła. Rzuciła się na niego z wyciągniętymi pazurami, wyszczerzonymi zębami. Celowała w twarz, w gardło, cięła ostro. Spudłowała, Waldek wykonał unik i wyprowadził cios, trafił. Wrzask przechodzący w skowyt. Brzęk przewracanej butelki. Bezdźwięczne uderzenie głowy o brzeg stołu. Krew.

Odsunął się przerażony. Przed oczami stanęła mu bliźniacza scena sprzed pięciu lat. Powtórzona historia, źle podrobiony falsyfikat. Alkohol, niepohamowana wściekłość, obłąd. Krzyk, walka, uderzenie głową o stół. Leżąca na podłodze kobieta. Pękające serce, kończący się świat. Śmierć. Wieczny smutek.

– Ja ją kochałem, Jadźka. Ja Różę tak bardzo kochałem...

Odpowiedziała mu martwa cisza.

Wokoło panowała cisza.

Jeszcze zanim otworzył oczy, uświadomił sobie, że nie jest u siebie. Wyczuwał przestrzeń i ruch, jakiś chemiczny zapach. Uniósł powieki i opuścił, jaskrawa biel kłuła w oczy. Kontrastowała z nieprzebraną czernią, którą zapamiętał ze snu. Nie, to nie był sen, fleszami pojawiały mu się w umyśle strzępy wspomnień. Pistolet, grill, dyskoteka. Świat rozszczępiony na milion cząstek, które połączyły się w mrok. Strach. Pogoń, a następnie ucieczka.

Za kim? Przed kim?

Ponownie uniósł powieki, tym razem obraz wypełniła kobieca twarz. Ładna, o ostrych rysach, zadartym nosku i drobnych cętkach ciemnych piegów. Piwnych oczach. Włosach związanych na cebulę. Pachniała kwiatami i antybiotykiem.

– A miałam nadzieję, że się pan nie obudzi.

Znajomy głos, złośliwie zmarszczone czoło. Twarz oddaliła się, ale powiódł za nią wzrokiem. Należała do drobnej kobiety w lekarskim kitlu, która odczytywała wskazania aparatury medycznej. Prześladowająca go Mała Mi, jego prywatne piekło.

– Myślałam, że się pan nie wyliże, ledwo wyczuwaliśmy tętno. A tu proszę, zmartwychwstał. Kto by pomyślał, takie chuchro. Ile grzechów musi pan mieć na koncie, że nie chcą pana nawet diabli?

– Pięćdziesiąt kilo.

– Słucham?

– Pięćdziesiąt kilo, więcej nie dałbym rady unieść. Testowałem na siłce.

Mała Mi założyła ramiona na piersi, zdmuchnęła niewidoczny kosmyk włosów, który łaskotał ją w twarz.

– Co za bezczelny typ, jeszcze się go trzymają żarty. A wie pan chociaż, co się wydarzyło w nocy?

– Nie, skąd. Przecież to pani wie wszystko.

– Idiota. Ale to prawda, tak się składa, że wszystko wiem. Pan partoli swoją robotę, dla odprężenia przedawkowuje dragi, a ja muszę później ten burdel sprzątać. Wskrzesać to nic niewarte życie.

Andrzej odwrócił głowę i przymknął oczy. Rozmowa zaczynała go męczyć.

– Wybaczy pani, ale jestem chory. Potrzebuję spokoju.

– Spokoju?! – usłyszał jej słowa tuż przy uchu. Ponownie poczuł zapach kwiatów i antybiotyku. – Po tym, czego dokonał pan ostatniej nocy, powinien pan się męczyć do końca życia.

– Będę, proszę się nie przejmować.

Sapnęła, zazgrzytała zębami, fuknęła nosem.

– Pamięta pan pacjenta z haczykami na ryby w brzuchu? Ofiarę tego całego Dropsa czy Gipsa, którego od tygodnia nie potraficie namierzyć?

– Grypsa.

– Nie żyje! Co, nie zrobiło to na panu żadnego wrażenia, nie obchodzi pana, jak umarł?

Nie, nie interesowało go to, naprawdę pragnął teraz tylko spokoju. Ugryzł się jednak w język.

– Jak?

– Powiesił się, bo nie wytrzymał psychicznie takich obrażeń. Bo nikt nie potrafił się nim profesjonalnie zająć. Brzydziliście się nim jak trędowatym. Nie skomentuje pan? Oczywiście, problem z głowy, nie? Jedna kartoteka mniej na komendzie.

Rzeczywiście, ta kobieta wiedziała wszystko. Andrzej znów się odwrócił i przymknął oczy. Poczł senność.

– Życzę panu tego samego, nadkomisarzu. Gdyby pan szukał sznurka, widziałam ostatnio kłęb w magazynie w piwnicy, klucz łatwo zwędzić u portiera.

Kiedy zaszurały i ucichły jej klapki, Andrzej odetchnął z ulgą. Przedwcześnie, stanęła w progu i trajkotała dalej.

– Aha, zapomniałabym o najważniejszym. Za zmarnowanie tego pięknego życia powinnam osobiście dopuścić się błędu w sztuce lekarskiej i zrobić z pana roślinę. Niestety, było za dużo świadków.

Wyszła, tym razem naprawdę. Zmąciła jednak Andrzejowi spokój na tyle, że szeroko otworzył oczy. O co jej chodziło? Trudno było skojarzyć starego dziada, wisielca, z pięknym życiem. Chyba chęć dokuczenia mu odebrała jej rozum. Podręcznikowa złoźnica.

Od wysilania pamięci zachciało mu się siku. Kroplówka już się prawie opróżniła, kable nie były do niczego potrzebne. Wyswobodził się z rurek i przewodów, wstał. Pokuśtykał do ubikacji, której lokalizację zapamiętał podczas ostatniej wizyty. Mógł wtedy zostać dłużej, świat nic by na tym nie stracił. Andrzej był jednak niewolnikiem systemu, którego szczerze nienawidził. Świadomy oplatających go łańcuchów obowiązku, ale niezdolny ich z siebie zrzucić. Mała Mi gównie wiedziała o życiu, umiała naprawić ciało, nic więcej. A małą planetę organicznej materii otaczał wielki, nieznan kosmos.

Wysikał się, umył ręce. Stanął przed lustrem. Czarne gałki oczne przeraziły go, zdążył o nich zapomnieć. Piekła go skóra na piersiach, wyjątkowo nietypowy efekt przedawkowania dragów. Zajrzał pod pizamę, z sykiem oderwał bandaż. Dostrzegł siatkę cieniutkich ran. Popatrzył w lustro. Rany układały się w napis: „Ala”.

Ugięły się pod nim nogi, usiadł pod ścianą. Pamięć galopowała, jeszcze raz przemierzał jej bezgraniczną pustkę. Tylko teraz zatrzymał się w innym miejscu. Była tam, rozmawiali na klatce schodowej. Odtrącił ją, a następnie zamknął się w swoim mieszkaniu. Zapraagnął wiekuistego odpoczynku, więc zażył żelazny

zapas tabletek. Kompletnie urwał mu się od tego film, Mała Mi mogła mieć rację, umarł, ale zdołali go przywrócić do życia. Zamiast jasności ostatnią drogę wyznaczała mu ciemność.

Dotknął krwawiącego napisu. Kiedy to się stało? W jaki sposób?

Wytoczył się z łazienki, wrócił do sali. Nie znalazł żadnych ubrań, więc poszedł prosto do wyjścia. Windą zjechał na parter, sekretnym korytarzem w piwnicy przeszedł do części szpitala zamienionej na hotel. Tamteży pielęgniarki wychodziły na fajkę. Ala przemykała się nocą do niego. On uciekał przed prawdą, której nie chciał poznać.

Jego mieszkanie zabezpieczała policyjna taśma. Zerwał ją, drzwi były otwarte, wszedł do środka. Całą przestrzeń wypełniało łożo śmierci, na które wyciekło czyjeś życie. Powietrze przeszło fetorem zwłok. Zbyt często oglądał takie obrazki, żeby nie wydedukować prawdy. Oczy zaszyły mu łzami, ukląkł i przyłożył głowę do frontu lodówki. W zamrożonej w czasie przestrzeni zdawał się ciągle rozbrzmiewać dźwięk odtwarzanej nocą muzyki. Głos śpiewał: *The loneliness grows and slowly / Fills her frozen body / Sliding downwards // The words all left me / Lifeless / Hoping / Breathing like the drowning man*<sup>[12]</sup>. Andrzej tonął w betonowej podłodze. Szloch utkwiał mu w gardle, dusił, Bondar długo nie potrafił złapać oddechu. Zmarnowane piękne życie. Ala. Zabił ją, ponieważ chciał ją ocalić. Odebrała sobie życie, którego on nie chciał. Odebrał jej życie.

Nie, to się nie mogło wydarzyć. Uratowali ją, ona nie mogła umrzeć. Każdy, tylko nie ona. Nie ona. Niecee!

Huk uderzenia czołem o drzwi lodówki ocucił go, wytrącił z letargu. Andrzej dźwignął się z podłogi, przytrzymał szafek. Ubrał się, spakował plecak, na głowie związał czerwoną chustkę w białe czaszki. Nie znalazł komputera, nie było telefonu ani kluczyków do saaba. Policja, cholerni handlarze skórami, dobrali się do niego, korzystając z okazji. Dramat nieszczęśliwej dziewczyny próbowali przekuć we własny sukces. Brokerzy śmierci oraz ludzkiego bólu. Byli jak ta lekarka, której się wydawało, że wszystko wie.

Nie wiedzieli niczego.

Zasłonił twarz okularami przeciwsłonecznymi i wyszedł na zewnątrz. Na ulicy grała orkiestra, szosą toczyły się wojskowe ciężarówki z platformami załadowanymi haubicami, dumą armii. Ludzie wiwatowali, dzieci patykami markowały strzelanie. Bok jednego z krabów udekorowano tarczą strzelniczą wrysowaną w podobiznę Putina. Intencja była wyraźna: będą walić na poligonie w Ruskich.

Według Andrzeja mogliby walić i w księżyc, z takim samym efektem. Nic go to zresztą nie obchodziło. Niech ten oszalały kraj toczy tyle wymagowanych wojenek, ile zechce, wiruje w zaklętym kręgu porażek i pyrrusowych zwycięstw. On prowadził swoje batalie. Niekiedy w nich wygrywał, ale głównie przegrywał. To nie była zabawa w poligon, ale prawdziwy bój na śmierć i życie. Żeby móc umrzeć we własny sposób, najpierw musiał postarać się przeżyć. Przetrzymać najgorsze.

Ukryć się. Najpierw musiał się dobrze ukryć.

– Ukrył się gdzieś, to pewne! – przekonywał Nowy.

Innego zdania był Łokieć.

– Zwiąż, mówię wam. Trzeba zorganizować regularną akcję, rozszerzyć poszukiwania na całą Polskę!

– Zablokować granice – dorzucił Chmiel.

Komisarz Morowczyk uniósł w zdziwieniu brwi.

– No przecież może się ulotnić do Rosji, trzyma z Saszami.

– Spokojnie, wszystkie nasze jednostki w terenie przyjęły komunikat, szukają go. Znowu! – Komendant Chłopska rozmasowała policzki dłońmi, przylizowała włosy, których kosmyki zaczęły wymykać się z końskiego ogona. Nagłym ruchem głowy strąciła utkwione w niej spojrzenia podwładnych. – Co, przecież nie rzucę do akcji całej komendy, miasto mi teraz świętuje, ludzie aż kipią z radości, w każdej chwili może zacząć się wojna.

– Już się zaczęła – zauważył aspirant sztabowy wpatrzony w kolumnę wojska widoczną przez okno na głównej ulicy. – Zimna. Ale nabiera żaru.

– Uważaj, Nowy, bo wypali ci oczy! – rzucił Chmiel.

– Cisz! – wrzasnął podkomisarz, rozkładając na stole mapę, którą przyniósł ze sobą z radiowozu. – Skupcie się, trzeba namierzyć Bondara, to priorytet. Gdzie mógł się zaszyć, myśleć!

Cały zespół kryminalny nachylił się nad dwuwymiarową topografią powiatu, ponure, nieogolone, rozmyte kaczki twarze zasępiły się, zamilkły w nieruchomym amoku.

Komisarz Śmierć sceptycznie pokręcił głową i wrócił do kontemplowania rysunków rozłożonych po drugiej części konferencyjnego stołu. Kolekcji, od której pobrał bardziej niż śmierć. Tylko pierwszy obrazek nie wzbudzał kontrowersji,

czarno-biała podobizna młodej, ładnej dziewczyny o smutnych oczach zapatrzonych w dal. Na każdym kolejnym była bardziej naga, w odważnych, obscenicznym pozach prezentując pociągnięte różową kredką wnętrza swojego ciała. W końcowej fazie prace przybrały postać surrealistycznej makabry, modelka była pokaleczona, zdejmowała z siebie skórę, jakby to był kombinezon, zlizywała z gołego mięsa krew długim, wężowatym jęzorem. Wsunęta głęboko w pochwę ręką wyciągała wnętrzności. Zgwałcona, rozczłonkowana, zmasakrowana przez niewidocznego oprawcę, przemieniona w istotę niewiele przypominającą człowieka. Alegorię ofiary ziemskich plag, wszystkich krzywd, które ludzie są w stanie wyrządzić ludziom. Starotestamentową metaforę gniewu bożego.

– Brrr... – Chłopska wzdrygnęła się jak na mrozie, stając przy komisarzy. – Tylko chory umysł by coś takiego wymyślił. Że ja w ogóle mu mogłam zaufać. Ohyda!

Morowczyk nie skomentował, przesunął się wzdłuż krawędzi stołu i nachylił nad kompletami zdjęć. Jeden z telefonu Heleny Szpak, drugi z mieszkania nadkomisarza. Sklejone krwią ciała przypominały zmutowanego owada, jeden odwłok o wielu kończynach i dwóch głowach. Krew jak czerwone lustro odbijające flesze aparatu. Umieranie przypominające akt narodzin. Znajac dalszą część historii, komisarz zastanawiał się, kto z oglądanej dwójki tak naprawdę umarł, kto żył.

Nie on jeden.

– Nawet na zdjęciu wygląda na bardziej żywą od Bondara – stwierdził Luj i to nie miał być żart. – Ja stawiam, że poszedł se strzelić w łeb.

– Marzenia! – prychnął Wojtal. – Taki będzie chodził po ziemi wiecznie, ludziom na samą złość.

– Hola, hola! – Chłopska plasnęła dłonią w blat stołu, zostawiając na jego wypolerowanej powierzchni ciemny, wilgotny odcisk. – Czy wy przypadkiem nie macie swojej roboty?

– Jasne, że mamy, właśnie ruszamy w teren. – Na dowód tego Łokieć złożył mapę i wsunął ją do tylnej kieszeni spodni.

– A dokładnie?

Wojtal wyciągnął przed siebie ramię, jakby zamierzał liczyć swoje sugestie na łokcie, nie na palcach.

– Lokale, w których się często zaszywał, dom pedzia, przystań...

– Niewiele tego.



– Bo cholera go wie, gdzie tak naprawdę się szlajał. Z nikim się nie trzymał, do nikogo nie jeździł. Głównie chyba wsiąkał w tej swojej klitce – podsumował Chmiel.

– Podróżował mistycznie – zażartował Luj, wbijając sobie czubek wyobrażonej igły w żyłę.

– Gównu mnie to obchodzi, panowie – ucięła komentarze Chłopska. – Macie go znaleźć i przywlec tu nawet z krainy Oz czy z innej Neverlandii. Jazda!

Wyszli. Komisarz usiadł przy postawionym pod ścianą stoliku z przedmiotami wyniesionymi z mieszkania nadkomisarza: komputerem, komórką, dyskami zewnętrznymi, pendrive'ami, dokumentami, książkami, jakąś drobnicą o niewiadomym przeznaczeniu.

– Ani śladu dragów, skąd przypuszczenie, że brał?

Inspektor przewróciła oczami.

– Badania krwi? Ciągła schizofrenia? Poza tym ma historię.

– Ja też mam wiele historii. Leczył się, zapisywano mu silne środki przeciwbólowe.

Chłopska wzruszyła ramionami, ruchem głowy objęła zabezpieczoną własność nadkomisarza.

– Dowodów wystarczy na parę śledztw. Nie wiem, jak pan, ale ja jestem pewna swego. Załatwił Helcię Szpak, mataczył, doprowadził do próby samobójczej swojej dziewczyny, współpracuje z Ruskimi. Proszę, nawet uczy się ich języka. – Oboje popatrzyli na podręcznik ukraińskiego, komisarz z wyraźną wątpliwością. – A co za różnica, może dla niepoznaki, oba języki prawie się od siebie nie różnią. Sam pan zobaczy, jak tylko dostaniemy się do telefonu i laptopa.

– Słucham?

– No... – Chłopska założyła ramiona na piersi, nieco zbity z tropu. – Kiedy złamiemy zabezpieczenia.

– A niby na jakiej podstawie? O ile się nie mylę, Andrzejowi Bondarowi formalnie nie postawiono zarzutów. Mam rację?

– Jeszcze! W sensie... Przecież rozmawialiśmy, sam pan przyznał, że wszystko wskazuje na jego winę.

Wbiła wzrok w oddaloną o kilka metrów sylwetkę komisarza, chudą jak szkielet ofiary radzieckiego wywiadu wyłowiony z dna Mamr, który obrósł na nowo skórą, ale wciąż nie wykształciły mu się mięśnie. W posępną, złowrogą twarz

wydłubanego ze skały i nieoszlifowanego posągu. Śmierć, której brakowało kosi.

– Jeśli nie pan, ja to zrobię – Hula-Chłop zakomunikowała z naciskiem. – Zaaresztuję go i wycisnę prawdę. A wtedy wspomni pan moje słowa.

Komisarz zmrużył oczy, przez co zapadnięte oczodoły wydały się całkowicie puste. Poruszył szczękami, ale nie zdążył wyartykułować myśli. Do sali konferencyjnej wpadł sierżant z centrum dowodzenia.

– Szybko, pani komendant, jest problem!

Problemem byli ci, którzy mogli go rozpoznać. Andrzej stanął na skraju drzew, porastające pobocze drogi krzaki dawały tylko częściowy kamuflaż, dla przechodniów lub przejeżdżających kierowców był wystarczająco widoczny. Na szczęście nikogo nie było, nie tylko trasa nad jezioro, ale i ośrodek wczasowy zdawały się wymarłe. Całe życie przeniosło się teraz do centrum miasta, wszyscy wyruszyli na wojnę. W domach pozostali zniedołężniali starcy, kobiety z niemowlakami i dezenterzy.

Policja.

Andrzej cofnął się głębiej w las, przytulił do pnia sosny. Radiowóz zatrzymał się przy bramie wjazdowej, ze środka wysiedli funkcjonariusze. Mundurowy kierował się ścieżką przy płocie na tyły ośrodka, cywil w białym T-shircie i czarnych dżinsach przemierzał się chodnikiem.

Szukali go. Spodziewał się tego, dlatego zachował wszelką ostrożność. Zdawał sobie sprawę, że domek Kłosa będzie jednym z pierwszych miejsc, do którego przyjadą. Nie mylił się. Spędził na czatach prawie pół godziny, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie miał zegarka ani komórki, nie mógł sprawdzić. Był zawieszony w czasie i przestrzeni, wymazany z teraźniejszości i skazany na banicję ze świata ludzi.

Funkcjonariusz w mundurze zajął pozycję na tyłach domku, detektyw zapukał do drzwi. Niańka, teraz go rozpoznawał. Gdyby był sam, Andrzej mógłby spróbować się z nim rozmówić, przekonać go do swoich racji. W tej chwili było to jednak zbyt ryzykowne, najpierw zakuliby go w kajdanki i wrzucili na pakę, dopiero później zaczęli słuchać. Głusi na wszystko, co nie pasowałoby do ich tezy. Może by się wybronił, może nie. Dla pewności musiał rozegrać to zupełnie inaczej.

W progu ukazał się Michał. Niańka wepchnął go siłą do środka, wyszedł po kilkunastu sekundach. Zły, na pożegnanie wycelował w gospodarza wskazujący palec, wyraźnie ostrzegał i groził. Michaśka też odpowiedział mu palcem,

środkowym, ale dopiero gdy policjanci ruszyli w drogę powrotną. Wypalił w plecy niczym czarny charakter z amerykańskich westernów. Radiowóz zniknął, Andrzej odczekał pięć minut i przelazł przez płot.

Drzwi były zamknięte. Zastukał trzy razy, jakby wybijał sekretny kod. Bez rezultatu, uderzył kłykciami ponownie, tym razem dużo głośniej. Był pewny, że Michał słyszy, ale się boi. Kretyn, policja weszłaby do środka z drzwiami, gdyby musieli, dwudziestoletni patent i kawał dykty w niczym by nie pomogły.

– Kto tam? – padło w końcu ze środka.

Andrzej w odpowiedzi zastukał ponownie. Wolał się jeszcze nie ujawniać, tchórz mógłby od razu zadzwonić po gliniarzy.

– To jakieś żarty? Spieprzaj, nie mam czasu, zaraz idę do pracy.

– Otwieraj, bo wypierdolę drzwi, policja! – warknął zmienionym głosem.

Poskutkowało. Jak tylko usłyszał odbezpieczony zamek, napał barkiem i wtargnął do środka, gospodarza przydusił do ściany i wyciągnął mu z ręki telefon. Przekreślił klucz.

– Jezu, Andrzej, wszelki duch...

– Tylko jeden, i to ulotny jak mgiełka, prawie wcale mnie tutaj nie ma, jasne?

– Co jest! – syknął Michał, kiedy Andrzej pchnął go na sofę. – Przed chwilą były tu gliny, mogą wrócić. Jeśli mnie z tobą zobaczą...

– Szybko nie wróć, nie panikuj. Masz coś do żarcia? Dawaj!

Michał skierował się do kuchni, ale stanął w progu.

– Co, nie masz?

– Mam, ale... Oni nie żartowali. Podobno jesteś poszukiwany za zabójstwo, szpiegostwo i zdradę stanu. Za pomoc zbiegowi grozi poważny wyrok.

– Spokojnie, Michał, nic nie zrobiłem. Nie gap się tak, to debile, coś im tam dzwoni, tylko nie wiedzą, w której parafii.

– Pewnie, bo ty zawsze jesteś najmądrzejszy. Sam, kuźwa, chodzący rozumek – zrzędził, przybierając swoją hipergejowską manierę, ale grzebał w garach. Młasnęły drzwi od lodówki, stuknęła szafka, zabrzęczały talerze. Zagotowała się woda. – Ciekawe, jak udało im się ciebie przechytrzyć, czemu to nie ty ich ścigasz, tylko oni ciebie?

Postawił na kawowym stoliku tackę z kanapkami i szklanką herbaty.

– Bo jestem tym dobrym?

– Ha! Ha, ha! Koń by się uśmieł. Gdybyś wylądował w ciupie, w ogóle bym się nie zdziwił. Wiesz, co cię różni od pospolitych zbójów? Legitymacja, ale ci ją wzięli. Więc nic, jesteś tak samo pospolity. – Skrzywił się niczym amerykańska nastolatka w reakcji na zaloty klasowego frajera. – Odpychający.

Andrzej zmęczył dwie kanapki, popił je łyżkiem herbaty. Żołądek zapełnił się po sam przełyk, zakleił mąką niczym foremka do chleba. Nie pomogło, ciągle odczuwał głód. Głowa puchła i pękała na coraz mniejsze fragmenty, mięśnie rwały, żyły paliły od środka jak wypełnione kwasem. Był na zjeździe po przedawkowaniu, odnowiły mu się wszystkie rany. Postać Aliny nie schodziła mu z oczu, zamieszkała w nim. Wciąż wyrzynała mu w skórze swoje imię.

Skulił się. Nie był pewien, czy utrzyma jedzenie.

– Tylko mi tutaj teraz nie zejdź, chłopie. Dżizas, Bondy, wyglądasz jak jakaś larwa! Słuchaj, lepiej będzie, jeśli dasz im się zwinąć, ty potrzebujesz lekarza, a oni się tobą zajmą.

– Michał...

– Co, przecież jesteś niewinny, wybronisz się, nie? Nie? To ja już sam nie wiem, nie mam zamiaru pomagać przestępcy. Znajdź sobie inną metę, ja muszę iść do pracy.

– Michał!

– O! – Ostentacyjnie zerknął na zegarek. – Zaraz zaczniesz się moja zmiana!

– Stul pysk, Michał! – ryknął wreszcie Andrzej, zdziwiony, skąd wziął tyle energii. Niespokojnie rozejrzał się po salonie, nagle przyszła mu do głowy genialna myśl. – Gdzie masz białe?

– Nie mam! Ja...

– Proszę cię, wciągnę kreskę i sobie idę, obiecuję. Potrzebuję lekarstwa – zakwilił żałośnie.

Drugą opcją było zmuszenie Michała siłą, był jednak zbyt słaby. Poskutkowało, Michaśce zrobiło się przykro.

– Na pewno, obiecujesz?

– Trzy palce na sercu!

Chłopak znikł w kuchni i po chwili wrócił z całkiem sporą samarą, co najmniej cztery gramy. Rozsypał połowę na stole, niespiesznymi ruchami dzielił kreski, napawając się błyskiem pożądania w oczach nadkomisarza. Powoli zwił Kazimierza Wielkiego.

– Co to za syf, szuwaks?

– Jak ci się nie podoba, nie bierz!

Łajdackiego uśmiechu kelnera Andrzej nie zdzierzył. Wyrwał rulonik z banknotu, przystawił do blatu stołu i wprawnie wciągnął dwie szyny. Metamfetamina, kokaina dla ubogich, trucizna, której unikał jak ognia. Ale dobra, mocna, zadziałała. Serce na ułamek sekundy zatrzymało się, by nagle wyrwać z kopyta, wpaść w galop. Atomowym blaskiem w pokoju eksplodowało słońce, z nieba sfrunął Duch Święty i stała się jasność. Ciało odżyło, mózg wszedł na odpowiednie obroty. Ból znikł.

– Skocz do najbliższego sklepu po telefon na kartę – zakomenderował Andrzej.

– Raz-dwa, kasę oddam ci później. No już, muszę się skontaktować z policją, przecież tego chciałeś.

– Nie trzeba, mam tutaj jeden nieużywany. – Michał wyciągnął z szuflady komody klawiszowca Nokii, wyświetlacz ciągle zabezpieczony był folią. – Kupiłem starym, ale nie przyjęli. Chyba nie myślisz, że chodziłbym z taką cegłą?

– Dzięki! I jeszcze jedno, Michał. Masz prawko?

Chłopak fuknął pod nosem i zwinął wargi w dziobek, jakby w życiu nic bardziej go nie dotknęło.

– Świetnie. Przejdiesz się nad kanał, w krzakach na końcu Słowackiego, za śmietnikami, znajdziesz mojego saaba, przyprowadzisz go tutaj. Zapasowe kluczyki trzymam pod maską, za akumulatorem. Otwiera się łatwo, trzeba wsunąć palce pod blachę, przesunąć dźwignię w bok i szarpnąć w górę. No, na co czekasz?

– Przecież miałeś se pójść, obiecałeś!

– Potrzebuję fury, chyba nie puścisz mnie pieszo w takim stanie.

– No dobra, ale będziesz mi to musiał wynagrodzić, Bondy! – Kelner puścił figlarnie oczko. – Jak już wrócisz z tego dziada do normalnej postaci.

– Szoruj, Michał, nie ma czasu!

Chłopak zaczął się kręcić po mieszkaniu, zbierać do drogi. Andrzej uruchomił aparat, z pamięci wybrał numer do Niańki. Zapamiętał go, bo telefony służbowe w wydziale różniły się tylko ostatnimi cyframi. Pierwszy raz w życiu znał wszystkie.

– Cześć, Janek, to ja.

– Jezu, nadkomisarzu, gdzie pan się, do cholery, podziewa?! Mamy tu sraczkę jak po jabolu, Chłopska...

– Zamknij się, Jan, wytłumaczę ci później. Słuchaj, chyba rozgryzłem tę sprawę.

– My też, te wyłowione szkielety bez zębów są ofiarami Grypsa.

Andrzej zrobił krótką pauzę. Nie poszukiwali więc sprawcy napaści, a mordercy.

– Nie, Janek, tę z wypadkiem Rosjan pod Gują.

– Tu też jest postęp, mamy trupa kierowcy. Trzy strzały z pistoletu w pierś, jeden w plecy.

Cholera, nie próżnowali. Na komendzie wybuchło słońce, a on orbitował na krańcach wszechświata.

– Wiem, kim są sprawcy. Prześwietlcie rodzinę babci, na którą zarejestrowano terenówkę, tę, o której ci wspominałem. Rysopis podejrzanego znajdziesz w szkicach z mojego mieszkania. W celach dowodowych zabezpieczyłem pistolet.

– Gdzie pan jest?

Dopiero teraz trzasnęły drzwi wyjściowe. Andrzej nawet nie zauważył, że Michaśka przez ten cały czas był w środku. Przekazał lokalizację, przez okno obserwując chudą postać, z nisko zwieszoną głową sunącą ścieżką, jakby obciążona była kilogramami winy. Wrócił do rozmowy.

– Zaufaj mi, Janek, będziesz bohaterem.

Nie chciał być bohaterem. Ani teraz, ani nigdy później. Potrzebował stabilnej roboty, nie wyczynów, regularnie wpływających na konto pensji, nie odznaczeń. I tak żonie ciągle brakowało do ostatniego, nie przestawała mu suszyć głowy. Jeśli postawi na złego konia, przegra nawet tę marną pensję. Wywałą go bez gadania, nikt nie będzie zważał na motywy i dobre chęci. Bondar był podziurawioną łajbą, tonął w kłopotach. Niańka nie zamierzał dać się pociągnąć na dno.

– Zatrzymaj się, Kazik, coś mi się przypomniało. Zróbmy sobie przerwę na fajkę.

Wyszli z radiowozu na trawniku przy rondzie. Janek stanął przy jezdni i zapatrzył się w drogę wyjazdową na Kętrzyn. Gdyby okoliczności były inne, poszedłby za nadkomisarzem w ogień. Nigdy nie spotkał bardziej inteligentnego i doświadczonego gliniarza, powiatowe psy prezentowały się przy nim jak kundle obok rasowego czempiona. Miał swoje wady, ale kto ich nie ma? Łokieć był tępy jak pal i myślał fiutem, Marycha brał w łapę od firm przewozowych, a Hula-Chłop dla kariery zamieniłaby cipę w rurę ścieku. On sam był pantoflarzem i tchórzem,

wiecznie bał się o przyszłość, ręce ciągle miał ubabrane w dziecięcym gównie. Tak było i koniec, świat został już urządzony. Dużych mebli nie dało się poprzestawiać, taborety jak on można było za to wpychać w kąty. Albo je powyrzucać przez okno.

Wyciągnął komórkę, wybrał numer.

– Tu Jan Gryczak. Melduję, pani komendant, że udało mi się nawiązać łączność z Bondarem. Tak, wiem, właśnie zmierzamy na miejsce. Dziękuję, pani komendant, zawsze do usług.

Podszedł do radiowozu, sięgnął po mikrofon radiotelefonu.

– Potrzebne wsparcie z bronią. Uwaga, obiekt może być uzbrojony. Odbiór.

Poruszyła się.

– Jadźka? Jadzia!

Jęknęła, próbując podnieść się na rękach. Waldek upadł na jedno kolano, ujął ją pod ramiona i uniósł do góry. Pomógł usiąść na sofie.

– Boże drogi, myślałem, że nie żyjesz!

Podbiegł do biurka, spomiędzy góry papierów wyszperał paczkę chusteczek higienicznych. Usiadł obok żony i wytarł jej z twarzy krew. Gdy dotknął rany, syknęła.

– Daj spokój, nic mi nie jest.

– Nic? Przecież...

– Przestań! – Odtrąciła rękę męża.

Była oszołomiona. Matowe oczy zdawały się chować za przybrudzonym szkłem, poblakłe policzki obwisły jej, nagle postarzałe o dziesięć lat. Płaczliwie pomarszczona broda drżała.

– Teraz pamiętam – przyznała słabym głosem, z twarzą zwróconą w pustkę pokoju. – Róża przychodziła do nas w odwiedziny, myślałam, że tylko tak bardzo tęskni za Sandrą, od dziecka były nierozłączne jak siostry. A ona i ty... Matko Najświętsza, ty nie masz wstydu, Waldek! Ona wiedziała?

Waldemar zwiesił głowę.

– Nie, nie wiedziała. Tak mi się przynajmniej wydaje. Brakowało mi jej, z tobą nie dało się wytrzymać, a Róża... – Zamilkł na dłuższą chwilę, głośno przełykając ślinę, jakby łykał słowa, zamiast je wypowiedzieć. – Domyślałaś się. Najpierw robiłaś mi awantury, groziłaś, że wszystkim rozpowiesz. Później ci przeszło, od

czasu do czasu tylko ze mnie szydziłaś, po pijaku. Odeszłaś, zamieszkałaś w domu po matce, ale któregoś wieczoru wróciłaś, a Róża akurat była u mnie.

– To był wypadek, prawda? – Wbiła w męża nieobecne spojrzenie, jakby zamiast niego widziała przed sobą inną postać. Kurczowo zacisnęła mu palce na ramionach. Potrząsnęła. – Ja jej nie chciałam nic zrobić! Pamiętam kłótnię, szamotaninę, krew... Wierzysz mi, Waldek, prawda? Ja nie chciałam!

Mężczyzna pokiwał głową, ale uciekł spojrzeniem. Słyszał jej słowa tak samo wyraźnie jak wtedy. „Zabiję cię!” powtarzane dziesiątki razy. Z zazdrości, z gniewu, z żalu, z tęsknoty za córką.

– Nie, Jadźka, nie chciałaś tego. To był wypadek.

Wstała. Nienaturalnie powolnymi ruchami nurka znajdującego się pod wodą poprawiła garderobę, chwyciła torebkę. Ruszyła do drzwi. Nie zauważyła, że z rany na głowie ciągle sączy się krew, wsiąkała we włosy, drobnymi kropelkami opadała na lewy bark.

– Jadźka! – Powinien ją zatrzymać, nie pozwolić jej jechać w tym stanie, ale u siebie też jej nie chciał. Pragnął być sam. – Jedź ostrożnie.

Znikła za drzwiami. Po chwili z parkingu doszedł go warkot silnika SUV-a, zaryczał i zgasł.

Ciężko wstał z sofy, przyniósł nową szklanekę i nalał wódki. Wziął potężny haust, który ledwo przełknął. Z trudem złapał po nim oddech. Oparł głowę na rękach, na podłogę posypały się groszki łez. Przyglądały się mu migotliwymi źrenicami, twardo, bez zmrużenia. Szczerze.

Kochał ją.

Był normalnym facetem, nic nie potrafił na to poradzić. Po prostu z nikim nigdy nie było mu lepiej. Kochał ją inaczej niż córkę, na swój sposób nawet bardziej. Z całą pewnością bardziej niż Jadźkę czy jakąkolwiek inną kobietę. Powinien był wtedy to wszystko sprzedać, uciec z tej dziury, zacząć nowe życie gdzie indziej. Mimo straty dziecka mógł jeszcze być szczęśliwy. Nie potrafił, był uwiązany do tego miejsca jak skazaniec. Szczęście to przywilej innych, dalekich ludzi. Wolny wybór to zakup czerwonego lub niebieskiego samochodu, nie życia.

Warkot silnika.

Jadźka wróciła? Zbyt głośny, wozów musiało być więcej. Dwa? Głośna muzyka, hip-hopowe bity, recytowane przekleństwa. Nawoływania, głośny śmiech, trzaśnięcie metalowych drzwi do hurtowni.

Waldek podszedł do ściany, rozsunął panele żaluzji. Mignęła w nich



zakapturzona postać w białej bluzie z krwawą twarzą wyklętego żołnierza. Z tyłu rozległ się tętent wielu par butów. Wrócili spełnić obietnice sprzed kilku dni. Bruce przysłał swoje oddziały, żeby dokonały zniszczenia. Za karę, jako przestrożę dla innych. Trening, wyśmienita zabawa, w końcu dzisiaj obchodzili święto niezgody. W ruch poszły pałki teleskopowe i baty, z trzaskiem poleciały pchnięte regały. Waldek przypatrywał im się jak urzeczony, człowiek z Księżyca, który pierwszy raz widzi możliwości ludzi z planety Ziemi.

Padło hasło do odwrotu, kilka zakapturzonych głów pobiegło do wyjścia. Jeden został, stał kilka metrów od właściciela hurtowni, ciężko oddychał. Sięgnął po coś do kieszeni bluzy, w dłoni pojawił się czarny obły kształt. Waldek pamiętał ten przedmiot z czasów wojska, ciężar, chłód i chropowatą powierzchnię.

Granat.

Rzucił się na podłogę. Za blisko, na czworakach przemierzył biuro, wpadł do gabinetu i zamknął drzwi. Zdążył wcisnąć się w swoje miejsce pod ścianą, kiedy podłoga zadrżała. Huk przeszedł wibracjami po murach, ogłuszył go.

Cisza.

W nozdrza uderzył zapach spalenizny i prochu. Świst w uszach ciągle trwał, ale po chwili zamienił się w terkot silnika. Jeszcze tam byli? Waldek rzucił się do szuflady, wyciągnął broń. Przyjął pozycję do strzału, wycelował w drzwi na wysokości klatki piersiowej, najłatwiej trafić. Nie da się zaszlachtować, będzie się bronił. I tak stracił już firmę, więcej niczego innego w życiu nie miał.

Wołanie? Przesłyszał się, w uszach mu świstało od eksplozji. Ktoś szedł, pod podeszwami butów chrzęściło szkło. Szukali go, dostali zlecenie nie tylko na budynek, ale i na właściciela. Zdziwią się, oj, jeszcze się zdziwią!

Naciśnięta klamka, intensywne szarpnięcie. Strzał.

Jeden czy było ich więcej? Koterski czekał, aż zza niekończącego się echa wybuchu doszedł do niego jęk. Powoli wstał i podszedł do drzwi, odbezpieczył zamek. Wyszedł. Chmura czarnoszarego dymu wirowała, kłębiła się, przybierała różne kontury i kształty. Jeden z nich leżał na podłodze. Znajomy. Ten sam, który widział przed kilkoma minutami.

Trafił.

Nie trafił. Andrzej oznaczyłby mu lokalizację na mapie, gdyby Michał miał jakiegokolwiek wątpliwości. Nie miał, w końcu wychował się w tej miejscinie, spędził tu prawie całe życie. Tych siedemnastu ulic na cztery krzyże można się nauczyć na

pamięć w ciągu dwóch dni, przez dwadzieścia lat dałoby się je dwa tysiące razy zapomnieć i odkryć na nowo.

Uciekł?

Nadkomisarz kolejny raz spojrzął na wyświetlacz komórki. Prawie półtorej godziny, od kiedy wyszedł. Czas zdawał się przyspieszać coraz bardziej.

Drzewa kołysały się, tańczyły w kole jak karuzela. Robiło się na zmianę ciemno i jasno, lekko i niewyobrażalnie ciężko, w zależności od tego, jaka dawka amfetaminy docierała do mózgu. Andrzej widział raz źle, raz doskonale, ślepił, żeby za chwilę wampiryzm wzrokiem przeświecić ściany. Wariował falami, elektrycznymi impulsami wracał mu zdrowy rozsądek, ten przeważał. Na tyle, że po niespełna godzinie zmienił miejsce ukrycia, wrócił do lasu. Mniej więcej tyle czasu zajęłoby Michaśce odnalezienie samochodu i powrót do siebie.

Stchórzył? Zgłosił się na policję? Złapali go?

Nie, w takim wypadku dawno ponowiliby nalot na domek letniskowy, a nikt jeszcze się nie pojawił. Najwyraźniej polowali gdzie indziej, pod błędnym adresem, który podał Gryczakowi przez telefon. Taktyczna zmyłka, wprowadzenie chaosu w szeregi wroga. Lubił Niańkę, ale mu nie ufał. Podobnie jak całej policji. Miał tylko nadzieję, że niepowodzenie zmusi ich do poważnego rozważenia informacji, które im przekazał. Zabiorą się do prawdziwych zbirów, nie tych zastępczych. Albo wściekną się jeszcze bardziej, w poszukiwaniu byłego kolegi przeorają każdą piędź ziemi. A nie było jej wiele w Węgorzewie, kilka nowoczesnych ciągników poradziłoby sobie z orką w parę godzin.

Kończył się czas. Andrzej nie miał innego wyjścia, musiał uruchomić plan B. Znowu był skazany tylko na siebie, opuścili go wszyscy. Na zawsze, nie łudził się, że ktokolwiek wróci. Jedni umarli, drudzy nie chcieli z nim żyć. Poszli na wojnę, zapominając, że on również potrafi być wojownikiem. Walczył do końca, do ostatniego trupa i najczęściej wygrywał. Było tak źle, że mogło już być tylko lepiej. Tonął, ale odbije się jeszcze od dna, wynurzy na powierzchnię.

Szedł.

Z centrum dobiegały go dźwięki koncertu, wiwaty, wybuchy sztucznych ogni i rac, wycie dogorywających na polu bitwy. Boczne drogi oplatające miasto rzadką pajęczą siecią były kompletnie puste, nawet gryzonie i owady zdołał przyciągnąć blask święta. Robiło się ciemniej i coraz głośniejsze, niebo płonęło zachodem słońca i pulsowało efektami świetlnymi z muzycznej sceny. Gdzieś zapalały się pojedyncze lampy.

Zbliżała się noc.

Zabudowa gęstniała, z przedłużającej się wsi rosła w klocki kilkupiętrowych bloków. Oświetlone ulicznymi lampami seledynowe ściany wyglądały bajkowo, jedyna pora dnia, kiedy te odczłowieczone monstra można uznać za przytulne. Muzyka przybierała na sile, chodnik falował, budynki piętrzyły się i zapadały w ziemi, do uszu dolatywały jakieś szepty. Wrogowie kryli się za każdym rogiem, nawoływali się, przekazywali sobie komendy, okrążali go. Andrzej przyspieszył, biegł, by jak najszybciej osiągnąć celu.

Syrena policyjna.

Namierzyli go, osaczyli, zaszczuli jak zwierzę. Teraz przystąpili do akcji. Uskoczył. Przylgnął do ściany, ukląkł i przeczołgał się do skrawka ogrodu pełnego papierków po lodach i kęp nieskoszonej trawy. Stamtąd przedostał się do śmietników, przyczaił się, wyjrzał na drogę.

Słowackiego była zupełnie pusta, jedynym przejawem życia była nabrzmiała biedą gospodyni domowa zwisająca z okna na piętrze kartonowego domu. O nieobecnej twarzy rozświetlonej żarem palącego się papierosa.

Paranoja, nie było glin, prawdziwy był tylko on i obserwująca go kobieta. Krokodyl szos stał tam, gdzie go zostawił poprzedniej nocy. Andrzej podszedł, podważył maskę i wyciągnął zapasowe kluczyki. Genialny pomysł, na który wpadł po tym, jak trzy razy z rzędu gubił oba zestawy i musiał wzywać ślusarza. Wsiadł, wciągnął szczyptę proszku z kciuka i otarł łyzy. Jeszcze raz dokładnie przeanalizował sytuację, rozważył możliwości. Nie skończył, z myśli wyrwała go melodia dzwonka.

Michał.

– Halo! Halo, jesteś tam? Kto to?

Szept w telefonie był niezrozumiały.

– Co mówisz? To ty, Michał?

– Złapał mnie! – Słowa brzmiały niewiele głośniej od szumu na linii.

– Co? Kto, robisz se ze mnie jaja, cioto?

– Nie wiem, on... To on, Andrzej, zaatakował mnie na ulicy, porwał!

Bondara przeszły zimne dreszcze. On. Człowiek bez tożsamości i kształtu. Demon z białego szkwału. Gryps.

– Gdzie jesteś?

– Nie wiem, gdzieś w środku bunkra. Pamiętasz, pokazywałem ci, tam, gdzie nie

wolno wchodzić.

Pamiętał, jedyna wycieczka krajoznawcza, którą razem odbyli. Wilczy Szaniec, część nieudostępniona zwiedzającym. Daleko w lesie, kilka wyszczerbionych stanowisk dział, fragmentów posągów z Wysp Wielkanocnych o wielkich korpusach zakopanych w ziemi. Podziemne miasto magazynów, komnat i tunelów komunikacyjnych. Nieskończony labirynt.

– Jezu, on tu jest, słyszę go... Proszę, błagam, niee!

Koniec połączenia. Andrzej przez długą chwilę wpatrywał się w ekran wyświetlacza, widząc na niej projekcję lęków. Bandyta. Brutalne bicie. Tortury. Śmierć... Za dużo śmierci, za dużo krwi. Pomylili się. To nie był biały szkwał, ale czerwony. I ciągle jeszcze dął, zbierał żniwo.

Włączył silnik, ruszył do przodu. Wszystko inne przestało się liczyć. Może jeszcze zdążyć, wciąż była szansa uciec przed wiecznym potępieniem. Uratuje niewinne życie.

Uratuje siebie.

Nie mógł jej uratować.

Jadźka leżała na podłodze wśród migoczących odłamków szkła. Trafił ją w pierś, jak zamierzał. Przez niewielki otwór wypływało z niej życie. Drżała, mrugała oczami zapatrzonymi w inny świat, szybko poruszała ustami. Nachylił się, uniósł jej głowę, położył sobie na kolanach.

– Wróciłam do ciebie, Waldek – wyszeptała. – Zawsze chciałam do ciebie wrócić.

Zakrztusiła się, splunęła czerwoną śliną. Dygotanie ciała narastało, podejmowane przez Waldka próby powstrzymania odrywającej się duszy nie pomogły, mięśnie zwiotczały. Źrenice zgasły.

Odeszła.

Rozpłynęła się po podłodze, przechodząc ze stanu stałego w ciekły. Na końcu zostanie jedynie gaz, energia rozproszona niczym cząsteczki tlenu, nieuchwytna. Dusza, a może ciało astralne? Pustka, nic pochłonięte przez nicość.

Pustka była wszechogarniająca, zupełna. Waldek nie odczuwał niczego, ból przeszył go niczym kula z własnego rewolweru i powalił na ziemię. Zabił ją, bo bardzo chciał zabić. Kogokolwiek, byle odreagować lata frustracji. Odebraniem komuś życia pragnął zrekompensować sobie życia, które odebrano jemu. Miał ich

cztery, teraz zostało mu tylko jedno, i to niepełne. Strzęp, odprysk swojego dawnego ja, strup zdrapany z rany, która nie chciała się goić.

Był winien tylko tego, że dokonał wyboru zgodnego ze swoim sumieniem, zażądał przynależnego mu miejsca w świecie. Nie wolno mu było, zgrzeszył więc po raz pierwszy – zdradził. Zaraz potem przyszedł następny grzech, zatuszowane zabójstwo, po którym został tylko w połowie człowiekiem. Nie mógł jednak pozwolić, żeby skazano Jadźkę, to nie przywróciłoby mu Róży, a poczyniło jeszcze więcej szkód. Zapakował zwłoki w folię, obciążył żelastwem, zatopił tam, gdzie żołnierze radzieccy pozbywali się niepotrzebnego sprzętu i toksycznych odpadów. Gdzie służby bratniego kraju chowały pomordowanych wrogów systemu.

Kiedy odeszła Jadźka, całą swoją uwagę skupił na firmie, martwą materię też można pokochać, ból po niej wcale nie jest mniejszy niż ten po człowieku. Walczył do upadłego, do pierwszej kropli krwi. Nie dałby rady do ostatniej, nie był bohaterskim żołnierzem. Ale był wyklęty, predestynowany do zbrodni. Zabił nie wroga, a sojusznika, kobietę, którą powinien się opiekować, którą powinien chronić. Pomimo wszystko, wbrew przeciwnościom i chwilom obłędu.

Zabił ostatnią osobę, która kotwiczyła go w świecie. Zabił siebie.

Nie było wyjścia, nie było żadnej ucieczki. Musiał się poddać, przyznać do przegranej. Wstał, z trudem rozprostował zastygłe kości. Po omacku odszukał kontakt, blask lampy poraził mu oczy, widok zwłok żony serce. Na długą chwilę zabrakło mu powietrza, chyba dopiero teraz uświadomił sobie w pełni, że odeszła. Zamieniła się w kamień.

Wziął ją na ręce, podniósł z podłogi. Ciężko stawiając kroki, wyniósł ją z biura, przedarł się przez pobożowisko zniszczonej hurtowni i wyszedł na zewnątrz. Spojrzał w niebo, wciąż jednolicie czarne, bez najmniejszego otworu, przez który mogłoby przebić się światło z lepszego czasu. Profeci zapowiadający nieszczęścia z powodu zniknięcia księżycy mieli rację.

Lepsze już było, czas przynosił ze sobą katastrofę.

Posadził ciało Jadźki na przednim siedzeniu SUV-a, przypiął pasami. Włączył silnik, z radia popłynął jazgot radosnego disco, nie do zniesienia. „Titanic” tonie, a pod pokładem ciągle gra muzyka. Zmienił stację na dwójkę, nieznanemu mu utworowi na fortepian przypominał marsz żałobny, idealny na tę ostatnią podróż. Odda się w ręce sprawiedliwości, zakończy ten ciąg niepotrzebnych zbrodni i cierpień. Może zazna nareszcie spokoju w przestrzeni, gdzie nic nie będzie zależało od niego. Już o nic nie będzie zmuszony walczyć, nie wygra, ale też więcej nie przegra. Zostanie skazany na to, na co zasłużył. Nic mniej i nic ponad popełnione grzechy.

Z centrum miasta biła łuna światła, budynki zdawały się płonąć. Waldemar skierował się jednak w przeciwnym kierunku, tamten fragment ulicy Bema był niemal pusty. Przemknął obok szpitala i jednostki wojskowej, wpadł w Łuczańską, pozostawił za sobą ostatnie zabudowania Węgorzewa, cmentarz poległych. Las przygniótł go czapą mroku, SUV stał się nagle jedynym oświetlonym obiektem, gwiazdą, której brakowało na niebie, wszystkie zostały zwiane i pochłonięte przez wodę.

Woda. Wszystko się w tej krainie zaczyna i wszystko kończy.

Po prawej stronie zamigotała tafla jeziora. Zbliżył się do zatoczki, gdzie kiedyś pochował Różę, skąd niedawno wyłowili jej szczątki. Szarpnął kierownicą, dodał gazu. Wypadł z drogi, przez ułamek sekundy zawisł w nieważkości. Uderzenie o czarne lustro huknęło niczym zderzenie ze ścianą. Szarpnęło, jęknęły blachy. Kadłub zakołysał i zamarł, zaczął nabierać wody. Tlenu w kabinie pozostało na co najwyżej minutę, na drugą w płucach. Dwie minuty na rachunek sumienia, pożegnanie. Objął żonę i pocałował w usta.

Żelazną trumnę zaczęła pochłaniać głębia.

– Wyławialiśmy żelazne trumny.

Po słowach Tapira zapanowała krótka cisza.

Przesłuchanie trwało od dwudziestu minut, aresztowany zeznawał chętnie, choć momentami miał problemy z artykułowaniem myśli. Nieumiejętnie kombinował lub był nieco powolny, mózg pracował mu na znacznie obniżonych obrotach. Komisarz Śmierć zgodził się przeprowadzić rozmowę tylko dlatego, że na komendzie nie było żadnego innego detektywa, wszyscy operowali w terenie. Podszedł do sprawy od niechcenia, z lekceważeniem stosownym do okoliczności: co mógł mieć do powiedzenia oprych aresztowany za chuligaństwo?

Zdziwił się, a z każdą kolejną chwilą jego zdumienie rosło.

– Trumny? Z czyimi zwłokami? – zadał pytanie pomocnicze.

Wyciąganie informacji przypominało momentami rozplątywanie wełny po kocich harcach. Śmierć był jednak cierpliwy, miał do dyspozycji całą wieczność.

– Nie, tam nie było zwłok, tak tylko je nazywamy, wie pan, wyglądają jak trumny. Skrzynie z bronią.

Tapir sepleniał bardziej niż zwykle. Dużo bardziej, dolna warga opuchła mu do rozmiarów śliwki, górna bezustannie ześlizgiwała się, odsłaniając płaski trójkąt

przednich zębów. Na zmasakrowanej twarzy pączkowały krwiaki, pęknięty prawy łuk brwiowy opadał wraz z powieką na oko, ze szpary zdawała się sterczeć goła czaszka. Z rany co kilkanaście sekund pokapywała krew.

– Z jaką bronią?

– Karabiny, znaczy się kałachy. Raz trafiliśmy granatniki, ale nie mamy amunicji. Za to nabojów było w bród. Znaleźliśmy ZMT, parę, sporo pistoletów Makarowa, granaty. I inne tałatajstwo, głównie radia, ale do niczego, straszne gówna, wie pan, *gniotsia, nie łamiotsia*.

– W jakim stanie? Ta cała broń nadaje się do użytku?

– Nie wszystko. Trza było poczyścić i przesmarować. Wali to jak ta lala, tylko strzelać.

– I strzelaliście?

Tapir wzruszył ramionami.

– Do ludzi?

– Nie, ale planowaliśmy. Do Ruskich.

– Czyli przestępczość zorganizowana, tak? Szykowaliście się do walki o terytorium z rosyjską mafią?

Tapir prychnął, w ustach pękło mu kilka krwawych bąbelków, na stole pojawiły się czerwone kropki, jedna tuż przy krawędzi notesu komisarza. Automatycznie odsunął go o parę centymetrów w swoją stronę, zaznaczył dystans.

– Do wojny!

– Porachunki gangsterskie?

– Przecież mówię, że wojna! – warknął Tapir. Zacisnął pięści. – Do wojny z Iwanami, z Putinem.

– O! A kiedy ta ma niby wybuchnąć?

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko wbił w komisarza swoje wybrakowane spojrzenie pozbawione prawego oka. Jeszcze bardziej uniósł górną wargę, odsłonił zęby obwiedzione ramkami z krwi.

– A więc żołnierze, nie bandyci. Patrioci. Moje uszanowanie, bez takich jak ty ten naród by już dawno wyginął. Co, nie mam racji? Kto tłukłby kolorowych, napierdalał się z patriotami wrogich drużyn piłkarskich, gnębił homosiów, nękał lokalnych przedsiębiorców?

– Te skurwysyny handlują z Iwanami! A nasze produkty co, gorsze?

– Taaa... – Śmierć zanotował coś w kajeciku, postukał długopisem w kartkę. – Przejdźmy do broni. Co się z nią dzieje, sprzedajecie ją? Składujecie gdzieś?

Tapir zacisnął usta, śliwka przybrała teraz kolor dojrzałej wiśni. Odchylił głowę, utkwiał wzrok w kącie sali przesłuchań.

– Ściśle tajne, tak? Zapomniałem, że operujecie w konspiracji. Cichociemni. Za nielegalne posiadanie broni grozi ci osiem lat, za dystrybucję dziesięć. Ciągłe masz dziury w pamięci?

Twarz przesłuchiwanego pozostawała niewzruszona.

– To co mi powiesz na temat tego Rosjanina podziurawionego od kul? Wasza sprawka?

Tapir ożywił się, przytaknął.

– Ale to był wypadek. Chcieliśmy ich zatrzymać, mieliśmy cynk, że przemycają jakiś ekstra towar. Chcieli nam zwiać, aleśmy ich dorwali, fura podskoczyła im na wybojach i jeb w drzewo. Myśleliśmy, że nie żyją, ale ten kierowca jakoś się wykulał, doczołgał do starej Bruskiej. Tam niby znowu zdechł, ale jak żeśmy go przewieźli nad wodę i wyładowali z paki, kutas wstał, zaczął uciekać. Lis Leon akurat trzymał broń, tak na wszelki wypadek, to i wypalił, co miał robić?

– Znaczy się Marcin Lisicki?

– Tak, Lisicki. Śmy się wystraszyli, a Bruce akurat coś załatwiał ze starym. – Ułożył dłoń w kształt pistoletu i zaczął markować strzały. – Bang, bang, bang, bang, cztery razy. I tak by poszedł na dno, co za różnica?

– Ale z tym gliniarzem to już niby jest różnica?

– To Polak!

– No tak, oczywiście. Ale jednak wróg, nie? Mógł was zdekonspirować.

Tapir kiwnął głową, z rany na oku oderwała się kropla krwi, znów spadła niebezpiecznie blisko notesu komisarza. Ten dla pewności odsunął też krzesło.

– Nie pisałem się na zabijanie rodaków. To nie miała być zwykła gangsterka, tylko...

– Tylko co, niezwykła? Wykłęta?

– Nie! – Tapir huknął pięścią w stół, aż zadrżała podłoga. Wydał policzki.

Komisarz udał, że rozumie, wprowadził odpowiednią notatkę. W zamyśleniu potarł twarz, wbił palce w zapadłe policzki tak głęboko, że dotknął w środku jednym o drugi. Oczodoły świeciły mu trupim blaskiem. Do tej pory wydawało mu się, że grasujące po Polsce bandy wyrostków to tylko przejściowa moda,



krótkotrwałe zidiocenie młodzieży. Musiał przyznać, że rzeczywistość prześcignęła najgorsze wyobrażenia. Wychowani na IPN-ie i kulcie przegranych wojen gówniarze uwierzyli w swoją potęgę. Po raz kolejny naród zaczął marzyć o kolektywnym samobójstwie.

– Inaczej mówiąc, przyjacielu, stchórzyłeś? Nie wykonałeś polecenia zwierzchnika? Nie boisz się sądu polowego? A powinieneś, zdezerterowaliście, żołnierzu!

– Pałuj mnie w rów!

– Pysk! – ryknął komisarz. Zerwał się z krzesła, które potoczyło się pod tylną ścianę. Oparł się rękami na stole, zawisł nad pokiereszowaną twarzą aresztowanego. – Jak mieliście dokonać egzekucji na policjancie?! Będziesz gadał?!

Wygiął się, wyostrzył, przybrał sylwetkę osadzonej pod złym kątem kosi. Gdyby opadł, strąciłby głowę przesłuchiwanego z karku, śmierć wzięłaby swoje żniwo. Tapir musiał dostrzec w sterczącej nad sobą postaci to samo, wystraszył się. Zsunął bardziej pod stół.

– Będę – wydukał.

Od niespodziewanej eksplozji zadygotały ściany.

Haubice rozpoczęły ostrzał.

Oficer na sekundę przystanął w oknie, daleka łuna oznajmiała trafiony cel. Nie miał jednak czasu na kontemplowanie piękna wojny, musiał zmierzyć się z jej brzydotą. Zaraz przyjadą go aresztować, dostał cynk. To nie agenci mu wierzyli, to on zbyt uwierzył w swoje bezpieczeństwo, nietykalność. Współpracowali z miejscową policją, od nich musieli dostać obciążające go dowody, tłumaczenia na nic się tutaj nie zdadzą. Oficer tonął, głębia tego miejsca pochłaniała go, zaczynało mu brakować powietrza. Zostało go ledwie na parę oddechów, ostatni ruch konającego ciała.

Ten ruch należał jednak do niego.

Do ucieczki przygotował się błyskawicznie. Spakował najpotrzebniejsze rzeczy, nie potrzebował balastu. I tak zresztą niewiele miał, cały dorobek życia mieścił się w jednej torbie. Pieniądze z konta może pobrać w dowolnym kraju świata, posiadane dokumenty uprawniały go do podróży dokądkolwiek.

Dezercja była trudna, lecz nie niemożliwa, musiał wykorzystać swoją przewagę

taktyczną. Osaczyli go, ale nie znali celu ucieczki, będą działali na oślep. Jego w tym czasie już nie będzie, zaszyje się w jakimś opuszczonym przez Boga miejscu i nikt go tam nigdy nie znajdzie. Niewielu udaje się uciec przed wielkim bratem, on znał na to sposoby. Potrafił nie tylko doprowadzić innych do zniknięcia, sam też umiał zniknąć.

Dwa samochody z napisem „Żandarmeria Wojskowa” stanęły przed koszarami. Dostrzegł je z okna swojego pokoju. Dwóch agentów i czterech polskich żandarmów, w tym ten ze zgniłymi zębami, niespiesznie wysiedli i skierowali się do klatki schodowej. Rozdzielili się, jeden poszedł zabezpieczyć tylne wyjście, jeden został przy samochodach.

Oficer zatrzasnął za sobą drzwi, pobiegł do końca korytarza, zszedł schodami ewakuacyjnymi. Usłyszał za sobą głuchoe walenie i wydawane głośno rozkazy. Powoływali się na służbę i obowiązek, honor prawdziwego żołnierza. Szacunek do ojczyzny. Śmiechu warte, nieważne, jakie czyny się popełnia, o winie i niewinności i tak decyduje bezduszna machina wojska. On wiedział o tym najlepiej.

Szarpnął drzwi. Żołnierz stał dwa metry od niego, nawet nie drgnął, kiedy w szczękę trafił go precyzyjnie mierzony cios. Oficer sprawnie spętał mu ręce i nogi taśmą, zakleił usta. Tyłem budynku przedostał się na parking, wskoczył do terenówki, którą przedtem pobrał z garażu. Z bazy wyjechał z kolumną ciężarówek wiozących żołnierzy na poligon. Nawet jeśli zanotowali jego wyjazd na bramie, nikt nie domyślił się kierunku ucieczki.

Dopisywało mu szczęście.

Silnik terenówki wył, wóz podskakiwał na wertepach, bieżniki kół rwały ziemię. Czuł zbliżającą się burzę, żywioł podobny do tego sprzed paru dni. Czerwony szkwał. Lenny Kravitz wydziera się w radiu swoim cukierkowym głosem: *I want to get away / I want to fly away*. Też by tak chciał, gdyby tylko miał skrzydła lub choćby dostęp do prywatnego samolotu. Bilet lotniczy w jedną stronę, dokądkolwiek, byleby z dala od tego miejsca. Najpierw musiał jednak przekroczyć granicę, a przede wszystkim przycząć się, przeczekać pogoń. A najciemniej jest pod latarnią.

Huk.

Doskonale znał dźwięk kanonady, haubice wystrzeliły kilka kilometrów od niego, pociski z wielką prędkością pożerały przestrzeń. Świst. Złowrogi, syreni śpiew. Mówi się, że usłyszany na wojnie zwiastuje śmierć. Brzmienie ostatniej chwili życia.

Poligon zaraz zapłonie ogniem, jak najszybciej musiał znaleźć kryjówkę.

Przyspieszył, kurczowo trzymał się kierownicy, by na wertepach nie wylecieć przez dach. Niemożliwe, by celowali w niego. Haubice nie zwalczają poruszających się obiektów, służą do siania masowej zagłady.

Grzmot. Kaskada ziemi i słup ognia. Wciągający go wir. Oślepl. Ogłuchł. W uszach ciągle był mu syreni śpiew.

Eksplozja wywołała drgania, które poczuł w kościach. Z sufitu posypał się pył, uniesiony w powietrze, migotał w świetle latarki drobinkami pokruszonego minerału niczym kosmiczny śnieg.

Wybuch wydawał się całkiem bliski, mimo że do poligonu był spory dystans. Andrzej nie miał pojęcia, jak udało mu się znaleźć drogę, już przy pierwszej próbie tak bezbłędnie trafić do celu. Był tutaj tylko raz, kilka tygodni temu, zwykły turysta szukający atrakcji. Znajdujące się poza głównym kompleksem Wilczego Szańca bunkry nie były dostępne dla publiczności. Michaśka znał jednak lokalizację tajemniczego portalu, który przenosił w przeszłość, w postapokaliptyczny czas upadku hitlerowskich Niemiec.

Sieć podziemnego miasta była częściowo zalana wodą, zrujnowana, pełna zapadni i pułapek, najeżona kolcami prętów. Korytarze zaczynały się i kończyły gruzowiskiem lub pionowymi kanałami bez dna, na ofiary czekały baseny i studnie toksycznej wody. Owady i gryzonie rosły do gigantycznych rozmiarów, zmutowane rośliny żywiły się mięsem, a nazistowskie upiory przerażały nawet największych śmiałków.

Andrzej nie należał do śmiałków. Gdyby próbą ratowania Michała nie pragnął zrównoważyć spowodowanych śmierci, zastanowiłby się nad ryzykiem utraty własnego życia. Ono było w tej chwili najmniej cenne, ważyło tyle co kurz.

Kolejny wybuch.

Ze ściany odleciał kawałek tynku i wpadł do niewidocznej kałuży, plusnęła woda. Wojna na niby, na której ginęli prawdziwi ludzie. Andrzeja przeszły lodowate dreszcze, gdy oparł się na chwilę o ścianę. Chropowata, mokra powierzchnia polizała go. Znajdował się w gardzieli szerokiego chodnika, do którego poprzyczepiano niewielkie cele. Chodnik kończył się skrzyżowaniem, można było iść w lewo lub w prawo. Promień latarki sięgał daleko, ale nie do końca, oba kierunki były tak samo czarne. Kapała woda, o ściany ocierały się futra szczurów, drobne pazurki wyszarpywały melodię ze strun skamieniałego powietrza. Popiskiwały? A może to oddalony krzyk porwanego?

Czas biegł, Andrzej nie mógł się wahać. Gryps był mordercą, im częściej atakował, tym bardziej rósł jego apetyt. Wszyscy dotychczasowi wrogowie Andrzeja skumulowani w jednej postaci: porywacz, sadysta, morderca, opętany przez złe moce demon, którzy rzucił mu bezpośrednie wyzwanie. Przegnał prześladowające Andrzeja upiory z przeszłości, opętał go samodzielnie. Wypełnił po brzegi.

Trzask.

Nadkomisarz zastygł w miejscu, zaświecił latarką do tyłu i znowu do przodu. Otaczała go ciągle ta sama ciemność. Odpadający z sufitu tynk? Harcujące gryzonie? Budzące się ze skazańczego snu duchy Niemców? Drapieżnik, który porwał Michała. Nie boi się, nie wie, że sam stał się zwierzyną łowną. Zbyt pewny siebie nie zachowuje należytej ostrożności, hałasuje.

Albo celowo sprawia takie wrażenie, prowadzi grę.

Skręt w lewo. Korytarz przeszedł w obszerny hol z poorly podłogą. W głębokich bliznach po wyrwanych torach kolejowych stała czarna woda, ze ścian sterczały pordzewiałe kikuty po amputowanych dźwigach. Puste oczodoły kloszy po lampach, jamy gębowe wnek, żyły i ścięgna wyprutych kabli.

Echo. Każdy krok powracał teraz podwójnie, pudło rezonansowe holu wzmacniało nawet bicie serca, szelest oddechu. Andrzej poruszał się na palcach, wilgotną maź powietrza nabierał i wypuszczał ustami. Przywarł do ściany, na jej lodowatej skórze wymacał załamanie, otwarta przestrzeń kończyła się dwoma kanałami. Wszedł w ten, gdzie było mniej wody.

Stracił rachubę czasu i orientację w obiekcie. Przebył co najmniej kilkaset metrów, może kilometr. Narkotyczny filtr wyłapywał z przestrzeni nieistniejące kształty, istniejącym nadawał boleśnie wyostrome kontury. Labirynt bunkrów zamienił się w lokację gry komputerowej *Wolfenstein*, w którą Andrzej grał w młodości. W odróżnieniu od doprecyzowanych detali cyfrowego świata w tej rzeczywistości nie było niemal nic poza szarościami i czernią cmentarzyska cywilizacji.

Szum wody. Nie, szmer grasujących szczurów. Nie, szloch!

Zgasił latarkę, w oddali zamajaczyło światło. Brzmienie obcego, żywego ciała. Głośniejsze, im dalej posuwał się wąskim korytarzem. Jego własne odgłosy zaczęły zagłuszać inne dźwięki, ale nie potrafił ich powstrzymać. Emocje buzowały, ledwo udawało mu się pohamować wolę działania, która zdawała się przesiąkać do niego gdzieś z zewnątrz, pchała do przodu. Nie kapała już woda, ale krople jego własnego potu, drżenie zaczęło przechodzić z niego na ściany, teraz on wprawiał tę

konstrukcję w ruch, a nie trwająca na zewnątrz udawana wojna.

Pociągnięcie nosem, tak bliskie, że poczuł lepki dotyk na twarzy. Dobięło z pomieszczenia po prawej. Przystanął w progu, wyciągnął zza paska spodni pistolet, odbezpieczył. Znaleziony w skrytce pod sukniami Maryjki makarow był toporny i ciężki, Andrzej mógł tylko mieć nadzieję, że działał. Jedyne element prócz zaskoczenia, który mu dawał przewagę. W walce wręcz miał niewielkie szanse, w ewentualnej ucieczce również, mapa podziemi stanowiła dla niego nieskończony labirynt.

– Michał? – posłał w przestrzeń pomieszczenia szept. – Michał, to ja, Andrzej!

Ludzki dźwięk ustał. Nadkomisarz wyczuł w komnacie ciepło, wyraźne skupisko ludzkiej energii. Woń zwietrzałego dezodorantu i strachu.

– Jesteś tu sam?

– Tak.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem.

– Ciii – syknął Andrzej, Michał mówił zbyt głośno, łatwo mógł zaalarmować porywacza.

Pistolet wsunął za pasek spodni na plecach, włączył latarkę.

Chłopak siedział w lewym rogu pomieszczenia na podłodze wysłanej starym kocem. Zsiniąły z zimna, zapuchnięty, przynajmniej z wierzchu bez śladów uszkodzeń. Ze starannie zaczesaną falą włosów, z okularami przeciwsłonecznymi wetkniętymi w głęboki dekolt T-shirta. Bardziej spłoszony niż zalękniony, jakby dopiero teraz zobaczył ducha. Andrzej podszedł bliżej, ukląkł.

– Nic ci nie jest?

– Nic.

– Gdzie on jest, kiedy tu był ostatnio? Widziałeś, jak wygląda? Znasz go?

Michał kiwnął głową, przeniósł spojrzenie na wejście. Andrzej automatycznie powędrował wzrokiem w tamtym kierunku.

– Oczywiście, że zna. Wszyscy się tutaj trochę znamy, prawda, nadkomisarzu?

Stał w progu. Strumień latarki oślepił Andrzeja, ale przedtem przez ułamek sekundy dostrzegł twarz. Rozpoznał ją. To samo grubo ociosane, asymetryczne oblicze, które przywędrowało za nim z nocnego podwodnego koszmaru.

To był on.

To nie był on.

Łokcia znów poniosła wyobraźnia, wyskoczył z radiowozu i zaczepił chłopaka z tłumu, zasugerował się długimi włosami i mizerną posturą. Dzieciak miał nie więcej niż osiemnaście lat, dziewczęcą twarz pełną życia i roziskrzona radością oczy. Nawet się nie wystraszył, wykrzyknął Wojtalowi do ucha hasło, które skandowała publiczność zachęcona przez piosenkarza ze sceny: *Agenci, kolaboranci – tak tu jest już od stuleci / Ku waszej pamięci, Żołnierze Wyklęci!*[13].

Telefonem do Niańki Bondar tylko potwierdził swoje złe intencje, jego własne przypuszczenia. Zatarł po sobie ślady, celowo zmylił trop i znikł, zaszył się w jakiejś melinie. Może wyjechał. Miał nad nimi przewagę wiedzy i doświadczenia, doskonale znał sposoby działania policji, był w stanie przewidzieć ich posunięcia. Gdyby nie ten cholerny koncert, puściliby w teren wszystkie dostępne zasoby, a tak skazani byli tylko na siebie.

Wojtal nie miał nic ani przeciwko muzyce, ani bawiącej się gówniarzerii. Pod paroma prostymi warunkami: muzyka musiała dawać się słuchać, gnojki nie powinny się awanturować, a policja nie być uniwersalnym wrogiem każdej grupy o poziomie testosteronu powyżej średniej krajowej. Też czuł się patriotą, kibicował reprezentacji i Jadze, nie głosował na komunistów, ciapatych tolerował tylko z dala od kraju, cioty po ciemku, do Ruskich wyrażał niechęć otwarcie. W tej kategorii nie mieściło się jednak demolowanie własnego miasta, bicie krajan.

Na razie organizują sobie poligon w mieście, naśladują dorosłych. Policjanci są tymi złymi – Iwanami, oni tymi dobrymi – Polakami, strzelają do wroga kamieniami i butelkami po piwie. Bombardują racami i petardami. Gdyby politycy włożyli tym szczyłom karabiny do ręki i wskazali palcem kierunek, ruszyliby do ataku z radością.

Umieraliby z radością.

– Wiech! – Myśli przerwało Wojtalowi wołanie Luja, wymachiwał przez okno ręką. – Telefon ci dzwoni!

– Kto?

– Chłopska!

Wrócił do radiowozu, odpowiedział.

– Wiesiek, zabieraj się stamtąd i wal prosto pod Wilczy Szaniec! – Komendant darła się w słuchawkę, jakby próbowała przekrzyczeć ostrzał artyleryjski. – Posiłki z Kętrzyna wezwij po drodze, nie ma czasu. Koordynaty i szczegóły podadzą ci w centrum operacyjnym.

– Po cholere, Ula, ja tutaj...

– Marnujesz czas, a każda minuta się liczy! Na dziewięćdziesiąt procent znajdziesz tam teraz Bonda. Na pięćdziesiąt procent wciąż żyje. Zasadzili się na niego, chyba naprawdę rozpracował tę sprawę. Dalej, ja mam tu swoją robotę, dostaliśmy cynk o składowisku broni. Nie uwierzysz!

Rozłączyła się. Rzeczywiście nie wierzył. Skąd udało im się tak nagle wyciągnąć tyle newsów? Sam pracował nad tym od rana bez jakichkolwiek efektów. W tej chwili nie liczyła się jednak wiara, ale fakty. Źródło nie było ważne, istotny był cel, a Wojtal zamierzał osiągnąć go przy zastosowaniu wszelkich dostępnych środków.

– Jedziemy, Jar, odpalaj silnik i zapierdalaj!

– Co? Gdzie?

– Zaraz się dowiesz.

– Bondar?

– Bondar, przyjacielu, mamy piździelca! – Wyciągnął z kabury pod pachą służbowego glocka, przeładował, wymierzył w noc. – Żeby tylko nikt inny nie dorwał go teraz przed nami.

Łuna policyjnego koguta upodobniała ich radiowóz do niezidentyfikowanego obiektu z kosmosu, kiedy sunęli drogą zawieszeni w ciemności. Wycie syreny wyprzedzało ich kilkanaście sekund do przodu, dzięki czemu nic nie spowalniało ich pędu. Wyłączyli ją dopiero na dwa kilometry przed oznaczonym na mapie miejscem, nie zamierzali spłoszyć żadnego z bandytów, Bondara też nie.

Wiekowy saab stał między drzewami w pobliżu bunkra, w świetle reflektorów niewiele różnili się od siebie sylwetką, tylko wielkością. Dla pewności spuścili mu z kół powietrze, posiłki jeszcze nie nadszedły, nie było środków do zabezpieczenia tyłów przed ewentualną ucieczką poszukiwanego. Czekanie nie miało sensu, podkomisarz przekazał zbliżającej się ekipie wskazówki przez telefon, poinformował, że niezwłocznie rusza do akcji.

Przed wejściem do bunkra dobyli broń, fachowo oparli uzbrojone dłonie na przedramieniu lewej ręki, które dzierżyło latarkę. W krypcie wyczuwało się brak wiary i odebrane nadzieje. Wionęło śmiercią.

Zanurzyli się w mroku.

Wyłonili się.

Dwóch. Obaj w mundurach Wojsk Obrony Terytorialnej, jakby urwali się na chwilę z pochodu z okazji obchodzonego święta. Z obowiązkowymi białoczerwonymi opaskami na rękach. Niski, masywny drab o sylwetce wylanej z betonu, łysym łbie i przekrzywionej, asymetrycznej twarzy, której połowa zawsze pozostawała w cieniu. Bogobojny katolik spod przydrożnej kapliczki, szanowany instruktor z domu kultury, oficer WOT. Wyższy, chudy, o psim pysku, trzymał broń w gotowości do strzału, ten sam model, który chłodził Andrzeja w plecy. Nieco rozdygotany, nerwowy, co kilka sekund oblizywał wargi. W każdej chwili mógł przypadkowo nacisnąć na spust.

– Nazywam się Robert Bruski, ale mówią mi Bruce, a niektórzy Big. To mój towarzysz, Marcin Lisicki, Lis Leon. Z Michałem się znacie, nie?

Andrzej przerzucił spojrzenie ze zbója na kelnera, który zdążył już wstać. Niepewnie kołysał się na piętach, wzrok wbił w podłogę.

– No nie wstydz się, Misiek, chodź do swojego wafla! – Krótkim, potężnym ramieniem zagarnął Michała i przyciągnął do siebie, objął za kark i pocałował w policzek. – Co, nie powiedział ci? Znamy się już od lat, że tak powiem, dość blisko. Wyświadczyłem mu kilka przysług, kiedy miał problemy z rodziną, on mnie również. Dawno temu nazywało się to braterstwem.

Andrzej nie mógł wyjść z osłupienia. Wiedział o sympatii Michaśki dla narodowców i o jakimś tajemniczym kochanku, ale nigdy nie podstawiłby tych niewiadomych do tego samego równania. Zrozumiałby Michała, gdyby dla akceptacji w grupie wybrał samego diabła. Ale wybrał gorzej niż diabła.

– Dziś pedałowaniem – skomentował.

– W żadnym wypadku, broń Boże! – Bruce wzdrygnął się teatralnie. – Michaś to ciota, wiadomo, tacy też muszą chodzić po ziemi. Od zarania dziejów wojownicy brali sobie męskie kochanki, na pewno znasz historię.

– Ruchnij się, a rozpiżdżę ci łeb! – warknął Lis Leon, kiedy Andrzej przesunął się o krok w prawo.

– Spokojnie, Marcin, bez nerwów. Najpierw trzeba wyjaśnić sobie parę spraw, pogadać. Prawda, nadkomisarzu? Wy, gliny, uwielbiacie gadać. Jak rozhisteryzowane babki z okresem.

Lis Leon zarechotał, broń niebezpiecznie podskoczyła mu w dłoni. Andrzej zaczął analizować sytuację pod kątem zbliżającej się egzekucji. Nie było wątpliwości, że zamierzają go zabić. Pokazali mu się, przedstawili, obnażyli przed nim. Musiał zagrać na czas, przeciągnąć tę rozmowę jak najdłużej.



– Myślałem, Michał, że masz lepszy gust – stwierdził.

Chłopak podniósł głowę, jego oczy zapłonęły w świetle latarek.

– Pierdol się, Bond! Mój gust, moja sprawa! Popatrz na siebie, aż chce mi się rzygać! Oni przynajmniej w coś wierzą, chcą czegoś dobrego dla Polski, dla Polaków... Czego ty niby chcesz? Po co ciągle łazisz po ziemi? Wszarż! – Nabrał śliny i splunął, ale trafił tylko metr przed siebie, biały śluz ściekł mu po brodzie.

– Ostry, nie?! No i to właśnie w nim lubię, Bondar. – Klepnął mocno Michała w tyłek.

– To chyba lubisz w każdym facecie, Bruce. Tylko jak upodobanie do męskich wdzięków ma się do twoich generalskich zapędów, wiary w Boga i w polskość?

– Widzisz, nadkomisarzu, taki niby jesteś światowy, liberalny, a nic ci się w łepety nie klei. Ale proszę bardzo, służę pomocą. Wsadzili mnie na parę miesięcy na dołek za wierną służbę ojczyźnie w Iraku. Wycelowałem działko w nieodpowiednią chałupę. Morderstwo, kurwa ich mać, jakby ktoś potrafił u tych kozojebców odróżnić cywila od bojownika. Ostatecznie przyznali mi rację, wypuścili i przeprosili. W więzieniu poznałem smak władzy nad czyimś życiem, tam bierze się w posiadanie ludzi totalnie, zamienia w rzeczy. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakiego to daje kopa, jaką moc. Czujesz się wtedy wielki jak cały świat, Bondar.

Andrzej właśnie odnalazł ostatni element do swoich puzzli. Robert Bruski był Grypsem.

– Kim były przypadkowe ofiary, wrogami narodowymi?

– Własnością! – Bruce z dumą nabrał powietrza. – Myśleli, że są silni, a nawet nie wyobrażasz sobie, jak łatwo dawali się złamać. Zwierzyna hodowlana. Naznaczałem ich jak niewolników, bydło, zawsze będą o mnie pamiętać. A ja o nich, między ofiarą a oprawcą tworzy się nierozzerwalna więź, Bondar, już ty wiesz o tym najlepiej.

Wiedział, jako policjant i jako człowiek. Zdarzało mu się być i ofiarą, i katem.

– A oto dowód mojego przywiązania i nieskończonej pamięci. – Bruce odpiął górny guzik i wyciągnął spod koszuli naszyjnik.

Białe kawałki kości zaklekotały, zalśniły w świetle latarek. Przednie zęby wytłuczone ofiarom myśliwego.

Lis Leon zaśmiał się nerwowo, Michał z pełną obrzydzenia miną próbował wyrwać się kochankowi, ale ten nie zwalniał uścisku.

– Ty jesteś chorym człowiekiem, Bruski. Poddaj się, nie będziesz odpowiadał za popełnione morderstwa, zamkną cię w wariatkowie. Tam nie jest źle, sam byłem, będziesz mógł do woli prowadzić swoje polowanie na wrogów.

– Morderstwa? Nikogo nie zamordowałem, glino. Paru z nich nie wytrzymało presji, sami się wykończyli. I tak byli nic niewarci, ja dałem im tylko pretekst. Cwele!

Michał znów zwiesił głowę, Lis Leon coraz bardziej niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, lufa pistoletu kołysała się w górę i w dół. Andrzej próbował ułożyć jakiś plan, który dałby mu szansę przeżycia. Broń przywódcy znajdowała się w żołnierskiej kaburze przy pasku. Gdyby choć na ułamek sekundy odwrócił uwagę Lisa, rzuciłby się do tyłu, wyciągnął pistolet i strzelił. Dwie kule, zaczęłyby od tego z wycelowaną bronią. Może i trzecia, po jednej dla każdego, zadra, którą czuł w sercu po zdradzie Michała, wypełniała się krwią. Andrzej kalkulował na chłodno: on albo oni. Jeśli ma odejść, to wyłącznie na swoich warunkach. Plan przelał mu się kilka razy przez obie półkule mózgu. Mógłby dać radę.

Musi dać radę. Musi bardziej sprowokować Michaśkę, najsłabsze ogniwo w tej obłąkanej armii.

– Świetna teoria, Bruce, godna prawdziwego Polaka. Cywilne ofiary Łupaszi i innych budowały potęgę komuny, a wasi wrogowie z kim kolaborują?

– Wróg zawsze jest jeden, czerwony! – wrzasnął Lis Leon, precyzyjniej wycelował pistolet.

– To teraz kto jest czerwony, bo nie odróżniam kolorów?

– Morda!

– A nie przypadkowo zielony? Zielone ludziki kontra brunatne ludziki!

– Dobrze, Bondar, łapiesz klimat!

– A wiedzieliście, że dziadek Michaśki był konfidentem, sprzedał oddział wyklętych za ziemię po Białorusinach i stanowisko w partii?

Chłopak rzucił się w kierunku nadkomisarza, ale przytrzymujące go w ciasnym kagańcu ramię Bruce'a nie puściło.

– Kłamstwo!

Kłamstwo, ale podziałało jak prawda. Obaj w tej samej chwili spojrzeli na Michała z cieniem zwątpienia w oczach. Latarki poruszyły się, cienie i sylwetki zatańczyły. Andrzej rzucił się w tył, uciekł promieniom światła. Kątem oka zarejestrował ruch dłoni Bruce'a zmierzającej do kabury z bronią, nerwowo dygot

ciała Lisa Leona podążającego za uciekającym celem.

Dobył makarowa.

Wymierzył.

Świst kuli.

Kolejnej, pociski cięły powietrze jak pikujące ptaki. Eksplozje wstrząsały ziemią, rozorywały powierzchnię gruntu do skamieniałych kości, wyrzucały w noc pióropusze startych na piach trzewi. Pozostawiały po sobie leje głębokich ran.

Oficer ocknął się, wracająca świadomość natychmiast rozświetliła teren błyskiem wybuchu. Był na wojnie, w samym centrum piekła ostrzału. W odległości około stu metrów płonęła jakaś niezidentyfikowana budowla, znacznie bliżej sterczał szkielet rozerwanego dżipa, poczerniały od ognia, który zdążył pożreć, co się dało, i zgasnąć. Korpus wciąż dymił, cuchnął plastikami i chemią. Tuż przed nim majaczył kontur niskiego bunkra o wąskim wejściu i zaokrąglonych rogach, z blizny w ścianie wystawały pręty zbrojenia, niektóre z kawałkami przyklejonego betonu. Jedyne schronienie, na jakie mógł jeszcze liczyć.

Otarł twarz z lepkiej ziemi, otrzepał się. Wykorzystując krótką przerwę w kanonadzie, wbiegł do budynku. Stara poniemiecka konstrukcja ziejąca wilgocią i szczynami zwierząt. Usiadł, zaświecił latarką z komórki, podłogę zaścieniały w rogach pozasychane odchody, przez dziury po artyleryjskich pociskach wrastało do środka zielsko i pędy krzaków. Wyjrzał na zewnątrz, w łunie palącej się budowli widać było księżycowy krajobraz po deszczu meteorytów, kratery i czarne kopce.

Pole bitwy.

Popatrzył na zegarek. Stracił przytomność tylko na parę minut, podmuch eksplozji rzucił wojskowym dżipem jak resorakiem, oficera wywiało z kabiny przez wytłuczoną szybę. Inaczej zostałby uwięziony w puszcze zmiądzonych blach, spopieleny. Przeżył tylko po to, żeby rozpatrzyć sens życia, które mu pozostało. Teraz był uciekinierem, wrogiem własnych przyjaciół, swoim własnym wrogiem. Mylił się, nie pozwolą mu uciec. Po schwytaniu nie oskarżą go o pospolite zabójstwo, zostanie mu postawiony zarzut zdrady stanu i dezercji. Równie dobrze mogliby go wytarzać w smole hańby i pierzu upokorzenia, zgodnie z amerykańską tradycją.

Jeden błąd, który kosztował go wszystko. Jeszcze parę dni temu mógł się targować ze zwierzchnikami, sprzedać im swoją wersję wydarzeń, mógłby się jakoś

wybronić. Nie rozpatrywał jednak półśrodków, jako typowy biały śmieć z Kentucky bezwarunkowo wierzył w amerykański sen, w parcie do przodu za wszelką cenę. Nie mógł postąpić inaczej, ta dziewczyna go opętała, chciała więcej, niż mógłby jej dać. W jakim celu chciała za nim jechać na Łotwę, gdzie stacjonowała jego rodzima jednostka? Dlaczego tak bardzo pragnęła uciec z Polski? Dlaczego akurat z nim?

Jedno zakazane pragnienie za dużo. Jedna śmierć za daleko.

Wyciągnął notatnik i długopis, wyszukał niedokończony list, w którym zamierzał wyjaśnić motywy zabójstwa, uzasadnić ucieczkę. Kontynuował:

*Tak, to byłem ja. Zrobiłem to, co potrafię najlepiej. Impuls najpierw trafia do rąk, później do głowy, długo mnie tego uczono. Nigdy nie żałowałem czyjejś śmierci, to było konieczne, dla mnie i dla ojczyzny, której poświęciłem wszystko. Musiałem się uwolnić od tej kobiety, tak jak teraz muszę się uwolnić od siebie. Śmierć równoważy grzechy, zmywa hańbę. Przyznaję się do wszystkiego. Przepraszam wszystkich, choć nie oczekuję przebaczenia.*

*Zapomnijcie o mnie.*

*Żegnajcie.*

*Odchodzę.*

Przerwa w ostrzale zakończyła się, podajniki haubic załadowano na nowo, kanonada wróciła. Wszedł z ukrycia, powolnym krokiem ruszył do płonącego budynku, zatrzymał się między źródłem ognia a popękany bunkrem. Zwrócił twarz w kierunku nadlatujących pocisków. Przyjrzał się tańcowi swojego cienia, targały nim wirujące płomienie. Poczul na plecach powiew gorąca, od przodu bryzę chłodu. Zimno i żar, sprzeczności, którym nigdy nie zamierzał się poddać.

Zapalił papierosa, zaciągnął się, powoli wypuścił dym, rozprowadził językiem po podniebieniu smak tytoniu. Jedyna przyjemność, na jaką mógł sobie pozwolić w służbie swojego kraju. Ostatnie ziemskie wrażenie, które zabierze ze sobą. Kilukrotnie zakreślił papierosem nad głową eliptyczny znak, wyrysował w powietrzu cel dla obsługi haubic. Z przymkniętymi oczami wsłuchał się w krzyk nadlatujących pocisków. Po chwili wychwycił ten właściwy, syreni – nawoływał. Zaczął odliczać sekundy życia.

Doliczył do trzech.

Podzielili się na trzy grupy. Nowy z Kazikiem mieli obejść gospodarstwo od strony jeziora, odciąć Dobrym ewentualną ucieczkę wodą. Niańka i Chmiel atakowali od frontu. Komendant jak zawsze pozostała w odwodzie, nadzorując operację. Gwarantowała łączność i emocjonalne wsparcie, nic więcej.

Radiowozy zostawili za zakrętem wśród drzew, nie chcieli zostać przedwcześnie zauważeni. Sosny stały nieruchomo niczym Terakotowa Armia, w uniesionych nad ludzkimi głowami konarach dzierżyły niewidzialne miecze. Powietrze też stało, od jeziora nie przedostawała się nawet najmniejsza bryza. Odór suszących się ryb unosił się nad ziemią gęstym, niemal namacalnym oparem, lgnął do mokrej od potu skóry, osadzał się na oskrzelach, wypełniał płuca. Komary wielkości ptaków wbijały się w ciało bez ostrzeżenia, wyczuły łatwy, bezbronny żer.

Pies też szybko wyniuchał obcych. Zawarczał, kilka razy zaszczekał ostrzegawczo. Ostrzeżenie zostanie rozpoznane lub nie, niejednokrotnie musiał ujadać nocami na zwierzęta lub przypadkowych turystów. Istniało ryzyko, że wypłoszy mieszkańców, zanim policjanci wtargną do domu i skują ich kajdankami. Małe, las pękł od kolejnej kanonady baterii dział, niebo rozbłysło, zadygotała ziemia. Bliskość poligonu stanowiła doskonały kamuflaż.

Po zajęciu pozycji akcja miała trwać nie więcej niż pół minuty. Niańka pamiętał rozkład zabudowań, na progu chaty paliło się światło, znaczyło cel jak latarnia morska. Wystarczająco silne, żeby mieć jako taką widoczność, na tyle jednak słabe, że łatwo było schować się w ciemności, poza jego mdławym zarysem.

Zatrzeszczał radiotelefon, szept Chłopskiej był tak wyraźny, jakby stała parę centymetrów za nimi. Bez szans, szefowa nigdy nie zaryzykowałaby bezpośredniego starcia z bandytą. Zrobiła karierę, stojąc z boku i bacznie obserwując rozwój wydarzeń, robiąc dobry użytek z błędów kolegów, sprawnie wykorzystując ich sukcesy. Nie zamierzała jej zepsuć jakąś idiotyczną wpadką w trakcie spartaczonych roboty.

– Pozycje zajęte, możecie ruszać!

Pies na zmianę powarkował i szczeakał, sam pewnie nieprzekonany do końca, czy warto wszczynać ostry alarm. Poza lampą nad wejściem z jednego z pokoi wylewała się różnobarwna poświata ekranu telewizora, wsiąkała w kępy traw i półmetrowe chwasty popłuczynami scen oglądanego filmu. Chmiel zakradł się do drzwi frontowych, Niańka przyłgnął do ściany za rogiem. Naciśnięta kontrolnie klamka opadła, drzwi uchyliły się, nie były zamknięte na klucz. Czego niby mieli się spodziewać złodzieje, innych złodziei?

Dobrzy zdawali się nie bać nikogo.

Obaj policjanci zajęli pozycję przy wejściu, Gryczak zbliżył do ust mikrofon radiotelefonu, Paweł dał mu znak głową.

– Wchodzimy!

Weszli. Kuchnia i pierwszy pokój były puste. W salonie grał telewizor, wewnątrz domu wypełniały stłumione jęki i sapanie, gardłowe charczenie parujących się ludzi. Dziwne, bo zdawało się dochodzić nie tylko z głośników odbiornika, rozbrzmiewało z obu stron korytarza jak stereo. Pryszczaty blondyn w koszulce na cienkich ramiączkach i dresie opuszczonym do kolan bawił się na pół twardym fiutem, od niechcienia masując go dwoma palcami. Wbite w ekran oczy rozplływały mu się od oglądanej kopulacji, lekko wysunięty z ust język lśnił zagęszczoną śliną. Chmiel wziął chłopca na cel.

Niańka ostrożnie otworzył drugie drzwi. Miał rację, odgłosy kopulacji stały się teraz wyraźne, gardłowy, mokry jęk przyjemności lub bólu i sapanie z wysiłku, klaskanie spoconego ciała o ciało. Przekroczył próg i zatrzymał się.

Zamarł.

Nie od razu ogarnął umysłem scenę, która się przed nim rozgrywała. Docierała do niego fragmentami, by dopiero po kilku sekundach złożyć się w odpychającą całość.

Zielone ściany, ciężka granatowa kotara. Mdłe światło wysypujące się spod klosza małej lampki, okrągły stół i dwa krzesła, szafa. Szpitalne łóżko z barłogiem czerwonego koca i szarej, rozkopanej pościeli. Ciemne dłonie kurczowo zaciskające się na białej emaliowanej ramie z grubych spawanych rur. Nisko pochylona głowa, opuchnięta, nieludzko zdeformowana twarz. Wypięte pośladki, na które całym ciężarem ciała napierał starzec, miarowo penetrujący syna od tyłu. Odgłosom tłumionych jęków, syczeniu i mlaskaniu ciała wbijającego się w drugie towarzyszyły skrzypienie i stukanie łóżka, jakiś niezrozumiały, chrapliwy szepet wydobywający się z ust starego.

Niańka przypatrywał się tej scenie jak sparaliżowany, niezdolny wykonać żadnego ruchu. Gwałt czy wtargnął w intymną, kazirodczą relację dorosłych ludzi? Nie wiadomo, co bardziej chore i obrzydliwe. Wreszcie udało mu się nabrać powietrza, krzyknął:

– Chmiel!

Staremu wypadła fajka z ust, w pierwszej chwili zareagował czymś podobnym do śmiechu. Wpatrując się w wymierzoną w siebie lufę pistoletu, kontynuował, jego rozpalona twarz pulsowała żarem, może właśnie dochodził, kończył. Odkleił

się od syna dopiero po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach.

– Won-gier! – ryknął w odpowiedzi jak echo.

Odepchnięty Czyngis upadł na podłogę, dźwignął się na ramionach, wypełnił pokój przerażającym odgłosem z pogranicza histerycznego chichotu i zawodzenia ze strachu. Chmiel wpadł do środka, otwierając na oścież drzwi, które trzasnęły o krawędź okrągłego stołu. Tuż za nim stanął pryszczaty blondyn w gaciach, wymierzył w nich gotową do strzału dubeltówkę.

– Giwery i mordy na dywan, już!

Nie poruszyli się.

– Już!

Uklękli, upuścili broń, położyli się twarzą do ziemi. Stary zapiął spodnie, zebrał pistolety i ponad ich leżącymi ciałami wyszedł z pokoju, przejął stanowisko syna. Wągier z głośnym szelestem tkaniny włożył dres. Wybiegli, trzasnęły drzwi wyjściowe. Czyngis wciąż nie przestawał zawodzić, wytrzeszczał w stronę rozbrojonych policjantów rozbiegane oczy. Szydził, rozpaczał lub radował się z nagłej wolności.

Niańka na leżąco chwycił mikrofon radia, nadał komunikat:

– Akcja nieudana, obiekt ucieka. Uwaga, mają przy sobie broń!

W głośniku usłyszeli trzask i wołanie, spanikowany krzyk: „Nieee!”. Od strony jeziora dobiegł ich suchy strzał.

Strzał, zaraz po nim dwa kolejne, oba zwały się w serię.

Po kilku sekundach nastąpił czwarty, jakby z wahaniem, po głębszym zastanowieniu lub żeby dobić ofiarę. Ekspłodował, rozrósł się w kanonadę dział, wybuchy zatrzęsły ziemią, wbiły funkcjonariuszy w betonową posadzkę.

Czarna woda w kałużach zafalowała, echo rozpędziło się pustymi korytarzami i z trzaskiem waliło w płaszczyzny ścian. Coś posypało się na głowę, w powietrze wleciały chmury drobnych owadów, promień latarek prześwietlał ich białe, półprzezroczyste pancerze, przez które prześwitywały pestki wnętrzości. Posadzka kołysała się, kozuch spanikowanych szczurów przelewał się od muru do muru jak w wiadrze wstrząśniętych pomyj.

– Tam! – zakomunikował krzykiem Luj, niepotrzebnie próbując przekrzyczeć ciszę, która nagle nastała.

Pobiegli, rozpryskując butami kopalnianą wodę. Ich kroki w wąskim tunelu

dudniły, przypominały nadjeżdżający pociąg, rytmiczny i jednolity stukot szyn. Cienie podskakiwały, tańczyły, rosły i kurczyły się w zależności od kąta padania światła z latarek.

– Jest! – syknął Łokieć, kucając na ziemi.

Za poły koszuli ściągnął w dół Luja, znieruchomieli. W pozycjach gotowości do strzału celowali w ciemny przełyk tunelu, rozproszony poświatą padającą z pomieszczenia po prawej, jakieś piętnaście metrów przed nimi.

Oddychali głośno, z naprzeciwka też zdawały się docierać do nich czyjeś oddechy. Łokieć głośno przełknął ślinę, zlizął z górnej wargi kroplę słonego potu. Ilu ich jest, dwóch, trzech? Zeznania od informatora nie były pełne, sam nie wiedział. Kto przeżył, kto został trafiony?

Bondar, nie było wątpliwości. Trzy kule w korpus, trzecia dla pewności w potylicę, fachowo i ostatecznie. Ktokolwiek tam teraz był, zdawał sobie sprawę z obecności obcych, nawet jeśli nie wiedział, kim są. Może nawet szykował zasadzkę. Nic trudniejszego, dwa łatwe cele w ciasnym korytarzu o średnicy niewiele większej od rur kanalizacyjnych, nawet chybiony strzał trafi do celu rykoszetem.

A jeśli mieli przy obie automat?

Przełknął ślinę. Wskazał na latarkę Luja, wyłączył swoją. Czerń przytłoczyła ich, zalała hektolitrami mroku, zaszumiała w uszach wysokim ciśnieniem. Znajdowali się na dnie podziemnego jeziora, tonęli w strachu. Wymacał dłonią głowę kolegi, wyszeptał mu do ucha:

– Idę, osłaniasz mnie trzy kroki z tyłu.

W świecie, który ich otaczał, nie było tajemnic, przyciszony głos rozniósł się echem jak w tubie, grzmiał. Słyszać było nawet szelest ubrań, szmer poruszających się z emocji włosów, miękkie mrugnięcia oczu.

Zbliżali się.

Pięć metrów, cztery, trzy, dwa... Podkomisarz przystanął tuż przed progiem, poczekał na Jara, gestem dłoni kazał mu zająć pozycję. Widzieli się, osiadł na nich świetlny kurz wysypujący się z celi. Wiech naprężył mięśnie, nabrał powietrza. Musiał być szybki, błyskawiczny, szybszy od nerwowego impulsu. Uciec od wzroku i kuli, jeśli zdołają wypalić. Jednej, ale przed serią nie umknie. Ryzykował, zabrnęli jednak za daleko, żeby zmienić swój plan, byli za blisko, żeby nie wykorzystał takiej okazji. Bez względu na to, kto czał się w środku, czy Bondar żył, czy leżał w kałuży krwi, on będzie górą. Bohaterem.



Skoczył.

Mignął w świetle i zniknął w cieniu za rogiem. Krótkim spojrzeniem objął wnętrze pomieszczenia, zdołał zakodować parę detali. Leżące na podłodze latarki rozlewające chropowate białe strumienie. Dwie sylwetki: jedna powalona twarzą do ziemi, tuż za otworem wejściowym. Druga w rogu, oparta plecami o ścianę. Obie nieruchome, dwa trupy. Gdzie reszta? Ilu ich tam jeszcze jest, żyją? Nie żyją?

Kolejny haust powietrza, sygnał przekazany na migi aspirantowi: wchodzą na trzy. Sekwencja prostowanych palców zakończyła się ich gwałtownym ruchem. Zerwali się z ziemi, wpadli do środka, omietli latarkami wnętrze pokoju. Po sekundzie Łokieć opuścił broń, czubkiem buta trącił ciała dwóch drabów w przesiąkniętych krwią mundurach WOT. Bliżej przyjrzał się głowie policyjnego informatora z otworem od kuli idealnie między oczami, wciąż szeroko rozwartymi z niedowierzania i przerażenia.

– Doskonały strzał, Bondar, gratulacje. – Odwrócił się do siedzącego pod ścianą mężczyzny.

Choć najbardziej z całej czwórki przypominał denata, żył. Nieruchomym spojrzeniem wpatrywał się w pustkę.

– Chybaś zatrzymał czas jak w Matriksie. – Luj ze zdumieniem rozglądał się po pomieszczeniu, próbował odtworzyć bieg wydarzeń.

Wyobraził sobie fruującego Neo, krążącą wokół obiektu kamerę. Trzy strzały, trzy nieruchome trupy. Jedna kula, której zdołał uniknąć.

Andrzej kiwnął głową. Ciągłe nie doszedł do siebie, tkwił w innej rzeczywistości. W głębinie szamba, które pozostawili po sobie ludzie, w matrycy złych początków i jeszcze gorszych zakończeń.

Bunkier zakołysał się od kanonady haubic.

Pociski waliły blisko, czerwona łuna eksplozji unosiła się nad powierzchnią lasu. Pierwszy raz od ponad tygodnia noc nie była czarna jak studnia, niebo zabarwił krwawy, bolesny zachód słońca, które nie mogło zajść. Wywołana przez ludzi burza rozkręcała się, nabierała mocy, pioruny o metalowych głowicach biły celnie, prawdziwym ogniem niszczyły samochodziki z dykty i domki z kart, wydumanego wroga.

Policyjna meganka podskakiwała na wybojach, wyskoczyła na szosę, z piskiem obrała kierunek na poligon. Przyspieszyła do niebezpiecznej prędkości, w czołowych reflektorach pojedyncze drzewa zamieniły się w ciemny mur

o strukturze drewna. Koguty barwiły asfalt na niebiesko, syreny wściekle wyły na dwa głosy, bo tuż za nimi pędził radiowóz przysłany na pomoc przez komendanta z Kętrzyna.

– Rozepnij mnie – polecił Andrzej, wystawiając skute kajdankami dłonie z tylnego siedzenia. – To nie jest prośba.

– Sorry, szef, takie dostałem rozkazy. Miałem cię uratować, a zaraz potem odstawić do sali przesłuchań. Śmierć czeka.

– Co?

Podkomisarz zachichotał.

– Komisarz Śmierć, przysłali go z Wojewódzkiej, żeby odrąbał ci głowę!

– Zaraz polecą twoja, jeśli mi nie ściągniesz bransolet, Wiech. Obiecuję ci to.

Andrzej nie kłamał. Jego oczy nie odbijały czerwieni nieba, one płonęły własnym ogniem. Gorączką gotową strawić jego, a następnie przerzucić się na wszystko dokoła, w pierwszej kolejności na ludzi. Mieczyka przeszły ciarki, na ułamek sekundy stracił panowanie nad autem, które lekko wypadło z toru, ale zaraz na niego wróciło. Ciągle nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył w celi bunkra. Akcja z sensacyjnego filmu. Skoro nadkomisarz odstrzelił z zimną krwią trzech typów, spokojnie mógł posłać do piachu jeszcze dwóch. Kątem oka zerknął na sterczące między siedzeniami ramiona. Nie drgnęły nawet o milimetr, choć jego trzęsły się na samo wspomnienie podziurawionych trupów.

– Bondar ma rację, Wiech – stwierdził. – Musimy jeszcze zawinąć Dobrych, przyda się każde wsparcie. I tak brakuje nam ludzi.

Łokieć zachnął się, przeklął pod nosem. Zdawał się przez chwilę rozważać propozycję kolegi, gdy nagle warknął groźnie:

– Skup się na drodze, Jar, i nie wpieprzaj w nie swoje sprawy. Był rozkaz? Był, mnie to wystarczy. Zapierdalaj!

Zjechali z asfaltu na polną drogę, zaleciało sitowiem i zgnilizną. Luj nie zwolnił, zapierdalał podkomisarzowi na złość, o mało nie wyłukli w dachu otworów głowami. Motorówka czekała przy pierwszej zatoczce, w wodę wbijał się biały lej szperacza, przecinały go z błyskiem przepływające ryby. Andrzej wyskoczył pierwszy, ponownie wystawił skute ramiona.

– To moje dochodzenie, ja je prowadziłem, ja je zakończę! Później możesz sobie ze mną robić, co chcesz, mam to w dupie. Albo zgłoszę naruszenie procedur, przynajmniej w pięciu punktach, liczyłem, naraziłeś na utratę życia funkcjonariuszy policji. Dostaniesz kopa w zad, nie awans.

Wiech zmierzył go nienawistnym spojrzeniem, po czym zrezygnowany machnął ręką. Wycelował palec w sam środek wątlej piersi nadkomisarza.

– Kiedyś się naprawdę doigrasz, Bond! Rozkuj go, Jar! Ale broni nie dostaniesz do ręki, nic z tego. – Najwyraźniej wziął sobie poprzednie obietnice Bondara do serca, też pozostawał pod wrażeniem jatki, którą zastali w bunkrach.

Wskoczyli do łodzi, Wojtal od razu chwycił przygotowany glauberyt, przeładował, kontrolnie wymierzył w niebo. Andrzej usiadł na ławce, wyciągnął z kieszeni spodni samarę, wydłubał z niej resztkę szuwaksu, wciągnął. Jego lekarstwo, energia i odwaga. Jego siła i gniew. Drugi raz zaszokowany tej nocy Mieczyk odwrócił wzrok. Rozżarzone węgle oczu Andrzeja parzyły.

Silniki motorówki ryknęły, dziób uniósł się, strugi wody z rozprutej tafli jeziora chlusnęły w twarz, rysująca się za kadłubem rana krwawiła zabarwioną pianą. Po prawej stronie wznosiła się łuna płonącego miasta, po lewej bitewnego pola. Reflektor ciął czarną masę krajobrazu świetlnym mieczem, końcówką ostrza sięgał jednak zbyt blisko, by można było cokolwiek dojrzeć. Znaleźli się na oceanie o brzegach skrytych za widnokrzem, w pustce bezkresu.

W oddali mrugnęło światło, poruszyło się cienką wiązką. Inny reflektor, jak się po chwili okazało, druga ekipa pościgowa. Radiooperator przekazał słuchawki Łokciowi, który nagle awansował na kapitana okrętu. „Stara” – poinformował na migi, poruszając sugestywnie ustami i obejmując dłońmi obwisłe cycki. Skinieniem głowy przyjął rozkazy, kazał bosmanowi skrócić w prawo. Łajbą szarpnęło, na chwilę oderwała się od powierzchni jeziora i uderzyła kadłubem w falę, zakołysała się, obierając nowy kurs. Przyspieszyli, szal kropel wody stał się zimniejszy i grubszy, o coraz drobniejszych oczkach, motorówka zaczęła rozszczepiać ciecz na pojedyncze cząsteczki.

„Tam jest!” – zdawał się krzyzczeć radiooperator, wskazawszy na ekran radaru. Rzeczywiście pojawiły się trzy migające punkty: dwie łodzie pościgowe, jedna piracka. Ich motorówka była bliżej, połykała dystans dzielący ich od przestępców. Potężny, stuipięćdziesięciokonny silnik toyoty robił swoje, pędzili jak na zawodach. Jeszcze jakieś sto metrów, osiemdziesiąt, pięćdziesiąt. Asystent sternika ujął rączkę szperacza i penetrował miejsce, gdzie powinien się znaleźć nieprzyjaciel, pasażerowie wychylili się poza burty, próbowali przejrzeć noc.

Nagle promień natrafił na kadłub krypy.

Odległość była niewielka, dokładnie widzieli pochylone sylwetki, przykryty brezentem ładunek. Łokieć chwycił krzykaczkę, nakazał zatrzymać łódź. Powtórzył komunikat, kiedy zrównali się z łajbą Dobrych, też bezskutecznie. Ujął automat,

oddał ostrzegawczą serię w wodę. Tym razem odpowiedź przyszła prawie natychmiast, nad pokładem nieprzyjacielskiej łódki rozpalila się czteroramienna gwiazda. Kule świsnęły nad głowami, kilka z nich uderzyło w burtę, przeszły bok kabiny. Bosman odbił w prawo, pozostała załoga przykleiła się do pokładu. Wojtal ukląkł, przybrał lepszą pozycję do strzału.

– Niece! – wrzasnął Andrzej, szarpiąc podkomisarza za ramię, ten jednak odepchnął go łokciem.

Nacisnął spust. Rozgwiazda rozpalila się na końcu lufy karabinu, bliźniacza pojawiła się na pirackiej łodzi. Dwie serie, które zwały się w jeden przeciągły terkot śmiercionośnej maszyny.

Huk. Powietrzem targnął wybuch silnika krypy Dobrych, wokół nagle zrobiło się biało. Odłamki blachy poszybowały wokół, zaczęły opadać ognistymi bombami. Jezioro płonęło, niebo płonęło. Miasto płonęło. Cały świat stanął w ogniu.

– Wiech! Wiecech! – wołał Mieczyk, oparty ramionami o burtę, wpatrzony w kipieli wody za rufą.

Andrzej rozejrzał się, podkomisarza nie było. Aspirant histeryzował:

– Tam, widziałem go! Tam wypadł!

Zawrócili, zatrzymali łódkę, policjant od radia wyrzucił koło. Poza jego pomarańczowym konturem na tafli nie było nic innego, a pożar doskonale rozpraszał mrok.

– Kurwa mać, dostał, wypadł, poszedł na dno! – wykrzykiwał Luj, ściskając rękami głowę.

Andrzej stanął na krawędzi, zapatrzył się w oblizywaną płomieniami taflę, kryjącą się pod nią głębinę, która przed chwilą pożarła Wiecha. Nie znosił go, całe życie gardził półmózgimi mięśniakami jego pokroju. Jeśli jeszcze żył, powinno się pozwolić mu umrzeć, strata dla świata żadna, dla niego osobiście pożytek, choć też mały. Był jednak gliniarzem, starał się czemuś służyć, walczył o jakiś rodzaj dobra, w które naiwnie wierzył. Różnili się więc prawie we wszystkim, na pewno byli jednak podobni w jednym: nie zasługiwali na śmierć z rąk mętów pokroju Wągra Dobrego. Jeśli już mieli umierać, to na swoich zasadach. Andrzejowi nie udało się uratować Michaśki, ale dostał od losu kolejną szansę.

Odkupi grzechy, upiory dadzą mu spokój.

Ściągnął buty i spodnie, zsunął przez głowę T-shirt. Wskazał palcem miejsce, w które mieli zaświecić szperaczem. Nabrał powietrza. Wskoczył.

Uderzył w taflę czarnego lustra. Opadał powoli, spiralnym torem, rozglądając się wokół. Woda nie miała żadnego koloru, była mętną zawiesiną, przez którą przenikały pryzmy reflektora i ognia. Pożar od dołu przypominał pomarańczowoczerwoną plamę, owocowy sok rozlany na brudnym blacie szklanego stołu. Światło rzedło, zanikało, przechodziło w jednolite, ciemne tło głębi jeziora.

Szum. Szepty. Głosy i śmiechy.

Coś przepłynęło całkiem blisko, niemal ocierając się Andrzejowi o plecy. Podkomisarz tam był, może ciągle jeszcze walczył o życie, zbyt słaby, żeby wypłynąć na powierzchnię o własnych siłach. Andrzej odwrócił się, zamachał ramionami. Dostrzegł coś, zarys człowieka. Znajomą postać o masywnej sylwetce z rozwianą strzechą jasnych włosów.

Wiech!

Wyciągnął ramiona, wbił palce w rozwodnioną tkaninę, obrócił twarzą do siebie. Niemal krzyknął, przez rozwarte kąciuki ust nabrał wody. Wojtał szczyrzył do niego zęby w radosnym uśmiechu, szydził z niego. Zadowolony z siebie, uszczęśliwiony, zachłyśnięty rozpierającą go dumą. Udało mu się, nareszcie dopiął swego.

Dopadł Bondara.

Zawirował, znikł z pola widzenia, odpłynął ku górze. Andrzej poczuł w płucach rwący ból i nagle uświadomił sobie, że opadł zbyt nisko, nie starczy mu powietrza na drogę powrotną. Nie wyjdzie stąd. Unikał najgorszego tyle razy, a teraz dał się wciągnąć w tak prymitywną pułapkę.

Nie, to nie były jego warunki, nie podda się. Zarzucił ramionami, zaczął wiosłować drętwiejącymi nogami. Da radę, jeszcze miał szansę.

Prześladujące go demony zmaterializowały się i tonęły obok, dotrzymywały mu towarzystwa w ostatniej drodze, próbowały odprowadzić do końca. Znał je wszystkie, do pocztu upiornych twarzy dołączyli Alina i Michał, i jeszcze jedno oblicze, którego nie potrafił rozpoznać. Ignorował je, starał się sięgnąć wzrokiem dalej, poza nie, dojrzeć płaszczyznę powierzchni wody. Dostrzegł pomarańczową plamę rozlaną w potężne koło o srebrzysto-czerwonej powierzchni oznaczającej kataklizm. Księżyc zwiany z nieba czerwonym szkwałem, uwięziony w odmętach jeziora Mamry. Sen, który nawiedził go dziesięć dni temu.

Siedemnaście sekund, tyle mu zostało z ziemskiego życia, wyliczył je kiedyś za niego Robert Smith, teraz śpiewał mu pożegnalną pieśń. *The dream had to end /*

*The wish never came true / And the girl / Starts to sing // Seventeen seconds / A measure of life*[14].

Na skraju księżycy kuczał mężczyzna w starodawnym mundurze, zastygły z ramieniem wyciągniętym na pomoc tonącemu. Z emblematem ukraińskiego tryzuba na opasce, twarzą wyraźną jak nigdy przedtem, o rysach mimo dystansu tak ostrych, jakby znajdował się obok. Znieruchomiał, skamieniał, został uwięziony w czasie. Nigdy już nikogo nie zabije, nikogo nie uratuje. *Dieduszka Bondar, ubijca i hieroj*. Największe fatum Andrzeja, najgłębiej sięgające korzenie, jego prawdziwa tożsamość. Grzech pierworodny, którego nigdy nie uda mu się odkupić.

Gestem rozpaczony szarpnął ręką, wyciągnął się, by jak najdalej sięgnąć palcami. Nie było tam dłoni dziadka, która w Borach Tucholskich wyciągnęła go z grzęzawiska. Nie wyciągał do niego ramienia, lecz machał na pożegnanie. Andrzej w pięści zamknął płynną pustkę wody jeziora. Na skórze poczuł tylko mroźny ślad po zaciśniętej obroży, odcisk metalu obejmujący czyjąś szyję. Wyciskający życie.

Gasł.

Mrok wokół ścinał się, marzył, przeistaczał w pokłady ropy. To jednak był koniec. Andrzej nagle zapragnął zniknąć, rozpuścić się bez śladu, nie zamierzał niczego po sobie zostawiać. A już na pewno nie pamięci po sobie, wybitej w bryle węgla pieczęci, skamieliny. Z nadzieją, że to, co w nim zamieszkało, odejdzie również. Z bolesną świadomością, że zło nigdy nie odejdzie na zawsze.

Zło przeistacza się, zmienia formę. Niczym pasożyt infekuje kogoś innego.

Zaraził się. Czuł rozwijającą się w środku chorobę, obcego, który rósł i wypełniał duszę. Dodawał siłę, redukował strach.

Wskazywał cel.

Noc była jasna jak późny dzień, księżyc wisiał nad ziemią tak nisko, jakby dopiero co wynurzył się z wód mazurskiego jeziora i jeszcze nie zdążył zająć swojej stałej pozycji na okołoziemskiej orbicie. Gołym okiem widać było ciemne morza magmy, gigantyczne kratery, wstęgi kanionów i łańcuchy gór. W jego intensywnej poświacie świat zdawał się powleczone srebrem, krajobraz wyciśnięty z aluminiowej folii. Pełen zahipnotyzowanych ludzi i składających hołd wyciem wilków i psów. Miedzioryt, który można ściągnąć ze ściany i dowolnie obracać w dłoniach.

Jego mikroskopijny świat.

Tak, teraz wszystko tutaj należało do niego. Przegnali go, odepchnęli, odwrócili oczy, udając, że nie istnieje. Ale on tam był, nigdzie się nie wybierał. Ponieważ stracił wszystko, nie miał nic do stracenia. Bez rodziny, domu, nazwiska i twarzy mógł być każdym, wziąć w posiadanie każdą rzecz. Każdego człowieka. Chcieli w nim widzieć zbrojnego, drapieżnika, więc się nim stał. Zakłęli rzeczywistość, wykreowali go ze swoich fantazji i fobii. Wymyślili go sobie.

Potwora.

Włożył czapkę z daszkiem, zapiał kurtkę. Dłonie wsunął w skórzane rękawiczki, zarzucił plecak. Wszedł z cienia i ruszył w kierunku rzeki. Nie musiał się kryć, nocą nikt go nie rozpozna. Nie zapamięta, ludzka pamięć zazwyczaj odtwarza to, co uznaje za prawdę, rzadko fakty. Wtopił się w sznur spacerowiczów podziwiających piękno księżycy. Woda w kanale przypominała strumień rtęci, liście drzew błyszcząły monetami, twarze wyglądały jak maski.

Przy lesie przerzedziło się, między drzewami nie było prawie nikogo. Korony szumiały, przebijające się przez nie nitki srebra gubiły się w ściółce. Było ciemno i doskonale cicho. Minęła go wyraźnie spłoszona para, przyłapał ich. Druga była tak w siebie wtulona, że mogła uchodzić za jedność, obupłciową istotę o czterech nogach. Długo, długo nic i w końcu on, mężczyzna. Szedł w tym samym kierunku wolnym krokiem, kontemplował samotność.

Wysoki, duży, pewny siebie. Dobrze, bardzo dobrze. Im większa i silniejsza ofiara, tym więcej nabierze mocy. Tacy czuli się zbyt bezpieczni, w swoją masę ciała wierzyli niczym w potęgę Boga, w męskość jak w nienaruszalność granic. A to właśnie zamierzał zrobić, najechać ich. Pobić, splądrować, zbezczęścić świętość.

Splugawić.

Wyciągnął z plecaka pałkę teleskopową, otworzył. Schował ją za udem, kiedy dogonił mężczyznę.

– Przepraszam, czy ma pan ognia?

Widzieli jedynie swoje sylwetki, posągi wypłukane z wszelkich detali i cech szczególnych.

– Niestety, nie palę.

Odpowiedział z wyższością, w końcu był wszechpotężnym, dumnym mężczyzną. Co mógłby mu zrobić taki gnom z wystającym brzuszkiem, ledwo dźwigający okulary na nosie?

– Świetnie, ja też nie.

- Więc o co chodzi?
- Chciałbym się przedstawić, mam na imię Tadeusz.
- Proszę wybaczyć, ale ja...

Cios odebrał mu mowę, ale nie powalił. Tadeusz potrzebował jeszcze dwóch uderzeń, by znokautować ofiarę. Zacisnął mężczyźnie na nadgarstkach plastikową opaskę, usta zakleił zbrojoną taśmą. Był teraz szybki, nie mógł pozwolić się złapać. Zaciągnął olbrzyma w głąb lasu, kilkanaście metrów od ścieżki. Prawdopodobieństwo bliskości ludzi podniecało go, ale jeszcze bardziej podniecał go strach. Jak wtedy, lata temu, kiedy dorwał chłopaka, który odmówił mu seksu. Zachęcił, a następnie się wycofał. Nie wolno tak z człowiekiem żartować, tak gardzić brzydszymi i słabszymi od siebie.

Teraz jednak był silny, posiadał dar. Zachorował na zło.

Przymocował mężczyznę do pnia drzewa, odpowiednio wymodelował pozycję. Mężczyzna odzyskiwał przytomność, zaczął się szarpać. Tadeusz wymierzył mu trzy precyzyjne ciosy pałką w żebra, jeden w twarz. Nie obawiał się identyfikacji, przecież taki supermen nie pójdzie na policję, żeby się poskarżyć na dobrotliwego grubaska.

Pierwszy raz w życiu nie odczuwał strachu przed niczym.



# EPILOG

Łoże w prosektorium srebrzyście lśniło w rozproszonych promieniach sufitowych świetlówek. Wentylator cicho zasysał powietrze, z korytarza dochodził zgrzyt kółek pchanego wózka.

Zapanowała martwa cisza.

Stali długą chwilę, zanim patolożka uniosła prześcieradło, odsłoniła głowę i część klatki piersiowej nieżywego mężczyzny. Blondyn o włosach ulizanych do tyłu, jakby były związane w koński ogon, z ciemnymi sińcami pod przymkniętymi oczami i wargami w mlecznym kolorze skóry. Spokojne, odprężone oblicze człowieka pogodzonego z wiecznością, we śnie, z którego już się nie da zbudzić.

– Jakież pytania?

Białowłosa doktor powiodła wzrokiem po twarzach funkcjonariuszy. Komisarz Morowczyk po kilkunastu sekundach niemo pokręcił głową. Nowik oblizał spękane wargi, ale nie odezwał się. Chłopskiej zadrzała szczęka.

– Pełny raport prześlę do jutra, właściwie nie ma czego analizować. Przyczyną śmierci było utonięcie – poinformowała lekarka, choć nikt jej o to nie prosił.

Komisarz chrząknął, zerknął na Chłopską, która zdawała się bliska płaczu. Godnie walczyła z emocjami, lecz wystarczyłoby jedno słowo, a tama by pękła, łyzy pociekłyby ciurkiem.

– Pani komendant, identyfikacja – przypomniał.

Głośno przełknęła ślinę, ale nie otworzyła ust. Pokiwała głową.

– Myślę, że to nam na razie wystarczy, pani doktor. Dziękuję.

Mężczyźni odwrócili się na pięcie i wyszli z sali, patolożka zajęła się swoją robotą. Chłopska została sama. Kradła ostatnią chwilę ze zmarłym. Tę, której poskapła mu, kiedy jeszcze żył.

Ruszyła do wyjścia. Nabrane w prosektorium powietrze wypuściła dopiero na zewnątrz, na parkingu. Zwróciła twarz ku słońcu, którego palące promienie

skutecznie wysuszyły łyzy przeciekające przez puszczone uszczelki powiek. Roztopiły chłód śmierci przyniesiony na mundurze z piwnicy. Coś piekło ją w krtani, stłumiony szloch lub zadra wyrzutów sumienia. Kilka razy mrugnęła, ale ta blada, niemal przezroczysta twarz ciągle tam była. Będzie, nie uda się go szybko zapomnieć. Był świetnym, wyjątkowo zdolnym gliniarzem. Odważnym, zdolnym do poświęcenia życia w słusznej sprawie. A ona nim pomiatała, odsunęła od siebie, złożyła obietnicę, z której się później wycofała. Myślała tylko o sobie.

– Nie wiem, po jaką cholere się tam pchał – ze złością skomentował Nowy.

– Mówisz o funkcjonariuszu policji, który zginął na służbie, aspirancie sztabowy – zdyscyplinowała go Chłopska. – Odrobina szacunku.

– Szacunku? Nikt nie ma więcej szacunku do naszej roboty ode mnie. Ale nie toleruję głupoty, niepotrzebnej brawury. Mało mamy jeszcze w tej ziemi bohaterów? W tych jeziorach?

Komendant zachnęła się. Nowik miał rację. I nie miał racji.

– A pan co o tym myśli, komisarzu?

Wyciągnęła rękę po papierosa, Śmierć akurat otworzył paczkę. Poczęstował ją, zapalili, sam zaciągnął się tak głęboko, jakby zamierzał wyssać z tytoniu mądrość. Długo nie wypuszczał z płuc dymu.

– Procedura jest jasna, należy zachować dystans i czekać na wsparcie. Strzelać tylko w ostateczności. Łódź została odnaleziona, posiłki były w drodze, wystarczyło poczekać, zapędzić ich w kozi róg. Niby dokąd mieliby uciec? Odfrunąć?

– Właśnie – dorzucił Nowy. – Zginęli praktycznie wszyscy, którzy mogliby mieć coś ważnego do powiedzenia. Szkoda tego całego wysiłku.

– Stul pysk, Janusz! – warknęła Chłopska, po czym zreflektowała się, wzruszyła ramionami.

Zaciągnęła się papierosem. Oni wiedzieli swoje, ona swoje. Może i była surowa, ale ceniła podwładnych. Dostrzegała w nich ludzi, a dopiero w drugiej kolejności funkcjonariuszy policji. Powinna to częściej okazywać, bardziej, nawet wobec tych, za którymi nie przepadała.

– Na szczęście i tak dużo wiemy – stwierdził Nowy. – Znaleziona broń uzbroiłaby dwa plutony po same zęby. Buszowali w podwodnych złomowiskach, wyławiali skrzynie, czyścili giwery, zabezpieczali i zatapiali znowu, w innych miejscach. Mądrze, w razie wpadki byłoby na Iwanów.

– Ruskich bym nie skreślała, nie są święci.

– Na świętych wolałbym już naszych łysoli. Nie powiem, bandziory, ale w ostateczności mają dobre intencje, obrali sobie słuszne wzorce. Co? Lepiej niech się szykują do obrony przed Ruskiem niż do ataku na swoich.

– Zapomniał pan chyba, aspirancie sztabowy, kto wrzucił granat do hurtowni Koterskich. – Komisarz Śmierć zmroził go śmiertelnym spojrzeniem.

– Wygłupy!

– To nic, tylko gratulować chłopakom poczucia humoru!

– Cholera wie, jak to było, Koterski jest umoczony w przemyt. A teraz na dodatek w zabójstwo. Miał rację, rzucając się do jeziora. Zapomniał tylko, że przed nami nie ma ucieczki.

Nowik wyraźnie liczył na objęcie nowego stanowiska, podlizywał się. Nikt jednak nie podjął kwestii, nastąpiła chwila milczenia. Zaczął więc inny wątek.

– Trzeba jeszcze raz przesłuchać Czyngisa.

Chłopska wzruszyła ramionami. Z tęsknotą popatrzyła na swoją terenówkę, jakby marzyła już tylko o odjeździe.

– Wiem, beznadziejny świadek, ale innego nie ma. Powtarza coś w kółko o pedałach i skurwysynach i to by się akurat zgadzało, sprawca napadów idealny, oskarżyłbym go i posadził w więzieniu za sam wygląd i zachowanie, ale niczego nie przeszkrobał. Ewentualnie kłusownictwo, w ziemi zakopywali szczątki łownej zwierzyny, pedałami i skurwysynami nazywał dziki. Potworny biedak, był prawdopodobnie gwałcony od dziecka.

– Jezu...

Chłopską przeszyły zimne dreszcze. Za dużo jak na jeden raz, nawet dla niej. Mogła mieć tylko nadzieję, że plaga nieszczęść się zakończyła i wróci spokój. Że wyczerpali pecha na następne sto lat. Jak najszybciej trzeba było posprzątać, skompletować papierki i zapomnieć.

– Chyba w sprawie Bondara też wszystko już jasne?

Śmierć nie odezwał się, podejrzliwie otaksował ją wzrokiem.

– Nie? To podejrzenie o szpiegostwo nie trzyma się kupy, Helcię Szpak załatwił amerykański żołnierz. Ta mała z pociętymi żyłami może przeżyć.

– Zostały jeszcze trupy z bunkra – odpowiedział Nowik. – Kłós był nieuzbrojony, miał proch na twarzy, dostał z bliska. Egzekucja.

– W tych okolicznościach to i tak chyba nie ma większego znaczenia, prawda?

Aspirant sztabowy rozłożył ramiona, przybrał niewinną minę.

– Tylko mówię!

– Komisarzu?

Śmierć zassał policzki, upodabniając się do gołej czaszki, na cienkich jak papier wargach odznaczyła się klawiatura zębów z wyraźną przerwą na brakującą czwórkę. Sięgnął po kolejnego papierosa, zapalił.

– Ostatnio zależało pani na czym innym – powiedział, wydmuchując brązowy dym.

– To były inne czasy, poszukiwaliśmy bandytów.

– Czas bandytów... – skomentował cicho. Dopalił papierosa, peta upuścił na kostkę polbruku. – Dzisiaj załatwię resztę formalności, jutro wyjeżdżam. Do widzenia.

Odprawdzili go wzrokiem, po czym jak na komendę odwrócili się w stronę szpitala. Trzech pięter pełnych poszkodowanych i prosektorium wypchanego trupami z nocy. Nowik nie mógł zgodzić się ze słowami komisarza.

– Czas bohaterów – podsumował bez cienia ironii.

- [1] Grzmot apokalipsy / Miasta zamieniają się w ruiny / Widzę świat – stary / Widzę świat – martwy.
- [2] Spadaj spadaj spadaj spadaj / Na ściany – *The Hanging Garden*, The Cure.
- [3] *Gangsterskie opowieści*, O.S.T.R.
- [4] Nie śpimy całą noc, żeby dobrze się zabawić / Nie śpimy całą noc, żeby się nam poszczęściło – *Get Lucky*, Daft Punk.
- [5] Światła zbliżyły się szybko / Utracona w wypadku / Odeszłaś w nierzeczywistym blasku – *Tear*, Smashing Pumpkins.
- [6] Czy znasz drogę, którą mogę / Czy znasz drogę, której nie mogę utracić? – *Tear*, Smashing Pumpkins.
- [7] *Tak... tak... to ja*, Grzegorz Ciechowski.
- [8] Całuję cię w oczy i kończę twoje życie / Całuję cię w oczy / Kończę twoje życie // Zatrzymuję się i klękam przy tobie / Wiedząc, że tej nocy znów cię zamorduję / Wiedząc, że tej nocy znów cię zamorduję / Wiedząc, że znów zamorduję cię / Tej nocy – *Doubt*, The Cure.
- [9] Nocą / Słyszę oddech ciemności / Wyczuwam cichą rozpacz / Wsłuchuję się w ciszę / Nocą / Ktoś musi tam być – *At Night*, The Cure.
- [10] Pozwól mi umrzeć / Nie zapamiętasz mojego głosu / Odszedłem i zestarzałem się / Nigdy nie mówisz / Nigdy się nie śmiejemy / Krzyczę / Jesteś niczym / Nie potrzebuję cię / Jesteś niczym – *Siamese Twins*, The Cure.
- [11] Inne głosy / Tłuką się w mojej zepsutej głowie / Popełnij grzech / Zobowiąż się / I wszystko, co powiedziały inne głosy / Zmień swoje zdanie / Zawsze się mylisz / Zawsze – *Other voices*, The Cure.
- [12] Samotność rośnie i powoli / Wypełnia jej zimne ciało / Ześlizguje się w dół // Wszystkie słowa mnie opuściły / Bez życia / Mając nadzieję / Oddychając jak tonący człowiek – *The Drowning Man*, The Cure.
- [13] *Żołnierze Wyklęci*, Tadek.
- [14] Sen musiał się skończyć / Życzenie nie zostało spełnione / A dziewczyna / Zaczyna śpiewać // Siedemnaście sekund / Miara życia – *Seventeen Seconds*, The Cure.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz